

ZACISZNA WYSPA. GRUPA PRZYJACIÓŁ.
WSPÓLNA PRZESZŁOŚĆ, KTÓRA ICH ŁĄCZY.

ERIC BERG

DOM
MGIEŁ



ERIC BERG

DOM
MGIEŁ

Z języka niemieckiego przełożyła
Anna Slotorsz



WYDAWNICTWO
SOWA DRAGA

Tytuł oryginału:
DAS NEBELHAUS

Copyright © 2013 by Limes Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany.
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Łukasz Kuć
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8110-408-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

Podziękowania

*Ruth von Bendzie, Sandrze Bräutigam, Arminowi Weberowi,
Katji Hille, Katarinie Pollner i Petrze Miersch,
z którymi od lat dzielę dole i niedole
pisarskiego żywota.*

Czyż to znaczy, iż mamy czynić zło, aby stąd wynikło dobro?

LIST DO RZYMIAN¹

¹ Biblia Tysiąclecia, wyd.III popr.

1

Trzy ofiary śmiertelne i osoba pogrążona w śpiączce. Taki był bilans nocnej rzezi na Hiddensee, która dwa lata wcześniej wstrząsnęła tą bałtycką wyspą. Informacja o popełnionej w amoku zbrodni pojawiła się nawet bezpośrednio przed sportem w ogólnokrajowych wiadomościach, a jeden z brukowców – ten, który ukuł określenie „nocna rzeź” – poświęcił jej obszerny materiał otwierający numer. Na pierwszej stronie, pomiędzy grubo ciosanymi literami tytułu, zamieszczono smętne czarno-białe zdjęcia w paszportowym stylu, na drugiej wyrazy konsternacji, głosy ocalonych, krewnych, zszokowanych sąsiadów. Na samym dole zabarwione gniewem pytania: Dlaczego? Kto ponosi winę? Kto zawiódł? Kto dopuścił się zaniedbania? Po pogrzebach ofiar temat ucichł, głównie dlatego, że nigdy nie doszło do procesu. Bo to domniemany sprawca pozostawał w śpiączce, a wraz z nim uśpione było dochodzenie.

W związku z rocznicą tragedii jedna z północnoniemieckich regionalnych gazet planowała opublikować na jej temat dwustronicowy materiał. Szukając odpowiedniego autora, naczelny dziennika postanowił zadzwonić do specjalistki od tego typu artykułów, Doro Kagel. Czyli do mnie.

Moje wprawne palce mknęły po klawiaturze.

Miejscowość Neuendorf na wyspie Hiddensee przed dwoma laty. 2 września 2010 roku dwie kobiety i mężczyzna przybywają do domu numer 37. Yasmin Germinal (35 l.), chwilowo bezrobotna, Leonie Korn (38 l.), przedszkolanka, i Timo Stadtmüller (33 l.), pisarz, przyjeżdżają na zaproszenie architekta Philippa Lothringera (45 l.) i jego żony Genovevy Nachtmann (43 l.). Goście mają spędzić z gospodarzami i ich pięcioletnią córką Clarissą przedłużony weekend, od piątku do poniedziałku. Dom numer 37 prawie codziennie odwiedza też pochodząca z Kambodży gospodyni, p. Nian Nan (67 l.). W wydarzenia, do których doszło w nocy z 5 na 6 września, uwikłani są również jej mąż Viseth i syn Yim...

Westchnęłam i skasowałam tekst. To było moje trzecie podejście do tego artykułu – jeszcze gorsze od poprzednich. Tym razem udało mi się uraczyć czytelnika gmatwaniną dziewięciu nazwisk wymienionych w zaledwie jedenastu liniijkach tekstu.

Szukając natchnienia do napisania kolejnego wstępu, siedziałam jak zwykle w sypialni, która była jednocześnie moim gabinetem, i wpatrywałam się w ekran komputera. Nierzadko spędzałam tak jedenaście, dwanaście godzin dziennie. Godzin poświęconych pisaniu tekstów innych niż ten, a jednak za każdym razem jakby takich samych: o śmiertelnych pobiciach w metrze, o gwałtach, zabójstwach honorowych, morderstwach prostytutek, egzekucjach dokonywanych przez rosyjską mafię. Artykułów o tym obłędzie, który każdego dnia niczym ciężka, dusząca maź zalewa sale sądowe w stolicy i na prowincji.

Przestępstwa to moja specjalność. Nie zabiegałam o to, tak po prostu wyszło. Tak przynajmniej głosi jedna z wersji. Według drugiej przyczyniła się do tego śmierć mojego jedenastoletniego brata Benny'ego. Miałam dziewięć lat, gdy mężczyzna w średnim wieku udusił go i wrzucił do leśnej sadzawki. Ciało znaleziono dopiero po czterech dniach, mordercę dwa dni później.

Szczerze mówiąc, nie wiem, która z tych wersji jest prawdziwa. Fakty są takie: parę lat temu napisałam artykuł o młodych mężczyznach, którzy w jednym z berlińskich parków organizowali walki swoich psów i przy okazji zawierali nielegalne zakłady. Tekst zachwycił pewną redaktor, i tak się to wszystko zaczęło. Od tamtego momentu coraz częściej otrzymywałam zlecenia dotyczące drastycznych tematów i coraz więcej gazet wysyłało mnie na coraz głośniejsze procesy. Przemoc domowa, podpalenia, uprowadzenia dzieci, wyrodni ojcowie, bezwzględne młodzieżowe gangi... W końcu pewnego dnia wspierałam się na najwyższy szczebel w hierarchii kodeksu karnego i od tej pory piszę o morderstwach. I o mordercach. Z jednej strony powinnam się cieszyć, że coraz więcej gazet i czasopism łączy nazwisko Doro Kagel z określoną tematyką – nawet jeśli wiąże się ona z największą tragedią ludzkości, czyli wpisaną w ludzką naturę żądzą mordu. Z drugiej jednak strony morderstwa to temat pociągający i zarazem odpychający, fascynujący i odrażający, a ja miewam dni, kiedy wołałabym pisać o krajowej wystawie ogrodniczej niż o odmętach ludzkiej duszy.

Wyspa Hiddensee to najspokojniejsze miejsce na świecie. Otoczona ze wszystkich

stron morzem (by się tu dostać, trzeba skorzystać z promu), porośnięta wrzosem, smagana wiatrem, który przegania – w każdym razie powinien przeganiać – wszelkie złe myśli. Na północy wyspy znajduje się piękna latarnia morska, a na południu przyrodnicza perełka – zamknięty dla zwiedzających rezerwat ptaków. Ruch turystyczny na Hiddensee jest bardzo umiarkowany. Może dlatego, że na wyspie nie wolno się poruszać samochodami, a jedyne pojazdy o mocy większej niż dwa konie mechaniczne to: autobus, wozy zaopatrzenia i auta służb. Tysiąc trzystu wyspiarzy mieszka w czterech miejscowościach.

Wioska Neuendorf leży na południu, z dala od pozostałych osad. Ulice nie mają tu nazw – są jedynie drogi, ścieżki i numery domów. Budynek znajdujący się pod numerem 37, stosunkowo nowy i oryginalny, bo w całości wykonany z drewna i szkła, zwany jest Domem Mgieł. Mieszkańcy wyspy nazywali go tak jeszcze przed potwornymi wydarzeniami z 5 września 2010 roku.

Dobry początek. Niestety – jedynie początek, a co gorsza, jego napisanie zajęło mi prawie godzinę. Krwawa zbrodnia, od której niebawem miały upłynąć dwa lata, pozostawała dla mnie nieprzenikniona i nie umiałam jej przekuć w temat. Może dlatego, że każde przestępstwo ożywa dopiero za sprawą osoby, która się go dopuściła, a w tym przypadku sprawcy nie było. Nikt nie stanął w kajdankach przed obliczem sądu, prokurator nie miał kogo oskarżać, obrońca ratować, świadkowie obciążać, krewni ofiar przeklinać, a psychologowie oceniać. Nie było żadnego za ani żadnego przeciw, żadnych opinii biegłych, żadnego uzasadnienia i żadnego wyroku. Nie było potwora. Bo sprawca, który nie został pojmany i osadzony, nie kwalifikuje się do tego, by być potworem. Jest niczym widmo, z wolna popadające w zapomnienie. Do materiału potrzebowałam bestii, lecz martwi słabo się sprawdzają w tej roli. Pacjenci pogrążeni w śpiączce – jeszcze gorzej.

To była zagadkowa i mroczna sprawa.

W poszukiwaniu natchnienia przekartkowałam swoje notatki i przejrzałam materiał zgromadzony podczas kwerendy. Przewertowałam ponownie raporty policyjne i komunikaty wydawane przez prokuraturę w Stralsundzie. We wszystkich tych dokumentach okropność zbrodni opisano najbardziej przerażającym językiem świata – językiem urzędników skoncentrowanych na bezdusznej precyzji i tak dalekich od ludzkiego wymiaru sprawy, jak to tylko

możliwe. Szukałam wypowiedzi osób, które przeżyły, ale bezskutecznie. Najwyraźniej nie rozmawiały z prasą, prawdopodobnie zniechęcone sensacyjnym tonem użytym w relacji brukowca. Również informacje dotyczące prawdopodobnego przebiegu wydarzeń czy świadków były bardzo oszczędne.

Jednym haustem dopiłam filiżankę wystygłej kawy i odłożyłam teczkę na bok. Od paru dni sprawa nocnej rzezi wędrowała po moim biurku, pełzając po stosie innych spraw do załatwienia: korespondencji, formularzach podatkowych, rachunkach. Ostrożnie omijała talerz z winogronami i śliwkami, których intensywny zapach przypominał o zbliżającym się końcu lata, przemieszczała się z kanapy w salonie, przez stół kuchenny, aż na pustą połowę mojego łóżka i z powrotem na biurko. Biurko, które było stosem wyrzutów sumienia, napomnieniem, że nie dość ciężko pracuję, ponieważ liczba spraw do załatwienia zawsze przewyższała liczbę spraw już załatwionych.

Parę godzin wcześniej po długich poszukiwaniach odnalazłam teczkę za monitorem. Nie byłam w stanie wyjaśnić, jakim cudem się tam znalazła. Brzeg ekranu był obklejony kolorowymi fiszkami – koroną karteczek z zapisanymi terminami spotkań, numerami telefonów, przypomnieniami. Z tyłu zwykle można było znaleźć najwyżej kurz. Wyglądało to tak, jakby ta sprawa próbowała mi się wymknąć. Bezustannie miałam do zrobienia coś ważniejszego, jakieś pilniejsze artykuły, kwerendy. To popołudnie wyglądało podobnie.

Spojrzałam na stos prac przysłanych przez uczestników korespondencyjnego kursu dziennikarstwa – wysoki niczym ułożone na sobie trzy tomy encyklopedii. Zgodziłam się poprowadzić ten kurs, by dorobić do lichych zarobków wolnego strzelca, lecz nie sprawiało mi to specjalnej frajdy. Praca ta pochłaniała czas, którego i tak nie miałam, wymagała koncentracji, do której bardzo trudno mi było się zmusić, i przynosiła akurat tyle pieniędzy, ile co miesiąc musiałam wysłać mojemu studiującemu w Marburgu synowi. Nagrodą za ten trud był uśmiech Jonasa, rozświetlający moje zatopione w cierpieniu i zbrodni biurko.

Zmniejszenie stosu do dwóch trzecich pierwotnej wysokości zajęło mi dwie godziny. W tym czasie zredagowałam i oceniłam artykuły adeptów dziennikarstwa poświęcone tak fascynującym tematom jak: nieuchronny upadek sklepów pasmanteryjnych, oplakany stan kanalizacji w dużych miastach, porównanie piw produkowanych w różnych krajach, gospodarcze znaczenie pracy na czarno czy

awans Berlina na liście najbardziej kultowych miast świata. Oprócz tego przez dwie godziny nie zdarzyło się niemal nic – wydłużyły się tylko cienie na moim biurku, sunąc w zwolnionym tempie po zadrukowanych papierach. Kolejne trzy filiżanki kawy zdążyły ostygnąć jedna po drugiej, zanim dotarły do moich ust.

Tuż przed szóstą przypadkowo przewróciłam ostatnią z nich i zimna czarnobrunatna ciecz rozlała się po materiałach dotyczących nocnej rzezi. Kiedy osuszyłam kartki, spostrzegłam, że na każdej z nich pozostało coś w rodzaju sepiowej mapy: wyraźna linia brzegowa u dołu i przypominające wyspy plamy powyżej. Nietknięta pozostała jedynie lista zawierająca numery telefonów – do osób, które przeżyły masakrę, krewnych i partnerów ofiar, mieszkańców Hiddensee, świadków, psychologów, policjantów, pracowników prokuratury i do szpitala, w którym przebywała pacjentka w śpiączce.

Gdy uporałam się z bałaganem, było siedem minut po szóstej i uznałam, że najwyższa pora wziąć się do pracy. Dokładnie za trzy tygodnie mój artykuł miał trafić na biurko redaktora północnoniemieckiego dziennika. Przyniosłam z kuchni kolejny kubek gorącej kawy, przez chwilę pomasowałam sobie kark, sięgnęłam po komórkę i spojrzałam na listę. Zastanawiałam się, od kogo zacząć. Od kogoś, kto ocalał z rzezi? Od kogoś z bliskich ofiar?

W normalnych okolicznościach osoby bezpośrednio związane z przestępstwem spotykałam w gmachu sądu. Tam dziennikarzowi pracuje się łatwiej. Ludzie liczą się z tym, że ktoś może im zadawać trudne pytania, a czasem wręcz cieszą się z tego, że mogą wyrazić swój ból, oskarżyć sprawcę, dać upust swojej odrazie do bestii.

Wybrałam jeden z numerów.

– Viseth Nan. – W słuchawce rozległ się wysoki głos niemłodego już mężczyzny.

– Dzień dobry, panie Nan. Nazywam się Doro Kagel. Piszę artykuł o tym, co wydarzyło się przed dwoma laty na Hiddensee. Będzie w nim również wzmianka o pańskiej żonie. O ile mi wiadomo, pańska żona była gosposią w domu pana Lothringera i pani Nachtmann, czy to się zgadza?

Brak reakcji. Oddech.

– Panie Nan?

Brak reakcji. Oddech.

Naturalnie słyszałam o pomyleńcach, którzy dzwonią na chybił trafił, żeby wystraszyć rozmówcę odgłosem swego oddechu, ale pierwszy raz spotkałam się z takim zachowaniem u kogoś, kto odebrał telefon.

– Rozumiem, że trudno panu rozmawiać o tych okropnych wydarzeniach, bo dotknęły one pana osobiście. Zapewniam jednak, że nie napiszę o pańskiej żonie niczego wbrew pana woli.

Znowu jedynie oddech.

– Czy zgodziłby się pan odpowiedzieć na kilka pytań?

Trzeszczenie na linii. Pan Nan odłożył słuchawkę.

Dziennikarze są jak taksówkarze – nic nie jest w stanie ich zdziwić. Odhaczyłam więc tę dziwną rozmowę, która dobiegła końca, zanim się w ogóle zaczęła. Mimo wszystko nie był to zachęcający początek. Zegar wskazywał kwadrans po szóstej, bolały mnie plecy, a sierpniowy upał, który ani myślał zelżeć, zamienił moje mieszkanie w mokry bąbel, sprawiając, że sukienka przykleiła się do mojego ciała niczym druga, sztuczna skóra. Miałam wrażenie, że jestem owinięta folią spożywczą. Muszki owocówki poderwały się z talerza i zaczęły krążyć wokół mojej głowy. Marzyłam o tym, by się rozebrać i wziąć zimny prysznic. Na jednym z balkonów nade mną zebrała się przy grillu grupka imprezujących przyjaciół. Tak powinien wyglądać letni dzień: świeżo umyte, pachnące włosy, chwila przeciągania się nago na łóżku, lekka sukienka, lodowate napoje i mnóstwo śmiechu.

Nie byłam jednak w stanie dopuścić do siebie tego jakże naturalnego pragnienia na dłużej niż sekundę. Biurko miało większą moc niż pokusa. Przyciągało mnie niczym magnes. A raczej jak narkotyk, bo napełniało satysfakcją z odniesionego sukcesu, z pokonanych przeciwności, z dobrze wykonanej pracy. Upajało mnie tempo, w jakim załatwiałam kolejne sprawy. Jeżeli oddalałam się od biurka na zbyt długo, nękało mnie dziwne uczucie bezużyteczności i zagubienia, bo wiedziałam, że pod moją nieobecność na blacie piętrzą się niczym wyrzut sumienia niezłatwione sprawy.

Oczywiście poza pracą istniał też inny świat – zakupy, urodziny, rozmowy telefoniczne z przyjaciółmi, od czasu do czasu spotkania, odwiedziny u krewnych, zaproszenia, wyjścia do kina – potrafiłam się jednak cieszyć tym życiem tylko z rzadka i tylko przez chwilę. Mój kosmos kurczył się z miesiąca na miesiąc,

ograniczając się do słów, artykułów, morderców. Do wielkiej, żarłocznej czeluści komputera, która pochłaniała pisane przeze mnie teksty.

Wybrałam inny numer. Może z synem będę miała więcej szczęścia niż z wdowcem.

– Nan.

– Dzień dobry. Nazywam się Doro Kagel. Chciałabym rozmawiać z panem Yimem Nanem.

– Przy telefonie. W czym mogę pani pomóc, pani Kagel? – Yim miał czysty, łagodny głos, z którego emanowała taka cierpliwość, jakby pochodził z innego świata. Świata, do którego od paru lat nie miałam już dostępu. Świata harmonii i spokoju. Tembr tego głosu zdawał się pytać: Witaj, skąd przybywasz?

– Piszę artykuł o wydarzeniach na Hiddensee. Wkrótce upłyną dwa lata od tej tragedii i miałabym w związku z tym parę pytań. Jak się pan pewnie domyśla, chodzi o pana matkę. Chcę opowiedzieć czytelnikom, jakim była człowiekiem. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby udzielił mi pan paru informacji. To zajmie tylko chwilę.

– Chwilę? Uważa pani, że to wystarczy?

Zawahałam się. W ciągu sekundy przemknęło mi przed oczami kilka filmów, w których cierpliwi azjatyccy mistrzowie sztuk walki podczas pierwszej lekcji pouczają amerykańskich uczniów o wadze spokoju, koncentracji, pokory i autorefleksji.

– Przepraszam. Po prostu nie chciałam być zbyt natrętna. Czy znalazłby pan dla mnie trochę czasu?

Teraz to Yim zamilkł na moment.

– Będę z panią szczerą. Prawda jest taka, że nie chcę odpowiadać na pani pytania. Nie chcę odpowiadać na niczyje pytania.

– Rozumiem. Na pana miejscu czułabym pewnie to samo, ale... no cóż, szczerść za szczerść. Proszę spojrzeć na to tak: niezależnie od pana decyzji w różnych gazetach ukaze się całe mnóstwo artykułów, wśród nich także mój, a ja chciałabym, żeby pan również miał wpływ na to, co się w nich znajdzie. Stąd moja prośba.

Tym razem Yim potrzebował na odpowiedź więcej czasu.

– Zgoda. Ale teraz jestem zajęty.

– Rozumiem. Kiedy mam do pana zadzwonić?

– Wcale.

– Rozumiem – powtórzyłam, choć w rzeczywistości nie rozumiałam. – Podam panu mój numer.

– Wolałbym spotkać się z panią osobiście. Nie mogę rozmawiać przez telefon o rzeczach, o które pani zapewne spyta.

Powinnam się była ucieszyć. Dla dobrego dziennikarza osobiste spotkanie to zawsze lepsza opcja, ponieważ podczas takiej rozmowy łatwiej sprawić, by rozmówca się otworzył. Ja jednak chciałam jak najszybciej skończyć artykuł i zająć się innymi sprawami. Żeby spotkać się osobiście z synem pani Nan, musiałabym wygospodarować więcej czasu, co stanowiło dla mnie spory kłopot.

– Jeśli chce pani ze mną porozmawiać, musiałaby pani przyjechać do Berlina – powiedział Yim.

– Mieszkam w Berlinie.

– Zatem nie ma problemu.

– Nie, nie ma problemu – powiedziałam i obtarłam czoło.– Czy pasuje panu dzisiejszy wieczór?

Yim znowu odczekał chwilę.

– Pasuje. Handjerystrasse 116. Restauracja nazywa się Sok sebai te. Kuchnia kambodżańska. O dwudziestej pierwszej?

– Nie dałoby się wcześniej?

– Niestety nie.

– Dobrze. W takim razie... niech będzie dwudziesta pierwsza.

Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na zegarek. Miałam jeszcze dwie i pół godziny. Uwzględniając szybki prysznic, zmianę ubrania i czas potrzebny na dojazd – półtorej. Przede mną piętrzyło się jeszcze dwadzieścia prac nadesłanych przez uczestników kursu. Sięgnęłam po leżącą na wierzchu teczkę, otworzyłam artykuł zatytułowany *Żarówki energooszczędne. Kłamstwo* i poprawiłam go, wlewając w siebie kolejną filiżankę zimnej kawy.

2

Dwa lata wcześniej, wrzesień 2010 r.

Pistolet, środki przeciwbólowe, zapalki, lexotanil. Leonie któryś już raz sprawdziła, czy poprzedniego dnia spakowała wszystko do torebki. Nie miała ochoty nigdzie jechać i najchętniej nie ruszałaby się od kuchennego stołu, dlatego aż do ostatniej chwili walczyła z lękiem, celebrując codzienne rytuały.

Kilkakrotnie cmoknęła. Przywołanie okolicznych kotów zajmowało jej czasem nawet godzinę. Na wypadek gdyby się miały pojawić, przygotowała miseczki z kocimi przysmakami. Nadała zwierzacom imiona, bo nie wiedziała, jak naprawdę się wabią. Odróżniała stałych bywalców od tych, którzy pojawiali się sporadycznie, i według tego klucza wydzielala im porcje. Czasami zdarzało się, że nie przychodził żaden kot. Może zależało to od pogody, a może od czegoś innego – Leonie nie miała pojęcia, co o tym decydowało.

Tak właśnie zdarzyło się tego ranka, gdy miała wyjechać na Hiddensee. Z hukiem zatrzasnęła drzwi tarasu, pozbierała miseczki i wrzuciła je do zlewu. Puściła na nie strumień ciepłej wody i tak je zostawiła.

Tknięta nagłą myślą, podeszła do torebki.

Pistolet, środki przeciwbólowe, zapalki, lexotanil. Dobrze!

Duża wskazówka zegara zbliżała się do pełnej godziny. Jeszcze dziesięć minut. Stojąc przy kuchennym stole, wypila ostatni łyk rumianku. Pogrążona w myślach, sięgnęła po komórkę, nacisnęła jedynekę i nagrała Steffenowi wiadomość:

– Szkoda, że nie udało mi się do ciebie dodzwonić, pewnie jeszcze śpisz. Cóż, właśnie wyjeżdżam. Właściwie zupełnie nie mam na to ochoty. Nie wiem, dlaczego przyjąłem to zaproszenie, no ale teraz jest już za późno. We wtorek będę z powrotem. Cieszę się, że się wtedy spotkamy. Będę myśleć o tobie przez cały czas. Możesz w każdej chwili do mnie zadzwonić, okej? Na razie.

Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Wszystko oprócz jednego: doskonale wiedziała, dlaczego przyjęła zaproszenie Philippa.

Jej wzrok przez chwilę błędził po wymalowanych na ceracie truskawkach, by się wreszcie zatrzymać na zdjęciu. Była to jej jedyna pamiątka z tamtych czasów, z dni spędzonych w towarzystwie Tima, Yasmin i Philippa. Właściwie nie było to zdjęcie, lecz jego strzępy, które znalazła w pudełku po butach i z konieczności złożyła w całość. Brakowało nóg Philippa, ale dla Leonie to nie miało znaczenia. Powiodła palcem po postaci Tima. Jego uśmiech sprawił, że na moment zapomniała o zdenerwowaniu.

Chwilę potem usłyszała dzwonek do drzwi.

– Och, mama. To ty. Spieszę się. Nie mogłaś zadzwonić?

– Dzwoniłam, kochanie, ale nie odbierałaś ani nie oddzwoniłaś. – W ciepłym, drżącym głosie słyhać było troskę. Typowy głos sześćdziesięciosześcioletniej siwej matki. – Co się dzieje?

– A czy zawsze musi się coś dziać, kiedy nie oddzwonię? Mam trzydzieści siedem lat i nie jestem już na każde twoje zawołanie. Poza tym mam teraz naprawdę dużo zajęć. A konkretnie: wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz?

– Tak. Na Hiddensee.

– Hiddensee?

– Na cztery dni.

– Cztery dni?

– A ty co? Kakadu? Nie powtarzaj wszystkiego, co mówię.

– Przepraszam, kochanie. Ja tylko...

Starsza pani rozejrzała się po mieszkaniu, jakby w poszukiwaniu wskazówek wyjaśniających zaskakujące zachowanie jej córki. Wszystko jednak było po staremu: pastelowe meble z Ikei, na ścianach kilkanaście martwych natur, na wszystkich drzwiach i na wszystkich kuchennych szafkach ponaklejane żółte kółeczka z uśmiechniętą buźką, które, o dziwo, zawsze wydawały jej się nieco przerażające. Wszystko wyglądało jak zwykle – łącznie z Leonie, która jak zawsze miała na sobie szerokie spodnie i bluzkę z lejącego się materiału. Dobry wybór dla kogoś, kto chce ukryć pulchną figurę.

– Nie zrozum mnie, proszę, źle. Hiddensee we wrześniu jest na pewno cudowna i cieszę się, że robisz sobie krótki urlop, ale... Zadzwoniłam wczoraj do przedszkola i...

– Po co tam dzwoniłaś?

– Bo nie mogłam się z tobą skontaktować. Tak czy siak, powiedziano mi, że doszło do pewnego incydentu i... tydzień temu zostałam zwolniona.

– To nieprawda. Dalej tam pracuję. To było jedynie nieporozumienie. A teraz wybacz. Wiesz już, że u mnie wszystko w porządku, więc...

– Jedziesz ze Steffenem? Od wieków go nie widziałam. Przyjdźcie razem na obiad albo kolację. Mogłabym...

Leonie delikatnie, acz zdecydowanie odprowadziła matkę do drzwi wejściowych.

– Nie, nie jadę ze Steffenem. Zaprosił mnie Philipp. Będzie też Timo. Zabieram jego i Yasmin z Berlina, a potem jedziemy nad Bałtyk.

– Philipp, Timo, Yasmin? Czy to nie ci, z którymi kiedyś się wygłupiałaś?

– Tak, to oni. Tylko że to nie były wygłupy. Wygłupiają się klauni, my robiliśmy poważne rzeczy.

– I ten Timo też będzie? Myślisz, że to dobry pomysł? Jak by na to nie spojrzeć, byłaś wtedy...

– To było piętnaście lat temu. Teraz od dwóch lat jestem w udanym związku ze Steffenem.

– Leonie, obiecaj mi, że zadzwonisz, jak tylko coś zacznie się dziać. O każdej porze. Obiecaj, że wyjedziesz...

– Obiecuję wszystko, co tylko chcesz, tylko oszczędź mi tego kazania. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Zadzwonię, jak tylko wrócę.

Pięć minut później, tuż za pierwszym zakrętem, Leonie zatrzymała samochód na skraju drogi i chwyciła torbę leżącą na siedzeniu obok kierowcy.

Pistolet, środki przeciwbólowe, zapałki, lexitanil.

Wszystko zaczęło się od Facebooka, trzy tygodnie przed wyjazdem na Hiddensee. W pewien deszczowy dzień, chcąc sobie poprawić nastrój, Timo postanowił odkurzyć wspomnienia i wpisał do wyszukiwarki kilka niemal już zapomnianych imion i nazwisk. Potem wystarczyło parę sekund, by się dowiedzieć, czym obecnie zajmują się starzy znajomi: Philipp pracował jako architekt, a Leonie jako przedszkolanka. Sam Timo był pisarzem.

Na Philippie fakt, iż Timo go „odnalazł”, wywarł tak niesamowite wrażenie, że po paru dniach i kilku sesjach na czacie zaprosił jego i Leonie do swojego domu na

Hiddensee. Piętnaście lat wcześniej, w czasach, gdy tworzyli dość specyficzną paczkę, odnalezienie starych znajomych byłoby czasochłonnym i niełatwym przedsięwzięciem, a takie spontaniczne spotkanie byłoby prawie niemożliwe.

Yasmin również należała do paczki, ale nie używała ani Facebooka, ani innych mediów społecznościowych. Philipp i Leonie przebąkali w swoich wiadomościach, że mogliby się obejść bez Yasmin, lecz Timo nie dał za wygraną. Uważał, że jeśli mają się poczuć jak za starych dobrych czasów, powinni się spotkać w komplecie. Pytanie, co stało się z Yasmin, nie dawało mu spokoju – czuł się trochę jak człowiek, któremu wyleciało z pamięci czyjeś imię i teraz, choć nie ma to większego znaczenia, za wszelką cenę próbuje je sobie przypomnieć. Wszczął zatem poszukiwania na wielką skalę i uruchomiwszy wszystkie stare kontakty, próbował dowiedzieć się czegoś o Yasmin.

Mimo to w przeddzień planowanego wyjazdu nadal nie miał o niej żadnych informacji. Uważał, że to niesprawiedliwe – jego zdaniem fakt, że Yasmin nie jest aktywna w Internecie, nie powinien oznaczać jej wykluczenia, zwłaszcza że gdyby nie ona, drogi członków ich paczki nigdy by się nie skrzyżowały.

Na szczęście w dniu poprzedzającym wyjazd Timo trafił na istotną wskazówkę. Niewiele myśląc, podążył tym tropem i odnalazł Yasmin na kocu rozłożonym nieopodal centrum handlowego KaDeWe. Koczowała w towarzystwie drzemiących psów oraz kobiet i mężczyzn z kolorowymi włosami, w jej wieku i młodszych. Yasmin szczególnie rzucała się w oczy, bo bez przerwy zabawiła innych rozmową. Zawsze lubiła rozmawiać, przesadnie przy tym gestykułując.

Timo się uśmiechnął. Czuł się tak, jakby po latach odnalazł zaginiony cenny drobiazg. Nim jednak podszedł do Yasmin, przez dwie minuty ukradkiem ją obserwował.

– Odlot! – powiedziała Yasmin, gdy tylko wsiedli z Timem do samochodu Leonie.
– Dalej nie wierzę, że siedzę tu z wami. Rozumiecie? *Z wami*. Do głowy by mi nie przyszło, że jeszcze was kiedykolwiek zobaczę. Szkoda, że nasze drogi się rozeszły. Dlaczego zawsze tak jest? Przyjaciół nigdy za wielu. Filozofowie uważają, że to, czego człowiek potrzebuje, powinno zmieścić się w jednej walizce. To jest ponoć dobre dla duszy. Za to przyjaciół należy mieć jak najwięcej i warto w nich inwestować. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, prawda? Nie mogę uwierzyć, że nie udało nam się utrzymać ze sobą kontaktu. Tak nie powinno być. Niniejszym

przysięgam, że w przyszłości będę zachowywać większą czujność. Ludzie, ja...

Yasmin obtarła z zakłopotaniem łzy, które błysnęły w jej oczach.

– Dziękuję, Timo, spisałeś się na medal. Szukałeś mnie z takim uporem... – Siedząc w fotelu obok kierowcy, Yasmin wychyliła się do tyłu i objęła starego przyjaciela.

Timo był tak poruszony tą nieoczekiwaną pochwałą, że aż się zaczerwienił.

– Uwważaj! – wykrzyknęła Leonie. – Nie mam jak zmieniać biegów.

– Przecież i tak cały czas jedziesz na piątce – odparła Yasmin, natychmiast jednak uznała swe słowa za zbyt opryskliwe i pogładziła Leonie po policzku. – Dziękuję, że po nas przyjechałeś. Na pewno jesteś skonana. Ile godzin siedzisz za kółkiem? Siedem? Jesteś bardzo dzielna. Ja nie mam nawet prawa jazdy, prawie się nie ruszam z Berlina. Latem nasza paczka jeździ czasem kolejką podmiejską za miasto, w kierunku Strausbergu. Rozbijamy obóz nad jeziorem w lesie i muzykujemy dla kormoranów.

– Paczka? – spytała Leonie tonem, w którym dało się wyczuć zupełny brak zainteresowania.

– No: Kila, Yogi, Sokrates, Kimmi, Leila, Surinam i Jonny. Jonny to mój przyjaciel. Znaczy, jesteśmy parą, w sensie damsko-męskim. Surinam i Kila grają na fletni Pana, Sokrates na gitarze, Leila i Kimmi śpiewają. Ja mam grzechotkę, na niczym innym nie potrafię grać. Yogi nie gra z nami, ale on za to zna się na reiki. Koniecznie chcę się tego nauczyć. Wszyscy mamy pracę, w pewnym sensie. Żebyście sobie nie pomyśleli, że jestem bezdomna, czy coś takiego. Do południa pracuję w sklepie z artykułami ezoterycznymi, ale popołudniami mam luz. Mogę rozwijać się artystycznie: muzykuję na deptakach, no i, naturalnie, rysuję. Timo poznał się już z resztą paczki.

Timo wrócił myślami do tego pierwszego spotkania. Przed oczami stanęły mu przede wszystkim psy, które wydały mu się jednocześnie szczęśliwe i smutne w tym swoim bezwarunkowym przywiązaniu. Jeśli chodzi o ludzi, to najbardziej wryły mu się w pamięć oryginalne kolczyki – aż trudno mu było uwierzyć, gdzie też je można umieścić.

Niezapomniane wrażenie wywarły na nim również olbrzymie krajobrazy rysowane kredą na chodniku przez Yasmin i Jonny'ego. Rysunki wyglądały niczym połączenie dzieł Caspara Davida Friedricha i eksplodującej paczki

landrynek. Obok grupy siedział dobrotliwy, uśmiechnięty, złoty budda o wzroście ogrodowego krasnala i aparycji podchmielonego kloszarda. Służby porządkowe średnio trzy lub cztery razy dziennie przepędzały jego i resztę paczki.

Timo nie codziennie miał do czynienia z obkolczykowanymi dziewczynami i facetami, którzy w wojskowych ciuchach przesiadywali na kocu, przygrywając sobie na fletni Pana, ale, o dziwo, czuł się wśród nich naprawdę dobrze. Ludzie noszący imiona równie oryginalne jak ich fryzury zaprosili go na swój koc, jakby było to coś najnaturalniejszego na świecie, okazując gościnność, do jakiej nie byłby zdolny żaden gospodarz zapraszający nieznanego do swego mieszkania. Kiedy usłyszeli, że jest pisarzem, zaczęli wiercić mu dziurę w brzuchu, co sprawiło mu wielką przyjemność. Rzadko kiedy miał okazję opowiadać o swoich książkach. Nie sprzedawały się tak, jak by sobie tego życzył, co przyprawiało go o ścisk w żołądku, ale Yasmin i jej przyjaciół nie obchodziły liczby. Przez pół godziny traktowali go z honorami godnymi prawdziwego przedstawiciela bohemy, zupełnie jakby przybył prosto z Montmartre'u. Spotkanie z nimi było niczym szybka terapia przeciw zwątpieniu i remedium na brak wiary w siebie.

Wszelako nie był to jedyny powód, dla którego Timo szybko nawiązał dobre relacje z Yasmin. Jak każdy chyba pisarz, uwielbiał spotykać oryginalnych ludzi, toteż Yasmin z miejsca go zafascynowała, gdyż stanowiła jakby mieszankę trzech różnych kobiet. Miała punkową fryzurę, ubranie dziewczyny z reklamy marlboro i biżuterię niczym cygańska wróżka. Poza tym była szalenie zabawna i tak dziecięco naiwna, że nie skrzywdziłaby muchy. Sama przyznała mu się do tego, że nigdy w życiu nie zabiła nawet komara – z obawy, że to zaszkodziłoby jej karmie i odbiło się na niej w kolejnym wcieleniu.

Nagle Yasmin opuściła szybę i nie zważając na prędkość, wystawiła głowę za okno.

– Ubierzcie się ciepło, mieszkańcy Hiddensee – zawołała, unosząc prawą pięść.
– Nadciąga Zielona Zora.

Leonie spojrzała we wsteczne lustro, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z Timem, ten jednak śmiał się z Yasmin i jej szalonych pomysłów. Po chwili Leonie również się uśmiechnęła.

Yasmin miała przepalony, wiecznie zachrypnięty głos soulowej piosenkarki, który co chwilę się łamał.

– Ha, ha. Pamiętacie jeszcze? – wołała. – Zielona Zora. Tak się wtedy nazywaliśmy.

– O ile pamiętam, to ty nas wtedy tak nazywałaś – odpowiedziała Leonie.

– Cholera, minęło tyle czasu.

– Nie da się ukryć – potwierdziła Leonie. – Nadal jesteś królową demonstracji?

– Pewnie, jeśli trzeba. Ale życie nie sprowadza się jedynie do demonstrowania przeciwko niesprawiedliwości. Już się nie biję. Zostałam buddystką.

Leonie znowu spojrzała w lusterko, szukając wzroku Tima, on jednak ją zignorował.

Przez chwilę milczeli. Nawet Yasmin, której buzia nie zamykała się od momentu, kiedy ruszyli, ku zaskoczeniu pozostałych przez chwilę się nie odzywała, lecz w końcu przerwała ciszę:

– Trochę mi niedobrze. Zawsze się tak czuję podczas szybkiej jazdy, to rodzaj choroby, jeszcze z dzieciństwa. Mój ojciec miał porsche i... Leonie, czy mogłabyś, proszę, jechać trochę wolniej?

– Musimy zdążyć na prom.

– Tak się składa, że ostatni prom odchodzi dopiero za trzy godziny. Wiem od kumpla.

– Ale przecież nie musimy płynąć *ostatnim* promem, prawda? Długo oszczędzałam, ale teraz mam wreszcie samochód szybki jak pocisk.

– Pociski służą do zabijania.

– Wyluzuj.

– Cholera.

– Mam wszystko pod kontrolą.

– Zdaje się, że to były ostatnie słowa Jamesa Deana.

– Czuć od ciebie whisky – powiedział Philipp, stojąc z żoną na kei i czekając na zbliżający się prom.

– A od ciebie tanią wodę po goleniu – odparła Vev, uśmiechając się do męża. – Możemy zrobić zawody, kto gorzej śmierdzi.

Philipp z pewnym trudem odwzajemnił uśmiech. Choć często toczyli ze sobą tego rodzaju słowne potyczki, nie szkodziło to ich relacjom. Co prawda Philipp mógłby się bez nich obejść, ale uznał, że znoszenie od czasu do czasu sarkazmu Vev to cena, jaką warto zapłacić. Jedno spojrzenie na nią wystarczało, by poczuł

dumę. Jego żona nawet w starych dżinsach i rozciągniętym swetrze wyglądała sztywnie, a co dopiero w małej czarnej. Była ciemnowłosą wersją dojrzałej Brigitte Bardot.

Objął ją delikatnie ramieniem.

– Moja żona super dzisiaj wygląda.

Vev rozejrzała się wokół.

– Serio? Na Boga, gdzież ona jest?

Philipp zaśmiał się i mocniej otoczył ramieniem szczupłe barki Vev.

– Całkiem blisko.

– Idealna żona dla architekta – powiedziała Vev z ironią tak subtelną, że Philipp jej nie wyczuł. Upewniła się, że ich córka bawi się w pobliżu.

– Czy pani Nan przygotowała pokoje gościnne? – spytał Philipp.

– Nie jestem pewna.

– Nie sprawdziłaś tego?

– To jest Hiddensee, nie Alcatraz. Jeśli nawet rano tego nie przygotowała, zrobi to, kiedy my usiądziemy przy kawie. Albo sama to zrobię.

– Powiedziałaś jej, żeby wieczorem przyszła coś ugotować?

– Mówiłeś jej o tym siedem razy. Uważasz, że powinnam była przypomnieć jej po raz ósmy?

– Chcę zrobić dobre wrażenie. Kiedy ludzie odwiedzają cię po tak długim czasie...

– ...warto pokazać, że stać cię na zatrudnienie kucharki.

– Nie to miałem na myśli.

– Na pewno?

Odwróciła się i kolejny raz sprawdziła, czy z Clarissą wszystko w porządku.

Tymczasem prom rozpoczął trwający kilka minut manewr przybijania do brzegu. Na dziobie stały dwie kobiety i mężczyzna. Machali do nich. Philipp i Vev powściągliwie odwzajemnili powitanie. Dzień był przepiękny, a niebo prawie bezchmurne, lecz dzięki chłodnym powiewom morskiej bryzy słońce nie dawało się zanadto we znaki.

– Kim jest ta kobieta z kolorowymi włosami? – spytała Vev.– Zabawnie wygląda, jakby miała na głowie lunapark. Podoba mi się. Na pewno znajdziemy wspólny język.

Philipp był jakby lekko zakłopotany.

– Prawdę mówiąc, jej nie zapraszałem.

– Jak się nazywa?

– Yasmin. Mogłaby być ładną dziewczyną, ale odkąd pamiętam, nie zwracała uwagi na wygląd i zawsze się jakoś oszpecała: a to kolorowe włosy, a to kolczyki czy kosmiczne ubrania, w których zupełnie jej nie było do twarzy... Ta babeczka przy kości to Leonie. A ten mały chudy to Timo.

– Nie jest aż taki znów mały. Prawdę mówiąc, ta trójka jakoś nie pasuje mi do reszty twoich przyjaciół.

– Właściwie Timo, Yasmin, Leonie i ja nie byliśmy przyjaciółmi.

– I bardzo dobrze. Twój przyjaciele, których dotąd poznałam, nie bardzo mi przypadli do gustu.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

– Po co miałabym narzekać na coś, czego i tak nie zmienię? Twój przyjaciele są po prostu nudni. Nic na to nie poradzę, ale zdarzają się przecież gorsze rzeczy. Poza tym wszyscy wyglądają jak podstarzali trenerzy tenisa. Może ta trójka okaże się bardziej zabawna. Powiesz wreszcie, skąd się znacie? Niedawno cię o to pytałam, ale mnie zbyłeś.

– Oj, zrobiliśmy razem parę głupich rzeczy.

Vev przez chwilę czekała, po czym sarkastycznie rzuciła:

– Czy jesteś w stanie opisać to jeszcze bardziej ogólnie i lakonicznie?

Philipp się uśmiechnął.

– Przepraszam, ale to jest takie... Teraz to brzmi idiotycznie, ale wtedy... Na przykład włamaliśmy się do hodowli nerek i wypuściliśmy je na wolność.

– Ty się włamałeś do... – Vev parsknęła śmiechem. – Philipp Lothringer, wybawiciel nerek i postrach żon milionerów. Niepojęte.

– Uwalnialiśmy kurczaki z klatek, wieszaliśmy na kominach fabrycznych transparenty o niszczeniu lasów, wypisywaliśmy na murach fabryk proekologiczne slogany, byliśmy na paru demonstracjach...

Philippowi stanął przed oczyma obraz pochodzący z pozornie obcego świata: proste jak strzała tory niknące w szarości poranka, mgła przesuwająca się ponad nasypem, zimno przenikające przez kurtkę i śpiew tysiąca ptaków broniących swojego terytorium. Philipp siedzi przykuty do torów i wraz z towarzyszami

śpiewa jakąś pieśń, spoglądając w kierunku, z którego zaraz ma nadjechać pociąg przewożący śmiertelnie niebezpieczne substancje. Zamiast pociągu pojawia się zajac, który po chwili znika w zaroślach spłoszony przez nadchodzący oddział. Sto pałek przeciwko ośmiu spętany rękami. Yasmin rzuca się jak szalona i wrzeszczy: „Zasrane gliny”. Załatwiła najsolidniejsze łańcuchy, jakie była w stanie znaleźć, i teraz triumfuje, bo nożyce nie dają im rady. Rozlega się syk palnika do metalu, w szarości poranka błyska niewielki błękitny płomień. Policjant ubrany w czarny strój przypominający kombinezon astronauty próbuje rozciąć stalowe kajdany Philippa. Zaledwie zaczyna, Yasmin kopie go w nogę (kwestia, czy zrobiła to celowo czy przypadkowo, będzie później przedmiotem postępowania sądowego, gdy protestujący zostaną oskarżeni o stawianie oporu przedstawicielom władz państwowych). Policjant potyka się i kieruje płomień palnika na nadgarstek Philippa.

Philipp wymacał niewielką, ledwie widoczną bliznę, a na jego twarzy pojawił się grymas, jakby ponownie poczuł palący ból. To nie ból jednak sprawił, że się skrzywił, lecz myśl, która nagle nim zawładnęła: „Zasrana Yasmin”.

– Jak długo się tak zabawialiście? – spytała Vev.

– Trochę ponad dwa lata. Byłem wtedy bliski przerwania studiów. Chciałem się całkowicie poświęcić protestom.

– Protestom? Przeciwko czemu?

– Chyba przeciwko wszystkiemu. Wtedy, w połowie lat dziewięćdziesiątych, miałem poczucie, a właściwie wszyscy je mieliśmy, że cały świat opiera się na wyzysku. Wiesz: ofensywa neoliberalistów, degradacja środowiska naturalnego, niesprawiedliwy podział dóbr, bieda i tak dalej. Miałem dwadzieścia siedem lat i chciałem coś zrobić, coś... Sam nie wiem co, cokolwiek... Coś, co uczyniłoby świat lepszym. Yasmin i Timowi chodziło o to samo. Yasmin była z nas wszystkich najbardziej zaangażowana, nie dawała nam spokoju, co rusz rzucała jakiś szalony pomysł. Ja byłem najstarszy i stanowiłem mózg naszych działań. Timo był najmłodszy, ale miał najwięcej odwagi. Jako pierwszy wskakiwał przez okno czy wdrapywał się na kominy. Prawdziwy kozak. A co do Leonie... Nigdy nie rozumiałem, dlaczego trzymała się z nami. Bez słowa uczestniczyła we wszystkich akcjach, ale... Miałem wrażenie, że nie była całkiem szczerą w tym, co robiła. Była nieco dziwna.

– Dlaczego wasze drogi się rozeszły?

– Życie. Skończyłem architekturę i zaraz potem dostałem fantastyczną pracę w Rostocku. Timo postanowił wyjechać na semestr za granicę. Nie wiem, co stało się z pozostałymi. Po prostu straciliśmy kontakt. Bez szczególnego powodu.

Zamilkli na chwilę.

– Nadal trudno mi w to uwierzyć – odezwała się w końcu Vev. – Mój mąż rewolucjonistą. To tak jakby papież był byłym członkiem gangu motocyklistów.

Słowa żony z jakiegoś powodu rozdrażniły Philippa. Przez moment spojrzął na siebie oczami Vev. Przywołał w myślach swoje lustrzane odbicie: spore zakola pożerające kasztanową czuprynę, okazały brzuch obrosnięty sadelkiem dobrobytu i wygod oraz lekko nabrzmiąłą, mieszczańską twarz, w której próżno by szukać śladów młodości. Co prawda miał teraz tyle wspólnego z tym młodym rewolucjonistą, którym przecież kiedyś był, co z młodzieńczą, niewinną miłością, która ogranicza się do przytulania, ale chciał wierzyć, że udało mu się zachować jakąś część swojego dawnego „ja”.

Zamierzał odpowiedzieć coś w stylu: „No przecież aż *tak* bardzo się nie zmieniłem” – bardziej po to, by przekonać o tym sobie samego niż Vev – jednak w tym samym momencie spojrzął na córeczkę.

– Clarissa podeszła bardzo blisko wody – powiedział z niepokojem w głosie.

– Jesteśmy na małej wyspie, więc to dość naturalne, nie sądzisz?

– Ale wciąż niebezpieczne.

– Daj spokój, cały czas mam ją na oku.

– Lepiej ją przyprowadzę. Nie lubię, kiedy się za bardzo oddala.

Chwilę później spuszczone trap i Timo, Leonie i Yasmin zeszli z pokładu.

– Cześć, jestem Vev Nachtmann, żona Philippa. Philipp jest tam, już idzie. Pilnuje, żeby nasza pięcioletnia córka nie utopiła się w dwudziestocentymetrowej toni. – Vev podała rękę Timowi i Leonie, którzy jako pierwsi zeszli z trapu. – Miło was poznać. Philipp opowiadał mi niestworzone historie i muszę się dowiedzieć, czy nie cyganił. Możemy sobie mówić po imieniu?

– Jasne – powiedział Timo. – A przy okazji: Vev brzmi bardzo ładnie. To zdrobnienie?

– Matka dała mi na chrzcie śliczne imię Genoveva. W połogu czytała bajki, resztę zrobiły leki, i tak, abrakadabra, nazywam się Genoveva. Osiągnąwszy wiek

dojrzały, czyli dziewięć lat, stwierdziłam, że to okropne imię. Vev pisze się przez dwa „v”, a wymawia się „Wef”.

– Ja uważam, że Genoveva brzmi odłotowo – wtrąciła Yasmin, która jako ostatnia zeszła z pokładu. – Wywodzi się z języków goidelskich, prawda? Starych języków celtyckich. Przypadek zrządził, że przywiozłam wam w prezencie łańcuszek z celtyckim symbolem. Chociaż nie, to z pewnością nie jest przypadek. Jesteśmy pokrewnymi duszami. Czy mogę mówić do ciebie Genoveva? Jestem Yasmin.

Vev uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń.

– Cześć, Yasmin, wolałabym Vev.

3

Restauracja przy Handjerystrasse była urządzona w stylu kambodżańskim, ale nie przytłaczała nadmiarem lokalnych ozdób. Obszerne pomieszczenie zostało udekorowane jedynie niewielką liczbą lampionów i jadeitowych figurek, lecz mimo to w środku dało się wyczuć azjatycki klimat. Stoliki pooddzielane od siebie misternie rzeźbionymi drewnianymi parawanami, plecione krzesła i fotele wykonano z pędów hiacyntów wodnych, a na podłodze rozłożono miękkie słomiane maty. Uwagę przykuwała wielka fototapeta przedstawiająca dżonkę i prom pasażerski, melancholijnie sunące po wodach Mekongu w leniwie przebijających przez mgłę promieniach popołudniowego słońca.

Po wejściu do lokalu poczułam się jak w indochińskim barze z lat trzydziestych lub czterdziestych ubiegłego wieku – choć, oczywiście, nigdy nie byłam w takim miejscu. Skojarzenie to potęgowały olbrzymi wentylator w stylu kolonialnym, który obracał się pod sufitem, łagodząc sierpniowy skwar, oraz przytłumiona francuska melodia, ledwie słyszalna w tle toczonych przez gości rozmów.

Przy stolikach, pochylone nad kartami dań, siedziały rozbawione pary berlińczyków, czwórka amerykańskich turystów z dredami na głowach, trzech ubranych w garnitury Azjatów i starszy mężczyzna z krzaczastą brodą, sączący z lubością ryżową wódkę. Była środa, późny wieczór, i był zajęty jedynie co czwarty stolik, lecz mimo to zagadnęłam kelnera.

– Nie jestem pewna, czy mam rezerwację. Na nazwisko Nan?

Kambodżanin, na oko miłośnik dobrej kuchni, lekko się uklonił i poprowadził mnie przez znajdujące się z boku drzwi do ogródka piwnego. Wszystkie cztery stoliki były w tej chwili wolne, lecz mimo to na każdym z nich migotała świeczka. Tańczące w osłonkach z kolorowego szkła płomyki rzucały skąpe światło na zielone pędy bambusa, kołyszące się przy najmniejszym podmuchu wiatru.

– Czego się pani napije?

– Poproszę wodę, niegazowaną. – Trochę bolała mnie głowa i chciałam zażyć

tabletkę. – I bardzo gorącą kawę.

Na stole postawiłam dyktafon i przygotowałam go do nagrywania. Było dwanaście po dziewiątej, ale nie miało dla mnie znaczenia, o której wrócę do domu. Wiedziałam, że tak czy inaczej nie będzie mi łatwo zasnąć. W łóżku zawsze myślałam o tym, co mnie spotkało danego dnia. I co mnie czeka nazajutrz.

– Pani Kagel?

– Pan Nan?

Mężczyzna usiadł naprzeciwko mnie. Miał około czterdziestki, więc był moim rówieśnikiem, i na pierwszy rzut oka nie wyglądał na Azjatę. W każdym razie po kimś pochodzącym z Kambodży spodziewałam się zdecydowanie bardziej dalekowschodnich rysów. Mierzył prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, miał nieznacznie ciemniejszą karnację – taką, jaką spotyka się u Włochów czy Hiszpanów – a kształt jego oczu niemal nie odbiegał od kształtu oczu Europejczyka. Mimo to w jego twarzy było jednak coś egzotycznego, co pozwalało się z pewnym trudem domyślić, że ma azjatyckie korzenie. Był ubrany w dżinsy, białą koszulę i luźną czarną marynarkę. Bujne, nieco przygładzone pomadą czarne włosy zaczesał do tyłu. Wbrew temu, co wyobraziłam sobie, słysząc jego głos w słuchawce, w niczym nie przypominał azjatyckiego nauczyciela sztuk walki czy buddyjskiego opata. Prędzej mógł się kojarzyć z egzotycznym kochankiem.

– Piękna restauracja – powiedziałam. – Czuć w niej atmosferę indochińskiego lokalu.

Zawsze byłam zdania, że trudny wywiad warto poprzedzić grzecznościową wymianą zdań. Mieliśmy przed sobą rozmowę o życiu i śmierci, o brutalnej przemocy, o roli przypadku i przeznaczeniu, o koszmarze, który nagle przerwał monotonię spokojnego życia.

Yim najwyraźniej zrozumiał moje intencje i podjął temat.

– W Berlinie są trzy kambodżańskie restauracje, ale najbardziej lubię tę. Chętnie pani pomogę w wyborze potrawy.

– Dziękuję, ale jestem już po kolacji. – Było to kłamstwo, bo przełknęłam jedynie kawałek czerstwej bułki, ale od miesiący niewiele jadłam. Za dużo stresu, kłopoty finansowe...

Kelner postawił na stole dwa duże kieliszki z napojem w kolorze brzoskwiniowym.

– To chyba pomyłka – powiedziałam. – Zamawiałam kawę.

– Pozwoliłem sobie zamówić dla nas koktajle – powiedział Yim. – Mekong Sunset. Proszę spróbować.

– Przyjechałam samochodem.

– Tylko mały łyżeczek. Proszę się skusić.

Odmowa mogłaby zirytować mojego rozmówcę, więc z konieczności pociągnęłam odrobinę z kieliszka.

Koktajl był bardzo orzeźwiający – ani zbyt słodki, ani zbyt mocny. Idealne remedium na sierpniowy berliński skwar.

– Bardzo smaczny – powiedziałam i natychmiast skorzystałam z okazji, by przejść do właściwego tematu. – Trudno rozmawiać o nocnej rzezi na Hiddensee, siedząc w pięknym ogródku pośród kolorowych lampionów i sącząc egzotyczny koktajl.

Yim spuścił wzrok. Do tej chwili zachowywał się jak osoba potrafiąca cieszyć się życiem, lecz teraz jego głos się zmienił.

– Czy mógłbym prosić panią o nieużywanie tego sformułowania?

– Przepraszam, to rzeczywiście okropne wyrażenie. Jestem panu bardzo wdzięczna, że zechciał mi pan opowiedzieć o... tym, co się stało. Czy mogę włączyć dyktafon?

Yim ze smutkiem skinął głową. Niemalże czułam, jak serce wali mu w piersi.

Yim Nan mógł liczyć na moją empatię. Podczas rozmów z bliskimi ofiar zawsze miałam przed oczyma moją matkę. Siedziała w promieniach słońca na czarnej skórzanej kanapie obok drzwi wychodzących na taras. Miała na sobie sportowy podkoszulek w kolorze brzoskwini i białe legginsy, typowy zestaw w stylu Jane Fondy z lat osiemdziesiątych, i była oblana potem tak, jakby właśnie wyszła z aerobiku. Nic nie mówiła i nie płakała – jedynie kuliała się na kanapie z dłońmi pomiędzy udami. I tak przez cztery doby, po dwadzieścia godzin dziennie – dopóki nie odnaleziono ciała mojego brata.

Zabójstwo Benny'ego nie miało nic wspólnego ze zbrodnią popełnioną na Hiddensee. Te dwie sprawy w niczym nie były do siebie podobne. W przypadku rzezi na Hiddensee na wiele pytań nie znaleziono odpowiedzi, nie odbył się proces w sądzie, a śledztwo nigdy nie zostało zamknięte, podczas gdy śmierć Benny'ego została wyjaśniona, a sprawca osądzony. Dla mnie jednak, osoby bliskiej ofierze, ta

sprawa nigdy nie została zamknięta. Trudno zapomnieć o takiej tragedii.

Otrząsnęłam się z zamyślenia i na nowo skoncentrowałam na moim rozmówcy.

– Dobrze. Może na początek opowie mi pan coś o swojej rodzinie? Kiedy pańscy rodzice przyjechali do Niemiec? Pan urodził się w Niemczech?

– Nie, urodziłem się jeszcze w Kambodży, a konkretnie w Kompong Cham nad Mekongiem. Ale nie mam prawie żadnych wspomnień z okresu przed wyjazdem, pamiętam jedynie kilka rozmazanych obrazów: pola ryżowe, dżunglę, małpy. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Moi rodzice uciekli trzy lata później, najpierw do Wietnamu, a potem do NRD. W tym czasie władzę w Kambodży przejęli Czerwoni Khmerzy. Pol Pot i tak dalej.

– Straszne. Dlaczego pańscy rodzice nie wrócili do ojczyzny po upadku reżimu Czerwonych Khmerów?

– Sytuacja w Kambodży polepszała się bardzo powoli. Gospodarka była zrujnowana, terroryzowana dotąd ludność nie potrafiła wrócić do normalności. Zwolennicy Pol Pota wycofali się, ale nadal jeszcze pociągali za sznurki, więc społeczeństwo nie miało jak się rozliczyć z przeszłością. Myślę, że rodzice na początku nie wierzyli, że pokój przetrwa, a z biegiem czasu, kiedy się przekonali, było za późno, ponieważ zaczęli już nowe życie tutaj. Ojciec pracował jako ogrodnik, zajmował się pielęgnacją kwiatów.

Uświadomiłam sobie, że człowiek kochający ogrody i kwiaty i mężczyzna, którego ciężki oddech słyszałam tego popołudnia podczas rozmowy telefonicznej, to jedna i ta sama osoba. Trudno było te dwie rzeczy ze sobą pogodzić.

Postanowiłam nie opowiadać Yimowi o tym, co przeżyłam, próbując skontaktować się z jego ojcem.

– Chciałabym, żeby czytelnicy mogli wyobrazić sobie, jaką osobą była pańska matka, jak żyła.

– Uwielbiała gotować. Najbardziej lubiła przyrządzać ryby. Często chodziła na długie spacery po wyspie. Kochała morze, mogłaby na nie patrzeć bez końca. Czasami pisała wiersze.

– Ciekawe. Zna pan jakiś jej wiersz?

– Nie, nigdy mi... to znaczy nam... nie czytała swoich utworów. Jako dziecko kilka razy przyłapałem ją na tym, jak zapisywała je w notesie z białą okładką.

– Gdzie ten notes znajduje się teraz?

– Zapewne w naszym domu na Hiddensee. O ile moja matka go nie zniszczyła. Albo mój ojciec...

– Dlaczego miałyby to zrobić?

Yim zorientował się, że powiedział coś, czego nie powinien był mówić.

– Nie wiem. Tak mi przyszło do głowy. Jeśli pani chce, mogę go poszukać. W przyszłym tygodniu jadę na Hiddensee odwiedzić ojca.

– To by mi bardzo pomogło, dziękuję.

Milczałam przez kilka sekund, a następnie przeszłam do najbardziej drażliwej części rozmowy.

– Dlaczego pańska matka zgodziła się pracować u sąsiadów jako gosposia? Kobiecie w jej wieku musiało być ciężko zajmować się ich domem, małym dzieckiem i dodatkowo gotować. Bo gotowała, prawda?

– Jedynie od czasu od czasu. Właściwie tylko wtedy, gdy pojawiali się u nich goście.

– Mimo wszystko to dużo pracy.

– Myślę, że bardzo nużyło ją siedzenie w domu. Czuła się jak w więzieniu.

– Czy potrzebowała pieniędzy?

Yim ponownie się zawahał. Tylko na chwilę, lecz zdołałam to zauważyć.

– Nie, nie sądzę.

– Jaki był jej stosunek do pracodawców?

– Bardzo kochała Clarissę, ich córkę. Zawsze zносиła jej smakołyki, na przykład specjalnie dla niej piekła słodkie ciasteczka ryżowe. W obecności Clarissy zawsze była uśmiechnięta.

–Tylko wtedy?

– W stosunku do innych, nie licząc mnie i mojego ojca, była grzeczna, ale zdystansowana. Rzadko się odzywała. Nie wyrażała głośno zdania na żaden temat. Nie wiem, co sądziła o Vev Nachtmann czy Phillipie Lothringerze.

– A co pan o nich sądził? I o gościach, którzy przyjechali do nich na ten tragiczny weekend?

– Nie należy mówić źle o zmarłych.

– Nie wszyscy zginęli. Ale oczywiście rozumiem, że nie chce pan mówić o osobach trzecich. Chciałabym jednak spytać, czy pańska matka zetknęła się bliżej z Leonie Korn. Czy doszło między nimi do jakiejś wymiany zdań, rozmowy?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A czy wie pan może, czy pańska matka miała jakiś bliższy kontakt z Yasmin Germinal lub Timem Stadtmüllerem?

Widać było, że Yim czuje się niekomfortowo. Po kilku sekundach milczenia postanowił zmienić ton.

– Popełniłem błąd, spotykając się z panią.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić, do czego zmierzam. Próbuję opisać w moim artykule nie tylko same zdarzenia, ale również ich genezę. Muszę zatem z jednej strony odtworzyć to, co wydarzyło się w ten weekend, a z drugiej spróbować jak najlepiej zrozumieć konstrukcję psychiczną zaangażowanych w tę tragedię osób.

Yim potrząsnął głową.

– Ktoś wpadł w amok i spowodował śmierć trojga ludzi. To straszne i nie ma na świecie osoby, która ubolewałaby nad tym bardziej niż ja. Ale takie rzeczy zdarzają się nieustannie. W szkołach, w rodzinach, w domach starców, w pracy, wszędzie.

– To prawda, ale mimo wszystko każdy przypadek jest inny.

– Mami pani swoich czytelników, obiecując, że im wyjaśni, jak dochodzi do takich zbrodni, a tak naprawdę nie jest pani w stanie niczego wyjaśnić. Nigdy nie zdoła pani zrozumieć tego, co się zdarzyło, i dobrze pani o tym wie. Wcale też nie ma pani zamiaru niczego wyjaśniać. W rzeczywistości ta gadka o wyjaśnieniu i współczuciu ma na celu ukrycie pani prawdziwych zamiarów. Już widzę pierwsze słowa artykułu: „Pani Nan uciekła przed siepaczami Pol Pota, by trzydzieści pięć lat później paść ofiarą okrutnej zbrodni popełnionej na wyspie Hiddensee”. Wie pani co? Proszę w rocznicę zapalić świeczkę i postawić przy niej kartonik z napisem „Dlaczego?”. W ten sposób szczerzej wyrazi pani współczucie niż tymi swoimi pseudopsychologicznymi wycieczkami.

Nagła zmiana, która zaszła w moim rozmówcy, była dla mnie niczym kubeł zimnej wody. Nagle poczułam, że kompletnie nie mam ochoty pisać tego artykułu, i pożałowałam chwili, w której przyjąłam to zlecenie. Było to o tyle dziwne, że zwykle przeszkody stanowiły dla mnie dodatkową motywację, a tego wieczora reakcja Yima Nana zadziałała na mnie odstrasżająco. Tak, istotnie poczułam strach, nie wiedziałam jednak dlaczego. Byłam jak koń, który latami przeskakuje bez wahania nad przeszkodami, a nagle wyłamuje się na widok oksera.

Pakując swoje rzeczy, unikałam spojrzenia Yima, ale kątem oka widziałam, że

opuścił zrezygnowany ręce. Czułam, że żałuje swojego wybuchu, i chętnie umożliwiłabym mu wyjście z tej sytuacji z twarzą. Przeważało jednak we mnie inne uczucie: ulga, że mam dobry pretekst, by przerwać tę rozmowę. Z jednej strony ulga ta wiązała się z samym charakterem tej „sprawy”, która od początku budziła mój opór, ponieważ nie należała do sfery, w której zwykle się obracałam, z drugiej zaś – z sympatią, którą odczuwałam do Yima. Sympatią, która bardziej napawała mnie niepokojem, niż cieszyła.

Podniosłam się spokojnie.

– Przykro mi, panie Nan, nie będę się panu więcej narzucać.

Weszłam do pustej już restauracji i położyłam na barze dziesięcioeurowy banknot.

– Była pani gościem pana Nana – powiedział kelner.

– Nie chcę, by pan Nan za mnie płacił.

– Pan Nan nie będzie za panią płacił. On jest właścicielem tej restauracji.

Siedziałam za kierownicą mojego austina, rocznik '88, którego nazywałam Ciotką Agathe, a w mojej głowie kołatały się różne myśli. Ciotka Agathe była kochaną, pokrytą rdzawymi plamami staruszką, która więcej chciała, niż mogła, traciła lakier i przy najmniejszym wysiłku wydawała z siebie przerażające jęki, jednak cudem przechodziła przeglądy techniczne, przedłużając w ten sposób swój żywot. Ale ponieważ słabości mojego samochodu, podobnie jak berlińskie ulice, nie miały dla mnie żadnych tajemnic, w drodze do domu mogłam się zatopić w rozmyślaniach o pani Nan i nocnej rzezi.

Tysiące berlińskich świateł przesuwały się za oknem mojego samochodu, lecz ja wyobraziłam sobie tamtą wrześnie burzową noc na Hiddensee. Na niebie nie widać gwiazd ani księżyca, drzewa się uginają, fale z hukiem rozbijają o brzeg, wiatr uderza w twarz niczym twarda poduszka.

Drobna, ubrana na czarno kobieta w całkowitej ciemności stawia niepewne kroki. Dwa w przód, jeden w tył. Znam jej twarz, ponieważ w brukowcu, który opublikował kilkustronicowy materiał o nocnej rzezi, przedrukowano również zdjęcie Nian Nan. Kobieta bardzo się boi, choć sama nie wie, z czego ten strach wynika. Niczego jeszcze nie przeczuwa. Naprzeciw niej wyłania się z ciemności widmowa postać. Pani Nan widzi pistolet, obraca się. Czuje zbliżającą się śmierć. Włącza się instynkt przeżycia, pierwotna siła poruszająca wszystkich jej przodków,

od początków dziejów. Strach pcha ją naprzód, na przekór ulewie i wiatrowi. Adrenalina buzuje w jej żyłach, mózg przełącza się w tryb przeżycia. Liczy się tylko następna sekunda, następny krok. Potem drugi, trzeci. Przyspiesza. Przez chwilę wydaje się jej, że zdoła się uratować. Biegnie, nie oglądając się za siebie, przepelniona odwieczną – i odwiecznie płonną – nadzieją, że człowiek jest szybszy od śmierci, że nad jego losem czuwa sam Bóg.

Ta scena walki o życie towarzyszyła mi również we śnie. W niespokojnych majakach widziałam, jak ubrana na czarno kobieta potyka się, uciekając przed swoim mordercą.

Sapie. W oddali widzi już ciepłe światło, biegnie w jego kierunku. Wie, że to Dom Mgieł. Próbuje oszacować odległość. Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze piętnaście, dziesięć, siedem, trzy, dwa... Czuje, że udało jej się ująć z życiem, że Bóg podarował jej jeszcze kilka lat na tym padole. Chwyta kłamkę, obraca się – i wie już, że się myliła. Lecz wtedy następuje coś bardzo dziwnego. Strach ją opuszcza i jego miejsce zajmuje stoicki spokój. Już po wszystkim. W ostatnich sekundach życia Nian Nan nie myśli już o niczym, wypełnia ją ta sama pustka, co w pierwszych sekundach po narodzinach.

Obudziłam się w środku nocy. Czerwone cyfry widoczne na wyświetlaczu zegarka informowały, że jest dziewięć minut po czwartej. Początkowo się przestraszyłam, bo wyglądały jak para oczu. Dopiero potem przypomniałam sobie sen o zabitej kobiecie. Sen, który sprawił, że serce biło mi jak oszalałe, tak jakby to mnie ścigał zabójca. Po chwili zapadłam w niespokojny półsen, w którym bez ładu splatały się słowa i zdarzenia minionego wieczora: „pseudopsychologiczne wycpiny”, Pol Pot, wiersze w białym notesie, kwiaty pana Nana, pistolet, Mekong Sunset, trzy ofiary śmiertelne, burza, Dom Mgieł, „Nie należy mówić źle o zmarłych”, światła, słodkie ciasteczka ryżowe, uśmiech, ciężki oddech, śpiączka, szwadrony śmierci, strzał, dzwonek telefonu...

Zbudziłam się ponownie – tym razem dlatego, że telefon na moim biurku zadzwonił naprawdę. Była czwarta czterdzieści jeden.

– Halo?

– Bardzo mi przykro. – Rozległ się w słuchawce głos Yima. – Wiem, że jest bardzo późno, albo bardzo wcześnie, jak kto woli, ale czuję, że muszę panią przeprosić, i że to nie może czekać. Zachowałem się w stosunku do pani bardzo

niesprawiedliwie, bo, o ile jestem w stanie to ocenić, pisze pani poważne artykuły, a teraz pojąłem również, że nie chce pani jedynie odtworzyć chronologii zdarzeń, ale także zrozumieć, jak doszło do tej tragedii.

– Niesamowite! Jest czwarta czterdzieści dwie, a pan jest w stanie wykrzesać z siebie takie piętrowo złożone zdania?

– Czy to oznacza, że mi pani wybaczają?

Uśmiechnęłam się.

– Jako dziennikarce łatwiej mi wybaczyć skomplikowane zdania.

– Pytam poważnie. Wybacz mi pani?

Nie musiałam się długo zastanawiać.

– Oczywiście. To, co się stało na wyspie, bardzo pana dotknęło. Poczuł pan to na własnej skórze.

– To chyba przesada.

– Bynajmniej. Słyszał pan strzały, znalazł zabitych, pańską matkę...

– No dobrze, ma pani rację. Zapewne można powiedzieć, że poczułem to na własnej skórze.

– Nic dziwnego, że nadal jest pan wstrząśnięty. To miłe, że w ogóle zdobył się pan na odwagę i zgodził się ze mną spotkać i porozmawiać.

– Chętnie zdobędę się na tę odwagę raz jeszcze.

– No nie wiem...

– Co pani powie na mniej formalną rozmowę? Bez dyktafonu, za to nad Mekong Sunset, w mojej restauracji. Jak rozumiem, wie pani już, że jestem właścicielem Sok sebai te.

– Tak, niezły z pana dowcipniś, że ukrył pan przede mną ten fakt. Czy Sok sebai te znaczy może „dowcipniś”?

Roześmiał się.

– Po khmersku to znaczy mniej więcej „Jak leci?”. Tak się witamy. Czy pasowałby pani jutrzejszy wieczór?

– Właściwie nie mam czasu.

– Pojutrze?

– Raczej nie.

Skąd ten opór? Stąd, że moje weekendy bardzo przypominały dni robocze. W weekendy miałam trochę więcej wolnego czasu, ponieważ urzędy pustoszały,

a w redakcjach pracowały jedynie osoby pełniące dyżur, ale wykorzystywałam tę odrobinę swobody na załatwianie korespondencji, regulowanie rachunków, nieliczne prywatne telefony, a od czasu do czasu kilkugodzinne wypadki do pizzerii z przyjaciółkami.

To ostatnie zresztą zdarzało się coraz rzadziej. Wszystkie moje przyjaciółki miały około czterdziestu lat i wymagające opieki i absorbujące całą ich uwagę dzieci w wieku od roku do trzech lat. Tematy naszych rozmów oscyływały więc wokół karmienia, chorób dziecięcych, dziecięcych psychologów, dziecięcej odzieży, literatury dla dzieci, mebelków do dziecięcych pokoi, przedszkoli, hoteli dla gości z dziećmi oraz, rzecz jasna, wokół samych dzieci, ich pierwszych słów i innych wyjątkowych dokonań. Rozumiałam to doskonale, bo sama przecież dwadzieścia dwa lata wcześniej byłam świeżo upieczoną matką, niemniej czułam, że nie pasuję do tego klubu zatroskanych rodziców.

Podczas gdy moje przyjaciółki rodziły potomstwo, a obowiązki macierzyńskie stawały się treścią ich dni, moje dziecko wyprowadziło się do innego miasta i rozpoczęło życie na własny rachunek, w którym ja z roku na rok odgrywałam coraz mniejszą rolę. Przeszło mi nawet przez myśl, czy nie postarać się o kolejną latorośl, ale ostatecznie zrezygnowałam. Z dwóch powodów: po pierwsze brakowało mi niezbędnego do realizacji tego planu mężczyzny, a po drugie uznałam, że tego rodzaju pokusy to typowy przejaw kryzysu wieku średniego. Koniec końców pogodziłam się z faktem, że spełniłam już najważniejszą w życiu powinność i mam za sobą etap bycia apodyktyczną i nadopiekuńczą matką. Coraz częściej też przedkładałam wieczór w towarzystwie zaludniających moje biurko morderców nad – tylko w założeniu – wesoły wypad z koleżankami na miasto. Gdy byłam zbyt zmęczona, by pracować, włączałam telewizor i specjalnie wybierałam jakiś głupawy, niewymagający intelektualnego wysiłku program. Na szczęście wybór był ogromny, a na niektórych nadawców można było się zdać w tej materii w stu procentach.

Krótko mówiąc: jeśli chodzi o moje życie, to właśnie miałam zamiar wywiesić tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

– Chyba jestem już umówiona – powiedziałam i omiatając spojrzeniem stosy teczek i papierów na moim biurku, po raz kolejny uświadomiłam sobie, że nie cierpię tej pracy, a jednocześnie jest ona dla mnie niczym narkotyk.

– Proszę. Przecież znajdzie pani chwilkę na moje zadośćuczynienie. – Yim nie dawał za wygraną.

– Nie potrzebuję zadośćuczynienia.

– Ale ja potrzebuję.

Upór mojego rozmówcy odebrałam jako pochlebstwo, toteż po paru sekundach odpowiedziałam:

– No dobrze... Ale to będzie po prostu pogawędka, tak? Zatem w poniedziałek, też o dziewiątej?

Ponieważ od poniedziałku dzieliło mnie kilka dni, nieco się uspokoiłam. W ten sposób jeszcze przez chwilę mogłam sobie wmawiać, że spotkanie z Yimem to pieśń przyszłości.

– Zgoda. O dziewiątej. I proszę tym razem nic wcześniej nie jeść.

Odłożywszy słuchawkę, poczułam na sobie złość, że ustąpiłam. Głównie dlatego, że nie widziałam w tym spotkaniu żadnego sensu, ale również dlatego, że oznaczało ono dalsze angażowanie się w sprawę Hiddensee, a ja właśnie zaczęłam rozważać rezygnację z tego zlecenia. Nawet przygotowałam już sobie parę wymówek, które chciałam zaserwować naczelnemu – w takich wypadkach zawsze sprawdzały się choroby, ewentualnie śmierć kogoś bliskiego. Wszystkie możliwe wymówki przeanalizowałam zaraz po scenie w restauracji, teraz jednak zaczynałam zdawać sobie sprawę z tego, że nie uwolnię się od Hiddensee. Śniłam na jawie, moje myśli były całkowicie zawładnięte przez tę zbrodnię, a na dodatek umówiłam się na randkę z synem pani Nan.

Położyłam się do łóżka, ale nie zaznałam spokoju, bo szybko dopadły mnie rozmaite pytania. Nie dały za wygraną nawet wtedy, gdy w końcu zmorzył mnie sen. Jedno z nich było szczególnie nachalne. Przestraszona obudziłam się, podeszłam do biurka i dwukrotnie przejrzałam papiery dotyczące nocnej rzezi, ale nie znalazłam na nie odpowiedzi.

Pytanie to brzmiało: „Dlaczego w chwili gdy dokonywano zbrodni, to jest o pierwszej w nocy, pani Nan przebywała w Domu Mgieł?”.

4

Wrzesień 2010 r.

Dom Philippa i Vev położony był w niecce pomiędzy dwoma niewielkimi pagórkami. Z domu, niezależnie od tego, w której jego części się przebywało, było widać prawie wyłącznie piasek i niebo. Najbliżsi sąsiedzi, państwo Nan, mieszkali dwieście metrów dalej, za niewielkim brzozowym zagajnikiem. Ponieważ w tym miejscu często o świcie gromadziła się mgła, na jakiś czas zasnuwając najbliższą okolicę, mieszkańcy wyspy nazywali nowoczesny, odstający od wyspiarskiej architektury budynek Domem Mgieł. Przez parę porannych godzin wykonana ze szkła budowla jedynie majaczyła we mgle, która dopiero przed południem odsłaniała wyraźne kontury budynku. Jesienią i zimą dom znikał czasami na całe dni i jedynie przy bezchmurnej pogodzie, gdy wiatr przepędzał mgły, błyszczał w słońcu niczym klejnot. Z każdej strony dobiegał szum morza – Hiddensee miała w tym miejscu jedynie czterysta metrów szerokości – ale z parteru nie było widać wody. Za to widok z pierwszego piętra zapierał dech w piersiach, a z przeszklonej sypialni Philippa i Vev był on po prostu spektakularny: morze po lewej i prawej stronie, prawie na wyciągnięcie ręki, jak na mostku olbrzymiego parowca.

Pokoje urządzone były nowocześnie, w stylu domku letniskowego. Na podłogach drewniane deski, na pastelowych ścianach kopie akwarelowych obrazów, sosnowe meble, wielkie dywany w kwiatowe wzory, beżowe żaluzje, rośliny w olbrzymich donicach, designerska kanapa, nowoczesny sprzęt elektroniczny. Do tego kominek, weranda i oranżeria. Całość wyglądała, jakby ją żywcem wyjęto z katalogu wnętrzarskiego. Brakowało tylko ogrodu, zamiast którego rozciągał się wokół domu zaniedbany trawnik, tu i ówdzie pokryty połączeniami piasku i krzaczkami dzikiej róży, której ostatnie kwiaty właśnie przekwitały.

– A cóż to za szklany kolos! – wykrzyknął Timo.

Philipp, z dłońmi wetkniętymi w tylne kieszenie spodni, oprowadzał gości po

domu, obojętnie przyjmując wszelkie pochwały i wyrazy zachwytu. Jak na gust Tima – cokolwiek zbyt obojętnie. Fakt, że Philipp nawet określenie „szklany kolos” uznał za komplement, utwierdził Tima w przekonaniu, że gospodarz ma wręcz bałwochwalczy stosunek do swego projektu.

– Tak, lubię pracować w szkłe – powiedział Philipp, a po chwili dodał: – Żeby pokazać, na co mnie stać, potrzebuję dużo szkła i dużo przestrzeni.

– W tym domu zmieściłoby się dziesięć moich mieszkań – oszacowała Yasmin, na co Philipp zareagował pobłażliwym uśmiechem, po czym obrócił się, by kontynuować oprowadzanie.

– Dlaczego właśnie Hiddensee? – zapytał Timo.

– A dlaczego nie?

– Choćby dlatego, że leży daleko od wielkiego świata. Nie zrozum mnie źle, na kilka tygodni czy miesięcy to jest cudowne miejsce, ale na dłuższą metę nie mógłbym tu mieszkać. Czułbym się jak pustelnik. Potrzebuję dużego miasta.

– Cóż, mamy tu regularnie gości. Z tego powodu w domu są trzy pokoje gościnne, tak że każde z was będzie miało u nas swoje królestwo. Poza tym w mieście też można być bardzo samotnym.

– Zgadza się. Ale, choć może zabrzmie to dziwnie, wolałbym być samotny w Berlinie, z jego spalinami, aroganckimi ekspedientkami, niepunktualną komunikacją, chamskimi rowerzystami, zjadliwymi krytykami teatralnymi i psimi kupami.

– Masz rację, to naprawdę brzmi dziwnie – odparł Philipp, po czym kontynuował oprowadzanie do momentu, kiedy Leonie wytknęła mu, że do jego domu można o każdej porze dnia i nocy zajrzeć z dosłownie każdej strony. Po tych słowach zakończył wycieczkę i cała piątka – gospodarze i trójka gości – zasiadła przed domem przy okrągłym stole.

Słone powietrze na werandzie wypełniło się aromatem kawy i ciasta. Wiał mocny wiatr, ale było na tyle ciepło, że wystarczyło okryć się lekką kamizelką czy kurtką. Rozmowa się nie kleiła. Starzy znajomi potrzebowali czasu, by po tylu latach przełamać pierwsze lody. Nawet Timo, któremu ciążyło milczenie, czasami nie wiedział, co powiedzieć.

Atmosfera byłaby naprawdę gęsta, gdyby nie Vev, która starała się zagaic rozmowę, podrzucając rozmaite tematy. Mówiła na przykład: „Philipp twierdzi, że

razem wspinaliście się na kominy”, czym skłaniała pozostałych do wspomnień i ożywionej dyskusji, a sama przez kolejne dziesięć minut przyglądała się Clarissie, która kilka metrów dalej klęczała na piasku przy dzieciennym stoliku i z zapamiętaniem rysowała coś kredkami. Od czasu do czasu nadlatywały mewy i matka z córką rzucały im kawałki chleba tostowego, które pazerne ptaki łapały w locie.

Clarissa była śliczna jak z obrazka i aż miło było na nią patrzeć. Miała blond loczki, które już zaczynały ciemnieć, i zaraźliwy śmiech, a przerwy między małymi ząbkami jedynie dodawały jej uroku. Jak na swój wiek mówiła zaskakująco wyraźnie i wysławiała się jasno, a do tego zadawała szalenie dociekliwe pytania, wywołując ogólną wesołość: najpierw spytała, gdzie Yasmin kupiła takie włosy, potem chciała wiedzieć, czy Timo zna tego Tima, który chodzi z nią do przedszkola, a na koniec zdziwiła się, dlaczego torba Leonie jest taka duża.

– Ma pani w niej psa? – zapytała.

Timo wziął dziewczynkę na kolana, a Yasmin podarowała jej kolorową tybetańską bransoletkę przyjaźni. Mała była zachwycona. Jedynie Leonie, przedszkolanka, zdawała się trzymać Clarissę na dystans.

Vev wolała pozostawać na uboczu, co zresztą było zupełnie normalne, zważywszy na fakt, iż pozostali spotkali się ponownie po wielu latach. W centrum zainteresowania gości byli Philipp, Clarissa i dom, na nią zaś zwracali uwagę o tyle, o ile wymagała tego grzeczność.

– Czy ktoś jeszcze chciałby ciasta? – zapytała.

Wszyscy zaprzeczyli.

– A ty, Timo? Wyglądasz mi na kogoś, kto byłby w stanie jeszcze co nieco zmieścić.

– Nie, dziękuję. Sernik był świetny, ale wystarczy mi jeden kawałek.

– Czyżbyś nie miał żadnych słabości?

– Niestety mam – uśmiechnął się Timo. – Piję wino do upadłego i piszę.

Timo wolał nie kontynuować wątku nałogów, zwłaszcza że na tym polu nie miał się czym pochwalić, jednak Vev najwyraźniej spodobała się ta odpowiedź, bo klasnęła w dłonie i rzekła:

– Dobrze. Zatem czerwone wino.

– Jest siedemnasta – zaoponował Philipp.

– A ty co? Zegar z kościelnej wieży czy radiobudzik?

Vev przeszła do salonu i przyniosła z barku czerwone wino dla Tima, szklanek whisky dla siebie, a dla pozostałych szampana, po czym wzniosła toast za ponowne spotkanie.

Od tamtego momentu Vev zaczęła się baczniej przyglądać Timowi, a on jej, choć starali się przy tym wzajemnie unikać swych spojrzeń. Gdy Vev przyglądała się Timowi, ten obracał się ku pozostałym, a kiedy on zerknął na Vev, ta wcielała się w rolę dobrej gospodyni i z zapamiętaniem krzątała się wokół stołu.

Timo szybko zauważył, że Vev rzadko się śmieje, choć w żadnym przypadku nie oznaczało to, że sprawiała wrażenie spiętej. Miała specyficzne poczucie humoru – pełne ironii i jakby zdystansowane, bo nigdy nie śmiała się z tego, co sama powiedziała. Była szczupła i wysoka, miała czarne włosy i czarne oczy i mogła być od niego o jakieś dziesięć lat starsza. Patrząc na jej rozluźnioną, spokojną twarz, Timo odnosił wrażenie, że ma do czynienia z kobietą, która nigdy nie daje po sobie niczego poznać, nawet gdy coś ją zaskoczy, a w jej pięknych oczach dostrzegał błysk inteligencji, tak jakby była w stanie zauważyć rzeczy dla innych niewidoczne.

Kiedy wreszcie po niecałej godzinie udało mu się pochwycić jej spojrzenie, uśmiechnął się – najpierw przez grzeczność, a potem z zakłopotania, bo wyraz jej twarzy nie uległ zmianie.

Ta ciuciubabka została przerwana tylko dwukrotnie: najpierw w związku z pojawieniem się kotów, a potem, gdy do stołu podeszła Clarissa. Koty wabiły się Morrison, Piaf i Nena. Morrison był duży i szalenie wyluzowany, Piaf bez przerwy miauczała, a Nena trzymała się jakby na uboczu. Leonie chciała pogłaskać Morrisona, ten jednak wołał pieszczoty Yasmin. Po chwili również Piaf i Nena zaczęły się prężyć wokół samozwańczej zaklinaczki kotów.

Clarissa narysowała trzy obrazki, przedstawiające osobno Yasmin, Leonie i Tima. Były to typowe dla dzieci w tym wieku kolorowe bazgroły, które zawsze wzruszały obradowanych, nawet jeśli za żadne skarby nie chcieliby ich powiesić na ścianie – o ile, ma się rozumieć, nie byli rodzicami czy dziadkami małego artysty. Vev na kilka minut skupiła się całkowicie na Clarissie, ucałowała ją, a potem w krok za córeczką podeszła do każdego z gości, chwając wręczane im rysunki.

Tym razem również Leonie, obdarowana przez dziewczynkę rysunkiem, skupiła

na niej całą swoją uwagę. Przedtem ledwie raczyła spojrzeć na Clarissę, teraz jednak zachwycała się jej loczkami, zielonymi oczami, pięknym głosem, słodką sukieneczką... Uszczęśliwiona tą niezwykłą atencją dziewczynka obiecała narysować dla Leonie coś jeszcze. Najwyraźniej tego dnia zrodziła się przynajmniej jedna nowa przyjaźń.

– Jesteś urodzonym pedagogiem, Leonie – powiedziała Vev. – Masz dzieci?

– Jestem przedszkolanką. Mój przyjaciel nie chce mieć dzieci.

Leonie nagle gwałtownie sięgnęła po swoją olbrzymią torbę i przez chwilę w niej szperała. W środku coś zabręczało i zastukało. Ręce Leonie wyraźnie drżały, gdy w końcu wyciągnęła z torby tabletkę.

– Po każdym posiłku muszę zażywać środek przeciwko malarii, bo w przyszłym roku wybieram się do Afryki.

Timo był zajęty innymi sprawami, lecz mimo to zauważył, że Leonie zachowuje się nieco dziwnie. Dlaczego nie opowiedziała niczego więcej o swojej pracy? Dlaczego na pytanie o dzieci natychmiast rzuciła się po tabletkę? Zachowywała się jak narkomanka na głodzie. Choć z drugiej strony... może jej zachowanie nie oznaczało nic szczególnego?

– Czyli Leonie jest przedszkolanką – powiedziała Vev. – A ty, Yasmin?

– Ja? Cóż, zajmuję się różnymi rzeczami. Przed południem jestem w sklepie ezoterycznym, a popołudnia spędzam z przyjaciółmi. Maluję i gram na grzechotce.

– Na grzechotce, no, no.

– Proszę, to łańcuszek, o którym ci mówiłam. To celtycki symbol płodności. Wystarczy na jeszcze dwie takie Clarissy – powiedziała Yasmin, wzbudzając przy stole salwę śmiechu.

– A ty, Timo? – spytał Philipp.

– Timo jest pisarzem – pospieszyła z odpowiedzią Leonie, która jako jedyna nie zaśmiała się ze słów Yasmin. – Napisał już trzy książki.

– Dwie – poprawił ją Timo.

– Dwie – powtórzyła Leonie. – Właśnie pracuje nad trzecią, znowu będzie to połączenie thrillera z dramatem rodzinnym. Opowiedz, skąd czerpiesz pomysły. Wspominał o tym nam, czyli Yasmin i mnie, na promie.

Leonie wprowadziła Tima w małe zakłopotanie, bo nie lubił wygłaszać wykładów, a już na pewno nie miał ochoty powtarzać dwa razy tego samego w ciągu jednego

dnia. Lubił jednak opowiadać o swoich książkach – cóż byłby z niego za pisarz, gdyby tego nie lubił. Miałby milczeć na temat swoich dzieł? Wstydzić się ich? Opowiadał o nich tak, jak inni opowiadają o swoich dzieciach czy o swoim szefie.

– Są takie chwile, że okno znajduje się dokładnie pomiędzy nami a słońcem i przez moment pada na nas słoneczny blask. Na pewno wiecie, o co mi chodzi. Tak samo jest z pomysłami. Każdy pomysł to wypadkowa naszych wewnętrznych poruszeń i działania czynnika zewnętrznego, powiedziałbym wręcz: nadprzyrodzonego. Im bardziej ruchliwy jest nasz umysł, tym większe prawdopodobieństwo natknięcia się na dobry pomysł.

– Bardzo ciekawe – powiedziała Vev, sącząc whisky. – Możesz to jakoś zilustrować?

– Niedawno przytrafiło mi się coś takiego w samolocie. Daleko w dole zauważyłem, że słońce odbija się od okien domów i samochodów, i pomyślałem sobie, że za każdą z tych szyb rozgrywają się czyjeś losy. Że to może być okno, za którym jakaś kobieta czuwa przy łóżku obłożnie chorego męża. Że to szyby samochodu firmy przeprowadzkowej, która właśnie pieczętuje koniec jakiegoś związku albo zabiera czyjeś rzeczy do domu starców. Albo że za tym oknem właśnie onanizuje się jakiś chłopiec... Albo po latach spotykają się starzy przyjaciele, tak jak my dzisiaj. Nasze spotkanie to piękny punkt wyjścia...

– Do tego, by się onanizować? – spytała z udawaną powagą Vev.

Znów wszyscy oprócz Leonie parsknęli śmiechem.

– Nie – sprostował Timo – do napisania powieści.

– Prawdę mówiąc, nie podobają mi się takie żarty – powiedziała z wyrzutem Leonie, nie patrząc jednak na nikogo konkretnego. – Poza tym nie wydaje mi się, żeby nasze spotkanie było dobrym materiałem na powieść. Nie dzieje się tu nic szczególnego, gadamy i jemy ciasto.

– Słusznie – powiedział Timo. – Aby powstała z tego powieść, musiałyby dojść do jakiejś dramaturgicznej komplikacji. Początkowo panowałyby beztroska, lecz z każdą stroną akcja zmierzałaby ku czemuś dramatycznemu, nieznanemu, nieprzewidzianemu. Z pewnością znacie to uczucie, kiedy z pozoru nic się nie dzieje, ale mimo to mamy wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

– Jasne, to się nazywa depresja – powiedziała Yasmin.

Tym razem zaśmiała się nawet Leonie.

- Wszystko pięknie i ładnie – wtrącił się Philipp. – Ale... czy z tego da się wyżyć?
Przy stole zapanowała cisza, grdyka Tima kilkakrotnie podniosła się i opadła.
- Cóż... – Timo splótł palce obu dłoni. – Właściwie to... nie za bardzo. Mam kilka dodatkowych zajęć...
- Niedługo skończysz trzydzieści pięć lat. Dorywcze prace są dla nastolatków, studentów, dla ludzi, jakimi byliśmy przed laty. Na wszystko jest odpowiedni czas. Nie mam nic przeciwko sztuce, to bardzo szlachetne zajęcie, ale jeśli nie jesteś w stanie się z tego utrzymać... Zresztą, sam powinieneś wiedzieć najlepiej.
- Widząc, że Timo nie jest w stanie podjąć dyskusji, Vev postanowiła ratować sytuację.
- Jak dla mnie trochę za mocno wieje. Wchodzimy do środka? Pokażę wam, gdzie będziecie spać.
- Goście wzięli walizki i torby i weszli za gospodynią na pierwsze piętro.
- Gdy Vev pokazywała pokój, który miał służyć w najbliższych dniach Timowi za sypialnię, ten dostrzegł jej badawcze spojrzenie i w tej samej chwili zrozumiał, że musi między nimi do czegoś dojść. A sama myśl o tym, że istnieje taka możliwość, podnieciła go mocniej niż cokolwiek innego przez ostatnie kilka lat.
- Podczas gdy Vev na piętrze zajęta była pokazywaniem pokoi gościom, Clarissa, tupiąc i niezdarne gestykułując rękoma, weszła z werandy do domu i krzyknęła do ojca:
- Tatusiu, zobacz, ile mew.
- To twoje znajome, przyleciały cię odwiedzić – odrzekł Philipp, czekając na córeczkę z rozpostartymi ramionami.
- Są głodne – zaszczebotała Clarissa.
- Tak ci powiedziały?
- Dziewczynka kiwnęła główką. W płaszczyku wyglądała uroczo. Philipp znów poczuł, że córeczka jest dla niego jak wiatr, jak czyste, życiodajne powietrze. Wziął głęboki wdech.
- A ty? – zapytał Philipp. – Jesteś głodna? Zrobić ci kanapkę z bananem?
- W oczach Clarissy pojawił się błysk.
- Tak, ale najpierw nakarmię mewy.
- Dobrze. – Philipp ucałował córeczkę. – Ale zrób to w ogrodzie, nigdzie nie odchodź. Rozumiemy się?

Clarissa przytaknęła.

– A ja tymczasem przygotowuję kanapkę – powiedział Philipp.

Przy piekarniku krzątała się pani Nan. Philipp miał wrażenie, że drobna, małowówna kobiecina o egzotycznej urodzie wygląda dziwnie w ich nowoczesnie wyposażonej i urządzonej kuchni. Nie pasowała do tego jasnego domu, ułożonych w amfiladzie obszernych pomieszczeń i ogromnych okien, wyższych niż ściany w tradycyjnym budownictwie.

Philipp skarcił się w duchu za tę politycznie niepoprawną myśl, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że każdy, kto zobaczyłby panią Nan, skojarzyłby ją raczej z ogromnym wokiem i parną garkuchnią Pnom Penh niż nowoczesnymi sprzętami szklanego domu na Hiddensee.

Szlachetna i pełna godności twarz pani Nan była jak stary, pomarszczony, tajemniczy pergamin, na którym zapisano dzieje jej życia. Ani Philipp, ani Vev nie mieli pojęcia, czym wcześniej parali się państwo Nan. Tutaj, na Hiddensee, nie mieli wielkiego wyboru, jeśli chodzi o pracę. Na wyspie szukano pokojówek, kelnerów, ekspedientek w sklepie spożywczym, ludzi do obsługi promu i roznoszenia poczty. W grę wchodziły zatem jedynie proste, istniejące od setek lat zajęcia. Jedno było pewne: przed tym, jak zatrudnili ją w charakterze niepełnoetatowej pomocy domowej i od czasu do czasu również opiekunki do dziecka, pani Nan nie miała żadnej oficjalnej, oskładkowanej posady.

– Clarissa ma ochotę na kanapkę z bananem – powiedział Philipp, a widząc, że pani Nan sięga po nutellę, szybko dodał: – Nie, nie, ja to zrobię. Pani ma dość pracy. Rozumiem, że przygotowuje już pani kolację dla naszych gości?

Pani Nan przytaknęła. Choć mówiła płynnie po niemiecku, niełatwo się z nią rozmawiało. Dla Vev nie stanowiło to większego problemu, lecz Philipp zawsze czuł się w obecności gosposi nieco skrępowany, a czasem wręcz niekomfortowo. Łatwiej było odczytać stary papirus niż wyraz twarzy pani Nan.

Philipp posmarował chleb cieniutką warstwą kremu czekoladowego i ułożył na nim grube plastry banana. Clarissa wolałaby, gdyby proporcje były odwrotne, lecz jej tata uważał, że zbyt duża ilość cukru jest bardzo niezdrowa.

Przygotowując kanapkę, Philipp zdał sobie sprawę, że zaczyna w nim wzbierać złość – na siebie samego. Do tej pory wydawało mu się, że ponowne spotkanie z Timem i Leonie – Yasmin przecież się nie spodziewał – nie zrobi na nim

większego wrażenia niż spotkanie klasowe. Myślał, że pogadają o starych czasach, pośmieją się z samych siebie, wysłuchają historii o tym, jak potoczyło się ich życie, spędzą kilka godzin w miłym towarzystwie... Teraz nagle pożałował, że ich w ogóle zaprosił, ale czasu nie dało się cofnąć. Za późno.

Spojrzał przez kuchenne okno na wydmy, na których Clarissa wraz z mamą – Vev tymczasem wróciła na dół – dały na kawałki chleb tostowy i na otwartych dłoniach podawały go mewom. Kiedy któryś z ptaków chwycił smakołyk, śmiały się głośno, jakby właśnie przytrafiło im się coś niesamowitego. Zachwycona Clarissa rzucała kawałki chleba do góry.

– Jonathan, Jonathan – zawołała.

Kilka dni wcześniej Vev przeczytała Clarissie *Mewę* Richarda Bacha i od tej pory każdą mewę nazywała imieniem głównego bohatera.

– Jonathan, Jonathan – powtarzała dziewczynka, a jej wołanie i śmiech poruszały Philippa do głębi.

Vev i Clarissa – te dwa roześmiane cienie na tle zachodzącego nad wyspą słońca, które mógł obserwować z wnętrza swego wspaniałego szklanego domu – to było jego największe szczęście. Wciąż pamiętał, jak przed trzydziestu laty marzył o wielkim domu, słońcu, plaży i ludziach, których mógłby kochać, o pięknych meblach, obrazach, wielkim telewizorze, wypasionym sprzęcie stereo. O wszystkim, czego wtedy nie miał. Ilekroć przypominał sobie te młodzińcze marzenia, a przypominał je sobie bardzo często, drżał ze strachu, że wszystko, co udało mu się zdobyć, może pęknąć niczym bańka mydlana. Bał się, że obudzi się znowu w malutkim pokoju z wilgotną tapetą, słysząc za ścianą krzyki awanturujących się rodziców. Clarissa i Vev, ten dom, panująca w nim cisza i sukces zawodowy stanowiły filary jego egzystencji. Musiał wciąż na nowo uzmysławiać sobie i innym, co osiągnął, bo tylko w ten sposób mógł nieco stłumić ów pierwotny lęk, że to szczęście może pewnego dnia runąć.

Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił ani zwerbalizować, ani pojąć, tego popołudnia nie był w stanie do końca przewyciężyć tych obaw.

5

Gdy tylko włączyłam stojącą na biurku lampę, zobaczyłam przed sobą parę wpatrujących się we mnie fioletowych oczu. Były to dwie samoprzylepne karteczki przyklepione do skoroszytu z materiałami dotyczącymi rzezi na Hiddensee. Na jednej z nich znajdował się numer telefonu Yima, na drugiej zaś numer Margarete Korn, matki Leonie. Było smętne przedpołudnie, nad Berlin właśnie nadciągała burza, cienkie szyby w oknach mojego mieszkania lekko drżały. Służąca mi również za gabinet sypialnia wychodziła na północ i typowe dla nowej zabudowy Kreuzbergu podwórko studnię, dlatego w dni takie jak ten, gdy nawet letnie słońce nie było w stanie przebić się do mieszkania na parterze, marzyłam o tym, by znaleźć się w jakimś jasnym miejscu, na przykład na szczycie góry albo na łące.

Przed oczyma stanął mi krajobraz Hiddensee: chałupki, przydomowe ogródki, wrzosa – a wszystko to otoczone trylionami ziarenek piasku i roztańczonych cząsteczek wody, w których przegląda się lazurowe niebo. W swojej wizji ujrzałam starszą panią ścinającą łubiny i wkładającą je do wazonu na kuchennym stole. Zobaczyłam również jej męża, który odłożywszy na bok gazetę, przygląda się żonie w nadziei, że uda się mu napotkać jej wzrok. Jej uwagę zaprzętała jednak w tym momencie młoda, tryskająca szczęściem pięćosobowa rodzina przejeżdżająca na rowerach koło ogrodu.

Odpędziłam od siebie tę kiczowatą wizję i sięgnęłam po jedną z samoprzylepnych karteczek. Od trzech dni artykuł o rzezi na Hiddensee leżał odłogiem. Nic nie napisałam, nie zdobyłam żadnych nowych informacji. Również stos przesyłek od kursantów zdawał się raczej rosnąć, niż maleć. Cały weekend spędziłam na załatwianiu różnych niecierpiących zwłoki głupstw. Odmówiłam nawet koleżance, która w sobotę chciała wyciągnąć mnie na zakupy. Mogłam co prawda wyrwać się na dwie czy trzy godziny, ale na zakupy nie miałam ochoty. Czułam, że moje biurko jest jak żądło, które nieustannie wstrzykuje we mnie truciznę, ale choć to czyste szaleństwo, nie byłam w stanie mu się oprzeć.

Tego wieczora byłam umówiona z Yimem, ale wahałam się, czy nie odwołać spotkania. Tak czy inaczej nie miałabym odwagi drugi raz pytać go o jego matkę i o to, jaką rolę on sam odegrał w tym dramacie. Co prawda uważałam, że Yim jest sympatyczny, ale jednak był nową osobą w moim otoczeniu, a nowe znajomości wiążą się z dodatkowymi obowiązkami. Na początku o znajomość trzeba bowiem dbać w sposób szczególny, jak o roślinkę, która potrzebuje czasu, by się wzmocnić. Dopiero potem taka relacja staje się mniej wymagająca, bardziej odporna na wyrzeczenia.

Nie czułam się gotowa na tego typu dodatkowe zobowiązanie, więc postanowiłam zadzwonić do Yima. Gdy nie odebrał, chciałam mu nagrać wiadomość, lecz w ostatniej chwili stwierdziłam, że zasłużył przynajmniej na to, żebym odwołała spotkanie osobiście.

Sięgnęłam po drugą karteczkę, na której widniał napis „Margarete Korn 0 6174 52 55 35”. Od kilku dni miałam zamiar zadzwonić i porozmawiać z matką Leonie.

Kontakt z bliskimi sprawców zawsze stanowi dla mnie kłopot. Jako osoba bezpośrednio dotknięta tragedią i członkini organizacji zrzeszającej ofiary przestępstw i ich bliskich, ale także jako reporterka sądowa wiem aż nazbyt dobrze, że ofiary mogą co prawda liczyć na współczucie, ale zainteresowanie opinii publicznej skupia się w głównej mierze na sprawcach. Nie powiem, żeby mi się to podobało, ale takie są fakty.

Z zasady staram się oddzielać sprawców od ich rodzin i nie uważam ich bliskich za moralnie współwinnych popełnionego przestępstwa. Czasami rodziny ponoszą część winy, czasami nie, każdy przypadek należy rozpatrywać oddzielnie. Mimo to śmiem twierdzić, że najbliżsi sprawców mają jedną cechę wspólną: w przeciwieństwie do rodzin ofiar są nieobliczalni. Bliscy ofiar przede wszystkim są pogrążeni w rozpacz. Ferują oskarżenia, ale szybko popadają w apatię i nawet jeśli występują w charakterze oskarżyciela posiłkowego, jest to raczej wyrazem buntu i rozpacz, próbą poradzenia sobie z sytuacją, aniżeli przedsięwzięciem ukierunkowanym na konkretne cele. Bliscy ofiar w czasie procesu często są w stanie oszołomienia, zachowują się trochę jak lunatycy.

Rozpacz dotyka także rodziny sprawców, o czym w relacjach z sal sądowych chętnie się zapomina. W ich przypadku jednak do głosu dochodzą także inne uczucia: czasem wstyd, czasem mniej lub bardziej manifestowane samooskarżenie,

niekiedy mieszanka wieloletniej miłości i świeżej nienawiści do bliskiej osoby, która dopuściła się zbrodni, a niekiedy przeciwnie – wyparcie. Mieszanka zabójcza dla ludzkiej psychiki.

To wszystko sprawia, że bliscy sprawców często są bardzo nerwowi. Nim się człowiek obejrzy, próbują odwrócić kota ogonem: a to wszystkiemu winne jest społeczeństwo, czyli my wszyscy, a to producenci gier wideo, przemysł erotyczny, upadek wartości, rodziny patchworkowe, bezrobocie, polityka edukacyjna państwa, władze, konstytucyjne organy państwa, no i naturalnie ja, Doro Kagel, przedstawicielka mediów.

Nie miałam ochoty wysłuchiwać kolejny raz tych samych bzdur, lecz to robiłam. Bo słuchanie bzdur jest nieodłącznym elementem mojej pracy.

W przypadku jednak nocnej rzezi na Hiddensee aż do tej pory powstrzymywałam się od rozmowy z matką sprawczyni. Telefon do pani Korn byłby jednoznaczny z ostatecznym przyjęciem zlecenia na artykuł – zlecenia, które budziło mój opór. Gdybym po tej rozmowie zrezygnowała, ryzykowałabym konflikt z redaktorem lokalnego meklemburskiego dziennika, a na tym ucierpiałaby moja renoma rzetelnej dziennikarki.

A przecież mogłam od razu zająć się innym tematem. Miałam wybór: albo kobieta z Dolnej Saksonii, która przez lata zakopywała urodzone przez siebie noworodki w donicach na kwiaty, albo morderstwo pochodzącej z Libanu studentki, która odmówiła zawarcia zaaranżowanego przez rodzinę małżeństwa.

Ostatecznie zdecydowało moje poczucie obowiązku. Stwierdziłam, że jakoś uporam się z tą przeklętą sprawą.

0 6174 52 55 35.

– Korn.

– Dzień dobry, pani Korn. Nazywam się Kagel, Doro Kagel. Proszę wybaczyć, że panią niepokoję.

Wyjaśniłam pani Korn, kim jestem i jakie mam zamiary.

– Chciałaby pani zrobić ze mną wywiad?

Ton głosu Margarete Korn był trudny do rozszyfrowania. Wyczuwałam w nim pewien dystans, tak jakby zadzwonił do niej ktoś, kto chce jej przez telefon sprzedać przeciwreumatyczną kołdrę, jednak odniosłam także wrażenie, że jest bardzo zainteresowana rozmową.

– Przez pierwsze cztery tygodnie dziennikarze pchali się drzwiami i oknami, a potem wszyscy nagle zniknęli. Przestało ich obchodzić, co mam do powiedzenia – rzuciła z goryczą.

– Nie mogę wypowiadać się w imieniu moich kolegów. Mogę mówić tylko za siebie. W tamtym czasie na pierwszym planie stało samo zdarzenie, dzisiaj są to ludzie. Ta rozmowa to dla pani jedyna szansa, by opowiedzieć światu o swojej córce.

Miałam wrażenie, że udało mi się podsunąć jej jakiś pomysł, bo matka Leonie zmieniła kurs o sto osiemdziesiąt stopni.

– Dobrze, proszę zatem przyjechać. Najlepiej od razu.

– Pani Korn, nie dzwonię z budki telefonicznej na rogu pani ulicy. Mieszkam w Berlinie.

– To przecież rzut beretem.

Jak dla kogo. Nie wiedziałam co prawda, gdzie dokładnie znajduje się Taunus, ale sama jego nazwa brzmiała tak, jakby sąsiadowało z Alfa Centauri.

– Pani Korn, mam tu na miejscu pewne zobowiązania. Bardzo proszę mnie zrozumieć, nie mogę tak po prostu wyjechać. Ale może udałoby się...

– Nie, nie. Proszę przyjechać tutaj, do szpitala, w którym leży moja córka. Chcę, aby zobaczyła pani Leonie. Pokryję koszty podróży. Proszę poczekać, już podaję adres. Wywiadu udzielę pani w szpitalu. Godzinę, dwie, ile tylko pani zechce. Przy okazji będzie pani mogła porozmawiać z lekarzem, zwolnię go z obowiązku zachowania tajemnicy lekarskiej. Ale *musi* pani przyjechać do szpitala.

Nie do wiary! To, że Margarete Korn nalegała na rozmowę twarzą w twarz, mogłam jeszcze zrozumieć – Yim też wolał się ze mną spotkać, niż rozmawiać przez telefon – ale biorąc pod uwagę to, że jej córka leżała w śpiączce... I do tego sama zaoferowała, że pokryje koszty podróży!

Osobliwy wybór miejsca, w którym miał odbyć się wywiad, sprawił, że poczułam się zaintrygowana. Natychmiast przeanalizowałam potencjał tej historii – oto matka morderczyni przerywa milczenie u szpitalnego łóżka pogrążonej w śpiączce córki. Na tym dało się skonstruować cały artykuł, to była prawdziwa petarda na początek, a dobry początek to połowa sukcesu. W tych okolicznościach byłam gotowa przymknąć oko na brak czasu i kłopotliwą podróż. A najlepsze w tym wszystkim było to, że to Margarete Korn wyszła z tą propozycją i nie

musiałam sobie czynić wyrzutów, że wymogłam na niej coś, na co nie miała ochoty.

– Dobrze, pani Korn, sprawdzę tylko jutrzejszy rozkład pociągów.

– Jutrzejszy? Proszę posłuchać, pani... jak też się pani nazywa? Pani Kagel... Jutro mi nie pasuje. Jest dopiero wpół do dziesiątej. Pociągi z Berlina do Frankfurtu jeżdżą prawie co godzinę.

Odniosłam wrażenie, że Margarete Korn od dwóch lat czekała na to, żeby udzielić wywiadu, i teraz nie była w stanie czekać ani dnia dłużej. Wszystko to było bardzo dziwne: najpierw milczący pan Nan, potem jego niestabilny emocjonalnie syn, a na koniec matka Leonie Korn i jej nagła potrzeba opowiedzenia o swojej córce i jej udziale w rzezi.

„Właściwie co mi szkodzi pojechać?”, pomyślałam. W pociągu mogłabym poprawić prace kursantów, a do tego miałabym dobry – a co najważniejsze prawdziwy – powód, żeby odwołać wieczorne spotkanie z Yimem.

Margarete Korn podała mi wszystkie niezbędne namiary. Jej głos brzmiał nerwowo, ale zarazem zdecydowanie.

– Do zobaczenia. Na pewno pani przyjedzie?

– Na pewno.

Z zewnątrz szpital rejonowy w Bad Homburg wyglądał jak większość budynków szpitalnych w Niemczech – okropnie. Kanciasta bryła z szarego betonu była bardziej rezultatem kalkulacji ekonomicznej niż refleksji estetycznej. Na szczęście w środku było dużo przyjemniej. Gmach miał dosyć szykowny hol i parę ładnych miejsc o klimacie odpowiednim dla uzdrowskiego szpitala, kiedy jednak weszło się nieco głębiej, niczym nie różnił się od innych tego typu placówek. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego w niemal wszystkich szpitalach na podłodze kładzie się to samo okropne linoleum w trudnym do nazwania kolorze. Przecież nawet ludzie, którzy zamawiają ten odcień, nie mogą go uważać za ładny – a mimo to spotyka się go w prawie wszystkich budynkach użyteczności publicznej.

Po drodze dwukrotnie się zgubiłam, lecz w końcu udało mi się trafić do właściwej dyżurki.

– Nic mi nie wiadomo o żadnej wizycie – poinformowała mnie zawałona pracą i wszechobecnymi formularzami pielęgniarka, po czym poprosiła, bym zaczekała, i zaczęła grzebać w jakichś papierach, nieprzerwanie utyskując przy tym pod

nosem. Robiła to na tyle cicho, bym nie mogła zrozumieć, co mówi, i na tyle głośno, by dać mi do zrozumienia, że w jakiś sposób przyczyniłam się do jej niedoli. W końcu spojrzała na mnie wymownie, jakby oczekiwała, że jakoś odniosę się do tych zarzutów, ja jednak przezornie trzymałam usta na kłódkę. Wreszcie po kilku minutach pielęgniarka zmieniła zdanie i stwierdziła, że faktycznie została uprzedzona o mojej wizycie, po czym niejasnym ruchem ręki, zahaczającym o co najmniej dwie strony świata, wskazała mi drogę do pokoju 518.

Kiedy pukałam do drzwi, towarzyszyły mi mieszane uczucia. Odczekałam trzy sekundy i nacisnęłam klamkę. Zauważyłam łóżko i leżącą na nim Leonie Korn, lecz mimo to odniosłam wrażenie, że pokój jest pusty. To, że pacjentka przebywa gdzieś poza tu i teraz, byłoby oczywiste nawet dla kogoś, kto nie wiedziałby nic o jej stanie. Błada twarz i białe jak kreda usta sprawiały, że wyglądała, jakby umarła. Jej ciało było kompletnie nieruchome – do tego stopnia, że nie poruszały się nawet powieki, które przecież poruszają się, kiedy śpimy.

Od dwóch lat, to jest od owej feralnej nocy, podczas której doszło do rzezi na Hiddensee, z Leonie nie było żadnego kontaktu. I nic nie wskazywało, że może się to kiedykolwiek zmienić, że Leonie wypowie jeszcze kiedyś jakieś słowo, uśmiechnie się, zmarszczy czoło, poczuje miłość czy nadzieję. Nic nie wskazywało na to, że będzie jej dane coś zjeść, spotkać się z przyjaciółmi, świętować Boże Narodzenie, uprawiać seks, przeczytać książkę, wyjść na spacer... Czeką ją trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat w tym łóżku, w tej sali. Aż do śmierci. Została wygnana ze świata żywych, lecz ustawione po obu stronach jej głowy maszyny nie pozwalały jej umrzeć. Była skazana na powolny uwiąd. Przedmioty, które ktoś – zapewne jej matka – poustawiał w pokoju, miały z każdym rokiem sprawiać coraz bardziej groteskowe i makabryczne wrażenie.

Półkę przy prawej ręce Leonie zapełniały małe, wykonane z plasteliny bądź porcelany figurki krasnali i wróżek, pluszowe zwierzaki z pięciu kontynentów, lalki, papierowe kwiaty, wielobarwne owalne kamienie i plastikowe wiatraczki.

Widziałam już kiedyś takie wiatraczki – na cmentarzu, na sąsiadującym z grobem Benny'ego pomniku z napisem: „Melanie 1996–2005”. Dziś Melanie zbliżałaby się do pełnoletności, lecz na jej grobie wciąż obracały się kolorowe wiatraczki. W szpitalu jednak, przy łóżku czterdziestoletniej kobiety... Było w nich coś naiwnego i tragicznego zarazem. I tak przygnębiającego, że po pięciu minutach nie

byłam w stanie dłużej tkwić przy tym łożu śmierci, na którym bądź co bądź leżała wciąż żywa osoba.

Obróciłam się w kierunku drzwi i ujrzałam twarz starszej kobiety. Jej głowa lekko drżała.

Margarete Korn wydawała się delikatna niczym spękana porcelana, a gdy omdlałym gestem wyciągnęła w moim kierunku dłoń, pomyślałam, że jej chude i gruzłowate palce przypominają koronę rachitycznego drzewa.

– Widziałam, jak pani wchodziła – powiedziała do mnie łagodnym, zachrypniętym głosem. – Celowo zaczekałam za drzwiami, by mogła pani przez chwilę побыć z Leonie sam na sam. Dziękuję, że pani przyjechała. Mam nadzieję, że podróż przebiegła bez komplikacji.

Wyglądała tak, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć płaczem. Ale tak się nie stało. Przyszło mi do głowy, że przez ostatnie kilkanaście miesięcy musiała wypłakać wszystkie łzy. Ważyła o połowę mniej niż osoba na zdjęciu, które widziałam w gazecie – tak jakby chciała niepostrzeżenie zniknąć z tego świata.

Gestem zaproponowała, byśmy usiadły, i zajęła miejsce po prawej stronie łóżka Leonie, obok zbioru dziecięcych skarbów zgromadzonych przez matkę dla umierającej córki, mnie pozostawiając krzesło stojące po lewej. Pani Korn siedziała naprzeciwko mnie, a ciało Leonie, przykryte śnieżnobiałą kołdrą, leżało dokładnie pomiędzy nami, w miejscu, gdzie w normalnych okolicznościach byłby stół.

Poczułam się niekomfortowo, bo prowadzenie rozmowy ponad pogrążoną w śpiączce Leonie wydawało mi się nie na miejscu. Z drugiej jednak strony taka sceneria była czymś wyjątkowym, a przecież to właśnie wyjątkowość stanowi istotę dziennikarstwa. Dlatego nie zaprotestowałam.

– W każdą sobotę robię Leonie makijaż – zaczęła swoją opowieść pani Korn. – Wygląda wtedy naprawdę pięknie. Kiedy makijaż jest gotowy, mam wrażenie, jakby w każdej chwili miała się podnieść i stąd wyjść, na imprezę czy na wieczorne spotkanie w gronie przyjaciół. Ta bladość sprawia, że Leonie nie jest sobą. Dlatego od czasu do czasu chcę ją zobaczyć taką, jaka była kiedyś. Czy wie pani, za czym najbardziej tęsknię? Przede wszystkim za głosem Leonie. Zapominam już, jak on brzmiał. Powoli tracę moją córkę, choć leży tuż obok.

Margarete Korn mówiła do mnie tak, jakbyśmy się znały od lat.

– Zapewne uważa pani, że przesadzam, ustawiając wokół mojej

czterdziestoletniej córki wszystkie te dziecinne rupiecie. Proszę nie odpowiadać. Proszę też nie przepraszać. Każdy pomyślałby, że przesadzam, i jednocześnie każdy potrafiłby to zrozumieć. Stara matka, zżerana przez troski, u łoża umierającej córki... Tak, to prawda. Ale wie pani co? Ustawiłam tutaj te wszystkie kolorowe rzeczy dlatego, że symbolizują najszczęśliwszy okres w życiu Leonie. Moja córka była szczęśliwa, a przynajmniej zadowolona z życia, dopóki nie skończyła ośmiu lat. Później już nigdy nie zaznała tego uczucia.

Później już nigdy... W tym momencie większość dziennikarzy wyciągnęłyby notatnik i włączyła dyktafon. Wyuczonym i po tysiącokrotnie powtarzanym gestem robiłam jedno i drugie. A potem niczym pianista, który odruchowo przesuwając palce po klawiszach, zupełnie bezwiednie i dokładnie w tym momencie, w którym należało to zrobić, wypowiedziałam pytanie:

– Jakim dzieckiem była Leonie?

Spojrzenie Margarete Korn spoczęło na twarzy córki.

– Czasami bywała trudna. Ale nie znam dziecka, które by nie sprawiało problemów rodzicom. Nie znam też żadnej matki, która nie byłaby utrapieniem dla swoich dzieci. Moja matka zawsze powtarzała, że bycie utrapieniem to prawo dziecka i obowiązek rodzica.

– Pani matka była mądrą kobietą. Jakiego rodzaju... – Kątem oka spojrzałam na pogrążoną w śpiączce pacjentkę, po czym dokończyłam pytanie: – Jakiego rodzaju trudności sprawiała Leonie?

– Od dziecka miewała zmienne nastroje. Tak, myślę, że to odpowiednie określenie. Leonie miewa lepsze i gorsze dni, jak my wszyscy. Czy pani zawsze jest w tym samym nastroju?

– Nie.

– No właśnie. Tylko że wahania nastroju Leonie są trochę bardziej zauważalne. Powiem więcej: jeżeli ma zły dzień, potrafi być dość paskudna. Ale nie robi tego celowo, w żadnym razie. Często miewa silne bóle głowy i myślę, że to może być jedna z przyczyn tej jej zmienności. Wiele razy radziłam jej, by poszła z tym do lekarza.

Zapadło krótkie milczenie.

– Leonie nie posłuchała pani, prawda?

– Leonie zawsze była uparta. Miewa fazy, w których potrafi się pohamować

i jest bardziej otwarta na rady. W takich chwilach potrafi być naprawdę serdeczna. A potem znowu... No cóż.

Naturalnie zwróciłam uwagę na to, że pani Korn mówi o córce w czasie terażniejszym, tak jakby Leonie nadal miewała lepsze i gorsze dni.

– W jakim nastroju była Leonie wtedy, gdy pojechała na Hiddensee?

– Była nerwowa. Leonie denerwuje się przed każdą, nawet najkrótszą podróżą, ma to po mnie. A ponieważ miała się spotkać ze starymi przyjaciółmi, denerwowała się podwójnie. To przecież zrozumiałe, prawda? Jednego z przyjaciół lubiła szczególnie, tego pisarza...

– Tima Stadtmüllera.

– Właśnie. Kiedyś była w nim zakochana. A może lepiej byłoby powiedzieć: zabujana. Tak chyba mówi się o uczuciu, które nagle się pojawia i równie szybko znika. Chociaż wygląda na to, że jeszcze w czasie tego spotkania na Hiddensee musiała Tima bardzo lubić. W jej torebce znaleziono karteczkę.

Margarete Korn wręczyła mi notatkę sporządzoną dzieciennym pismem Leonie Korn. „Timo jest moim jedynym przyjacielem na tej wyspie. Między nami coś się kroi”.

– Nie wiem, dlaczego to napisała. Była w tym czasie związana ze Steffenem. Steffenem Heroldem.

Tego nazwiska nie było na mojej liście potencjalnych rozmówców. Nigdy wcześniej nie słyszałam o Steffenie Heroldzie.

– Czy ma pani przypadkiem jego adres lub numer telefonu?

Margarete Korn wręczyła mi kalendarz na rok dwa tysiące dziesiąty, w którym Leonie notowała adresy. Na czarnej okładce z tworzywa sztucznego naklejono żółte kółeczko z uśmiechniętą buźką.

– Wszystko znajdzie pani w środku. Ale proszę nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Kiedy Leonie znalazła się w szpitalu, Steffen odwrócił się od niej. O ile wiem, nie odwiedził jej ani razu. Nie odpowiedział też na moje telefony.

– Jest pani pewna, że on i Leonie byli parą?

– Oczywiście. Kilka razy byli u mnie na obiedzie czy kolacji, całowali się, przebąkiwali coś o małżeństwie. Steffen to przystojny mężczyzna, ale moim zdaniem bardzo zimny. Nie do wiary, że porzucił Leonie w taki sposób. W czasie kiedy spotykał się z moją córką, hurtowo robiłam dla niego na drutach ciepłe

skarpety i szale, a on... Niewdzięcznik.

Kiedy notowałam dane kontaktowe Steffena Herolda, z kalendarza wypadły zdjęcia Leonie. Na jednych była jeszcze dzieckiem, na innych musiała mieć około trzydziestki.

– To dla pani – oznajmiła Margarete Korn.– Zrobiłam odbitki.

– Dziękuję – powiedziałam, oddając kalendarz ponad ciałem Leonie.

Wciąż nie udało mi się przywyknąć do tego niezwykłego miejsca i czułam dyskomfort, zadając pytania w obecności pogrążonej w śpiączce Leonie, która bądź co bądź stanowiła przedmiot naszej rozmowy. Jej skóra pachniała maściami i pudrem, kasztanowe włosy błyszcząły w świetle neonowej lampy, jakby miała na głowie perukę, a pomalowane na czerwono paznokcie jej dłoni przypominały pięć cętek na białej pościeli.

– Pani Korn, wspominała pani, że Leonie była szczęśliwa do ósmego czy dziewiątego roku życia. Co się wtedy zdarzyło?

Na kilka sekund zapadło przytłaczające milczenie.

– Ojciec Leonie był dla niej bardzo surowy. To był zły człowiek i jeszcze gorszy ojciec. Kiedy Leonie nie była w stanie sprostać jego wymaganiom, nieważne, czy chodziło o coś poważnego czy o drobnostkę, zamykał ją w szopie na narzędzia. Ciemnej, ciasnej i dusznej.

– I nic pani z tym nie zrobiła?

– Nie, dopiero kiedy Leonie miała piętnaście lat...

– Dlaczego nie wcześniej?

– Byłam... miałam ciężką depresję, co jakiś czas popadałam w apatię. To trwało wiele lat. Pomogło dopiero intensywne leczenie. Leonie jako nastolatka, a właściwie prawie już dwudziestolatka, też cierpiała na depresję. Nie żeby mi o tym powiedziała, ale... Ja to czułam, rozumie pani? Każdy człowiek wyczulony jest na coś innego. Dziennikarze mają nosa do dobrych historii, a pacjenci potrafią rozpoznać swoją chorobę, tak po prostu jest, pani Kagel. Na szczęście Leonie wyzdrowiała, sama. Wyjechała do Berlina, znalazła przyjaciół, zaangażowała się w ochronę zwierząt i środowiska. Niepokoiły mnie opowieści o wygłupach Leonie i tej bandy dzikusów, a przecież byłam pewna, że nie opowiada mi nawet połowy. Ale tamten okres i zaangażowanie w sprawę dobrze jej zrobiły. Po powrocie do domu wzięła się w garść i uporządkowała swoje życie. Zdobyła wykształcenie,

została przedszkolanką i z powodzeniem pracowała z dziećmi. Kochała zwierzęta, związała się ze Steffenem. Za spadek po ojcu kupiła piękne mieszkanie.

– I pistolet.

To zdanie było świadomą prowokacją. Tłumaczyłam sobie, że powinnam je wypowiedzieć, że tak nakazuje dziennikarska rzetelność, bo prowadzę tę rozmowę zbyt grzecznie, zbyt biernie. Że czas wejść na wyższe obroty. Lecz prawda była taka, że nie byłam w stanie zdzierżyć tej lukrowanej opowieści, z której wyłaniał się obraz biednej, Bogu ducha winnej Leonie. Przecież to niewiniątko, zanim postanowiło się zabić, zastrzeliło trzy osoby, a kilka innych naznaczyło na całe życie. Na przykład Yima, który pierwszy przybył na miejsce krwawej masakry i znalazłszy tam swoją brutalnie zamordowaną matkę, zawiadomił policję.

Mój umysł był w stanie zaakceptować fakt, że wszystkie matki idealizują swoje dzieci, nawet jeżeli te posunęły się do morderstwa. Takie jest prawo natury. Ale moje emocje zaakceptować tego nie chciały. Żeby wpaść w taki amok, Leonie musiała być do głębi zepsuta – żeby nie powiedzieć: szaloną – kobietą i fakt, że jej matka tego nie widzi, sprawiał, iż wszystko się we mnie burzyło.

– Ten pistolet służył jej do obrony – odpowiedziała stanowczo Margarete Korn.

– Kilka lat temu Leonie została napadnięta i okradziona.

– Nie zgłosiła tego na policji.

– Naprawdę myśli pani, że to by coś dało?

– Czy była pani świadkiem tego napadu?

– Nie, ale... Myślę, że to nie ma żadnego znaczenia.

– Ma o tyle, że być może wcale nie było żadnego napadu. Leonie nie ma pozwolenia na broń, a nawet gdyby miała, to i tak noszenie jej przy sobie byłoby sprzeczne z prawem. Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z córką na temat pistoletu?

– Nie lubię broni palnej, ale rozumiem Leonie. Kobiety są na tym okropnym świecie zupełnie bezbronne.

– Jest wiele innych możliwości: judo, karate, taekwondo, gaz łzawiący... Ale zostawmy to. Mnie interesuje przede wszystkim jedno: czy w latach poprzedzających wydarzenia na Hiddensee stan Leonie uległ poprawie? Czy wahania nastrojów się zmniejszyły?

– To nie całkiem...

– Powiedziała pani przed chwilą, że jako osoba cierpiąca niegdyś na depresję wyczuwa pani pewne psychiczne, nazwijmy to, odchylenia od normy.

– Owszem. Dlatego wiem, że w pani przypadku również nie wszystko jest w porządku.

Omam nie spadłam z krzesła. Potrzebowałam kilku sekund, żeby się opanować. Nagle w mojej głowie pojawiły się myśli, które dawno zepchnęłam na porośniętą chaszczami bocznice mojego umysłu, w miejsce, do którego zaglądałam jedynie w przelocie: „w twoim życiu coś nie gra”, „pogubiłaś się”, „twoje życie nie jest takie, jak być powinno”, „rób to, co chcesz, a nie to, czego chcą inni”. Wszystkie te mądrości rodem z chińskiego kalendarza niczym błyskawica przemknęły przez moją głowę.

Przed oczyma stanęła mi dziecięca twarz mojego brata, taka jak ze zdjęcia na regale w moim salonie – jedynej fotografii Benny’ego, jaką zachowałam. Benny stoi na nim dumny jak paw, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i lewą stopą opartą na piłce. Zdjęcie zrobiono na tydzień przed jego śmiercią. Wróciłam myślami do teraźniejszości i zobaczyłam swoje biurko, teczki, ekran komputera, zadrukowane kartki, telefon. Pomyślałam o nieustannej gonitwie, zmartwieniach, terminach, których trzeba dotrzymać, nowych zleceniach, z którymi będą się wiązać nowe terminy, których też trzeba będzie dotrzymać. Pomyślałam o tych wszystkich oczekiwaniach, którym starałam się sprostać, i nagle pięćdziesiąt tysięcy godzin obowiązków zamieniło się w jedną sekundę smutku.

Na szczęście wyćwiczona przez lata dziennikarska rutyna pozwoliła mi powstrzymać tę szaloną gonitwę myśli.

– Pani Korn, jesteście tutaj, żeby rozmawiać o Leonie, nie o mnie. Nigdy nie odniosła pani wrażenia, że pani córka potrzebuje terapii? Że tylko w ten sposób zdoła zapanować nad zmiennością nastrojów?

– Namawiałam ją na leczenie, ale bez skutku. Łykała jakieś leki, ale nie wiem, skąd je wzięła i co to dokładnie było.

– Mimo to nie zmartwiła się pani na wieść, że córka ma pistolet?

– Tak i nie. Byłam głęboko przekonana, że Leonie nigdy nie wyrządzi nikomu krzywdy. Jeśli się czegoś obawiałam, to tego, że w przyпадку rozpaczy sama siebie... Tak, od czasu do czasu przychodziła mi taka myśl. Odpędzałam ją, tłumacząc sobie, że związek ze Steffenem daje Leonie stabilizację.

– Jak sobie pani radzi z tym, że tak bardzo pomyliła się w ocenie swej córki?

– Nie sędzę, bym się pomyliła. – Margarete Korn obróciła się w stronę Leonie, wstała i pochyliła się tak, że jej usta zatrzymały się ledwie kilka centymetrów nad głową córki.

– Powiedz jej, Leonie. No, powiedz jej.

Zachowanie pani Korn było tak niecodzienne, że aż przeszły mnie ciarki. Nie byłam w stanie zrozumieć tego, co widzę.

– Powiedz jej. Proszę, Leonie. Otwórz oczy. Spójrz na mnie. Spójrz na tę kobietę i powiedz jej, jak było naprawdę. Broń się.

Skupiłam wzrok na zamkniętych oczach Leonie. Prawdopodobieństwo, że po dwóch latach właśnie w tym momencie się obudzi, było bliskie zeru. A jednak niezachwiana nadzieja matki sprawiała, że wydawało się to całkiem możliwe. Tak jakby wiara starszej kobiety mogła zmienić świat, sprawić, że lekarska diagnoza stanie się kłamstwem, cofnąć czas, wymazać winę jej córki, ożywić martwych, na nowo nadmuchać pęknięty balon.

Margarete Korn raz za razem powtarzała swoje zaklęcie:

– Powiedz jej to, Leonie, powiedz.

Głowa starszej kobiety drżała, a z jej zapadłej piersi dobywał się głos przypominający szept arcykapłanki.

– Wybudzisz się. Wybudzisz się, kochanie, i powiesz całemu światu, jak było naprawdę.

Obserwowałam palce Leonie, wpatrywałam się w pięć polakierowanych paznokci, śledziłam każde załamanie pościeli – na wypadek gdyby miała zajść jakaś zmiana, gdyby coś się miało poruszyć.

Mój wzrok spoczął na ekranie, na którym świetlna linia odzwierciedlała pracę serca. A może aktywność mózgu? Obserwowałam malutkie drgnięcia egzystencji, która nie była już życiem, a jeszcze nie była śmiercią, egzystencji podtrzymywanej przez bezduszne, sterylne maszyny, zasilane podawanym przez pompę powietrzem. Czy w tej głowie znajdowała się jeszcze jakaś iskierka woli? Czy te usta były jeszcze w stanie przemówić? Wykres na ekranie zdawał się temu przeczyć.

Minęło kilka minut. Margarete Korn opadła z powrotem na krzesło, spuściła wzrok ku podłodze, zamknęła powieki i pogrążyła się w bezdennej rozpacz. Jej ciało zapadło się, tak jakby ktoś je pozbawił wnętrzości, upodabniając do ciała jej

córki.

– Pani Korn, co pani jest? – spytałam wystraszona. – Czy coś pani dolega? Zawołam lekarza.

Kobieta otworzyła oczy, wyciągnęła w górę rękę i zawołała:

– Nie, proszę tego nie robić. Już dobrze, naprawdę. Już dobrze.

Pożałowałam, że byłam dla niej taka ostra. Moja praca polega na tym, by w porę zauważyć granicę pomiędzy dociekliwością a natarczywością, na tym, by na tej granicy balansować, ale jej nie przekraczać. Wszystko sprowadza się do wycucia i wrażliwości: jeśli masz jej za mało, stajesz się hieną, jeżeli za dużo – nie nadajesz się do tej pracy.

– Mimo wszystko powinnam zawołać lekarza – uparłam się, jakby ten nagły przypływ troski miał dowieść mojego człowieczeństwa.

– Żaden na świecie lekarz nie jest mi w stanie pomóc, pani Kagel.

Przyznałam jej w duchu rację, ona zaś sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej banknot o nominale stu euro.

– Byłabym zapomniała, obiecałam pokryć koszty podróży.

Czułam opór przed przyjęciem tych pieniędzy, zwłaszcza że pani Korn położyła je na ciele Leonie niczym na ladzie. Ta stowa jednak bardzo by mi się przydała. Przez ostatnie miesiące niczego nie udało mi się odłożyć, a zbliżał się obowiązkowy przegląd Ciotki Agathe.

– Nie, dziękuję, pani Korn. To miło z pani strony, ale...

– Nalegam. Obiecałam, a pieniądze... sama pani wie, że nie pieniądze są moim największym problemem.

Zawstydzona wsunęłam banknot do tylnej kieszeni dzinsów.

Tymczasem Margarete Korn doszła do siebie.

– Poprosiłam, by pani przyjechała, z dwóch powodów. Po pierwsze chciałam powiedzieć pani, a za pani pośrednictwem całemu światu, że Leonie nie jest osobą, za którą wszyscy ją uważają. Nie popełniła tej strasznej zbrodni. Znam swoją córkę lepiej niż ktokolwiek inny i wiem, że Leonie nie byłaby w stanie zabić człowieka. Postawiłabym na to wszystkie pieniądze, jestem gotowa przysiąc na wszelkie świętości. Wbrew temu, co powiedziała policja i co napisały gazety, Leonie jest niewinna. Te morderstwa popełnił ktoś inny. Nie wiem, kto to był, ale na pewno nie była to moja córka. Proszę, niech pani to wydrukuje. Proszę.

Moje nastawienie do tej kobiety znowu uległo zmianie, tym razem na jej niekorzyść.

Proces poszlakowy przeciwko Kurtowi R., człowiekowi, który udusił mojego brata i potem wrzucił go do leśnej sadzawki, w błoto, między kaczki i wodne lilie, zakończył się wyrokiem skazującym i najwyższym wymiarem kary. Werdykt sądu został utrzymany w mocy we wszystkich instancjach, lecz mimo to matka i siostra Kurta, korzystając z gościnności wystrojonych w szyte na miarę garnitury i markowe garsonki gospodarzy i gospodyń telewizyjnych talk-show, prowadziły kampanię mającą na celu zasianie wśród widzów wątpliwości co do słuszności wyroku. Do dziś słyszę oklaski publiczności. Nie wiem, czy były szczere, ale były. Te oklaski wgryzły się w mój mózg i aż do tej pory nie przestawały mnie dręczyć. Nie mogłam się wyzbyć wrażenia, że w oczach ludzi prawdą było to, co widzieli w telewizji, podczas gdy moi pogrążeni w żałobie rodzice rozplęnęli się w niebycie i zniknęli z pola widzenia.

Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie popełniam tego samego błędu co dziennikarze, którzy z taką empatią zadawali pytania bliskim Kurta R. Wzdragałam się na myśl, że pozwolę Margarete Korn przemówić na łamach prasy i być może otworzę jej drogę do programów telewizyjnych, lecz jednocześnie nie miałam prawa zatajać słów matki domniemanej „morderczyni z Hiddensee”.

Dlatego kiwnęłam głową, choć zarazem postanowiłam, że to ja zdecyduję, w jaki sposób zrelacjonuję stanowisko pani Korn.

– Zatem nasze spotkanie opłacało się choćby z tego względu – westchnęła, nie kryjąc ulgi. – Bo niestety nie stało się to, na co najbardziej liczyłam. Miałam nadzieję, że Leonie, słysząc, że niesprawiedliwie ją pani ocenia, obudzi się. Z czystej złości.

6

Wrzesień 2010 r.

Na Hiddensee panował szczególny rodzaj ciszy. Wiatr huczał w uszach spacerowiczów, drzewa trzeszczały, morze uderzało w brzeg, a pomimo to można było odnieść wrażenie, że jest cicho. Nowoczesny świat tu nie docierał – nie było silników, klaksonów, placów budowy, autostrad, lotnisk, ciężarówek. Nic nie zakłócało ciszy. Wysoko nad Hiddensee było widać jedynie kilka samolotów, które pozostawiały na niebie śnieżnobiałe linie, krzyżujące się ze sobą na kształt szkieletu, który wkrótce również znikał bez śladu.

Na plaży niczym cztery plamki majaczyły ludzkie postacie. Philipp był całkowicie pochłonięty Clarissą, która robiąc na piasku fikołki, doprowadziła płaszczyk do opłakanego stanu; wtulona w rozpinany sweter Leonie snuła się z tyłu, rzucając przy tym melancholijne spojrzenia ku zachodowi. Yasmin kroczyła tak pewnie, jakby się wybierała na wojnę, a Timo pozwalał, by fale obmywały mu stopy, podczas gdy jego myśli krążyły wokół Vev, która została w Domu Mgieł zajęta nakrywaniem stołu do kolacji.

– To już pewnie ostatnie dni lata – powiedziała Leonie, doganiając Tima.

Jej głos brzmiał tak, jakby przez ostatnie miesiące dzień w dzień zachodziła do kościoła, by w tej intencji zapalić świeczkę.

– Nie lubisz lata?

– Wolę jesień. Rozkwitam, gdy robi się trochę chłodniej.

– Jak aster.

Porównanie najwyraźniej spodobało się Leonie. Opadła na wilgotny piasek, delikatnie dając Timowi do zrozumienia, że chce, by się do niej przysiadł. Tak też uczynił. Philipp nieco dalej bawił się z Clarissą, a Yasmin, zauważywszy, że wybiegła nazbyt w przód, usiadła po turecku i niewzruszona niczym złoty budda stojący obok jej sfatygowanego koca na berlińskim chodniku obserwowała kotłujące się u brzegu fale.

Leonie sięgnęła po swoją przepastną, przypominającą raczej worek żeglarski torbę, położyła ją sobie na kolanach i wczepiwszy się w nią niczym rozbiitek w unoszącą się na powierzchni kłodę, milczała. Timo w myślach próbował rozgryźć siedzącą obok kobietę. Z jednej strony, patrząc na jej fryzurę, strój i figurę, odnosił wrażenie, że jest osobą spokojną i dobroduszną, z drugiej jednak – pamiętał, że prowadziła samochód jak szalona, i to nie tylko na autostradzie, ale również w mieście i na wąskich drogach lokalnych. Miała miękki głos, który mógł się podobać, ale czasami nagle się łamał. Tak jakby harfistka niespodziewanie przerwała grę, wstała i strzeliła ze śrutówki.

Leonie spojrzała na Yasmin i upewniwszy się, że ta znajduje się daleko i jej nie słyszy, rzekła:

– Pamiętasz, jak Yasmin suszyła nam głowę, żebyśmy wsiedli w ponton i wyruszyli naprzeciw statkom wielorybników? Nigdy tego nie zrobiliśmy. Pewnie by rzygała jak kot. Skoro nawet podczas jazdy samochodem robi się jej niedobrze... Nie wspominając o tym, co było na promie.

– Nie lubisz jej – stwierdził Timo.

– No cóż, ona... – Leonie szukała słów. – Trzeba się przyzwycząić do sposobu, w jaki się wyraża, jej wygląd przyprawia o zawrót głowy i... jest w jakimś sensie ograniczona.

– Oboje wiemy, że nie jest ograniczona. I nigdy nie była. Przeciwnie, jest bardzo inteligentna. Poza tym nie wydaje mi się, żeby źle wyglądała. Ma piękne oczy, ładną figurę... A te ciuchy to tylko jej styl. Jeśli zaś chodzi o sposób wyrażania się, to mówi prosto z mostu, zawsze tak było.

– Skoro tak twierdzisz.

– W pewnym sensie uważam, że to dobrze, że przynajmniej ona prawie się nie zmieniła. Spójrz na nas, nie jesteśmy już tymi ludźmi, którymi byliśmy piętnaście lat temu. A ona? Założę się, że na imprezie z okazji swoich siedemdziesiątych urodzin będzie wyglądała tak jak dzisiaj. I tak jak wyglądała piętnaście lat temu. A na torcie zdmuchnie siedemdziesiąt zapalonych dżointów.

Leonie parsknęła śmiechem i spojrzała na Tima rozpromienionym wzrokiem.

– Masz kogoś? – spytała.

Pytanie sprawiło, że poczuł się zakłopotany.

– Nie – odpowiedział, gryzmołąc coś stopami po piasku. – Za rzadko wychodzę,

by spotkać jakąś kobietę, a że pracuję w domu, nie mogę poznać nikogo w biurze. Spotykam tylko przyjaciółki moich kolegów, ale one stanowią dla mnie świętość.

– Jasna sprawa. A dlaczego nie wychodzisz częściej z domu?

– Po pierwsze, najlepiej pisze mi się wieczorem i w nocy. A po drugie, jeśli akurat nie piszę, muszę się z czegoś utrzymać, więc pracuję dorywczo w kinie. Dzięki temu wiąże koniec z końcem. Wielbicielki będę miał, gdy zostanę sławny, możliwe, że dopiero przed osiemdziesiątką. Albo po śmierci. Śmierć to dla artysty prawdziwa przepustka do sławy.

Leonie znów się zaśmiała.

– A ty? – spytał Timo. – Spotykasz się z kimś?

Leonie stuknęła się dłonią w czoło.

– O Boże, całkiem zapomniałam. Miałam zadzwonić jeszcze raz do Steffena. Przepraszam cię, Timo, zaraz wrócimy do tej rozmowy.

Leonie wyciągnęła z torebki komórkę, wstała i odeszła kilka kroków w głąb plaży. Numer Steffena znajdował się w zasięgu i nie był zajęty. Czekać na połączenie, Leonie nerwowo bębniła palcami po brzuchu. Po chwili ponownie włączyła się poczta.

– Co za pech – powiedziała Leonie, nagrywając wiadomość. – Znowu cię nie złapałam. Jestem właśnie na plaży na Hiddensee. Pogoda jest cudowna, taka jak lubię, nie za gorąco i trochę wieje. Są tu też Yasmin i Philipp ze swoją córką. U mnie wszystko w porządku, nie martw się. Wieczorem jeszcze raz spróbuję się dodzwonić. Całuski.

Celowo nie wspomniała o Timie, choć sama nie była pewna dlaczego. Bardzo kochała Steffena, ale Timo to... no tak, Timo to Timo, jej pierwsza miłość. Nie uważała za stosowne opowiadać Steffenowi o Timie. Ani odwrotnie.

Kiedy wracała na swoje miejsce, zobaczyła, że Timo rozmawia z Yasmin. Śmiali się, pewnie z niej, bo z kogóż by innego. Nagle Yasmin zahaczyła stopą o pozostawioną przez Leonie torbę, ta zaś przewróciła się i jej zawartość wylądowała na ciepłym piasku.

Na widok pistoletu Yasmin zamarła. Dopiero po upływie kilku sekund zdołała oderwać od niego oczy i spojrzeć na Leonie.

– Co... Co to, do diabła, jest?

– Pistolet, przecież widzisz – ofukała ją Leonie.

– Czy on jest... prawdziwy? – spytała Yasmin.

– To nie twoja sprawa, co mam w torbie. Gdybyś w nią nie weszła...

– Ja nic nie zrobiłam, tylko tu stałam – usprawiedliwiła się zła Yasmin.

– Stałam, stałam, to jedno potrafisz. Brakuje ci tylko fletni Pana.

– Odbiło ci? Rozmawiałam z Timem... No dobrze, może potrąciłam torbę stopą, przepraszam.

– Zrobiłaś to celowo. – Leonie pośpiesznie upchnęła pistolet w torbie i nagle pożałowała tego małego wybuchu złości. – Przepraszam, ja... nie jestem całkiem sobą. Mam tak od dwóch lat, kiedy zostałam napadnięta – wyjaśniła wyraźnie już delikatniejszym tonem. Timo i Yasmin spojrzeli na nią zdziwieni, ale o nic nie zapytali, więc Leonie kontynuowała: – Po tym, co się stało... Mam pozwolenie na broń. Wszystko jest tak, jak trzeba. Ale mimo wszystko wolałabym, żebyście nie opowiadali Philippowi i Vev o pistolecie, dobrze? Możecie to dla mnie zrobić? Mielibyśmy tu spędzić kilka wspaniałych dni.

Yasmin i Timo kiwnęli głowami, lecz na ich twarzach malował się wyraz powagi i zafrasowania.

Leonie poczuła, jak coś w jej wnętrzu zaciska się i tężeje. Było to coś agresywnego, gotowego do ataku, podobnego do zwiniętej, szykującej się do natarcia zmi. Różnica polegała jedynie na tym, że w tym wypadku agresja była wymierzona w nią samą.

„Lexotanił”, pomyślała Leonie. „Lexotanił”. Ale nie mogła na oczach Tima i Yasmin znów sięgnąć po lek. Nie mogła.

Wcisnęła palce prawej dłoni w ziemię niczym wgrzyzająca się w podłoże koparka i powiedziała:

– Glinka z Hiddensee. Występuje na całej wyspie. Jest bardzo znana. Czytałam o niej w przewodniku – powiedziała, po czym uformowała kulkę i dodała: – To dla ciebie, Timo.

– Dla mnie? Och, dziękuję. – Timo sięgnął po wilgotny prezent, tak jak wcześniej po rysunek, który nabazgrała dla niego Clarissa, ale w ostatniej chwili Leonie rozgniotła mu go na czole.

– Łap mnie! – krzyknęła i śmiejąc się, zaczęła biec.

Timo rzucił się w pogoń.

– No, poczekaj, niech tylko cię złapię.

Timo bez kłopotu dogoniłby Leonie, która w przeciwieństwie do niego nie była specjalnie wysportowana, ale po pierwsze wcale tego nie chciał, a po drugie Leonie szukała schronienia w zimnej, sięgającej po kolana wodzie. Wbiegła w nią w butach.

– Złap mnie, jeśli potrafisz – zawołała.

– Zwariowałaś – odpowiedział Timo, odskakując przed nadciągającą falą. – Będziesz całkiem mokra.

– Co, masz cykora?

– Dobra, wygrałaś. Obiecuję, że nie będę się mścił.

– I słusznie. Bo moja zemsta byłaby daleko straszliwsza od twojej.

Leonie wyszła z wody i opierając się na ramieniu Tima, zdjęła buty i podkolanówki. Potem podwinęła spodnie prawie do kolan.

– Wspaniale – jęknęła błogo, odgarniając z czoła kosmyk kasztanowych włosów.

– Jeden taki dzień nad morzem i jestem zupełnie innym człowiekiem.

Kiedy wrócili do domu, Vev stała na werandzie. Była tak zgrabna, że wywołałaby ukłucie zazdrości u samej Heidi Klum. W rękę trzymała szklankę napełnioną whisky, w której brzęczały i trzeszczały kostki lodu. Szczupły nadgarstek wprowadził je w ruch zgodny z biegiem wskazówek zegara. Vev miała na sobie małą czarną, leżącą na niej jak druga skóra. Jako nastolatka była śliczną dziewczyną i coś z tej dziewczęcej urody pozostało w niej do tej pory, ale Timo był nią zafascynowany również z innego powodu. Pociągał go w niej ów lekki cień, który kładł się na jej życiu, przyćmiewał urodę, mącił szczęście. Tym cieniem była ironia rysująca się na jej ustach, przebłysk smutku w jej oczach, zmarszczka niczym bruzda przecinająca gładką skórę jej czoła.

Clarissa na chwilę wpadła w objęcia matki, po czym wbiegła do domu. Była dzieckiem, a dla dzieci to, co się znajduje za drzwiami, jest zawsze ciekawsze – niezależnie od tego, po której stronie akurat stoją. Leonie, jako że była bosa i po kolana mokra, oświadczyła, że chciałaby przed jedzeniem wziąć prysznic, Yasmin zaś, od incydentu z pistoletem milcząca, jakby ujrzała ducha, teraz prawie bez słowa weszła do domu.

– Cześć, skarbie – powiedział Philipp i ucałował Vev. – Czy pani Nan przygotowała już kolację?

– Właśnie piecze mango. Pracuje z takim zapalem, że uciekłam, aby nie spłonąć.

- Może potrzebuje pomocy?
- Któż z nas jej nie potrzebuje?
- Skarbie...

Vev przewróciła oczyma.

– Pytałam, ale najpierw przez dwie minuty przepychała mnie po kuchni niczym kulę bilardową, a potem mnie wypędziła.

– Aha. Jemy za pół godziny? Aperitif, jak widzę, masz już za sobą.

Vev zrobiła minę, jakby słyszała to milion razy.

– Kiedy nadejdzie pora, uderzę w gong, milordzie.

– W takim razie idę do domu i sprawdzę, czy nikomu niczego nie brak.

Gdy Philipp zniknął w środku, Timo spojrzał na Vev. Po raz pierwszy zostali sami. Towarzyszyły im tylko grające w trawach cykady. Timo, któremu niektórzy dawali najwyżej trzydzieści lat, spoglądając na zachwycającą, czterdziestokilkuletnią Vev, pomyślał przez moment o Edypie – nieszczęsnym Greku, który zakochał się we własnej matce i od którego imienia wziął nazwę słynny kompleks. „Ciekawe – rozmyślał Timo – że sytuacja odwrotna, kiedy to młodsze kobiety szukają starszych, często nadzianych mężczyzn, uchodzi za naturalną i nikt nie opowiada o kompleksie Sknerusa McKwacza. A swoją drogą, historia Edypa nie skończyła się dobrze...”

Timo nie pozwolił, by wspomnienie postaci z greckiego mitu zbiło go z tropu, i w nagłym przyływie odwagi bezwstydnie spojrzał Vev prosto w oczy.

– Mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć – powiedziała Vev.

– Świetnie wyglądasz.

Vev wzruszyła ramionami.

– No wiesz, są niezłe laski i są szacowne starsze panie. Młodość ma swój czar, starość swój urok. Jest coś i w jednym, i w drugim. Pomiedzy czterdziestką i sześćdziesiątką jest za to jedno wielkie dno.

– Nie mów tak.

– Nie powinieneś w tej kwestii zabierać głosu, jesteś za młody. Wrócimy do tej rozmowy za dziesięć lat. Ja mogę przynajmniej włożyć czarną obcisłą sukienkę i zachowywać się, jakby czas stanął w miejscu. A ty...

– Obiecuję, że kiedy przyjdzie na to czas, spróbuję zrobić to samo.

Vev zaśmiała się cicho.

– Mówię poważnie – powtórzył Timo. – Świetnie wyglądasz.

Vev przez chwilę kołysała szklanką, wpatrując się w mieniącą się złotem whisky – zupełnie jakby szukała w niej rady. Oboje milczeli.

Timo wcisnął dłonie w przednie kieszenie spodni i wlepił wzrok w czubki butów. Jego odwaga znikła niczym uderzająca w brzeg fala. Nie był typem donżuana – chyba że pisał powieść. Jak prawie wszyscy jego koledzy po piórze, pisał między innymi dlatego, że mógł dzięki temu doświadczać uczuć i dokonywać czynów, do których w prawdziwym życiu nie byłby zdolny, czy też na które sobie nie pozwalał. Jego bohaterowie przeżywali gwałtowne porywy namiętności, stawiali wszystko na jedną kartę, wygrywali, przegrywali, porzucali dotychczasowe życie, wlatywali, spalali się, doświadczali miłosnych uniesień. Był dumny ze swoich bohaterów. I zazdrościł im. Gdyby był taki jak oni, zdobyłby się teraz na jakąś podszytą erotyką aluzję, może nawet dotknąłby Vev. Ale choć bardzo tego chciał, nie zrobił nic podobnego.

Czy Vev też tego chciała? Obawiał się, że nie. Poza bezwstydnym, intensywnym, wycelowanym prosto w niego spojrzeniem nic nie wskazywało na to, że była nim poważnie zainteresowana.

– Chodź, potrzebujesz drinka.

– Cóż, chyba faktycznie przyda mi się szklaneczka whisky.

Przytrzymała drzwi, żeby mógł wejść.

– Oto właściwe podejście! Jestem zdania, że era nowożytna rozpoczęła się wraz z wynalezieniem whisky.

Dom wypełniały dźwięki Buena Vista Social Club, na stole w jadalni migotały świece, lód brzęczał w szkle, a przez drzwi tarasowe wpadały płomienie zachodzącego słońca. W położonym na Hiddensee domu w mgnieniu oka zapanowała atmosfera tropikalnej nocy. W kuchni zwinne dłonie pani Nan szykowały kolację, rozsiewając wokół aromat trawy cytrynowej i curry, w salonie zaś pachniało winem, whisky i papierosami. Kiedy na dole pojawiła się świeżo wykąpana Leonie, do symfonii zapachów dołączyła woń jej szamponu. Pani Nan przygotowała na przekąskę pyszną sałatkę, jako danie główne krewetki na ryżu i zielonych liściach sałat, a na deser pieczone mango na liściach bananowca.

Clarissa przed pójściem do łóżka chciała pożegnać się z „ciocią Nian”, więc Timo poszedł z dziewczynką do kuchni i wraz z nią odpowiedział ukłonem na

ukłon kambodżańskiej gosposi. Timo, który w kontaktach z przedstawicielami innych kultur zawsze czuł się zobowiązany zachowywać się w sposób szczególnie grzeczny, obserwował panią Nan z wielkim zainteresowaniem. Gosposia, której wiek oszacował na jakieś sześćdziesiąt pięć, może siedemdziesiąt lat, miała posturę europejskiego dwunastolatka, szpakowate włosy spięte z tyłu głowy w koczek, głębokie zmarszczki i maleńkie usta gwiazdy niemego kina. Tym jednak, co najmocniej przykuło jego uwagę, były jej opuchnięte nadgarstki, których żółtozielonkawa barwa przywodziła mu na myśl kolory czekającego na stole deseru. Nikt z pozostałych nie zauważył tych siniaków i opuchlizny. Pani Nan miała na sobie fartuch, a pod nim czarną, pozbawioną jakichkolwiek ozdób sukienkę z długimi rękawami – taką, jakie noszą zwykle niedawno owdowiałe kobiety. Kiedy Clarissa na pożegnanie wpadła w jej ramiona, rękawy sukienki podniosły się, na chwilę odsłaniając nadgarstki. Pani Nan natychmiast spostrzegła, że Timo się im przygląda, poprawiła sukienkę i posłała mu spojrzenie, w którym wyrażała się może nie złość, ale przygana. Wkrótce potem opuściła dom.

Gospodarze i goście spędzili wspólnie wesoły wieczór. Mieszanina alkoholu, dobrego jedzenia i morskiego powietrza sprawiła, że początkowe skrępowanie szybko zniknęło. Oczywiście wszyscy mieli świadomość, że za trzy dni będą sobie wzajemnie działać na nerwy, ale uznali, że nie ma potrzeby irytować się już pierwszego dnia. Gdyby nie Vev, Timo być może żałowałby całej wyprawy, teraz jednak odczuwał podekscytowanie niepodobne do niczego, co przeżył do tej pory.

Były dwadzieścia dwie minuty po północy. Leonie od kilku minut siedziała przed lustrem i czesała włosy monstrualnych rozmiarów szczotką. Uwielbiała te uspokajające, rytmiczne ruchy. Uwielbiała zresztą cały ten wieczorny rytuał przed lustrem. W skórę dekoltu i bujnych piersi wtarła mleczko migdałowe, wyrwała kilka włosków z nieco przerośniętych brwi, usta pociągnęła bezbarwnym błyszczkiem i nałożyła krem na, jej zdaniem, zbyt mięsiste dłonie. Za uchem wtarła dwie krople o wiele za drogich jak na zarobki przedszkolanki perfum, po czym wślizgnęła się w luźną, lekko prześwitującą białą koszulę nocną. Czowała się w niej trochę jak chórzystka gospel, ale uważała, że wygląda bardzo szykownie. Na koniec położyła się na łóżku – nie przykryła się jednak ani nie zamknęła oczu.

Przez chwilę po prostu leżała. Przywoływała w myślach obrazy z minionego dnia. Na większości z nich pojawiał się Timo. Pierwsze spotkanie z Timem

w Berlinie... ona i Timo w samochodzie... ona i Timo na promie... ona i Timo na plaży... ona i Timo...

Nigdy nie zdobyła się na odwagę, by wyznać mu, co do niego czuje. Opowiedziała o tym jedynie swojej matce, nikomu więcej. Odkąd w szkolnych czasach jej adresowany do kolegi list miłosny obiegił całą klasę, najbardziej bała się ośmieszenia. W czasie kiedy obydwójce angażowali się politycznie, kilka razy była się z myślami, czy nie spróbować się zbliżyć do Tima, ale ostatecznie nigdy nie zebrała się na odwagę. Gdyby nie Timo, nie czekałaby, aż ich grupa się rozpadnie, tylko wystąpiłaby z niej sama, już rok wcześniej.

Tak czy inaczej nigdy nie identyfikowała się do końca z ideałami grupy, a przystąpiła do niej głównie z obawy przed samotnością. Po śmierci ojca, od której właśnie mijało osiemnaście lat, chciała uciec od dawnego życia. Wyjechała do Berlina, gdzie miała się rozmaitych zajęć, by związać koniec z końcem. Wkrótce zaczęła jej doskwierać samotność. Ponieważ kochała koty i miała w sobie dużo współczucia dla blakających się po mieście zwierząt, wstąpiła do organizacji niosącej pomoc kotom, a potem do organizacji ekologicznej. Tam poznała Tima, który mówił o potrzebie silnego zaangażowania. No to się zaangażowała – głównie z jego powodu.

Wbrew temu, czego się spodziewała, udział w rozmaitych akcjach ich grupy sprawiał jej dużą frajdę. Dobrze się bawiła, stojąc w strugach wody miotanych przez policyjną armatkę, dobrze się bawiła, kiedy rośli policjanci znosili ją z blokowanej jezdni, dobrze się bawiła, trzymając transparent nawołujący do bojkotu sieci odzieżowej handlującej futrami i przecinając włoki w Bremerhaven...

Leonie czuła w tamtym okresie, że jest wyjątkowa, silna, ekstrawagancka, że ma moc. Do czasu kiedy pewnego poranka obudziła się i poczuła, że jest zmęczona tymi wszystkimi akcjami. Niemalże w ciągu jednej nocy straciła całe zainteresowanie norkami, kurami, żabami, orłami, delfinami, bagnami, lasami i zbiornikami wodnymi. Powiedziała sobie, że i tak nic się w ten sposób nie osiągnie, a twierdzenie, że jest inaczej, to zwykłe mydlenie oczu. Uświadomiła sobie, że poświęciła godziny i dni na ochronę komarów, które potrafią zamienić ludzkie życie w koszmar, czy ratowanie ryb mających mózgi wielkości główki od szpilki. W Zielonej Zorze – ta nazwa już wtedy wydawała jej się idiotyczna – została jedynie ze względu na Tima. A on pewnego razu przyszedł i oświadczył, że

wkrótce wyjeżdża na dwa semestry do Lille. Potem wyprawił jeszcze imprezę dla czterdziestu osób i zniknął. Leonie wytrzymała w Berlinie jeszcze pół roku i w końcu wróciła do rodzinnego miasta.

Rzuciła okiem na komórkę i westchnęła tak głośno, że słyhać ją było w sąsiednim pokoju. Żadnych nieodebranych połączeń. Były trzydzieści cztery minuty po północy, zbyt późno, by dzwonić jeszcze raz do Steffena. Steffen był zastępcą szefa kuchni w firmie cateringowej, a zastępcy szefa kuchni mają zawsze najwięcej pracy.

Zastanawiała się przez chwilę, czy aby Steffen nie obraził się na nią, że nie spytała, czy chce jej towarzyszyć podczas wyjazdu na Hiddensee, ale szybko uznała, że podjęła słuszną decyzję. Cieszyła się, że zdecydowała się na tę podróż i spotkanie po latach, ponieważ teraz miała już pewność: Timo jest nią zainteresowany. Pewnych sygnałów nie sposób przeoczyć. Tego, że bez przerwy się do niej uśmiechał. Że za każdym razem siadał koło niej. To przecież nie był przypadek! Wdawał się z nią w słowne potyczki, wygłupiał się z nią na plaży, porównał ją do astra. A w Berlinie podarował jej nawet książkę z dedykacją: „Dla mojej Leonie, z serca”. Czy to nie oczywiste? Moja Leonie! Moja! Z serca!

Przepełniona szczęściem zgasiła światło, lecz natychmiast włączyła je ponownie i namierzyła wzrokiem torbę. Leżała na krześle. Położyła ją przy łóżku, w zasięgu ręki, na wypadek gdyby... Na żaden specjalny wypadek, ot tak, po prostu.

Rutynowo zajrzała do środka. Środki przeciwbólowe, zapalaki, lexotanil.

Zamarła. Przecież to niemożliwe.

W torbie nie było pistoletu. Gruntownie ją przetrząsnęła, lecz bez powodzenia. Broń zniknęła.

Leonie wstała, sprawdziła w łóżku, pod łóżkiem, w walizce, w kieszeniach kurtki przeciwdeszczowej, ponownie w torebce, jeszcze raz pod łóżkiem, pod szafką nocną, w szafie, w zewnętrznych kieszeniach walizki. Wymknęła się z pokoju, zajrzała do łazienki, przeszła przez korytarz, niezdarnie zeszła po schodach i wślizgnęła się do salonu. Sprawdziła wszystkie miejsca, gdzie w ciągu dnia choćby przez chwilę leżała jej torba. Pistolet zniknął.

– O Boże – mamrotała co chwilę pod nosem.

„Gdzie widziałas go po raz ostatni?”, zastanawiała się gorączkowo. „Ogarnij się! Na plaży, kiedy wysunął się z torby”. Mogłaby przysiąc, że go schowała

z powrotem. A jeśli nie? Może wypadł ponownie? Po drodze z plaży do domu?

Oczywiście musi poinformować natychmiast Philippa i Vev, bo możliwe, że zgubiła broń w domu. Mało prawdopodobne, ale nie wykluczone.

Co za blamaż! Co za lekkomyślność z jej strony! To nie powinno się było wydarzyć.

Powtarzała sobie, że jest idiotką, głupią krową, która niczego nie potrafi zrobić jak należy. Która zawsze psuje dobrą atmosferę. Która nie potrafi nawet dopilnować martwego przedmiotu.

Wybuchła płaczem i zaczęła okładać się pięścią po głowie. Cztery ciosy, pięć, sześć. Usiadła przy toalecie, prawą dłonią chwyciła pilnik do paznokci i patrząc na swe odbicie w lustrze, zaczęła go sobie wwiercać w lewe ramię.

7

Za oknem panował sierpniowy upał, ale w klimatyzowanym wagonie ICE można było na kilka godzin o tym zapomnieć. Siedziałam w pociągu wiozącym mnie z powrotem do Berlina i przez okno obserwowałam krajobraz północnej Hesji. Przed oczyma przelatywały mi wyschnięte zboża, kwadratowe pola obsadzone kapustą, głowiastą sałata, pszenicą i owsem, rozsiane po nich maszyny rolnicze ze skrzydłami rozpostartymi niczym u olbrzymich insektów, wioski z czerwonymi dachami i pobielonymi ścianami, lasy nieruchomych turbin wiatrowych okolone żółto-brązowymi połaciami trawy. Co jakiś czas pojawiały się też boiska, z których unosił się czerwony pył. Boiska podobne do tego, na którym grywał Benny.

Koszulki mojego brata przez całe lato wyglądały tak, jakby mecze rozgrywano na powierzchni Marsa. Nieraz miałam okazję przyglądać się temu, jak Benny z innymi chłopakami gonią za piłką, wznosząc tumany kurzu. Lubił, kiedy przychodziłam na mecz. Cieszył się, ilekroć mógł mnie obronić przed głupimi uwagami na temat moich grubych szkieł w okularach czy aparatu na zębach. Owszem, zachowywał się w takich momentach nieco teatralnie, niczym Tarzan broniący Jane, ale wtedy nie miało to dla mnie większego znaczenia. Benny był pierwszym w moim życiu bohaterem i nigdy, przenigdy nie zapomnę tego, jak w drodze do domu obejmował mnie spoconym jeszcze po meczu ramieniem, w drugiej ręce trzymając piłkę. Myślę, że w takich chwilach był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie pamiętam ani słowa z tego, co wtedy mówił, ale nigdy nie zapomnę wyrazu satysfakcji, który malował się na jego chłopięcej twarzy.

Moje myśli powędrowały od Benny'ego do mojego syna i zaczęłam się zastanawiać, cóż Jonas może w tej chwili porabiać. Mieszkał w Marburgu, kilka kilometrów od linii kolejowej, którą właśnie zmierzałam na północ, i przyszło mi do głowy, że mogłabym zrobić mu niespodziankę i go odwiedzić, choćby na chwilę. Może właśnie ślęczał w skwarze nad jakąś pracą. Albo szukał ochłody na basenie, podczas gdy dwie opalone dziewczyny na sąsiednim kocu lustrowały go

wzrokiem. Albo uprawiał seks w akademiku z koleżanką z roku. Albo z kolegą. Nie pierwszy raz zdałam sobie sprawę z tego, jak mało wiem o swym synu. I jak niewiele wiedziałam o jego życiu nawet wtedy, gdy jeszcze mieszkał u mnie. I jak mało generalnie wiemy o osobach, o których sądzymy, że dobrze je znamy.

– Cześć, mamó. Ale niespodzianka.

– Cześć! Pomyślałam, że zadzwonię. Przeszkadzam?

– Nie, absolutnie. Jestem na basenie.

Uśmiechnęłam się. Na końcu języka miałam pytanie, czy na sąsiednim kocu nie leżą przypadkiem dwie ładne dziewczyny.

– A ty? Gdzie jesteś?

– W pociągu, gdzieś w okolicach Fuldy.

– Cool, to przyjeżdżaj! Stawiam lody.

Ucieszyłam się z tego, że mnie zaprosił, a jeszcze bardziej z tego, że przyjemnie spędza czas na basenie, zamiast ślęczeć nad książkami. Bo o ile go znałam, tak właśnie robił przez ostatnie tygodnie.

– A gdzie będę spała?

– W moim łóżku, w akademiku, ja kimnę się gdzieś indziej.

– A wolno tak? To znaczy, czy ja mogę spać w akademiku?

– Nie, ale wyglądasz wystarczająco młodo, żeby wszyscy uznali cię za studentkę, która nie spieszy się ze zrobieniem dyplomu.

Zaśmiałam się.

– Lizus. Nie musisz się wysilać, przelew wyjdzie tak czy siak punktualnie.

– Nie ma pośpiechu. Mówię serio, wpadnij.

Byłam o krok od tego, żeby powiedzieć „tak”. Serce wyrywało mi się z radości na myśl o spotkaniu z Jonasem. Pomyślałam o tym, jak długą drogę przeszliśmy razem. Z wdzięcznością i pokorą wspominałam przyjęcia urodzinowe, na które zapraszaliśmy inne dzieci, torty, wspólne czytanie książek i rozmowy o nich, wspólne kupowanie ciuchów, z którego Jonas w pewnym momencie zrezygnował, plakaty coraz bardziej mi obcych gwiazd popu i rocka, debiut Jonasa w teatrze amatorskim, który dumnie obserwowałam z pierwszego rzędu, pierwszą przejażdżkę nowym motorowerem Jonasa, kiedy po raz pierwszy to ja trzymałam się jego, a nie on mnie. No i dzień wyprowadzki, w którym na godzinę świat się po prostu zatrzymał. I następny dzień, kiedy poczułam, że nie jestem już nikomu

potrzebna.

Jonas przeżył młodość, której nie było dane przeżyć Benny'emu.

– Wiesz co, mam to zlecenie – powiedziałam, choć tak naprawdę powtarzałam to, co mówił mieszkający w mojej głowie policjant, surowy cerber zaganiający mnie z powrotem do pracy. – Gniewasz się?

– No coś ty. Ale byłoby świetnie.

Przez kilka sekund oboje milczeliśmy. W końcu Jonas przerwał ciszę.

– Mamo, wchodzę do wody. Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?

– Nie, nic, wszystko w porządku. To na razie.

– Na razie, cześć.

– Kocham cię, wielkoludzie – zawołałam jeszcze, ale Jonas zakończył już połączenie.

Pociąg sunął z prędkością dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę, a krajobrazy przelatowały przed moimi oczyma jeszcze szybciej niż przedtem. Przejazdy kolejowe, drogi, drzewa. A w środku buzowały we mnie wszystkie możliwe emocje. Kiedy wjechaliśmy do tunelu, prawie się popłakałam, sama nie wiem dlaczego. „To zdecydowanie nie był twój tydzień, Doro”, pomyślałam. Ale tego wrażenia też nie potrafiłabym wyjaśnić, bo siedem ostatnich dni nie różniło się niczym od poprzedzających ich tygodni, miesięcy i lat.

Obok mnie usiadł jakiś gruby mężczyzna. Pocił się jak my wszyscy, a jego koszula, od czasu do czasu muskająca moje ramię, była nieprzyjemnie wilgotna. Kiedy podjął próbę nawiązania rozmowy, wyciągnęłam swoje papiery.

Włączyłam nagranie wywiadu z Margarete Korn i zaczęłam robić notatki: po ósmym roku życia już nigdy nie była szczęśliwa... zmienne nastroje... bóle głowy... zakochana w Timie S.... Steffen Herold, przystojny i zimny... ojciec zamykał w szopie... matka: okresy apatii... Potem przewinęłam nieco taśmę i włączyłam odtwarzanie w miejscu, w którym Margarete Korn powtórzyła kilka razy: „Powiedz jej to, Leonie, powiedz”.

Podczas gdy nagranie leciało dalej, kartkowałam dokumentację sprawy, którą zabrałam ze sobą, by mieć się czym zająć w podróży. W skąpych oświadczeniach prokuratury i policji, a także w zeznaniach osób, które przeżyły, próżno byłoby szukać informacji o tym, że ktoś widział, jak Leonie oddaje strzały. Także Yim przybył na miejsce dopiero, gdy już było po strzelaninie.

Powiedz jej to, Leonie, powiedz.

Wyciągnęłam wszystko, co udało mi się znaleźć na temat życia Philippa Lothringera, Tima Stadtmüllera i Yasmin Germinal – przede wszystkim informacje o tym, jak to się stało, że zostali aktywistami, i w jakich okolicznościach się spotkali. W przypadku Philippa Lothringera znalezienie odpowiedzi na te pytania nie było trudne, ponieważ w latach dwa tysiące pięć–dwa tysiące dziesięć w prasie branżowej ukazały się na jego temat trzy artykuły, a poza tym udzielił wielu wywiadów. Jego projekty doczekały się mnóstwa pochwał, choć znalazłam też głos krytyczny. „Lothringer nie chce albo nie jest w stanie sprawić, żeby jego budynek korespondował z otoczeniem. Jego budowle istnieją same dla siebie, projekty nie uwzględniają miejsca, w którym się znajdują, przez co wydają się jakby obcym ciałem”.

Philipp wywodził się z najniższych warstw społecznych, miał pięcioro rodzeństwa i całe dzieciństwo i młodość, czyli lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, spędził w Salzgitter. Jego ojciec nie posiadał żadnego wykształcenia i pracował jako robotnik, matka zaś była zatrudniona w tej samej fabryce jako sprzątaczką. W domu brakowało wszystkiego, szczególnie po tym, jak ojciec wskutek wypadku przy pracy stracił prawą rękę i musiał odejść z zakładu. Philipp jako jedyny z szóstki rodzeństwa zdał maturę. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku opublikował w jednym z berlińskich czasopism studenckich płomienny manifest nawołujący do przeciwstawienia się szerzącemu się neoliberalizmowi i wyzyskowi człowieka oraz przyrody. Tekst nosił tytuł: *Pozbyć się tych, którzy nie chcą pozbyć się biedy!*.

Przez kilka następnych lat Philipp udzielał się jako aktywista, po czym w jego biografii nastąpiła – również kilkuletnia – luka. W tym czasie z jakichś powodów zmienił poglądy na bardziej umiarkowane. Na jego stronie internetowej, nieaktualizowanej od dwóch lat, przeczytałam, że w latach dziewięćdziesiąt osiem–dwa tysiące jeden co najmniej czternaście razy startował w ogłaszanych przez władze miejskie konkursach na projekt budynków z mieszkaniami socjalnymi, lecz jego zgłoszenia za każdym razem były odrzucane. Projekty Philippa wydawały mi się świeże i nowoczesne, wyglądały zachęcająco. Jedyne zdjęcie, jakim dysponowałam, przedstawiało Philippa trzymającego opiekuńczą dłoń na główce małej roześmianej córeczki. Obok znajdował się najnowszy model mającego

powstać w Schwerinie centrum handlowego, wysokością dorównujący Clarissie.

Również informacje na temat Tima, podobnie jak to było w przypadku Philippa, w dużej mierze zawdzięczałam temu, że Internet niczego nie zapomina. Timo Stadtmüller urodził się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku w brandenburskim Wriezen. Z pochodzących sprzed sześciu lat zapisków na jego blogu dowiedziałam się, że był raczej słabym uczniem, a do tego niezbyt wysportowanym, w związku z czym nie cieszył się wśród rówieśników szczególnym poważaniem. Autor bloga skarżył się też na swoich rodziców, którzy nigdy nie wiązali z nim szczególnych nadziei, a także pisał o swoim chorobliwym lęku przed porażką. Co ciekawe, wpis ten Timo zamieścił dwa lata przed publikacją swojej pierwszej powieści, której nawiasem mówiąc, żaden z pytanym przeze mnie księgarzy nie kojarzył.

Przy okazji dowiedziałam się, że przed dwoma laty pisarz miał na Facebooku stu dwudziestu dwóch znajomych. Na swojej stronie internetowej, równie przestarzałej jak strona Philippa, Timo ze sporą dawką humoru pisał o sobie i swoim życiu. W moim odczuciu z jednej strony komunikował w ten sposób, że ma do siebie dystans, ale z drugiej strony czuło się, że zabiega o uznanie. Patrzyłam na szczupłego, niezbyt wysokiego mężczyznę, sympatyczną twarz i niebieskie oczy, na które opadały kosmyki blond włosów. W pierwszym odruchu miałam ochotę instynktownie go chronić.

Najtwardszy orzech do zgryzienia – przynajmniej z dziennikarskiego punktu widzenia – stanowiła Yasmin Germinal. Jeśli chodzi o jej pochodzenie, to dość szybko dowiedziałam się, że rodzina Germinal ma bardzo duże wpływy w Kraju Saary. Bliscy Yasmin posiadali tytuł szlachecki, prowadzili renomowaną kancelarię adwokacką oraz mieli udziały w prywatnym banku. Ponieważ dwójka jej rodzeństwa wychowała się w internatach, założyłam, że w jej przypadku nie mogło być inaczej. Brat Yasmin po wydarzeniach na Hiddensee przygotował na papierze firmowym kancelarii adwokackiej krótki komunikat, który następnie rozesłał faksem do prasy. W oświadczeniu tym wyjaśniał, że jego siostra w dniu swoich osiemnastych urodzin wyprowadziła się z domu rodziców i całkowicie zerwała kontakt z rodziną.

Przeczytawszy wszystko po kolei raz jeszcze, uznałam, że wiem już, jak to się stało, że w połowie lat dziewięćdziesiątych ścieżki tych trzech osób skrzyżowały

się i cała trójka zaangażowała się w ruch ekologiczny. Yasmin potępiała to, co reprezentowali jej rodzice, możliwe wręcz, że nienawidziła takiego modelu życia, Philipp wychował się w biedzie i chciał walczyć przeciwko wyzyskowi, Timo zaś dałby wszystko za poczucie przynależności i uznanie.

Pozostawało pytanie, jak w ten schemat wpisywała się Leonie. Moim zdaniem – nie bardzo.

Spojrzałam na zdjęcia, które podarowała mi jej matka. Leonie sprawiała wrażenie osoby ułożonej. Ubierała się, czesała, mieszkała i spędzała wakacje w sposób absolutnie zwyczajny i konwencjonalny. To pasowało do pozostałych informacji, które znalazłam na jej temat. Była porządną uczennicą, zdała małą maturę, nie rzucała się w oczy, nie miała hobby ani konkretnych oczekiwań zawodowych. Przedszkolanką została właściwie przez przypadek, gdyż wcześniej nie interesowała się dziećmi. Jej radykalne zaangażowanie w ochronę zwierząt i przyrody w moim odczuciu miało w sobie coś sztucznego. Zaczęło się i skończyło nagle. Nie było konsekwencją wcześniejszych wyborów ani nie znalazło żadnej kontynuacji, uznałam więc, że zaangażowanie w działalność aktywistów ekologicznych było jednym z przejawów owego kapryśnego usposobienia, o którym wspominała matka Leonie – podobnie jak przeprowadzka do Berlina, zakończona zresztą rychłym powrotem do rodzinnego miasta.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądało spotkanie tych ludzi owego wrześnieowego dnia przed dwoma laty. Yasmin dalej żyła dawnymi ideałami, Philipp był dobrze sytuowanym architektem mieszkającym w szklanym pałacu, a Timo niespełnionym literatem mającym się rozmaitych dodatkowych zajęć. Do tego humorzasta i wiodąca nudne życie Leonie. Czy to suma ich słabości doprowadziła do katastrofy?

Z tych szalenie zajmujących rozważań wyrwała mnie *La isla bonita* Madonny, czyli dzwonek mojej komórki.

– Kagel.

– Dzień dobry. Mówi doktor Klaus-Werner Mierow ze szpitala rejonowego w Bad Homburg. Zajmuję się panią Leonie Korn. Czy zna pani sprawę? Pani Margarete Korn zwolniła mnie z obowiązku dochowania tajemnicy lekarskiej i poprosiła, bym pilnie z panią porozmawiał. Biedna pani Korn wystarczająco dużo już przeszła, toteż, choć czynię to niechętnie, spełnię jej życzenie. Pani Korn dała

mi do zrozumienia, że ma pani pytania dotyczące jej córki i odniesionych przez nią ran.

Nie miałam w zanadrzu żadnych palących pytań. W kontekście mojego artykułu rana postrzałowa Leonie była malutkim, niespecjalnie interesującym szczegółem. Mój tekst miał dotyczyć innego rodzaju ran – ciosów, które Leonie otrzymała w młodości i które trzydzieści lat później oddała z tysiącokrotnie większą brutalnością komuś innemu. Interesowało mnie to, co na temat Leonie miałyby do powiedzenia Steffen Herold. Albo jej nauczyciele, inni uczniowie. Co mogły powiedzieć jej koleżanki z pracy. Lekarz prowadzący pacjentkę w śpiączce miał dla mnie marginalne znaczenie i było dla mnie jasne, że pani Korn zaangażowała doktora Mierowa tylko dlatego, że liczyła na to, iż ten potwierdzi jej słowa.

– Proszę mi opisać, panie doktorze, jakie rany miała pacjentka w chwili przywiezienia jej na oddział ratunkowy w Rostocku – powiedziałam nieco znudzonym tonem.

– Pani Korn miała poważną ranę postrzałową jamy ustnej i mózgu. To oznacza, że kiedy padł strzał, wylot lufy pistoletu znajdował się przy dolnej szczęce i był skierowany do góry. Pocisk przeszedł przez jamę ustną do mózgu. Szanse na przeżycie Leonie Korn od początku były bardzo nikłe. To cud, że jej stan udało się w ogóle ustabilizować, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że z powodu sztormu służby ratunkowe dotarły na miejsce dopiero następnego ranka. Oznaki życia były tak słabe, że początkowo ratownicy myśleli, że pani Korn nie żyje.

– Czy jest pan w stanie powiedzieć, w jakiej odległości od dolnej szczęki znajdował się wylot lufy?

– Nie mógł znajdować się dalej niż centymetr lub dwa.

– Czy pacjentka miała jakieś inne rany?

– Tak, w protokole odnotowano, że na lewym ramieniu miała ranę kłutą. Zadano ją cienkim przedmiotem, być może gwoździem. W ranie wytworzył się niewielki stan zapalny, zatem musiała zostać zadana przynajmniej jeden dzień przed postrzałem. Poza tym pacjentka miała kilka zadrapań na obydwu dłoniach. I jeszcze kilka lekkich przypaleń na obu piersiach. Żadna z tych ran nie stanowiła zagrożenia dla życia. Każdy laik mógłby je wyleczyć za pomocą jodyny i plastra. Oprócz świeżych ran na ciele Leonie Korn znajdowały się liczne, dawno już zagojone blizny. To oznacza, że albo pani Korn uprawiała jakieś hobby, które

tłumaczyłoby dużą liczbę skaleczeń, albo była maltretowana, albo dokonywała samookaleczeń.

– Rozumiem.

– Pani Korn miała też stłuczenie w prawym kąciku ust i powstała w jego wyniku opuchliznę. Do stłuczenia doszło w tym samym dniu co do przypalenia i postrzału i było ono wynikiem ciosu albo przypadkowego uderzenia.

– Czyli stłuczenie mogło powstać, kiedy pańska pacjentka po strzale osunęła się na podłogę? Albo w walce?

– Dokładnie tak.

– Dziękuję panu, to byłoby już wszystko. Do usłyszenia.

Informacje, które przekazał mi doktor Mierow, zmieniły moje nastawienie do Leonie Korn i wydarzeń na wyspie tylko w tym sensie, że stwierdziłam, iż w swoim artykule powinnam wspomnieć o drobnych, starych ranach, którymi usiane było ciało Leonie.

Poszlaki w dalszym ciągu przemawiały przeciwko niej, i to nie tylko dlatego, że wzięła ze sobą na Hiddensee pistolet. Również relacje i spostrzeżenia świadków stawiały Leonie w nie najlepszym świetle. Wszystko wskazywało na to, że to ona jest sprawcą. Z jednym zastrzeżeniem: nikt nie był obecny przy tym, jak padły strzały. O tym, że padły, świadczyły natomiast ciała zabitych – jedno na progu drzwi wejściowych domu i dwa na górze – oraz ofiara nieudanej próby samobójczej, czyli Leonie.

A jednak...

Otwórz oczy. Spójrz na tę kobietę i powiedz jej prawdę.

– Jest pani lekarką albo dziennikarką, prawda? – spytał mój sąsiad.

W jego oczach spostrzegłam błysk nadziei, że oto rozpoczyna długą rozmowę, która pozwoli mu zabić nieco czasu, a może przyniesie coś jeszcze.

– Nie – odpowiedziałam. – Prowadzę zakład pogrzebowy.

W ten sposób raz na zawsze uwolniłam się od wścibskiego sąsiada.

Chwilę później moja komórka ponownie się odezwała.

– Dzień dobry, tu Yim.

W drodze do Frankfurtu nagrałam na jego pocztę głosową wiadomość, że jestem zmuszona odwołać nasze wieczorne spotkanie.

– Gdzie pani jest?

– Wracam ze spotkania, jestem gdzieś w okolicach Getyngi.

– W takim razie za mniej więcej półtorej godziny będzie pani w Berlinie. Odbiorę panią z pociągu, pojedziemy do mojej restauracji, a tam dostanie pani wszystko, na co tylko przyjdzie pani ochota.

– Właściwie jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to położyć się spać. To był bardzo męczący dzień.

– Nie jest pani głodna? Czy może wolałaby pani się napić?

Prawda była taka, że byłam głodna. Dochodziła dziewiąta wieczorem, a ja przez cały dzień zjadłam jedynie pół bułki na śniadanie, a potem kanapkę w szpitalnej kafejce. Zrobiłam w myślach inwentaryzację swojej lodówki: jedno jajko na twardo, tubka koncentratu pomidorowego, słoik dżemu jeżynowego i ostatni, obeschnięty na brzegach plaster żółtego sera. Gdzieś powinnam mieć jeszcze woreczek ryżu. Co mogłam sobie z tego przyrządzić? Rissotto na owocach leśnych con formaggi?

– Będzie strasznie późno – zauważyłam. – Nie chcę, żeby z mojego powodu...

– W takim razie umawiamy się około wpół do jedenastej na Dworcu Głównym. Będę czekał przed sklepem z czekoladkami na drugim piętrze galerii handlowej. Lubi pani czekoladę?

– Jestem kobietą.

– Jasne. Do zobaczenia.

Na kilka minut przerwałam pracę, oparłam się wygodnie, zamknęłam oczy i podjęłam próbę wykrzesania z siebie choć odrobiny entuzjazmu na myśl o wspólnym wieczorze. Po części mi się to udało, ale wciąż nie dawały mi spokoju niemiłe wrażenia całego dnia: wspomnienie szpitalnego pokoju i pogrążonej w śpiączce Leonie, wywiad przeprowadzony ponad jej ciałem i to, co mówiła matka Leonie, jej wykręty, ból, żaloba i smutek, samobójstwo ojca Philippa, całkowite odseparowanie się Yasmin od jej rodziny, kompleksy Tima. Czułam, jakby minione godziny niczym głązy zalegały w moim żołądku i mojej głowie. Nie byłam w stanie przestać o nich rozmyślać.

Yim czekał na mnie z bukietem czekoladowych kwiatów, z których każdy był małym dziełem sztuki: opakowane w folię białą, czerwono nakrapiane róże jak z porcelany, na dwudziestocentymetrowych łądygach.

– To naprawdę nie było konieczne...

– Gdyby człowiek robił w życiu jedynie to, co konieczne... – powiedział Yim, po czym zmienił temat: – Wygląda pani na zmęczoną. Postaram się jakoś poprawić pani nastrój.

Dobrze czułam się w jego towarzystwie i właśnie dlatego dręczyła mnie myśl, że powinnam mieć wyrzuty sumienia. Było oczywiste – choć dla mnie zarazem nieco zaskakujące – że Yim chce czegoś więcej, niż tylko mnie przeprosić czy podtrzymać luźną znajomość. Właściwie nie był w moim typie – wołałam szwedzkich blondynów albo barczystych mężczyzn przypominających braci Kliczko. Ojciec Jonasa, z którym przed dwudziestoma trzema laty miałam przelotny romans, był właśnie takim postawnym facetem. Lewą połowę ciała miał kompletnie pokrytą tatuażami węży, broni, kotwicy i ornamentów roślinnych. Tatuaże te miały w założeniu opowiadać historię poszukiwania własnego ja – począwszy od służby w Legii Cudzoziemskiej przez dwa lata na morzu aż po rok w brazylijskiej dżungli.

Jak widać, zawsze pociągały mnie burzliwe historie, i być może dlatego czułam taką bliskość z Yimem. Nie przeszkadzało mi nawet to, że w swojej sportowej elegancji i egzotycznej urodzie przywodził na myśl raczej bollywoodzkiego aktora niż szwedzkiego blondyna. Mimo to trzymałam się podjętego tego przedpołudnia postanowienia: nie mam ochoty na nawiązywanie nowych znajomości z mężczyznami i nie jestem gotowa na żadną inwestycję w sferze uczuciowej. Kłopoty sercowe były ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam w swoim pełnym stresów życiu, a wiedziałam aż nadto dobrze, że miłość i kłopoty sercowe to bliźnięta syjamskie, które wielu już próbowało bez skutku rozdzielać.

A jednak nie byłam w stanie całkowicie oprzeć się czarowi Yima.

– Proszę zapomnieć o męczącym dniu – powiedział Yim, kiedy jechaliśmy taksówką. – Proszę myśleć tylko o tym, że czeka na panią pyszne jedzenie i zimne drinki, o niczym innym. Woli pani potrawy pikantne czy raczej łagodne?

– Jeśli chodzi o kulinaria, to należę do partii kokosowej. Lubię potrawy kremowe i delikatne. Z kolei w kwestii drinków normalnie opowiadałabym się za partią miłośników campari, czyli smakiem lekko wytrawnym, ale dzisiaj mogę się zapisać do partii „wszystko mi jedno”.

– Bar należy do pani. Przez kilka godzin może pani w nim robić, co tylko zechce.

– Ostrzegam, że to z pana strony bardzo lekkomyślne. Pozostali goście raczej nie byliby w stanie znieść tego, na co mam dzisiaj ochotę.

– A na co miałyby pani ochotę?

– Puścić płytę Rolling Stonesów i podkręcić dźwięk na cały regulator.

Yim uśmiechnął się, a ja dziesięć minut później zrozumiałam dlaczego. Restauracja Sok sebai te była zupełnie pusta, bo w poniedziałki lokal był zamknięty. Yim otworzył drzwi i od razu włożył do odtwarzacza kompakt Stonesów. Sam fakt, że ją miał...

– Odtwarzacz, bar i cała sala należą do pani. Ja będę pani kucharzem, więc na dwadzieścia minut znikam w kuchni.

Po tych słowach Yim przywdział słomkowy kapelusz, który wisiał na ścianie, trzy czy cztery razy uklonił się nisko niczym chiński parobek i poszedł sobie.

Tak, potrafił być naprawdę zabawny i miał fantazję – bo czyż nie potrzeba fantazji, by oddać mi we władanie całą restaurację i pozwolić na wszystko, co tylko mi przyjdzie do głowy? Przez chwilę zastanawiałam się, czy powinnam się pohamować, ale uznałam, że nie ma takiej potrzeby. Włączyłam *19th Nervous Breakdown* i podkręciłam głośność na trzy czwarte, aż szklanki i kieliszki w regale zaczęły drżeć, co sprawiło, że przyszły mi do głowy kolejne pomysły. Zrobiłam sobie truskawkowe daiquiri i zaczęłam podrygiwać do dzikiego rytmu muzyki, przybierając pozy, o których istnieniu prawie już zapomniałam. Moje długie włosy wirowały w powietrzu, a wargi wykrzywiały się w niemych okrzykach wokalu. Za mikrofon służyła mi pusta szklanka po toniku.

Kwadrans później, trzymając w dłoni drugie daiquiri, popadłam – głównie z powodu fizycznego zmęczenia – w inny nastrój. Włączyłam płytę Enyi, zapaliłam dwie świece i usiadłam na barze, muskana powiewami powietrza poruszanego przez zwisający z sufitu kolonialny wentylator. Cieszyłam się, że przyjąłam zaproszenie, a wizja powrotu do pustego mieszkania napawała mnie lękiem.

Yim wysunął głowę z kuchni i spytał, czy wszystko w porządku.

– Jak najbardziej. Ma pan też jakąś kambodżańską muzykę?

– Oczywiście. Ale czy naprawdę ma pani ochotę słuchać strojenia skrzypiec i lamentujących kobiet?

– Dobrze, następne pytanie: ile jeszcze to potrwa?

– W mig do usług, łaskawą pani. Mistrz Yim pospieszą się i w pięć minut

podadzą pyszna posiłek. Pani się przygotować na kulinarna doznanie.

– Zatem ja czekamy z niecierpliwością – odpowiedziałam, a głowa Yima ponownie zniknęła za drzwiami.

Widząc, że na ścianie wisi jeszcze jeden słomkowy kapelusz w kształcie piramidy, spontanicznie sięgnęłam po niego i wetknęłam go sobie na głowę. Uskrzydłona dwiema szklankami daiquiri i zachętą gospodarza, porzuciłam resztki skrępowania i poczułam się jak rozbrykane dziecko. Z kapeluszem na głowie przejrzałam się w barowym lustrze i parsknęłam śmiechem.

Tuż obok lustra wisiały dziesiątki zdjęć. Niektóre z nich były czarno-białe, ale większość stanowiły kolorowe odbitki. Można było na nich prześledzić, jak zmieniał się Yim od dzieciństwa aż do terażniejszości. Ostatnie fotografie pochodziły sprzed kilku lat: otoczona balonami głowa Yima podczas otwarcia jego restauracji, trzydziestopięcioletni Yim na nartach wodnych – prawdziwe ucieleśnienie radości życia – Yim i śliczna jak malowanie młoda blondynka podczas górskiej wędrówki, zamyślony Yim przy jakimś grobie, Yim obok starszej Azjatki – pani Nan.

Matka Yima wyglądała na wszystkich zdjęciach bardzo nieprzystępnie, niemalże surowo, ale sposób, w jaki trzymała dłoń syna, przyciskając ją do swego policzka, wyrażał ogromną czułość – coś, czego się po niej nie spodziewałam, choć przecież jej wcale nie znałam. Ta matka kochała swojego syna, a on kochał ją. To samo można było wywnioskować z innych zdjęć, na których Yim był jeszcze nastolatkiem. Pani Nan znajdowała się na mniej więcej jednej trzeciej odbitek, natomiast na żadnej nie znalazłam jej męża.

Osobisty charakter fotografii bardzo mnie zdziwił. W innych restauracjach i barach wieszają się na ścianach zupełnie inne zdjęcia – zwykle są to fotografie właściciela z wpływowymi osobistościami i celebrytami odwiedzającymi jego lokal. Yim natomiast pokazywał gościom swoje życie we wszystkich możliwych odsłonach. Ta ściana, podobnie jak wytatuowana lewa połowa ciała ojca mojego syna, opowiadała jakąś historię. I jak każda dobra historia – pozostawiała wystarczająco dużo przestrzeni na snucie własnych domysłów.

Najbardziej poruszyła mnie fotografia w prawym górnym rogu. Mniej więcej dwunastoletni Yim stoi na murawie w żółtej koszulce, spoglądając w górę, na piłkę, która tańczy na jego głowie. To zdjęcie ostatecznie uzmysłowiło mi, że coś

nas łączy, że oboje opłakujemy swych bliskich zmarłych. Zabrałam zdjęcie z tablicy, by mu się dokładniej przyjrzeć.

Za siatką bramki stały dwie postacie: pani Nan i – no proszę, a jednak – jej mąż. Próbował się jeszcze odwrócić, ale było za późno. Ktoś nacisnął już spust migawki. Dlaczego pan Nan nie lubił się fotografować? Owszem, nie był zbyt fotogeniczny – miał figurę rytualnego głazu umieszczonego na szczudłach: malutką główkę, drobne ramiona, wydęty brzuch i patykowate nogi, które jakimś cudem były w stanie udźwignąć ciało. Nie sprawiał też wrażenia osoby próżnej czy wyniosłej, o czym świadczył jego niechlujny wygląd: koszula niedbale wpuszczona w spodnie, które ledwie się utrzymywały na jego biodrach, i brudne, zaczesane z przedziałkiem włosy. Pomiedzy nim a jego schludną, patrzącą prosto w obiektyw aparatu małżonką rozpościerał się cały kontynent, choć stali przecież tuż obok siebie. Między nimi, na pierwszym planie, znajdował się ich syn.

Dlaczego Yim wybrał właśnie to zdjęcie, by je powiesić na ścianie?

Wkrótce okazało się, że w szumnych zapowiedziach Yima nie było żadnej przesady. Przygotował hamok trei, czyli filety rybne w sosie kokosowym z cebulą i papryką, doprawione czosnkiem, imbirem i trawą cytrynową i podane na liściach bananowca. Potrawa trafiała dokładnie w mój gust. Mimo to po dziesięciu kęsach byłam już pełna i jadłam jedynie z grzeczności. Za to trzecie daiquiri wypiałam bez najmniejszego trudu.

– Podziwiałam przed chwilą tablicę z pańskimi zdjęciami – powiedziałam. – Pańską rodzinę, przyjaciół, fotografie z pana młodości.

– Tak, galeria wciąż się rozrasta. Proszę mi przypomnieć, żebyś potem zrobił pani zdjęcie.

– Mnie? W takim opłakanym stanie? Uchowaj Boże!

– Spokojnie, pozwolę pani autoryzować zdjęcie, a poza tym proszę nie opowiadać o opłakanym stanie. Zresztą jeśli zsunie pani kapelusz mocno na czoło, nikt pani nie rozpozna.

– A więc to tak! Mam mieć na sobie kapelusz? – zaśmiałam się i aby nie psuć zabawy, przystałam na propozycję Yima, a po chwili zmieniałam temat: – Kim jest ta piękna kobieta, z którą pan... – tu dopadła mnie czkawka – wędrował po górach? Zdaje się, że jestem już trochę pijana.

Yim uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Tak, pani jest trochę pijana, a ta piękna kobieta, to moja ówczesna partnerka. Miała na imię Martina.

– Miała?

– No cóż, przed siedmioma laty zmarła.

Auć, co za gafa!

– Bardzo mi przykro, ja... nie powinnam była tyle pić... Może lepiej, jak sobie już pójdę.

– Nie, dlaczego? Chciała się pani dowiedzieć czegoś o moim życiu i przy okazji natrafiła na jakiś bolesny temat. Cóż, tak bywa, nie dajmy się zwariować.

– No dobrze, ja... uważam, że to naprawdę poruszające, że powiesił pan zdjęcie jej grobu.

– To nie tak. Na zdjęciu jest grób mojego dziadka, w Anglii. Ojciec mojej matki był marynarzem z Bristolu, który przespał się z połówą Indochin. Jestem, że się tak wyrażę, wnukiem Madame Butterfly.

A więc to dlatego Yim miał nie do końca azjatyckie rysy.

– Pańska matka fizycznie nie odziedziczyła zbyt wiele po swoim ojcu – zauważyłam.

– Zgadza się. W jej wypadku wzięły górę azjatyckie geny, a w moim przeważają te europejskie.

– Jaki ojciec, taki syn – powiedziałam i spostrzegłam, że Yim przez kilka sekund trawił to zdanie, po czym na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Rozmowa na moment ucichła. Zrobiło mi się żal, bo dotąd wieczór przebiegał wprost idealnie.

Po chwili przerwałam milczenie:

– Spotkałam się dzisiaj z matką Leonie Korn.

„Niedobrze – pomyślałam – bardzo niedobrze”. Dlaczego zaczęłam akurat od tego? Spośród wszystkich tematów wybrałam właśnie ten najbardziej drażliwy, co gorsza, to była już druga taka wpadka. Mogłam przecież spytać o kambodżańską kuchnię, o narty wodne, o historię Indochin, o to, jak to jest być wnukiem Madame Butterfly. Mogłam też opowiedzieć coś o sobie, o swojej pracy... Właśnie, pracy – to było słowo klucz. Instynktownie zaczęłam od czegoś, co cały czas kołatało mi się w głowie. Nawet miła egzotyczna atmosfera, Yim, liście bananowca, drinki i Stonesi nie byli w stanie sprawić, bym oderwała się od rzeczywistości. Moja

praca była jak grawitacja – zawsze ściągała mnie z powrotem na ziemię.

Na szczęście wbrew moim obawom Yim nadal był rozluźniony.

– O tym właśnie mniej więcej pomyślałem, kiedy wspomniała pani o spotkaniu w Hesji. Zdaje się, że Leonie Korn leży w klinice gdzieś w górach Taunus, prawda?

– W Bad Homburg. Jej matka nalegała, żebyśmy się spotkały przy... – Prawie powiedziałam „łożu śmierci”. – W obecności Leonie. Muszę powiedzieć, że to było dość dziwne.

– Cóż, sama Leonie Korn też była dziwna. W czasie tych kilku dni na Hiddensee nie poznałem jej dobrze, ale... Nie przychodzi mi do głowy odpowiednie słowo. W jakiś specyficzny sposób wprowadzała wokół siebie niepokój i zamęt, i to od pierwszej chwili. Przypadkowo byłem świadkiem ostrej kłótni pomiędzy nią a Vev. Powodem był pistolet, który Leonie gdzieś zawieruszyła.

– Matka Leonie powiedziała mi dzisiaj, że jej córka nie byłaby zdolna do takiego czynu.

– Trudno jej robić z tego powodu jakiekolwiek wyrzuty. Dziewięć na dziesięć matek nie dopuściłoby do siebie myśli, że ich dziecko mogło brutalnie i zupełnie bez sensu zabić. Ale pani nie wierzy matce Leonie, prawda?

– Zbyt wiele przemawia przeciwko Leonie – odpowiedziałam, próbując przy okazji rozwiać swoje własne wątpliwości. – Przystudiowałam akta sprawy i doszłam do tego samego wniosku co policja. A jednak... Uważam, że za mało wiem o tym, co działo się w dniach poprzedzających morderstwo, jak rozwijała się sytuacja. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że Leonie pojechała na Hiddensee już z zamiarem popełnienia morderstwa. Musiało się zdarzyć coś, co wyprowadziło ją z równowagi do tego stopnia, że była gotowa zabić.

– Jak wspomniałem, zamieniłem z Leonie Korn może z dziesięć zdań.

Spojrzałam do pustej szklanki. Bałam się, że rozzłoszczę Yima, ale czułam, że muszę go o to zapytać.

– Pana nie interesuje, co sprawiło, że Leonie Korn stała się morderczynią, prawda?

– Nie bardzo – odpowiedział, grzebiąc w talerzu. – Proszę zrozumieć, zabolaloby mnie, gdybym się dowiedział, że zrobiła to z jakiegoś banalnego powodu. Że ktoś ją uraził przezwiskiem, nadepnął jej na odcisk, naśmiewał się z jej ulubionego

piosenkarza... Co to ma za znaczenie? Leonie mordowała jak leci, a moja matka miała pecha, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Możliwe... Ale mogło być też tak... – Alkohol sprawił, że zdobyłam się na wyartykułowanie myśli, która co prawda dojrzewała we mnie po cichu od kilku dni, lecz kryła się tak głęboko w podświadomości, że dla mnie samej była czymś nowym. – Mogło być też tak, że Leonie nie mordowała, jak leci, ale wybierała swoje ofiary. I że to, co wszyscy uznają za amok, wcale nie było amokiem albo było nim jedynie częściowo. Może Leonie dokładnie sobie przemyślała, kto i za co powinien odpokutować.

– Odpokutować? Za co?

– Właśnie to mnie ciekawi. Bardzo chciałabym popłynąć na Hiddensee, obejrzeć miejsce zbrodni, porozmawiać z kilkoma osobami, zrekonstruować przebieg niektórych wydarzeń, poczuć atmosferę...

– Zdaje się, że już słyszę „ale”.

– Sama nie wiem. Bardzo możliwe, że plotę bzdury, popadam w szaleństwo, widzę duchy.

Yim upił łyk z ledwie tkniętego do tej pory mekong sunset.

– W tej historii na każdym kroku czają się duchy – powiedział, a po chwili dodał: – Nieźle go pani zmieszała, smakuje dokładnie, jakbym ja go przygotował.

– Może jesteśmy pokrewnymi duszami – powiedziałam z pozoru żartobliwie, a tak naprawdę zupełnie serio.

Przez kilka sekund milczeliśmy. Kończyła się ostatnia piosenka Enyi. Nagle to nastrojowe pomieszczenie zaczęło mnie przytłaczać. Poczulałam się zduszona przez natłok myśli. Chętnie pojechałabym na Hiddensee, ale nie wiedziałam, czy to cokolwiek da. Poza tym podróż wiązała się z wydatkiem co najmniej dwustu euro na dojazd i noclegi, czego nie uwzględniłam w swoim budżecie, a moje pojawienie się na Hiddensee podniosłoby kurz, który dopiero co osiadł, co mogłoby być bolesne dla Yima i pośrednio również dla mnie, gdybym jednak zdecydowała się z nim jakoś związać. Pytanie, czy tego chciałam.

Właściwie nie.

Właściwie tak.

– Tak czy inaczej planowałam w najbliższych dniach jechać na Hiddensee – powiedział Yim. – Jeżdżę tam każdego roku. Wie pani, jak wygląda Berlin

w sierpniu: wszyscy na urloпах, w interesie kompletny zastój. Jeżeli zdecyduje się pani jechać, służę transportem.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Jeśli chodzi o noclegi, to na Hiddensee jest z tym dość krucho. Umiarkowany ruch turystyczny, mało miejsc noclegowych i do tego wakacje. Jeśli nic pani nie znajdzie... W sumie może pani bez problemu zamieszkać w moim dawnym pokoju.

– W domu pańskiego ojca? – Na samą myśl o tym poczułam się nieswojo. O tajemniczym ojcu Yima wiedziałam jedynie to, że przez telefon ma zwyczaj nic nie mówić, a jedynie ciężko oddychać.

– No nie wiem. A gdzie pan będzie spał?

– Na kanapie, w salonie.

– A co jeśli pana ojciec odmówi mi gościny?

– Porozmawiam z nim. Jestem pewien, że nie odmówi.

Nie byłam do końca przekonana, a mój wewnętrzny strażnik odradzał ten wyjazd. Strażnicy jednak mają to do siebie, że nikt ich nie lubi i potrafią wywołać zgoła przeciwną reakcję.

– Dlaczego pan to robi? – spytałam.

– Dlaczego pani przyszła tutaj dziś wieczorem? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – No widzi pani. Właśnie dlatego.

Wrzesień 2010 r.

Kiedy następnego ranka Timo zszedł o wpół do dziewiątej na dół, Vev właśnie nakrywała na werandzie stół do śniadania. Timo dołączył do niej i korzystając z okazji, dosłownie pożerał ją wzrokiem. Spokój, z jakim Vev układała i przesuwała sztuczce czy talerze, wzbudził w nim taką falę podniecenia, że wystarczyłby sam jej widok, by zrobił sobie dobrze.

Poranek był jak z pocztówki: na niebie żadnych chmur, kwitnące dzikie róże, lekki wietrzyk, na stole piękna porcelana, dwa dzbanki kawy, dzbanek herbaty, tysiąc różnych rodzajów dżemów i koszyk pachnących bułeczek.

– Przeczytałam twoją książkę – powiedziała Vev.

– Przez jedną noc?

Vev wzruszyła ramionami.

– To dwieście trzydzieści dziewięć stron. Czytałam do trzeciej. Philipp marudził, ale było mi wszystko jedno. Podobają mi się twoi bohaterowie. Są błyskotliwi, sarkastyczni i nieco szaleni. Akcja trzyma w napięciu, chociaż rozgrywa się w pozornie nudnym środowisku mieszczańskim. Atmosfera przypomina mi nieco filmy Chabrola.

– Dziękuję. Jesteś fanką Chabrola?

– Zanim poślubiłam Philippa, byłam nauczycielką francuskiego.

– O! A ja studiowałam romanistykę!

– Widzisz? Jeszcze jedna wspólna rzecz.

Vev nie wyjaśniła, jakież to inne „wspólne rzeczy” zauważyła – a fakt, że nie musiała tego tłumaczyć, sam w sobie był jedną z tych „wspólnych rzeczy”.

Timo postanowił zaryzykować.

– Yasmin jako ekspertka od ezoteryki powiedziałaaby w tej chwili, że jesteśmy pokrewnymi duszami.

Vev, ku wielkiemu rozczarowaniu Tima, nie zagłębiła się w tę kwestię.

– Bardzo lubię Yasmin. Podziwiam w niej to, że nie udaje kogoś, kim nie jest. Dla mnie może sobie wyznawać wiarę w magię kamieni czy nawet praktykować pięć wielkich religii świata naraz i być przy tym zdeklarowaną marksistką, a i tak będę darzyć ją wielką sympatią, chociaż jestem daleka od jej poglądów.

Timo nie chciał rozmawiać o Yasmin, ale z zadowoleniem spostrzegł, że również w kwestii nastawienia do Yasmin zgadza się z Vev. Nie miał jednak pomysłu, jak skierować rozmowę na temat pokrewieństwa ich dusz.

– Philipp nie bardzo się z nią dogaduje, prawda? Jest zły, że przywiozłem ją, nie pytając go wcześniej o zdanie?

– Ach, Philipp... – powiedziała Vev. – Dla niego konwenanse to coś bardzo istotnego, dla Yasmin natomiast, na ile jestem to w stanie ocenić, są one jak piąte koło u wozu. Znam ten gatunek ludzi z dawniejszych czasów i rozumiem ich podejście do życia, choć sama nie mam ich odwagi i konsekwencji.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie: jest zły?

Timo i tym razem nie doczekał się odpowiedzi, ponieważ z domu dobiegły dźwięki jednego z koncertów mandolinowych Vivaldiego.

– Philipp zszedł – powiedziała Vev i rzeczywiście, po chwili jej mąż zjawił się na werandzie.

Usiedli do wspólnego śniadania. Czarny kocur Morrison zaczepiał Tima, wskakując mu na kolana, Nena próbowała się dorwać do sera, za nic mając sykanie Philippa, a Piaf wybiegła na powitanie Yasmin. Brakowało tylko Leonie, która z łazienki dla gości zawołała, że potrzebuje jeszcze chwilę i że mogą zacząć bez niej. Zjawił się za to syn pani Nan, który poprzedniego dnia przyjechał w odwiedziny z Berlina. Mała Clarissa błagała, by Yim – bo tak miał na imię niespodziewany gość – zakręcił nią w powietrzu niczym na karuzeli, a on chętnie spełnił to jej życzenie. Dziewczynka i Yim wyglądali na bardzo zżytych, a ich wspólne wybuchy śmiechu zarażały innych. Krótko mówiąc: atmosfera przy stole była niemal żywcem przeniesiona z reklamy margaryny.

Wszyscy z apetytem sięgali po bułeczki z makiem i dżemy i za pomocą kofeiny próbowali się postawić na nogi. Musieli być w formie, bo Philipp zaplanował już dla nich cały dzień: najpierw mieli pojechać rowerami do latarni morskiej na północy wyspy, a potem program zakładał dalsze zwiedzanie, obiad w restauracji serwującej ryby i godzinę opalania.

– A co powiedzielibyście na ognisko? Na plaży, dzisiaj wieczorem? – zaproponowała Yasmin.

– Myślę, że na plaży nie wolno palić ognisk – zauważył Philipp.

Yasmin spojrzała na niego, jakby mówił po chińsku.

– Czyli zaklepane – powiedziała. – Yim, ty też przyjdiesz, okej? Szkoda, że nie zabrałam swojej grzechotki, moglibyśmy razem coś zagrać. Ma ktoś może przy sobie przez przypadek fletnię Pana?

– Moja jest akurat w naprawie – odpowiedziała sucho Vev, na co wszyscy zareagowali śmiechem.

W tym samym momencie z domu wyszła Leonie.

– No jesteś! – zawołała Vev, która zauważyła ją jako pierwsza. – Usiądź pomiędzy mną a Philippem. To jest Yim, syn pani Nan.

Leonie przywitała się z Yimem, lecz wydawała się jakby nieobecna.

– Muszę wam się do czegoś przyznać – powiedziała. – Wam wszystkim, ale w szczególności Philippowi i Vev. Byłoby lepiej... – Spojrzenie Leonie spoczęło na Clarissie.

Vev w mig zrozumiała, co Leonie ma na myśli.

– Clarisso, możesz iść się pobawić – zwróciła się do córki, po czym obtarła jej buzię i palce upačkane trzema rodzajami dżemu. – Tylko nie dalej niż przy różach. Chcę cię widzieć.

Clarissa oddaliła się nieco i zaczęła się bawić jedną z walających się wokół domu drewnianych zabawek – Czarnym Księciem z Hiddensee.

Leonie usiadła pomiędzy Philippem i Vev i spojrzała na Tima, jakby szukając u niego pomocy lub choćby otuchy.

– Coś zgubiłam... – wydukała z trudem. – I myślę, że powinniście się o tym dowiedzieć.

– Bizuterię? – spytał Philipp. – Zaraz jej poszukamy.

– Nie, nie. Wiem, że w pierwszej chwili to zabrzmiało groźnie... choć wcale takie nie jest... mam nadzieję...

– Leonie, dlaczego nie powiesz po prostu, o co chodzi?

– Zgubiłam broń.

Przy stole zapadła grobowa cisza. Słyszeć było jedynie krzyk kilku mew i głosik Clarissy, która turlała się po piasku, nucąc jakąś melodię. Kilka sekund potrafi

ciągnąć się w nieskończoność, kiedy pięć osób zgromadzonych przy jednym stole wpatruje się w szóstą.

– Broń? – zapytał Philipp. – Masz na myśli scyzoryk?

– Nie, pistolet. Naładowany pistolet. No, w końcu gdyby nie był naładowany, tobym go nie potrzebowała – zaśmiała się nerwowo Leonie. – Szukałam już wszędzie. W torbie, w walizce, w pokoju, w łazience... Nie ma go. Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć. Ja...

– Chwileczkę – przerwał jej Philipp. – Czy my rozmawiamy o *naładowanym* pistolecie? Po co ci, na Boga, pistolet?

– Dwa lata temu zostałam napadnięta. Od tego czasu...

– Jesteśmy na Hiddensee, kto miałby na ciebie napaść na tym odludziu? Tutaj absolutnie nic się nie dzieje, pewnie od pięćdziesięciu lat nie padł ani jeden strzał, a ty nadciągasz tu uzbrojona w cały arsenał! Musiałaś go ze sobą zabierać?

– Masz rację, głupio zrobiłam. Jestem przyzwyczajona, że się z nim nie rozstaję... Naprawdę jest mi strasznie przykro. Przepraszam, również ciebie, Vev. Ja...

Plaśnięcie dłoni o policzek było tak głośne i niespodziewane, że wszyscy aż podskoczyli, a cisza, która po nim zapadła, była jeszcze bardziej przytłaczająca niż wcześniej.

Leonie gwałtownie wstała, potarła policzek i nie spuszczać wzroku z Vev, niepewnie zrobiła kilka kroków do tyłu.

Philipp również zerwał się z miejsca. Krzesło, na którym siedział, przewróciło się, spłoszone koty rzuciły się do ucieczki.

– Vev – powiedział Philipp, spoglądając na żonę. W tonie jego głosu słychać było nie tylko zaskoczenie, ale i wyrzut. – Vev, proszę cię.

Lecz Vev kompletnie nie zwracała uwagi na męża.

– Co też ci przyszło do głowy? – wrzasnęła, wpatrując się wściekle w oczy Leonie. – Przywiozłaś do mojego domu nabitą broń! Wiedziałaś, że w domu jest małe dziecko! Czy ty masz nie po kolei w głowie?

– Proszę cię, uspokój się, kochanie.

– To nie ja powinnam się *uspokoić*, tylko ty powinieneś się *zdeenerwować*. Chodzi o nabity pistolet!

– Tam są tylko cztery naboje – wymamrotała Leonie łamiącym się głosem.

Vev spojrzała na nią z wściekłością.

– No to cudownie. To oznacza, że może zginąć najwyżej czwórka z nas. A jest nas przecież sześcioro. Cztery ofiary to przecież nie najgorsza średnia, nieprawdaż? Bądź co bądź przeżyje prawie połowa z nas. Moglibyśmy dodatkowo zaprosić kilkoro gości, wtedy prawdopodobieństwo, że ktoś z nas zginie, byłoby jeszcze mniejsze. Yim, byłbyś uprzejmy pójść po swoich rodziców? Zrobiliby nam wielką przysługę, bo ich obecność zwiększyłaby nasze szanse na przeżycie. Hura! Zaczekajcie momencik, przyniosę szampana.

– Przestań, Vev – powiedział Philipp. – Nikt nie umrze. Zaginęła broń i mnie nie podoba się to tak samo jak tobie, ale to, że się zgubiła, nie znaczy jeszcze, że ktoś jej użyje. Kto z nas chciałby oddać chociaż jeden strzał?

– Mimo wszystko – wtrącił się Timo – powinniśmy od razu zacząć jej szukać. Leonie, spróbuj sobie przypomnieć, gdzie mogłaś ją zgubić.

Timo zwrócił się do Leonie łagodnie i zarazem stanowczo, jednak Leonie wciąż była jeszcze skupiona na swoim policzku i trzeba było dosłownie wycisnąć z niej odpowiedź.

– No więc... Może na plaży – wydukała wreszcie, spoglądając to na Tima, to na Yasmin.

– Ktoś z nas powinien pójść na policję – powiedział Timo, zerkając kątem oka na Philippa. – Może ktoś znalazł broń.

– Komisariat na Hiddensee jest bardzo mały, właściwie to tylko posterunek – powiedział Philipp.

– To może spróbujemy w Stralsund?

– Poszukam numeru – zgodził się gospodarz. – Nie chciałbym dzwonić pod alarmowy, bo przecież jeszcze nic się nie stało.

Philipp miał rację, lecz mimo to wszyscy drżeli ze strachu. W domu lub jego okolicy znajdowała się naładowana broń. To było igranie z ogniem, dlatego również Yim postanowił się włączyć do akcji. Wyciągnął smartfon, przez chwilę czegoś w nim szukał, po czym wybrał numer straży gminnej.

– Oni często patrolują plażę – wyjaśnił.

Tymczasem Timo zwrócił się znów do Leonie:

– Pomyśl, proszę, gdzie jeszcze mogłaś zgubić pistolet.

– Po... po drodze z plaży do domu – odpowiedziała Leonie po chwili

zastanowienia. – Kiedy wróciliśmy, poszłam wziąć prysznic. Od tego momentu torba leżała w moim pokoju. Przez cały wieczór.

– To na nic – westchnął Timo, który wziął w swoje ręce koordynację poszukiwań. – Musimy wszystko dokładnie przetrząsnąć. Leonie, ty i Yasmin sprawdźcie odcinek stąd do plaży i najbliższe okolice domu.

Yasmin wyraźnie nie była zadowolona, że przydzielono ją do pary z Leonie, lecz nie zaprotestowała i po chwili razem ruszyły na poszukiwania.

Timo usiadł obok Vev. Policzek, który wymierzyła Leonie, dowodził, że jest bardzo zdenerwowana, jednak na jej twarzy nie było widać żadnych emocji. Spojrzała na Tima, zapaliła papierosa, zaciągnęła się i utkwiała wzrok w Clarissie.

Pomyśleli o tym samym.

– Trzeba bardzo dokładnie przeszukać jej pokój – powiedział Timo. – Mała miała aż nadto okazji, żeby wyjąć pistolet z torby, a dzieci są czasem jak sroki. Zabierają wszystko, co błyszczący albo dziwnie wygląda.

Na twarzy Vev pojawił się ledwie widoczny uśmiech.

– Cieszę się, że zostałeś przy mnie. Zachowałam się okropnie, prawda?

– Powiedziałbym raczej, że zachowałeś się jak prawdziwa matka.

Kiedy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy.

Po pierwsze, uzmysłowił sobie, że to, co czuje w stosunku do Vev, nie jest jedynie fascynacją – tyle że nie wiedział jeszcze, jak to uczucie nazwać. Nigdy nikogo nie kochał, więc nie był pewny, czy to, co dzieje się z nim w tej chwili, ma cokolwiek wspólnego z miłością. Wszystko wskazywałoby na to, że nie: znali się bardzo krótko i dzieliła ich duża różnica wieku... Znów ten przeklęty Edyp...

Po drugie, Timo nagle zdał sobie sprawę z tego, że Vev jest matką. Oczywiście wiedział o tym już wcześniej, ale w tym momencie dotarła do niego cała doniosłość tego faktu.

Vev ma córkę! A on? Bywały dni, kiedy sam czuł się trochę jak dziecko. Kobiety w wieku Vev różniły się od jego rówieśniczek – były pewne siebie, nie będąc jednocześnie aroganckimi. Być może nie zawsze wiedziały, czego chcą, ale prawie zawsze wiedziały, czego *nie chcą*, a to już coś. Timo i Vev funkcjonowali w dwóch różnych światach, dzieliły ich nie tylko lata, ale pokłady życiowego doświadczenia. To sprawiało, że Vev jednocześnie pociągała go i wzbudzała w nim respekt.

Tymczasem wrócił Yim.

–Straż gminna nie wie nic o żadnej broni. Ale odnotowali sobie informacje o zajściu.

Również Philippowi nie udało się niczego wskórać. Policjant jedynie zarejestrował zgłoszenie i zapewnił go, że podejmie w tej sprawie stosowne działania.

Nie pozostało im nic innego, jak dokładnie przeszukać dom. Philipp i Vev zajęli się parterem, podczas gdy Yim i Timo zabrali się do przetrząsania pokoju Clarissy.

Pokoik małej sprawiał wrażenie, jakby unosił się w chmurach. Ściany pomalowano na blady odcień błękitu, na podłodze rozłożono puszysty niebieski dywan, a na suficie błyszczało roześmiane słońce. Pokój wypełniały pokryte białą bejcą mebelki z drewna brzoźowego, zastawione mnóstwem pluszowych zwierzków – ze wszystkich stron świata. Było to wprost wymarzone miejsce dla kogoś, kto chciałby coś ukryć, toteż Yim i Timo metodycznie sprawdzili każdą maskotkę, każdą szufladę, każde pudełko z klockami Lego. Bez skutku.

Schodząc na parter, usłyszeli, jak Philipp i Vev się kłócą. Nie podnosili przy tym głosów, tylko zwracali się do siebie z lodowatą grzecznością dwóch nienawidzących się polityków.

– Nie rozumiesz? Leonie jest moim gościem, a ty ją uderzyłaś. To mnie stawia w bardzo niekomfortowej sytuacji.

– Jeżeli ktoś zostanie z tej broni zabity, to też znajdzie się w bardzo niekomfortowej sytuacji. O tym nie pomyślałaś?

– Powiem Leonie dobitnie, co o tym wszystkim sądzę, możesz być tego pewna. Ale na tym chciałbym poprzestać.

– Kto porozmawia z Clarissą?

– Ja to zrobię. Ty jesteś zbyt wściekła.

– Nie jestem wściekła na Clarissę, tylko na twojego gościa. Cholerny Billy Kid w spódnicy.

– Mimo to. Zajmę się wszystkim.

Zapanowała cisza, którą przerwał dopiero dźwięk wpadających do szklaneczki kostek lodu.

Korzystając z okazji, Yim wyszedł z domu, lecz Timo stał nadal na schodach. Przed oczami stanął mu obraz Vev, która trzyma w ręku szklanę, sączy z niej

bursztynowy płyn, otwiera usta, odgarnia sobie z czoła kosmyk czarnych włosów.

Nagle rozległ się głos Philippa.

– Myślisz, że to jest odpowiedni moment na picie whisky?

Vev zignorowała męża i dopiero po dłuższej chwili rzekła:

– Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? Wyłącz, proszę, to rzępolenie. Nawet przy najlepszych chęciach nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że Vivaldi napisał tę muzykę na takie okazje. Przeszukam jeszcze raz pokój Clarissy, a potem położę się na godzinę.

– A co z naszą wycieczką? Mieliśmy przecież jechać na rowerach do latarni.

Philipp nie doczekał się odpowiedzi. Kilka sekund później Vev pojawiła się na schodach i rzuciła Timowi spojrzenie, które poruszyło go do żywego.

Trzymając w ręku szklanekę, bez słowa minęła go, on zaś w milczeniu odprowadził ją wzrokiem.

– Tato, czy my wszyscy umrzemy? I kto to jest Me... Medea?

Pytanie Clarissy sprawiło, że Philipp prawie spadł z barowego stołka w kuchni, na którym usiadł, by zadać córce kilka pytań. „Umrzeć”, „Medea”. Skąd ona, do licha, wzięła tę nieszczęsną Medeę? Clarissa nie byłaby chyba w stanie wprowadzić go w większe osłupienie – nawet gdyby spytała o alkohol metylowy albo ordynację podatkową.

– Pytasz o to dlatego, że usłyszałaś, o czym tak nerwowo rozmawialiśmy z mamą?

– Tak, z powodu mamy i jeszcze czegoś innego. Mama mówiła coś o umieraniu.

– Tak, ale o Medei nic nie powiedziała.

– Powiedziała! Jak już sobie wszyscy poszliście, cicho przeklinała. Słyszałam dokładnie. Powiedziała, że Leonie tam, gdzie mieszka, opiekuje się dziećmi. A potem... potem powiedziała... że to tak jakby z Me... Med...

– Medei.

– Z Medei zrobić przedszkolankę.

– Mama trochę się zdenerwowała, ale naprawdę tak nie myślała.

– Czy my umrzemy?

– Nie, skarbie.

– Ale kiedyś tak, prawda?

– No tak, ale minie jeszcze bardzo, bardzo dużo czasu. Babcia jest piętnaście

razy starsza od ciebie, a nadal miewa się świetnie.

Philipp poczuł się nieswojo. Nagle zapragnął jak najmocniej przytulić córeczkę.

– Podejź do mnie, skarbie.

Pogłaskał włosy Clarissy, a ona obiema rękami mocno złapała się za jego koszulę. Oddychała cicho i regularnie, jej brzusek unosił się i opadał pod uroczymi ogrodniczkami.

– Zrób konika – poprosiła, a Philipp natychmiast usadził ją na swoich kolanach i zaczął podrygiwać tak, że małej podskakiwały loczki. Clarissa chichotała.

– Wyżej, tato, wyżej. Szybciej, tato, szybciej.

– Łatwo ci mówić. Te nogi będą mi jeszcze potrzebne. Przecież zaraz jedziemy do latarni.

– Leonie też jedzie?

– Dlaczego pytasz?

– Lubię Leonie.

– Ja też, kochanie.

Słowa Clarissy pomogły mu gładko przejść do tego, o czym chciał z nią pomówić. Leonie i Yasmin również nie udało się znaleźć pistoletu, więc musiał się upewnić, że Clarissa nie miała nic wspólnego z jego zniknięciem.

– Posłuchaj, Dzióbku. – Nazywał ją w ten sposób z powodu jej zadartego noska, a ona bardzo lubiła, kiedy tak do niej mówił. – Już wiesz, że Leonie coś zgubiła, a ja chciałbym cię spytać, czy tego czegoś nie znalazłaś. To jest bardzo niebezpieczne i nie wolno tego dotykać. Znalazłaś to?

Clarissa potrząsnęła głową.

– Byłaś w pokoju Leonie?

– Nie.

– Nie oszukałabyś mnie, prawda, Dzióbku?

Dziewczynka przez moment się zastanawiała.

– Jeśli powiem ci prawdę, dostanę kanapkę z bananem?

– Zgoda.

– Z czekoladą?

– Z czekoladą. Ale musisz mi powiedzieć całą prawdę.

Clarissa z entuzjazmem kiwnęła główką.

– Najpierw kanapka.

Philipp przygotował kanapkę ze wszystkimi dodatkami, które jego córeczka lubiła najbardziej.

– Proszę bardzo. A teraz powiedz mi, gdzie schowałeś tę rzecz zabraną z pokoju Leonie.

– Nie zabrałam niczego z pokoju Leonie.

– Ale przecież przed chwilą obiecałaś, że powiesz mi prawdę.

– Obiecałam. I to jest prawda.

Clarissa spojrzała na ojca, jakby właśnie ubiła interes życia. Była wyraźnie dumna, że udało jej się przechytryć tatę.

Philipp zaczął łaskotać córkę.

– Ty mały łotrze. Za to musisz mi przynajmniej zdradzić, co to za inna rzecz, o której wspomniałaś wcześniej. Pytałaś, czy umrzemy. Powiedziałaś, że pytasz z powodu mamy i jeszcze czegoś innego.

Clarissa właśnie odgryzła ogromny kawałek kanapki, co uniemożliwiło jej odpowiedź. Zamiast tego chwyciła ojca za rękę i pociągnęła go za sobą na werandę, a potem do pobliskiej brzozy. Przy drzewie leżała zakrwawiona mewa ze skręconym karkiem. Wyglądało na to, że rozszarpał ją jeden z kotów.

– Jonathan nie żyje – powiedziała Clarissa. – Chciałam się dowiedzieć, czy jeszcze go kiedyś zobaczę.

Philipp westchnął.

– Och, Dzióbku, tak mi przykro. Potem pochowamy tę mewę. Ale to nie był Jonathan. Jonathan jest o wiele młodszy i mniejszy.

– Jak ja?

– Jak ty.

Philipp uśmiechnął się i odetchnął z ulgą. Właściwie nic się nie zmieniło i nadal mieli wszelkie powody ku temu, by się martwić, ale czuł, jakby zagrożenie się odsunęło. Clarissa nigdy jeszcze nie skłamała mu w żywe oczy, dlatego był pewien, że gdyby faktycznie coś zabrała, to zapytana przyznałaby się do tego.

– Umyj ręce, kochanie. Zaraz ruszamy.

9

Pojechaliśmy Ciotką Agathe. Rozważaliśmy z Yimem, czy wybrać się moim, jego czy dwoma samochodami, lecz kiedy Yim zorientował się, że wolę jechać swoim autem, dał za wygraną. Stwierdził, że podróż na dwa samochody byłaby absurdalna, a ja przyznałam mu rację. Chciałam jednak być niezależna, czy też może lepiej byłoby powiedzieć: zademonstrować resztki niezależności. Koniec końców, udawałam się w tę podróż z inicjatywy Yima, rzecz można: na jego zaproszenie. Miałam zatrzymać się w domu jego rodziców, spać w jego dawnym pokoju i, co najważniejsze, zanurzyć się w jego życie, szczególnie w to, co wydarzyło się przed dwoma laty. Czułam, że powinnam zachować pewien dystans, a z jakiegoś powodu wydawało mi się, że łatwiej będzie to zrobić, jeżeli pojedziemy moim, a nie jego wozem.

Pierwsze trzydzieści minut wspólnej podróży poświęciliśmy na krążącą wokół nieszkodliwych tematów konwersację. Te pół godziny pozwoliło nam na dotarcie do granic Berlina. Ruch uliczny nie pozwalał na prowadzenie poważniejszej rozmowy. Miałam ochotę spytać Yima, jak czuje się z tym, że zagłębiam się w jego historię, oraz jak jego ojciec może zareagować na mój widok, ale omawianie takich kwestii byłoby idiotyczne w sytuacji, gdy wokół mnie samochody bez kierunkowskazu zmieniały pasy, karetki donośnym trąbieniem starały się sprawić, żeby inni kierowcy zjechali na bok, a rowerzyści testowali teorię chaosu.

Chociaż nie jechałam zbyt agresywnie, miałam wrażenie, że Yimowi nie podoba się sposób, w jaki prowadzę. Był w każdym razie wyjątkowo milczący i obiema rękami trzymał się siedzenia. Reakcja Yima – i wielu innych moich pasażerów – była związana z trudnym charakterem Ciotki Agathe. Aby ją zatrzymać, trzeba było naprawdę solidnie nadepnąć na pedał hamulca, a żeby skrócić, nawet nieznacznie, musiałam wykonać niemalże pełny obrót kierownicą – zupełnie jakbym sterowała transatlantykiem. Do tego dźwignia zmiany biegów była tak krnąbrna, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że zasługuje na coś lepszego i nie

chce tkwić w tym starym gruchocie. Mój syn spytał mnie kiedyś, czy musiałam się z kimś przespać, żeby Ciotka Agathe przeszła pozytywnie przegląd.

Kiedy znaleźliśmy się w Brandenburgii, Yim na powrót stał się rozmowny. Jechaliśmy drogami krajowymi, w cieniu lip i dębów, alejami prostymi jak strzała. Można się było rozmarzyć. Przeszliśmy z Yimem na ty.

– Uwierzysz, że są ludzie, którzy chcą wyciąć te piękne drzewa? – zapytał. – I to tylko dlatego, że co roku kilku pijanych nastolatków wychodzi o trzeciej nad ranem z dyskoteki i po pijanemu owija swoje samochody o ich pnie. Czy to drzewa są temu winne?

Uwaga o alejach zagrożonych przez ludzką głupotę pozwoliła nam wkroczyć w nową fazę wspólnej podróży. Ucieszyłam się z tego, bo z jakichś, mnie samej nieznanych, powodów każde spotkanie z Yimem wzbudzało we mnie chęć do poruszania egzystencjalnych tematów. Miałam ochotę rozmawiać z nim o życiu, o śmierci, o kolejach ludzkiego losu. Może wynikało to z faktu, że Yim, podobnie jak ja, na własnej skórze poczuł i zrozumiał, czym jest ów „los”.

Aby to zrozumieć, człowiek musi przeżyć jakieś straszne, wstrząsające doświadczenie, wydarzenie, które całkowicie odmienia życie. Takich doświadczonych przez los ludzi spotykam przeważnie w pracy, na sali rozpraw. W związku z tym nasza znajomość trwa zwykle tyle co wywiad – ledwie pół godziny. Tacy ludzie elektryzują mnie, ale ponieważ nasze kontakty są chwilowe, pozostaje mi po nich jedynie wspomnienie dreszczy na skórze. Dopóki nie spotkałam Yima, z żadnym z nich nie siedziałam w jednym samochodzie.

– Ludzie nie zawsze szukają winy tam, gdzie powinni – powiedziałam. – Kiedy młodzi mężczyźni z półtora promila alkoholu we krwi i dwoma dziewczynami na tylnym siedzeniu rozbijają samochód, przyczynami są zwykle nadmiar testosteronu i zbyt duża prędkość. Rodzice doskonale o tym wiedzą, ale mimo wszystko uważają, że zawiniło drzewo. Przecież gdyby go tam nie było, ich syn nadal by żył.

Mówiłam co prawda w dalszym ciągu o alejach, ale w rzeczywistości chodziło mi o coś więcej. Jak wszyscy ci, których bliscy odeszli z tego świata w tragicznych okolicznościach, dokładnie znałam mechanizm samooskarżania i wybielania – ofiar bądź sprawców. Gdybym tylko... gdybym wtedy... gdybym był...

Te i podobne słowa zżarły od wewnątrz niezliczoną rzeszę rodzin – zarówno zamordowanych, jak i tych, którzy mordowali. Ich niszczycielska siła opiera się na

tym, że karmią człowieka złudzeniami. A ponieważ złudzenia te przybierają dokładnie taką formę, jaką chcemy im nadać, oszukujemy się, że przyniosą nam ukojenie – i tym chętniej do siebie je dopuszczamy. Tymczasem w rzeczywistości są to podstępne potwory, gotowe pożreć ludzką duszę.

Myślami wróciłam do okresu tuż po śmierci Benny'ego. Gdyby trener nie zarządził wtedy dodatkowego treningu, gdyby mój brat nie poszedł tego dnia przez las... Przez kilka tygodni po tragedii moi rodzice bez przerwy wygłaszali podobne zdania. I zadawali pytania: Po co był ten dodatkowy trening? Czy to naprawdę było konieczne? Wokół nas krążyły też inne widma: Gdyby moja matka nie uległa i zamiast puścić Benny'ego na trening, kazała mu tego popołudnia odrobić lekcje... Gdyby mój ojciec na posiedzeniu rady dzielnicy zagłosował za budową drogi prowadzącej do boiska... Niektóre z tych widm dręczyły i mnie: Gdybym tamtego popołudnia spełniła prośbę Benny'ego i poszła z nim na trening, to może sprawcy w decydującym momencie zabrakłoby odwagi... Ale ja mu przekornie odparłam, że on jeszcze nie słuchał, jak gram na flecie. I Benny poszedł sam.

Na szczęście dość szybko przestałam sobie czynić podobne wyrzuty. Jestem jednak przekonana, chociaż nie mam na potwierdzenie tej teorii niezbitych dowodów, że moja matka niejednokrotnie miała je na końcu języka. Nigdy nie wypowiedziała ich na głos, ale zdarzało się, że wyraźnie je wyczuwałam – w jej niecierpliwości wobec mnie, w niechęci wobec moich przyjaciół, w wyrzutach, gdy zaszałam w ciążę, w niezadowoleniu, że wybrałam taki, a nie inny zawód.

Jeszcze dziś mam wrażenie, że słyszę nutę goryczy w jej głosie, kiedy dzwoni, by mi złożyć życzenia urodzinowe. Ten głos trafia prosto w serce i tak cholernie boli. Czasami chciałabym, żeby wreszcie wypowiedziała swoje pretensje na głos, żebym mogła jej za to dowalić. A potem objąć ją i ucałować.

Yim zwrócił twarz w kierunku śmigających za oknem drzew. Być może obawiał się, że mogłabym go zapytać, czy ma sobie coś do zarzucenia. Czy zastanawia się, co by było, gdyby przybył na miejsce wcześniej... Może w jego głowie roily się jeszcze jakieś inne, wyrażane w trybie warunkowym wyrzuty, o których nie miałam pojęcia. W dalszym ciągu nie wiedziałam, dlaczego pani Nan w środku sztormowej nocy zamiast spokojnie spać, poszła do domu sąsiadów.

Miałam właśnie zamiar skierować naszą rozmowę na te tory, kiedy Yim spytał:

– Jacy są właściwie mordercy, z którymi się spotykasz?

– Cóż, w większości są zupełnie inni, niż wszyscy myślą – odpowiedziałam i w mgnieniu oka się nakręciłam. Miałam na ten temat naprawdę wiele do powiedzenia, a Yim słuchał z zainteresowaniem, więc korzystając z okazji, że w końcu nie muszę się nigdzie spieszyć, zaczęłam wykład.

Mordercy prawie nigdy nie odpowiadają obiegowym wyobrażeniom. Mit o krwiożerczej bestii jest wytworem mediów i literatury i ma oczywiste braki. Wszyscy mordercy i morderczynie, których widzimy w wieczornych wiadomościach ze skutymi rękoma i wypikselowaną twarzą, w rzeczywistości są przerażająco normalni. To nasi sąsiedzi, z którymi ucinaliśmy sobie pogawędki przez żywopłot, koledzy z pracy, z którymi organizowaliśmy imprezy integracyjne, kuzyni, z którymi w dzieciństwie graliśmy w ogrodzie w kometkę i którzy wciąż jeszcze na święta i urodziny przysyłają nam kartkę... Mordercą może być każdy z nas.

Właściwie ich odmienność sprowadza się do motywacji, głęboko skrywanego powodu, dla którego popełniają zbrodnię. Pomijając morderstwa dokonywane dla spadku, na tle seksualnym oraz z miłości, reszta zabójców to mężczyźni, którzy ni stąd, ni zowąd zastrzelili żonę lub dzieci, kobiety, które żywcem zakopały niemowlęta, bracia, którzy na polecenie ojca zadźgali siostrę, bo ta ośmieliła się żyć po swojemu, uczniowie, którzy w amoku zaczęli strzelać do wszystkiego, co ich otacza, czy nastolatki, które pozbawiły życia całą swoją rodzinę.

Mówiąc o tych zbrodniach, zwykle używa się takich słów jak: gniew, złość, pustka, beznadzieja, obłąd, zazdrość, zemsta. Wyobrażamy sobie, że morderców przepelniają takie właśnie emocje. Ale słowo, które pada niezwykle rzadko, a w moim przekonaniu ma w kontekście morderstw szczególne znaczenie, to lęk.

Wszyscy ci mordercy noszą w sobie lęk, potworny lęk. Nie widzimy go, ponieważ skrywa się pod pokładami gniewu, obłąd, pustki – i tam rozwija swoją niszczycielską moc. Obok miłości i nienawiści to właśnie lęk stanowi najpotężniejszą siłę napędową człowieka – choć najmniej rzuca się w oczy. Do lęku niechętnie się przyznajemy. Wolimy nienawidzić, bo nienawiść bardziej odpowiada społecznym oczekiwaniom. Lęk ukrywamy nawet sami przed sobą, maskujemy go, nadajemy mu inne imiona.

Wielu mężczyzn, którzy pozbawiają życia swoje kobiety, w rzeczywistości boi się ich siły – tego, że ich partnerki czy żony się od nich uniezależnią, a może ich

nawet opuszczają. To właśnie słabi mężczyźni sądzą, że muszą dowieść swojej męskości przy użyciu siły. To samo dotyczy tak zwanych morderstw honorowych. Wbrew temu, co ich sprawcy próbują wmawiać światu, powoduje nimi nie honor, tylko lęk, że kulturowany przez nich model ciężącego kobiety patriarchy – jakkolwiek puste i oklepane wydaje się niektórym to pojęcie – może się nagle zawalić. Jeśli chodzi o kobiety mordujące niemowlęta, to boją się one życia jako takiego, a dziecko, nowe życie, lęk ten dodatkowo potęguje. Współczesne Medee, zakopując te biedne istoty w ogrodowej ziemi czy umieszczając je w zamrażalniku, w rzeczywistości próbują zabić i pogrzebać lęk przed przyszłością. Podobne motywy kierują osobami zabijającymi w amoku. Zresztą samo malajskie słowo „amok” oznacza panikę, lęk. Ludzie zabijający w amoku działają pod wpływem lęku w jego najczystszej, wydestylowanej formie. W chwili popełniania zbrodni składają się z samego lęku, zakamuflowanego pod postacią gniewu. Nie bez powodu ostatnią kulę zostawiają dla siebie. Popełniają samobójstwo ze strachu przed tymi wszystkimi, których nie zdołali i nie zdołają już zabić.

Podczas mojego monologu Yim przez cały czas wyglądał przez okno, jakby liczył mijane przez nas lipy. Czułam jednak, że słucha mnie z uwagą. Świadczyły o tym jego dłonie. Dłonie, które często są niedoceniane, a przecież wyraźnie wskazują na stan, w jakim znajduje się dany człowiek. Dłonie Yima wymownie reagowały na to, co mówiłam. Najpierw ukrył je pomiędzy kolanami, potem włożył pod pachy, ostatecznie schował pod udami. Temat przytłoczył go, ale mimo wszystko nawiązał rozmowę.

– Czy spotkałaś wielu morderców? – spytał, kiedy skończyłam swój miniwykład.

– Bardzo wielu, około stu. A ty? Spotkałeś kiedyś jakiegoś zabójcę? Oczywiście oprócz Leonie Korn.

– Nie.

Odpowiedział z namysłem i dopiero po chwili, tak jakby najpierw przyjrzał się w duchu wszystkim swoim znajomym. Może właśnie dlatego jego zaprzeczenie nie zabrzmiało w moich uszach przekonująco.

Yim szybko zakończył ten osobisty wątek i wrócił do bardziej ogólnych rozważań.

– Czyli wszyscy mordercy, których spotkałaś, zabijali powodowani lękiem? – zapytał.

– Większość z nich. W każdym razie taką mam teorię. Podobnie jak przez stulecia ograniczaliśmy się do szukania odpowiedzi na pytanie, jak wygląda czy jaki charakter ma typowy morderca, tak też błędziliśmy w kwestii motywu zbrodni. Zawsze uważało się, że w przypadku morderstwa musi chodzić o coś poważnego, o wielkie pieniądze czy wielką miłość. Ale jak to się ma do sytuacji, gdy grzeczny, nierzucający się w oczy szesnastolatek zabija swoich konserwatywnych rodziców, żeby ci się nie dowiedzieli, że jest gejem? Żeby zostać mordercą, nie trzeba być ani agresywnym, ani obciążonym charakterologicznie, ani zachłannym, ani zazdrosnym, ani szalonym. Wystarczy nosić w sobie lęk.

Yim w milczeniu analizował moje słowa.

– A co z Leonie Korn? Czy ona też zabiła z powodu swojego lęku?

Postanowiłam uważnie dobierać słowa. Leonie Korn to był delikatny temat.

– Na tę chwilę mogę jedynie powiedzieć, że z pewnością lękiem naznaczone było dzieciństwo Leonie. To jeszcze niewiele, ale przecież nawet najbardziej skomplikowane puzzle zaczyna się zawsze od pierwszego fragmentu. Dopóki po omacku próbuję odtworzyć wydarzenia tamtego feralnego weekendu, dopóty każda próba oceny byłaby z mojej strony przejawem braku profesjonalizmu. Na tym etapie raczej próbuję odpowiedzieć sobie na inne pytania: Dlaczego Leonie nie dokonała masakry w swoim przedszkolu? Albo na deptaku, w swojej rodzinnej miejscowości? Dlaczego do strzelaniny doszło akurat podczas weekendu na Hiddensee, kiedy była otoczona przez znajomych z dawnych lat? Zanim znajdę odpowiedzi na te pytania... Właśnie dlatego podczas naszego pierwszego spotkania pytałam cię o pozostałych gości.

W ten sposób dotarliśmy do miejsca, w którym Yim dokładnie tydzień wcześniej przerwał wywiad. Nie naciskałam na niego. Nie chciałam znowu przeciągnąć struny.

Yim skupił się na studiowaniu mapy i przez chwilę nie odzywaliśmy się do siebie. Włączyłam radio i zaczęłam szukać stacji, która pasowałaby do krajobrazu – najpierw Brandenburgii, a potem Meklemburgii. W końcu zatrzymałam się na NDR i Chopinie. Przy dźwiękach ballad przemierzaliśmy niekończące się aleje, w których światło igrało z cieniem, a nad asfaltem drgało rozpalone skwarem powietrze. Mijaliśmy mieniące się niczym płynne srebro jeziora i szybujące ponad podmokłymi łąkami czaple, podziwialiśmy widoki, które były dziełem natury,

i zgodnie milczeliśmy. Spojrzeliśmy na siebie jeden jedyny raz i od razu odwróciliśmy spłoszone oczy ku niebu, szukając schronienia. Muzyka Chopina wyrażała to, czego nie potrafiło jeszcze wypowiedzieć żadne z nas. To wystarczyło.

Kiedy dotarliśmy na Hiddensee, poczułam się tak, jakbym znalazła się na planie filmu *Biała wstążka*. Rok tysiąc dziewięćset trzynasty, wioska na wschodnich krańcach Rzeszy, niewybrukowane drogi, skromne domostwa, rozproszone światło i cisza, która na przemian daje ukojenie i przytłacza. Tam również dokonano morderstwa.

Niebo pokrywał baldachim grubych szarozółtawych chmur. Powietrze było nieruchome, co w przypadku wyspy jest wprost niebywałe, i wokół nas zalegała taka cisza, że nie było słycać niczego prócz naszych kroków. Idąc krętą ścieżką wydeptaną wśród spalonych słońcem traw, minęliśmy nieliczne zabudowania Neuendorfu. Na moich sandałach osiadał kurz, tak jak wtedy, gdy w dzieciństwie wracałam z Bennym z boiska przez las i łąkę do domu. Opuściłam głowę. Yim również milczał. Miałam wrażenie, jakbym szła na cmentarz.

I wtedy go zobaczyłam. Dom Mgieł. Od razu zrozumiałam, że miała to być architektoniczna atrakcja. Dom wyglądał tak, jakby jego twórca chciał sobie wystawić monumentalny pomnik. Philipp Lothringer – Cheops z Hiddensee. Bo faktycznie – ta skomplikowana szklana bryła zawierała w sobie pojedyncze formy przypominające piramidy. Widziałam wcześniej zdjęcia tego budynku, ale dopiero stojąc przed nim, byłam w stanie połączyć w całość te wszystkie występy, pochyłe ściany, szklane i kamienne struktury. Dom Mgieł miał w założeniu przypominać wielki nieoszlifowany kryształ i byłam pewna, że kiedy świeciło słońce, cały się mienił, błyszczał i lśnił. Owszem, budynek zupełnie nie pasował do tej surowej wyspy, której mieszkańcy nawykli do ciężkiej pracy i skromnego życia, jednak jego ulokowanie w takim miejscu miało jakiś sens – w końcu piramidy również wznoszono na pustkowiu.

– Chciałabyś go jeszcze dzisiaj zwiedzić? – zapytał Yim.

– Zwiedzić?

– Przepraszam, to nie jest odpowiednie słowo.

– Słowo jest w porządku, ale nie rozumiem... Będę mogła wejść do środka?

– Och, nie wiedziałaś? Mój ojciec ma zapasowy klucz. Dogłąda domu, na wypadek gdyby... Sam nie wiem, gdyby co. Niczego w nim nie dotykał, tak mi

przynajmniej powiedział. Dom jest dokładnie w takim stanie, w jakim pozostawiła go policja po zakończeniu dochodzenia. Zdaje się, że technicy wyjechali stąd trzydziestego września. Od dwóch lat nikt oprócz mojego ojca tam nie wchodził.

– Mój Boże – powiedziałam cicho. Byłam w szoku, już choćby dlatego, że nie liczyłam na to, iż będę mogła dokonać oględzin miejsca zbrodni. A teraz, kiedy Yim ofiarował mi tę możliwość na srebrnej tacy, aż się wzdrygnęłam. Nigdy dotąd nie oglądałam z bliska miejsca zbrodni.

W znakomitej większości przypadków osoby, które przeżyły, spadkobiercy czy nowi właściciele nie dopuszczają dziennikarzy do miejsca, gdzie popełniono przestępstwo. Zresztą większość reporterów wcale się tam nie pcha. Zdjęcia z miejsca zbrodni często nie oddają rzeczywistości, choćby nawet wydrukowano je na najlepszym kredowym papierze w kolorowym czasopiśmie. Poza tym dziennikarze relacjonujący tego typu zdarzenia nie skupiają się zwykle ani na miejscu zbrodni, ani na ofiarach, lecz na mordercy, z czym od lat bezskutecznie walczę. Jeżeli przestępstwa nie dokonano w Orient Expressie, wówczas samo miejsce zbrodni raczej nie wzbudza zainteresowania wydawcy czasopisma. W wypadku Domu Mgieł nie stałam jednak na z góry straconej pozycji.

Chociaż pytanie Yima w pierwszej chwili wprawiło mnie w konsternację, niemal natychmiast uzmysłowiłam sobie z całym przekonaniem, że skorzystam z jego propozycji. Dzięki temu mój artykuł miałby już trzy mocne punkty: wywiad przeprowadzony przy łóżku Leonie, rekonstrukcję wydarzeń tamtej feralnej nocy oraz relację z miejsca zbrodni dokładnie dwa lata po jej dokonaniu.

W porównaniu z Domem Mgieł dom rodziców Yima był jak otoczek u stóp góry. Tu okno, tam okno, brudna, niegdyś biała elewacja, zardzewiałe rynny i wyjątkowo brzydkie drzwi z aluminium. A jednak feeria kwiatów, w jakiej tonął dom, przebijała wszystko, co dotąd dane mi było podziwiać, i przekreślała moje dotychczasowe wyobrażenia o kiczowatych przydomowych ogródkach na Hiddensee. Gdyby na moim miejscu był Claude Monet, natychmiast wyciągnąłby pędzel. Choćby takie gladiole... Rosły w wielkich skupiskach prawie na wysokość człowieka. Górowały nad nimi jedynie malwy. Płomiennie czerwone nasturcje pięły się po drewnianej kratownicy. Przy drodze rosły wielkie krzaki błękitnych hortensji, a pomiędzy nimi angielskie róże o kwiatach tak ciężkich, że kłaniały się każdemu, kto na nie patrzył. Żółty rozchodnik obrastał murek z ułożonych na sobie

głazów. Bez przekwitł już, rzecz jasna, za to obok w pełnej krasie kwitła kalina, a okrągły staw wielkości trampoliny, stanowiący schronienie dla samotnego karpia oraz rodziny ważek, pokryty był liliami wodnymi.

W oczy rzuciła mi się stara szopa stojąca jakieś dwadzieścia metrów od domu. Była całkiem spora, lecz mimo to w całości zarastały ją fioletowy i biały powojnik, bluszcz, dzika winorośl i pnące róże. Można było odnieść wrażenie, że rośliny starają się osłonić wnętrze szopy przed światem zewnętrznym. Albo na odwrót – chronić świat przed tym, co kryło się w środku.

– Pięknie, prawda? – powiedział Yim. Stał z kluczem w ręku przed brzydkimi drzwiami, lecz po chwili go schował i zdecydował się użyć dzwonka.

– Cudownie – potwierdziłam. – Trudno uwierzyć, że to dzieło jednego człowieka.

– Mówiłem ci, że mój ojciec jest miłośnikiem kwiatów. Ten ogród to jego cały świat.

Każdy, kto zobaczyłby to królestwo kwiatów, spodziewałby się, że drzwi otworzy radosny, serdeczny albo przynajmniej zrównoważony człowiek. Osoba, która postanowiła założyć taki ogród, a potem nań chuchała i dmuchała, musiała przecież kochać życie i emanować tą miłością. Ja jednak „rozmawiałam” już z ojcem Yima telefonicznie i byłam o to doświadczenie mądrzejsza. Miałam niedobre przeczucia.

I wkrótce te przeczucia się potwierdziły, pod każdym względem.

Wrzesień 2010 r.

Pani Nan przygotowywała w swej kuchni wczesny obiad. Na blacie czekały sałata, krewetki, mango, trawa cytrynowa, napoczęta puszka mleka kokosowego, olej sezamowy, ryż i kilka innych produktów. Większość składników przyniosła poprzedniego wieczora z Domu Mgieł. Była pewna, że jej pracodawcy od tego nie zbiednieją, zwłaszcza że tak czy inaczej wyrzuciliby te produkty. Zresztą nawet jeśli coś by spostrzegli, byli zbyt grzeczni i zbyt zobojętniali, żeby czynić jej z tego powodu wyrzuty. Co znaczy dla nich trochę ryżu czy trawy cytrynowej? Jeśli ktoś mieszka w tak olbrzymim domu... Tymczasem dla pani Nan oszczędzanie na czym tylko się da było nieomal drugą naturą. Kiedy wszystko już smażyło się w garnku, kobieta poszła do pokoju dziennego. Jej mąż jak zwykle opuścił do połowy żaluzje i siedział w półmroku. Na jego kolanach, w mizernym kręgu światła rzucanym przez lampkę, leżała gruba księga. Pani Nan wiedziała, że jest to album zawierający podniszczone zdjęcia z dzieciństwa i młodości jej męża. Pan Nan często po niego sięgał i za każdym razem przeglądał go tak długo, że można by pomyśleć, iż jego dzieciństwo trwało pięćdziesiąt lat, a zdjęć do obejrzenia są tysiące.

Gdy twarz jej męża mignęła przez moment w świetle lampki, uwagę pani Nan znowu, jako to się często zdarzało, przykuły kolor i grubość jego skóry – była twarda jak zelówka i można by odnieść wrażenie, że nie przepuszcza ani zimna, ani wilgoci, ani w ogóle niczego. Sześćdziesięciosiedmioletni pancerz. W ciągu ostatnich czterdziestu lat cała uroda jej męża i niewiarygodna witalność, jaką cechował się w młodości, skumulowały się w jego oczach. Były w dalszym ciągu zaskakująco jasne i ilekroć pani Nan w nie spoglądała, widziała męża takim, jakim był na początku. Nawet teraz, gdy w oddali majaczył już kres ich życia.

– Czy Yim już wrócił? – spytała po niemiecku. Małżonkowie nigdy nie rozmawiali ze sobą w ojczystym języku. Obydwoje wciąż śnili po khmersku, lecz

na jawie unikali tego języka jak smoczej jamy. Gdy jednak przychodziła noc, każde z osobna wślizgiwało się do niej.

– Nie, jeszcze go nie ma.

Pani Nan wróciła do kuchni i spojrzała na swoje nadgarstki. Były jasnozielone, jak niedojrzałe banany, chociaż Viseth, jej mąż, ścisnął je tylko raz – i tylko odrobinę za mocno. Tak cienka i wrażliwa stała się przez te lata jej skóra. Taka skóra nie zapomina żadnej rany, wszystko odczuwa, na wszystko reaguje. Jakby prowadziła nieprzerwany dialog ze światem.

– Nadal nie wrócił? – spytała kobieta po upływie kilku minut.

– Nie.

Zasiedli do obiadu w milczeniu, które ktoś niezorientowany mógłby błędnie zinterpretować jako przejaw małżeńskiej harmonii. Albo obopólnego znudzenia. Tymczasem w głowach małżonków kłębiły się dramatyczne myśli.

Pani Nan wkroczyła w ostatnią fazę życia, w której wszystkie popełnione przez nią błędy spotęgowały się, skumulowały i rzuciły się na nią niczym demony. Największym jej błędem było poślubienie siedzącego obok mężczyzny. Co prawda pierwsze dwa lata ich małżeństwa były najpiękniejszym okresem jej życia, za to trzy kolejne okazały się istną gehenną. A wszystkie następne nosiły piętno tych trzech. Pani Nan nigdy nie zapomniała dobrych chwil, ale też nigdy nie wybaczyła mężowi tych złych. Dlatego dziś ten człowiek budził w niej wstręt. Wiedziała jednak, że pozostanie z nim aż do śmierci.

Pan Nan domyślał się, co czuje jego żona, i ta świadomość sprawiała mu ból. Ból, który popychał go do krzywdzenia najbliższej mu osoby.

– Ukradłeś jedzenie sąsiadom – powiedział. – Widziałem napoczęte opakowania. Kobieta nie zareagowała.

– Oszczędzasz w ten sposób pieniądze, które przepuszczasz na to, co wyrabiasz w szopie. Zabraniam ci pracować u sąsiadów. Zabraniam ci zarabiać. Okrywasz nas hańbą.

Pani Nan spojrzała na męża. Choć wcześniej przez długie minuty unikała jego wzroku, teraz nie spuszczała z niego oczu. Nie musiała nic mówić – i bez tego zrozumiał, jak groteskowo i nieprzyzwoicie zabrzmiało ostatnie słowo, które wypowiedział. Nie miał najmniejszego prawa go używać. Ona zresztą też.

Kobieta starła stół, bez słowa opuściła kuchnię i wyszła na dwór. To, że mąż

idzie za nią, spostrzegła dopiero, kiedy była już prawie przy drzwiach szopy.

Pan Nan zaszedł jej drogę.

– Więcej tam nie wejdiesz – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Próbowała się przecisnąć obok niego, ale złapał ją i odepchnął. Broniła się. Między małżonkami wywiązała się niema walka. Linie frontu stanowiły obolałe nadgarstki pani Nan.

W końcu udało jej się wyrwać. Szarpnęła ręką i poczuła palenie cienkiej, zranionej skóry. Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, z trudem łapiąc oddech.

Nagle kobieta rzuciła się w kierunku góry kwiatów, w którą Viseth Nan chciał przekształcić tę szopę. Pani Nan nie miała nic wspólnego z tym, jak wygląda to miejsce z zewnątrz. Jej świat znajdował się w środku.

Udało jej się uchylić drzwi na szerokość kilku centymetrów i wciągnąć w nozdrza przesycone zapachem chemikaliów powietrze. Jednak Viseth był szybszy i zatrzasnął jej drzwi przed samym nosem. Niestety, nie zdążyła wyciągnąć lewej ręki i ta została przytrzaśnięta na wysokości łokcia.

Pani Nan wrzasnęła. Z oczu trysnęły jej łzy, krew odpłynęła z twarzy. Prawą dłonią chwyciła skaleczone miejsce.

– Nie chciałem – powiedział Viseth z tak szczerym żalem w głosie, że każdy inny uwierzyłby w to usprawiedliwienie. Potem jego ton się zmienił. – Ale sama jesteś sobie winna. Powiedziałem ci...

Nie zważając na zraniony nadgarstek, pani Nan zaczęła na oślep okładać męża obiema rękoma, wydając przy tym z siebie głośne jęki rozpacz. Ciosy, które zadawała, były zbyt słabe i chaotyczne, by wyrządzić mu jakąkolwiek krzywdę, ale mężczyzna był tak zaskoczony, że mimowolnie się cofnął. Kiedy doszedł do siebie, chwycił żonę za ramiona i potrząsnął nią.

Pani Nan zupełnie nie czuła już tego, co działo się z jej ciałem. Cały ból, jaki człowiek jest w stanie odczuwać, skoncentrował się teraz w jej wnętrzu, w sercu i duszy. Nie krzyczała, nawet nie otworzyła ust. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, po policzkach popłynęły słone łzy.

W tej samej chwili zjawił się Yim. Złapał ojca za nadgarstki – w tym samym miejscu, w którym jego matka miała sińce – i gwałtownym ruchem ściągnął jego ręce z ramion dręczonej kobiety. Z łatwością i śmiertelną powagą pokonał starszego mężczyznę.

Siłą zmusił ojca, by ten ukląkł. Viseth opadł na trawę, a Yim ostatnim pchnięciem przewrócił go na ziemię. Pan Nan kucnął i zaczął posypywać głowę źdźbłami trawy. Niedawny oprawca bezbronnej kobiety zamienił się w obraz nędzy i rozpacz.

– Przepraszam – wymamrotał, miotając się z lewa na prawo. Z kącika ust ciekła mu ślina. – Przepraszam.

– Często cię w ten sposób traktuje? – spytał Yim, spoglądając na matkę.

– Nie, to był drugi raz.

Młody mężczyzna zwrócił się do ojca:

– Jeśli zrobisz to trzeci raz, połamię ci żebra. Rozumiesz?

Chciał się upewnić, czy matce nic się nie stało, ale ona zniknęła już w szopie. W swoim królestwie, do którego nikt nie miał wstępu, nawet Yim.

11

Panowie odnosili się do siebie z dystansem, lecz bez wrogości. Na powitanie Yim rzucił krótkie „Cześć”, na co jego ojciec odpowiedział szybkim skinieniem głowy. Nie odniosłam wrażenia, że gdyby nie moja obecność, powitanie wyglądałoby inaczej. Panowie prawdopodobnie nigdy nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. Po trzydziestu minutach zapewne skończyłyby im się tematy do rozmowy.

– To moja znajoma, Doro Kagel. Pisze artykuł o rzezi na Hiddensee i chce obejrzeć Dom Mgieł. Przez kilka dni będzie naszym gościem. Zajmie mój pokój, a ja będę nocował na kanapie.

Szast-prast, i wszystko jasne! Jeszcze jakieś pytania? Ton głosu Yima nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że stanie się dokładnie tak, jak to właśnie przedstawił. Zachowywał się jak sierżant wydający rozkaz rekrutom – i tak jak sierżant nie dopuszczał żadnego sprzeciwu.

Pan Nan spojrział na mnie i lekko się uklonił. Miał na sobie o wiele za ciasny podkoszulek, który zakrywał jedynie dziewięć dziesiątych jego wystającego brzucha, podkreślając przypominającą głaz na tyczkach figurę. Spodnie, tak jak na zdjęciu, które widziałam w restauracji, zsunęły mu się na biodra.

– Dzień dobry – powiedziałam.

To właśnie jego sapanie słyszałam nie dalej jak tydzień temu w słuchawce telefonu, lecz stary sprawiał wrażenie, jakby zupełnie mnie nie pamiętał. Zaprowadził mnie do kuchni, wskazał miejsce przy stole i podał szklanekę wody. Za jego grzecznymi ukłonami i gestami wyczuwałam jednak, że moje pojawienie się wywołuje w nim powściągliwie wyrażany dyskomfort.

– Czy twój ojciec mówi po niemiecku? – spytałam po cichu Yima, kiedy pan Nan na chwilę opuścił kuchnię.

– Niemalże perfekcyjnie.

– Jest bardzo małomówny.

– Tak, na początku zawsze taki jest. Ale kiedy cię lepiej pozna...

Z tego akurat – to jest z zawarcia bliższej znajomości z ojcem Yima – gotowa byłam zrezygnować, nawet gdyby miała mi ona ułatwić pracę. Wyobrażałam sobie, że rozmowa z nim musiałaby być równie przyjemna co pogawędka z Drakulą. Sama obecność tego mężczyzny sprawiała, że czułam się spięta. Każdy jego gest czy ruch – nawet tak zwyczajny jak nastawianie wody na herbatę – budził moją czujność. Po cichu zadawałam sobie pytanie, czy pokój Yima da się zamknąć na klucz.

Kiedy herbata była gotowa, panowie dołączyli do mnie przy stole i Yim spytał ojca:

– Nie wiesz, gdzie jest ten biały zeszyt, w którym mama zapisywała swoje wiersze?

– Już go nie ma – odpowiedział wylewnie pan Nan. Powiedział to w taki sposób, jakby notes pewnego dnia postanowił się wyprowadzić.

– Na pewno?

– Na pewno.

Nagle starszy mężczyzna spojrzał na syna w bardzo dziwny sposób. W jego małych czarnych oczkach pojawiły się równocześnie strach i pretensje, tak że aż ścierpła mi skóra. Spodziewałam się, że w tym domu nie zastanę szczególnie przyjemnej atmosfery, ale to, czego doświadczyłam w ciągu zaledwie pół godziny, sprawiło, że miałam ochotę krzyknąć: „Taxi!”.

Powstrzymałam się jednak. Duszką dopiłam swoją herbatę i postanowiłam, że nie będę czekać na to, aż panowie zaczną się kłócić.

– Jestem trochę zmęczona, chętnie się przejdę – powiedziałam.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, jak idiotycznie zabrzmiało to zdanie.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? Dać ci klucz do Domu Mgieł?

– Nie, zostawmy to na razie, nie spieszy się. Na pewno macie sobie z ojcem dużo do opowiedzenia – skłamałam. – Dziękuję za herbatę, panie Nan. Do zobaczenia, Yim.

Niechcący po raz pierwszy zwróciłam się do Yima po imieniu. Po trzydziestu minutach w tym domu zaczęłam odczuwać do niego prawdziwe przywiązanie i zaczęłam traktować go jak swego jedynego obrońcę, bastion mający mnie uchronić przed małym starcem, którego tylko Yim potrafił utrzymać w ryzach.

Trudno mi było sobie wyobrazić, że mogłabym zostać z Visethem Nanem sam na sam. Aby uniknąć takiego ryzyka, postanowiłam dostosować się do planu dnia Yima. Pan Nan tak czy inaczej nie udzieliłby mi ani wywiadu, ani w ogóle żadnych informacji. Wręcz przeciwnie, odniosłam wrażenie, że ma zamiar utrudniać mi pracę, o czym mogła świadczyć choćby jego odpowiedź na pytanie o zeszyt z wierszami.

Wyszłam do ogrodu i przez korony drzew dostrzegłam morze. Potrzebowałam przestrzeni i świeżego powietrza, więc bez namysłu ruszyłam w kierunku wody. Niestety, moje nadzieje na to, że nad morzem zaznam orzeźwienia, okazały się płonne. Na niskim niebie wisały ciężkie chmury. Niewielką plażę nad zatoczką okupowała grupka około trzydziestu znudzonych i rozczarowanych brakiem słońca osób. Jakaś młoda parka grała w softball, przy czym obydwójce robili wszystko, by jak najmniej się poruszać, co wyglądało po prostu idiotycznie.

Usiadłam na drewnianej ławce należącej jeszcze do posiadłości państwa Nan. Fakt ten nie podlegał dyskusji z tego prostego powodu, że Viseth Nan był jedynym mieszkańcem Neuendorfu, który zdecydował się otoczyć swoją parcelę płotem. Co prawda ogrodzenie sięgało ledwie bioder i było w pożałowania godnym stanie, ale miało znaczenie symboliczne. Mówiło: wkraczasz na ziemie Nanów. Usilnie próbowałam sobie wyobrazić pana i panią Nan siedzących razem na tej ławce, trzymających się za ręce i patrzących na zachodzące słońce, w żaden sposób nie byłam jednak w stanie zwizualizować sobie takiego obrazu. Ojciec Yima po prostu do niego nie pasował.

Potrafiłam sobie wyobrazić jedynie matkę Yima – drobną starszą kobietę z małymi ustami i włosami uczesanymi w koczek, Kambodżankę, której przed oczami nadal majaczył obraz ojczystych stron. To musiała być jej ławka, musiała zostać postawiona na jej życzenie. Wieczorem, kiedy plaża pustoszała, zapewne siadywała tu i błędziła wzrokiem po morzu. Może wracała wtedy myślami do czasów młodości, do domu tak innego od tego z aluminiowymi drzwiami i miniaturowymi oknami. A może rozmyślała o najważniejszych momentach swojego życia? O ślubie, narodzinach Yima, ucieczce z Kambodży? Albo przeciwnie – o przyszłości, z którą wiązała jeszcze pewne nadzieje.

Pani Nan, podobnie jak wiele innych ofiar morderstw, została oszukana.

Osoby, które umierają śmiercią naturalną albo w wyniku wypadku, nie padają

ofiara żadnego oszustwa. Ich ciało przecież nie oszukuje – ono jedynie reaguje na upływ czasu. Podobnie los nie kryje w sobie zbrodniczego pierwiastka – po prostu jest, jaki jest. Morderca natomiast jest jednocześnie oszustem, bo pozbawia ofiarę tego, co sobie zostawiła na przyszłość, a zarazem bawi się w przeznaczenie, choć nim nie jest. Osoby religijne powiedziałyby, że bawi się w Boga. Wszystko jedno, czy zabija dziecko czy blisko siedemdziesięcioletnią kobietę. Morderca zawsze zabija nadzieję.

Kiedy zginął mój brat, więcej łez wypłakałam z powodu utraconej przez niego przyszłości niż z powodu utraty jego jako osoby. Moim rodzicom brakowało syna, jego bliskości, bezczelnych odzywek, tego, że lubił sok bananowy, przepoconych koszulek, nawet dość kiepskich ocen. Mnie też oczywiście go brakowało – nie było już mojego starszego brata – jednak co innego było dla mnie nie do zniesienia. Od jego śmierci każdego dnia zadawałam sobie pytanie: Co robiłby teraz Benny, gdyby żył? W jakiej kobiecie by się zakochał? Jaką skończyłby szkołę? Jaki wybrałby zawód? Gdzie jeździłby na wakacje? Nigdy nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, dlatego każde takie pytanie łamało mi serce.

Teraz też pomyślałam o tym, jak wspaniale byłoby, gdyby Benny siedział obok mnie na tej ławce, zapatrzony w morze. W tym samym momencie przyszło mi jednak do głowy, że jestem tu prawdopodobnie właśnie z powodu tego, co przytrafiło się mojemu bratu. Zrobiło mi się bardzo nieswojo.

Wstałam i rozejrzałam się po okolicy. Działka należąca do rodziców Yima była większa, niż mi się początkowo wydało, w większości jednak ziemia leżała odłogiem. Piękny ogród zajmował zaledwie niewielką część parceli. Na resztę składały się połacie piasku i trawy przetykane samotnymi brzoźami i topolami. Jediną rzeczą, która naprawdę przykuwała wzrok, była pokryta bujnym płaszczem kwiatów szopa. Obeszłam ją dookoła, dziwiąc się na nowo, że ten mały, koślawy, niesympatyczny człowiek z żółtymi zębami, niedbale podciągniętymi spodniami i nieufnym sposobem bycia mógł stworzyć coś tak wspaniałego. W końcu jednak oswoiłam się z tą myślą.

Z trudem znalazłam wejście do szopy, gdyż było ono w połowie zarośnięte przez biały powojnik i żółte pnące róże. Z jakiegoś powodu gospodarz ich nie przycinał. Było to o tyle dziwne, że tak duża szopa była idealnym schowkiem na wszystkie potrzebne narzędzia.

Tego rodzaju miejsca zawsze wzbudzały moje zainteresowanie, zwłaszcza gdy kryły się w nich stare, już nieużywane rupiecie: widły, zardzewiałe łopaty, szkaradne lampy. Takie przedmioty były nie tylko rajem dla korników, ale też świadkami niejednej historii. Dodatkowo liczyłam na to, że w szopie znajdują się jakieś rzeczy po pani Nan.

Ignorując podszepty instynktu, pociągnęłam za drzwi i w tym samym momencie zauważyłam zardzewiałą zasuwę. Była tak stara i potężna i tkwiła tak mocno w okuciu, że miałam problem, żeby przesunąć ją chociaż o centymetr. Nic dziwnego, że pan Nan nie założył kłódki. Opór, jaki stawiała zasuwa, stanowił lepsze zabezpieczenie niż kłódka, którą zawodowiec przeciąłby nożycami w ułamku sekundy. Nim udało mi się dosunąć rygiel do połowy, byłam wykończona.

– Otwieraj się, cholero – zakląłam.

Majstrowałam przy zamknięciu jeszcze przez minutę, po czym zasuwa, głośno protestując, ustąpiła za jednym pociągnięciem. Przy okazji przytrzasnęłam sobie palec wskazujący, ale euforia wywołana zwycięstwem nad oporem materii pozwoliła mi zapomnieć o bólu.

Brudząc sobie ręce długo zalegającym kurzem, ostrożnie otworzyłam drzwi. Skrzypnęły, jakby nikt nie otwierał ich od stu lat. Pomyślałam, że tak właśnie musiał się czuć Howard Carter w chwili, kiedy udało mu się rozbić mur zamykający grobowiec Tutenchamona. Spodziewałam się poczuć zapach stęchlizny, mokry wyziew pleśni, zaduch zamkniętego w bezruchu powietrza zmieszany z odorem rozkładu. Do moich nozdrzy dotarło jednak coś gryzącego, ostrego, agresywnego. Środek insektobójczy? Nafta? Farba olejna? Rozpuszczalnik? A może wszystko po trochu?

Zaczęłam po omacku szukać włącznika światła. Gdzieś musiał przecież być, po lewej lub po prawej stronie drzwi, bo w szopie dostrzegłam tylko jedno malutkie okienko, i to na wysokości dwóch metrów, w związku z czym w środku panowała prawie zupełna ciemność. Szyba była pokryta szarym kurzem i czymś zielonkawym. Nawet nie próbowałam sobie wyobrazić, co to takiego.

Znalazłam włącznik – był jeszcze z tych, które się przekręcało – i dokładnie w momencie, kiedy chwyciłam go pomiędzy palec wskazujący a kciuk, ktoś złapał mnie od tyłu za ramię.

– Nie, stop! – zawołał pan Nan. Ścisnął mnie, prawdopodobnie niechcący, tak mocno, że aż jęknęłam z bólu. – To tutaj nie. Nie dla pani. Rozumie?

Staliśmy blisko siebie w wejściu. Po jednej stronie panowała całkowita ciemność, po drugiej zwisały pędy kwiatów. Po lewej smród gryzący gardło, po prawej zapach sierpniowego dnia. A przede mną niewysoki stary człowiek z małymi oczami czarnymi jak węgielki.

– Tego pani nie wolno. Niech to zostawi w spokoju.

– Rozumiem – odpowiedziałam, oszołomiona nieco poczuciem winy.

– To jest prywatne. Rozumie? Prywatne.

– Tak, oczywiście. Przepraszam, że... – Czułam się jak przyłapano na jakimś występku dziecko. Z jednej strony ogarnął mnie wstyd, a z drugiej żałowałam, że mi się nie udało.

– Wstęp wzbroniony.

– To się już więcej nie powtórzy. Nie miałam pojęcia, że... Przepraszam, jeśli pana zdenerwowałam. Nie chciałam. Nie pomyślałam, to przecież tylko stara szopa, do tego tak pięknie porośnięta roślinami, naprawdę pięknie. Minał się pan z powołaniem, powinien być pan ogrodnikiem. A może pracował pan jako ogrodnik?

Patrzył na mnie bez słowa, a ja zastanawiałam się, jak wybrnąć z tej sytuacji, ponosząc możliwie jak najmniejsze straty. Nie chciałam, żeby poskarżył się na mnie Yimowi, więc naprędce wymyśliłam, że udobrucham go komplementami na temat ogrodu.

Nagle zadzwoniła moja komórka.

– Proszę wybaczyć. Muszę...

– Musi pani wyjść.

Nie trzeba było mi dwa razy powtarzać. Wyszłam na światło dnia i wyciągnęłam telefon, rzucając przy tym gospodarzowi ostatni uśmiech i kłaniając się uprzejmie. Pan Nan bezceremonialnie odwrócił się do mnie plecami i z impetem umieścił rygiel zasuw w pierwotnej pozycji.

– Kagel – rzuciłam do słuchawki.

– Dzień dobry, pani Kagel. Nazywam się Arielle Meissner. Wczoraj nagrała mi się pani na pocztę głosową. Chodzi o Leonie Korn.

– A tak... Zgadza się.

Potrzebowałam chwili, by się otrząsnąć i zebrać myśli. Dopiero co stałam w ciemnej szopie wystraszona pojawieniem się gospodarza, który nawet nie próbował kryć swej wrogości wobec mnie, a teraz nagle do moich uszu dochodziły radosne, pełne życia piski pochłoniętych zabawą dzieci. W ciągu sekundy musiałam porzucić myśli o zabitej pani Nan i skoncentrować się na jej morderczyni.

– Dziękuję, że pani oddzwania, pani Meissner. Leonie Korn była przez panią zatrudniona, prawda?

– Właściwie to była zatrudniona przez miasto. Ja byłam jej szefową, jeśli chodzi o ścisłość. Jestem kierowniczką przedszkola. Byłyśmy jednak w koleżeńskich stosunkach.

– Czy to prawda, że Leonie Korn w chwili... popełnienia zbrodni, która jest jej przypisywana, nie pracowała już u pani jako przedszkolanka? Zwolniła pani Leonie Korn ze skutkiem natychmiastowym?

– Tak, tak było.

Odniosłam wrażenie, że pani Meissner z jednej strony jest tym faktem zasmucona, ale jednocześnie, może podświadomie, odczuwa dumę i ulgę, że w porę podjęła odpowiednią decyzję. Nie chciała nawet myśleć o tym, że przedszkolanka, którą zatrudniała, mogłaby w amoku popełnić zbrodnię. Ponieważ Arielle Meissner nie miała nic do ukrycia – wszak udźwignęła ciężar związanej z jej stanowiskiem odpowiedzialności – nie musiałam jej ciągnąć za język. Była jak wypełniony wodą balonik, który wystarczyło jedynie przekłuć.

– Krótko przed tym, co się stało, doszło do pewnego incydentu – powiedziała. – Właściwie incydentów było więcej, ale ta kropla przelała czarę. Leonie od jakiegoś czasu robiła się coraz bardziej drażliwa, a w przedszkolu to niedopuszczalne. Wychowawczyni i drażliwość to jak woda i ogień. Owszem, będąc wychowawczynią, trzeba nad sobą panować, ale to nie wystarczy. Przeszkolanka nie może nawet dopuszczać do siebie myśli, że mogłaby ostro potraktować któreś z dzieci. Przez lata nie było żadnych skarg na zachowanie Leonie, zawsze pracowała tip-top. Prywatnie spotykałyśmy się bardzo rzadko, od czasu do czasu zjadłyśmy pizzę i tyle. W każdym razie kiedyś przyznała mi się, że przedszkolanka to nie jest jej wymarzony zawód. Mimo to wykonywała swoją pracę naprawdę dobrze. Wie pani, w tym zawodzie wiele trzeba znosić. Tak... A potem...

Westchnienie Arielle Meissner świadczyło, że kobieta ma zamiar opowiedzieć o jakimś bardzo tragicznym zdarzeniu. W napięciu czekałam, co ma mi do powiedzenia.

– Kilka razy zdarzyło jej się zbyt mocno chwycić jedno czy drugie dziecko. Rzuciło mi się to w oczy i powiedziałam jej, że dalej tak być nie może. Ale, wie pani, to się nie skończyło. Sytuacja, która przesądziła o jej zwolnieniu, wydarzyła się w sierpniu. Tak, to musiało być prawie dokładnie dwa lata temu. Właściwie nie miałyśmy wtedy zbyt wiele do roboty. Wielu rodziców zabrało swoje pociechy na wakacje. Dzieci bawiły się na dworze, a Leonie ich pilnowała. I wtedy... wie pani... Leonie zaczęła potrząsać jednym chłopczykiem. Potrząsała nim tak długo, aż zaczął krzyczeć, jakby go obdzierano ze skóry. Chłopczyk nie przestawał krzyczeć, więc Leonie cisnęła go na piasek. Ja byłam w środku, nie zdążyłam w porę interweniować. Małemu nic się nie stało, ale równie dobrze mógł sobie coś złamać albo skręcić. Incydent był na tyle poważny, że nie miałam wyboru. Sprawa nie mogła się skończyć jedynie na upomnieniu. Leonie była innego zdania i straszyla mnie adwokatem. Uznała, że wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym jest bezpodstawne, i zjawiała się w pracy, jakby nic się nie stało. Byłam zmuszona zabronić jej wstępu do budynku. Mam wrażenie, że nikomu o tym nie powiedziałam. Jej matka była kompletnie zaskoczona, kiedy zadzwoniła do nas i wyjaśniłam jej, co się wydarzyło. Kilka dni później usłyszałam, że Leonie wpadła w amok i zastrzeliła trzy osoby na Hiddensee. Naturalnie byłam w szoku. Jeszcze niedawno pracowałam tuż obok kogoś takiego... obok... aż trudno w to uwierzyć... morderczyni. Wie pani, początkowo to do mnie nie docierało. Założmy, że wpadłaby w amok tutaj. Kiedy się to wszystko dokładnie przemyśli, można dojść do wniosku, że Bóg jednak istnieje.

Odczekałam trzy sekundy, by się upewnić się, że pani Meissner skończyła.

- Muszę wracać, zaczyna się pora odbierania dzieci. A potem kończę już pracę.
- Miałabym jeszcze tylko dwa pytania, gdyby była pani tak miła.
- Proszę. Ale naprawdę krótko.
- Dlaczego Leonie potrząsała tym chłopczykiem?
- Okłamał ją.
- I to wszystko?
- Zapewniał, że pewien przedmiot należy do niego, a w rzeczywistości należał

do innego dziecka. Kiedy Leonie dowiedziała się o tym, puściły jej nerwy.

Znęcanie się nad dzieckiem nie byłoby usprawiedliwione, nawet gdyby chłopczyk zrobił coś poważnego, ale kiedy usłyszałam, że chodziło o coś tak błahaego i powszechnego jak kłamstwo, aż mnie zatkało.

– A drugie pytanie? – popędziła mnie Arielle Meissner. – Naprawdę muszę już kończyć.

– Widziała się pani kiedyś z przyjacielem Leonie, Steffenem Heroldem?

– Steffen Herold... A tak... Kilka razy odebrał Leonie z pracy. Rzadko go widywałam, może ze trzy razy przez wszystkie te lata. To był umięśniony facet, wyglądał całkiem niezłe. Właściwie nigdy z nim tak naprawdę nie rozmawiałam. Wie pani, „dzień dobry”, „dzień dobry”, to wszystko. Za to Leonie nieustannie o nim opowiadała: „Steffen to”, „Steffen tamto”. Mimo wszystko miałam wrażenie, że nie za bardzo do siebie pasują, ale to nie była moja sprawa. Czy to już wszystko?

– Tak, bardzo dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. Do usłyszenia.

Spytałam przedszkolankę o Steffena Herolda, ponieważ były przyjaciel Leonie Korn w dalszym ciągu pozostawał dla mnie nieuchwytnym duchem. Nie odbierał moich telefonów, a gdy dwa razy zostawiłam mu wiadomość na poczcie głosowej, zwyczajnie ją wyłączył. Nie dał się nabrać, gdy zablokowałam wyświetlenie numeru, a to oznaczało, że nie uda mi do niego dotrzeć. Być może miał już dość zamieszania wokół tej sprawy. Jego nazwisko nie pojawiło się jednak w żadnym protokole ani na żadnej liście, więc nie mógł być często nękany przez prasę. Czyżby chciał zamknąć rozdział związany z Leonie, bo czuł się tym wszystkim przytłoczony? A może wręcz przeciwnie, był tak zimny, jak go opisywała Margarete Korn, i los Leonie był mu zupełnie obojętny? Jakim był człowiekiem? Jak traktował Leonie?

Wysłałam mu esemesa z prośbą o rozmowę. Mój dziennikarski nos podpowiadał mi, że koniecznie muszę z nim porozmawiać. Miałam co do niego takie same przeczucia jak w stosunku do tej szopy. To był klucz to zrozumienia pewnych spraw, chociaż to zrozumienie majaczyło jeszcze w ciemnościach. W szopie kryła się tajemnica pani Nan, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Reakcja wdowca na moją próbę dostania się do środka była bardzo wymowna. Jeśli była to jego szopa, to dlaczego pozwalał, by wejście powoli zarastały rośliny? Nie, tych drzwi używała pani Nan, a po jej śmierci miały pozostać zamknięte już na zawsze.

Steffen Herold, metaforycznie rzecz ujmując, też był takimi drzwiami. I je również musiałam wyważyć.

Oprócz tego były jeszcze dwie ofiary rzezi, o których koniecznie chciałam napisać. Tak, ta sprawa ciekawiła mnie coraz bardziej. I pomyśleć, że nie tak dawno chciałam z niej zrezygnować...

Podczas rozmowy telefonicznej z panią Meissner bezwiednie opuściłam działkę należącą do rodziny Nan i przecięłam mały, nie większy niż powierzchnia boiska, brzozy lasek. W ten sposób wyszłam wprost na Dom Mgieł. Lasek graniczył z boczną ścianą tego szklanego pałacu. Kiedy tak podążałam w jego kierunku, prawie się potknęłam o niewielką mogiłę.

Zaskoczona spojrzałam pod nogi. Kopczyk miał takie rozmiary, jakby skrywał trumnę dziecka. Grób był zaniedbany i zarośnięty chwastami, a drewniany krzyż, zrobiony z dwóch niezgrabnie splecionych gałązek, przechylił się na bok. Do krzyża było przymocowane zdjęcie. Przyklękłam na leśnym poszyciu i wzięłam fotografię do ręki, ale niestety była całkowicie wyblakła. Foliowa koszulka, w której ją umieszczono, okazała się nieszczelna i do środka dostała się deszczówka. Byłam w stanie rozpoznać jedynie kwieciste tło. Całą resztę zmyły woda i czas.

Zaciekawiona spojrzałam ponownie na kupkę ziemi i ogarnął mnie smutek.

I wtedy usłyszałam za sobą trzask łamanej gałęzi.

12

Wrzesień 2010 r.

Przez zamknięte okno pokoju docierały do Tima odgłosy rozpoczynającej się właśnie rodzinnej wycieczki. Dzwonek roweru, brzęk jakiegoś blaszanego przedmiotu, śmiech, pytania: Czy masz ze sobą to? Nie mógłbyś wziąć tamtego?... Dwa rowery zostały wolne – jeden należący do Vev, a drugi wypożyczony dla Tima, który w ostatniej chwili zrezygnował z udziału w wycieczce. Kiedy mówił, że chce popracować, naprawdę miał zamiar zabrać się do pisania. Liczył, że uda mu się przelać na ekran komputera pewną historię. Kiedy na klawiaturę spływały pierwsze zdania, a jego bohaterowie zaczęli mówić, przestawały się liczyć pogoda i dobre maniery. Pisanie było w takich momentach solą jego życia, było jak miłość, pożądanie, upojenie. Do tej pory ludzie, którzy sami nigdy nie pisali, nie byli w stanie go zrozumieć. Ulegali urokom przyrody, ożywczej kąpieli, życia towarzyskiego czy choćby pokusie zakupów.

Mimo tych szczerych zamiarów Timo czuł się, jakby brał udział w jakiejś konspiracji, szczególnie kiedy wpatrywał się w ścianę sąsiedniego pokoju, w którym, o czym wiedział, znajdowała się Vev.

Ledwie włączył notebook i utworzył nowy plik, ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę.

To była Leonie. Wyszykowała się, nie pomijając żadnego szczegółu: cień do powiek, szminka, puder, tusz do rzęs. Makijaż jak na wielką galę. Natapirowała włosy, jakby się wybierała na ceremonię wręczenia nagród. Związana na brzuchu koszula w kratę niezbyt korespondowała z resztą wymuskanego image'u, a sam image nijak nie pasował do wycieczki rowerowej.

– Nie pojechaliście jeszcze?

– Zaraz ruszamy. Właśnie się dowiedziałam, że nie jedziesz.

– Przyszła mi do głowy pewna historia.

– Szkoda. Bez ciebie czuję się trochę nieswojo.

– Dlaczego?

– Jesteś jedyną osobą, która mi nie robi wyrzutów. No wiesz, z powodu tego pistoletu. Vev od początku mnie nie lubiła, a Philipp też zmył mi porządnie głowę.

– A Yasmin? Też ci dokucza? To nie byłoby w jej stylu.

– Ach, Yasmin... – Leonie wzruszyła ramionami.

– Niepotrzebnie dramatyzujesz. Oczywiście, że wszyscy są trochę zdenerwowani, ale wszystko wkrótce się ułoży. Pistolet nie stanowi zagrożenia, z całą pewnością nie ma go nigdzie w domu, a w ciągu dnia cały raban ucichnie. Zobaczysz.

– Czyli nie myślisz o mnie źle?

– Skądże. – Leonie w dalszym ciągu wyglądała jak ktoś, kto potrzebuje wsparcia, więc Timo ją objął. – Kiedy będziecie na wycieczce, porozmawiam z Vev.

– Jako mój rycerz.

– Jako twój rycerz.

– Dziękuję, kochany jesteś.

Kiedy Leonie wyszła z pokoju, Timo otworzył olbrzymie okno i obserwował, jak pozostali odjeżdżają spod domu. Clarissa, siedząc w wózku doczepionym do roweru Philippa, pomachała Timowi na pożegnanie. Zrobiła to tak, jak często robią dzieci, samymi palcami. Po chwili Leonie również mu pomachała – i również samymi palcami. W końcu wszyscy się zatrzymali, by go pożegnać – także Yim, który przyłączył się do wycieczki.

Timo w końcu był sam. Prawie sam. Spojrzał na ścianę, która oddzielała jego pokój od sypialni Vev.

Po dwóch godzinach pisania poczuł, że bolą go nadgarstki. Zaskoczyło go, że są tak wrażliwe, ale napawał się tym bólem, który dowodził, że nie marnował czasu. Zapisał ładnych kilka stron, zappełnił pustkę. W pisaniu najbardziej lubił tę chwilę, gdy jego bohaterowie ożywali, kiedy poznawał ich pasje i nadzieje, gdy się dowiadywał, co ich zraniło. Upojony uczuciem spełnienia, odchylił się na oparcie fotela, skrzyżował ręce za głową i wolno wypuścił powietrze z płuc. Z trudem powstrzymywał uśmiech. Czuł się jak po dobrym seksie.

– Widzę, że miło spędzasz czas.

Vev stanęła tak, że jej tułów znalazł się dokładnie pośrodku otwartego

kwadratowego okna. Krajobraz za nią wyglądał jak tło najslynniejszego obrazu Leonarda da Vinci – tyle że tu Mona Lisa była w koszulce bez rękawów.

– No nie! – powiedział. – W ogóle nie słyszałem, jak pukasz.

– Nie pukałam.

– O.

– Było tak cicho. Myślałam, że śpisz.

– Pisałem.

– Oddawałeś się nałogowi. Dlatego masz taki dobry humor – parsknęła śmiechem. – Przygotowałam dla nas coś do jedzenia. Jest już po pierwszej, musisz być głodny. Co powiesz na mały piknik? Znam pewne piękne miejsce.

Mówiła *moderato cantabile*, nieśpiesznie i śpiewnie.

– Nie zaczekamy na pozostałych? – spytał Timo.

– Nie. Po latarni morskiej Philipp chce ich jeszcze zabrać do domu Gerharta Hauptmanna, więc nieprędko wrócą. Philipp ma bzika na punkcie zabytków. Podczas podróży musi zwiedzić każdy wiejski kościół i ze stosowną czcią okrążyć każdy pomnik... I jak każdy zapaleniec jest przekonany, że wszyscy podzielają jego fascynację. Jednym słowem: są teraz z wizytą u noblisty z początku zeszłego stulecia, czyli jakieś sto lat stąd.

– Oj, to daleko.

– Nawet bardzo.

Timo wyłączył notebooka.

– To jak? Piknik? – spytała Vev.

– Piknik.

Miejsce, o którym mówiła Vev, znajdowało się w rezerwacie ptaków, oddalonym około pół kilometra od Domu Mgieł. Wstęp na teren rezerwatu był zabroniony, o czym świadczyły ogrodzenie i zawieszane na nim na poły odstraszające, a na poły błagalne tabliczki z pomalowanej na żółto blachy. Vev, nie zważając na zakazy i prośby, podwinęła spodnie do kolan, weszła do wody i ominęła ogrodzenie. Timo podążył jej śladem. Brodząc w wodzie, Vev śmiała się, jakby fakt, że za jednym zamachem wywiiodła w pole zarząd parku narodowego i jaskółki brzegówki, sprawił jej niebywałą frajdę. Przeszli jeszcze około dwustu metrów i dotarli do wąskiej zatoczki, której brzegi były porośnięte charakterystycznie pochylonymi świerkami. Woda bulgotała pomiędzy kamieniami i powalonymi

drzewami.

– Nigdy tutaj jeszcze z nikim nie byłam – powiedziała Vev.

– Nawet z Philippem?

– Zwłaszcza z nim. Philipp czuje odrazę do łamania zakazów, a ja potrzebuję jakiegoś miejsca tylko dla siebie. Nie przyprowadziłam tu nawet Clarissy.

Plaża miała ledwie kilka metrów kwadratowych. Płytkie morze pluskało u ich stóp, a tuż za ich plecami wyrastała stroma wydma. Vev mogła się czuć panią tego skrawka piasku i traw. Zatoczka w pewnym sensie należała do niej, nie do gminy. Wzięła ją w posiadanie, uczyniła z niej Genoveva Bay.

– Rozbieraj się – powiedziała. – Ochłódzimy się w morzu.

– Ale ja... nie mam kąpielówek.

– Kto się wybiera na wyspę bez kąpielówek?

– Pisarz.

– O bogowie! Ale majtki masz, prawda?

– No tak...

– To proszę bardzo, mnie to w zupełności wystarczy.

Pod koszulką i spodniami Vev miała na sobie czarny kostium kąpielowy, w którym wyglądała fantastycznie. Ubierała się niespecjalnie oryginalnie – cała na czarno – ale pasowało to do niej.

Wyłynęli nieco w morze. Timo, powodowany potrzebą popisania się przed Vev, płynął swoim pokazowym kraulem.

– Wspaniale pływasz, bardzo szybko. Mógłbyś pobić Philippa.

– I zrobić sobie z niego wroga?

Vev parsknęła śmiechem.

– Tak to by się pewnie skończyło. Philipp nienawidzi, kiedy sprawy przyjmują inny obrót, niż sobie zaplanował. Tak czy inaczej, zbyt wiele w waszych relacjach nie jesteś w stanie popsuć. Już teraz nie może cię znieść.

– Czyli jednak... Przez Yasmin?

– On nie potrzebuje żadnego konkretnego powodu. Nie zaprosił cię tutaj przez wzgląd na dawne czasy ani dlatego, że cię lubi.

– Bardzo ciekawe. Zatem dlaczego?

Rozmawiali tak, unosząc się na falach niczym dwa korki. Znajdowali się w najbardziej prywatnym miejscu na świecie, gdzie każde słowo natychmiast

opadało na dno morza. Na łodzi w żadnym wypadku nie mogliby kontynuować tej rozmowy. I nigdy by jej nie powtórzyli. W razie potrzeby zachowywaliby się tak, jakby nigdy się nie odbyła. W tej kwestii panowała między nimi niewypowiedziana, milcząca zgoda.

– Dlatego że... ujmę to najłagodniej, jak potrafię... Philipp lubi się pokazać. – Vev zaczęła mówić w sposób, w jaki zwykł się wypowiadać jej mąż. – Oto mój dom, moja żona, moje życie. Wszystko zgodnie z moją własną koncepcją. Wszystko, rzecz jasna, ze szkła, tak by każdy mógł zobaczyć, jak mi się świetnie powodzi. Przypomnij mi, czym to się zajmujesz? Ach, tak, piszesz książki. Dobrze się sprzedają? Nie? Och, jaka szkoda. A przy okazji, wołałbyś spać w apartamencie książęcym czy w komnacie w stylu Ludwika XVI? – Vev wróciła do swojego normalnego tonu. – Przyznaj, że robi ci się od tego niedobrze.

– No dobra, nie podobało mi się to.

– Robi ci się od tego niedobrze.

– O czym to wcześniej mówiłaś?

– Co ty tam masz? – Vev nagle zmieniła temat, wskazując na tatuaż, który niczym łańcuch wił się wokół chudego ramienia Tima. W szaroniebieskie motywy wpleciono azjatyckie znaczki, których znaczenie Timo zdążył już zapomnieć.

– Zrobiłem go sobie nazajutrz po moim pierwszym seksie. Miałem wtedy dwadzieścia lat.

– Serio? Długo z tym zwlekałeś jak na dzisiejsze standardy.

– Mam raczej spóźniony zapłon. Zawsze potrzebuję nieco czasu.

– Nie jeśli chodzi o wspinanie się na kominy. Czyli uczciłeś inicjację seksualną tatuażem, tak?

– Idiotyczne, wiem.

– Idiotyczne, ale całkiem nieźle wygląda.

Vev dotknęła ramienia Tima, jakby był to przedmiot na sklepowej półce. Znaleźli się przy tym tak blisko siebie, że ich poruszające się w wodzie nogi dotknęły się i splotły ze sobą.

– Podoba mi się – powiedziała.

Gdy wyszli na brzeg, Vev rzuciła Timowi ręcznik i zaczęli się wycierać. Timo miał przy tym wrażenie, że czuje na swoich plecach jej wzrok. Było mu trochę nieswojo – nie dlatego, że na niego patrzyła, ale dlatego, że nie wierzył, by jego

ciało mogło wyrzucić na niej wrażenie. Był bardzo szczupły – by nie powiedzieć kościsty – i miał w sobie coś dziecięcego, tak jakby natura wbrew jego woli sprawiła, że zbyt szybko urósł. Niepokoiły go też jego majtki. Przede wszystkim – majtki to nie kąpielówki. Są wykonane z bawełny, która po namoczeniu klei się do ciała, a Timo był przekonany, że to, co ma pod spodem, również nie stanowi powodu do dumy.

Położyli się na mokrych ręcznikach. Było wrześnie popołudnie i słońce nie świeciło już tak mocno. Przez welon chmur przenikała jedynie blada poświata. Przez kilka minut leżeli, próbując się ogrzać, po czym Vev wyciągnęła serwetki, kotlety mielone, dwie szklanki, butelkę wody niegazowanej i whisky.

– Nie ma nic zdrowego – stwierdziła. – Żadnej sałaty, żadnych jabłek ani soku pomarańczowego. Philipp lubi tylko zdrowe rzeczy, od müsli przez owoce, pełnoziarnisty chleb aż po jazdę na rowerze, łamigłówki i tysiące innych rzeczy, które mają uszczęśliwić człowieka. Ja jednak jestem w stanie znosić te dobrodziejstwa jedynie, gdy występują z umiarem. Mielone kotlety i whisky to dokładnie to, czego teraz potrzebujemy.

Szybko pochłonęli i jedno, i drugie. Timo mieszał whisky z wodą, więc zachował jasność umysłu dłużej niż Vev. Mimo to z każdą dolewką robili się bardziej rozmowni. Alkohol tak właśnie działał na Tima. Pozwalał mu pokonywać zahamowania.

– Jak poznałaś Philippa? – zapytał.

– Tak naprawdę chcesz się dowiedzieć, dlaczego wybrałam właśnie jego, prawda?

Bezpośredniość Vev zbiła go z tropu do tego stopnia, że nie odpowiedział.

– No dobrze, mimo wszystko zaspokoję twoją ciekawość. Pracowałam wtedy jako tłumaczka i dostałam od Philippa jakieś zlecenie. Miałam czterdzieści lat i w końcu chciałam mieć dziecko. I, dzięki Bogu, dzisiaj je mam. Philipp zaś chciał mieć żonę, która zajmie się dzieckiem, i koniecznie mieszkać na Hiddensee. I voilà, jesteśmy wszyscy na Hiddensee. Dom też nie mógł być pierwszy lepszy, musiał być wyjątkowy. Wiesz, Philipp ma wielkie plany. Chce zostać Karlem Lagerfeldem architektury mieszkalnej. Lubi wystawne życie i jest ambitny, a ja bardzo lubię ambitnych mężczyzn. Poza tym jest dobrym ojcem i zawsze zachowuje się, jak należy... – W ostatnim momencie Vev zdusiła w sobie cisnące jej się na usta

„choć”, lecz mimo to było ono wyraźnie wyczuwalne. Na jej twarzy pojawił się smutek.

Po chwili postanowiła kontynuować tę osobliwą spowiedź.

– Nie wiem jeszcze, co zrobię, kiedy Clarissa będzie miała kilkanaście lat i wejdzie w wiek, w którym dziewczynki ubóstwiają gwiazdy z MTV i ich sobowtórów na szkolnym podwórku. Wtedy ja stanę się zbędna, taka Krystle Carrington z Hiddensee. Już nią trochę jestem. Będę zapraszać na obiady i kolacje różnych Möllerów i Müllerów, Schneiderów i Schreinerów i będę przyjmować ich zaproszenia. Będę spotykać się na herbatce z żonami innych architektów, których skóra będzie tak jędrna, miękka i gładka jak serek w plasterkach i które wypielegnowanymi dłońmi będą przewracać strony „Vogue’a” czy „Elle”. Seks w wielkim mieście, tylko bez seksu i bez wielkiego miasta. I wtedy będę wspominać pewne wrześnieowe popołudnie i pewnego ślicznego łobuza, pisarza. Popołudnie, które spędziliśmy, leżąc nad morzem i rozmawiając o życiu. Nie wiem... Zdarza ci się czasami, że masz poczucie, jakbyś znajdował się w niewłaściwym życiu? Że gdzieś źle skręciłeś, ale niestety nie wiesz gdzie? Że odgrywasz jakąś rolę? Najbardziej boję się tego, że w pewnym momencie ta rola okaże się rzeczywistością.

Dolała whisky do swojej szklanki.

– A wiesz co? Wszystko jedno. Zapomnij o tym, co właśnie powiedziałam.

Pociągnęła solidny łyk i nagle jej nastrój diametralnie się zmienił.

– No, a co ty sobie tam myślisz, słuchając tego wszystkiego? – spytała, odwracając się w stronę Tima. – Chyba wiem, co ci chodzi po głowie. Znużona kobieta przechodząca kryzys, młody chłopak, cicha zatoka, wrzesień... Myślisz, że jestem napalona na szczupłego, beztroskiego młokosa. Że jestem czymś w rodzaju bałtyckiej kokoty i zaciągnęłam cię do ptasiego rezerwatu, bo mam ochotę na twojego ptaszka... Tak sobie myślisz, prawda?

– Tak – odpowiedział Timo, samemu nie dowierzając, że przeszło mu to przez usta. – Tak, właśnie to mi chodzi po głowie. Z wyjątkiem fragmentu o bałtyckiej kokocie, bo tą nie jesteś. Dla mnie jesteś raczej... bałtycką Wenus.

Vev aż uroniła odrobinę złocistego płynu na piasek.

– Wenus?! Co ty bredzisz? I co ja tu właściwie robię? Dlaczego z tobą rozmawiam? Dlaczego właśnie z tobą? Przecież w ogóle cię nie znam. Nie mogę

dłużej tu zostać, dość się już ośmieszyłam.

– Wcale się nie ośmieszyłaś.

Mimo to Vev wstała i zaczęła w pośpiechu zbierać swoje rzeczy.

– Nie idź – poprosił Timo. – Tak dobrze nam się rozmawiało.

– Ta nasza rozmowa przypomina mi scenę z filmu. Jakże on się nazywał... Ja jestem Deborah Kerr, a ty Charltonem Hestonem, nie, Burtem Lancasterem, przed nami rozciąga się morze.

– *Stąd do wieczności* – podpowiedział Timo i złapał Vev za ramię.

– Tak, *Stąd do wieczności*. Zostaw mnie, Timo. Nie mogę... Muszę iść.

Delikatnie, acz zdecydowanie pociągnął ją ku sobie, na piasek. Kiedy uklękli naprzeciw siebie i ich ciała się zetknęły, ucałował jej usta. Poczul smak morza i łez. A potem smak whisky – i znowu morza i łez.

Vev uważnie spojrzała mu prosto w oczy.

– Co chcesz wyrazić tym pocałunkiem? Współczucie? Chciałeś w ten sposób złożyć mi kondolencje?

– Przykro mi, jeśli tak to odbierasz – powiedział Timo. – Pomyślałem... Nie jestem dobry w tych sprawach. Szczerze powiedziawszy, kiedy nie mam przed sobą klawiatury, zupełnie się gubię. Nie radzę sobie z wyrażaniem uczuć.

Vev dotknęła go.

– Jeśli tak, to jesteś uroczy w tym zagubieniu.

Przesunęła dłonie po jego twarzy, klatce piersiowej, biodrach, aż w końcu dotarła do jego członka.

Timo położył ją na piasku. Palce ich dłoni się splotły i zaczęli się całować, a potem, poruszając się jak na zwolnionym filmie, zrzucili z siebie ubrania.

Czując na plecach słońce, Timo napał na Vev, a ona mu wyszła naprzeciw i w całkowitej ciszy złączyli się, otwierając usta w bezgłośnym krzyku. Bez słowa oddali się pożądaniu.

– Przysięgaliśmy sobie wierność, Philipp i ja.

Timo wzruszył ramionami.

– Cóż...

– Pewnie urosłeś nieco we własnych oczach?

– Trochę tak, przyznaję.

Zaśmiali się. Dopiero co skończyli się kochać i wciąż ich wypełniała namiętność

– jak alkohol, który nie wietrzeje zaraz po tym, jak człowiek wypije ostatni łyk, lecz przez jakiś czas jeszcze szumi w głowie.

Stali na niewielkiej, należącej wyłącznie do nich plaży i spoglądali na Genoveva Bay. Niewielkie fale wymywały im piasek spod stóp. Było to uczucie przyjemne i zarazem niepokojące – jakby stali na krawędzi olbrzymiej masy, a ona przyciągała ich ku sobie, jakby tracili grunt pod nogami, jakby z wolna go oddawali, nie mogąc nasycić się uczuciem mrowienia i powoli się od niego uzależniając.

– Nie powiesz o tym Philippowi, prawda? – spytała Vev. – To nie w twoim stylu.

– A ty? Powiesz mu?

Nie odpowiedziała. Niebo nad nimi zasnuło się chmurami, błękit i zieleń przygasły.

– Jesteś przedziwną kobietą – powiedział Timo.

– Zatem wpasowuję się w klimat twoich powieści. Pomyłona pijaczka – odparła Vev, uśmiechając się przy tym. – Chodź, wracamy do domu. Reszta za chwilę powinna wrócić.

Tego popołudnia Timo nie wiedział, co dalej stanie się z nim i z Vev. Czy to tylko jednorazowa przygoda, czy może coś więcej? Myśli tańczyły w jego głowie jak szalone – w rytm muzyki z *Dirty Dancing*, a po chwili walca, lambady, *Jeziora Łabędziego* i żałobnego marsza. Po parę taktów z każdej z melodii, a potem od nowa. Kim był dla Vev? Kim ona była dla niego? Jak bardzo przyjdzie mu cierpieć z powodu tej miłości?

Zobaczył na morzu ponton, a w nim kilku dwunasto-, trzynastolatków, i przyszło mu nagle do głowy, że był w ich wieku, kiedy Vev zaczęła uczyć w szkole. Nigdy nie kochał się w swoich nauczycielkach, nawet w tych ładnych, a teraz zadurzył się w kobiecie, która mogłaby przed laty uczyć go francuskiego. „Cóż za przedziwny zbieg okoliczności”, pomyślał, gdy Vev zwróciła mu uwagę, że po francusku tym samym słowem określa się nauczycielkę i kochankę: *maîtresse*.

Miał *maîtresse*.

Kiedy tylko wyszli z rezerwatu, zauważył w oddali Leonie. Zmierzała w ich kierunku.

– Widzisz? – powiedział do Vev. – Znaleźli nas.

Vev roześmiała się pogardliwie.

– Leonie znalazłaby cię, choćbyś krążył po orbicie Jowisza.

Timo rzucił w jej kierunku zirytowane spojrzenie.

– O co ci chodzi? – spytał, lecz Vev, wypowiedziawszy te zagadkowe słowa, przyspieszyła kroku i minęła Leonie, jakby ta była latarnią.

Timo przywitał się z Leonie i w pewnej odległości ruszyli za Vev, której plażowa sukienka – włożyła ją jeszcze w zatoczce – powiewała teraz jak szata wróżki. Obserwując to, Timo z czułością, a zarazem dumą pomyślał: „Ta kobieta cię chciała. Tę kobietę zdobyłeś”. Miał wrażenie, że w ustach wciąż czuje smak morza, łez, whisky i upojenia.

Tymczasem Leonie wesoło paplała, zadając mu pytania, na które on mimochodem odpowiadał. Na szczęście nie spytała, czy Timo zgodnie z obietnicą wstawił się za nią u Vev. Zapewne by skłamał. Prawda była taka, że rozpalony żądzą w ogóle nie myślał o problemach Leonie. Ale przecież istnieją prawdy, które nikomu nie są do niczego potrzebne – zwłaszcza tym, którzy w danej sytuacji znajdują się na przegranej pozycji.

Leonie była w stosunkowo dobrym nastroju. Może nie skakała z radości, ale widać było, że jest w dużo lepszej formie niż rano.

– Wycieczka była całkiem miła – podsumowała, zaraz jednak pospieszyła z uściśleniem: – Chociaż latarnia morska to jednak nie Koloseum. W smażalni ryb Clarissa tak mnie sobą zaabsorbowała, że wystygło mi jedzenie. Yasmin godzinami rozmawiała tylko z Yimem. O buddyzmie, uzdrawiającej mocy kamieni, Leninie, komunizmie, anarchizmie, fletniach Pana, Hildegardzie z Bingen. Groch z kapustą, jak to u Yasmin. A Philipp zachowywał się jak chodzące kompendium wiedzy o Hiddensee i tak mnie zasypywał różnymi informacjami, jakbym była szejkiem, a on chciał mi opchnąć tę całą wyspę.

– Ciesz się, że z tobą rozmawia. Rano martwiłaś się, że nikt nie będzie chciał mieć z tobą nic wspólnego.

– No tak, ale sposób, w jaki Philipp każdemu daje do zrozumienia, że wszystko wie najlepiej... Mówię ci, on miał z tej wycieczki najwięcej frajdy, chociaż na pewno opowiadał to wszystko już setny raz.

Myśl o tym, że Philipp dobrze się bawił, stanowiła dla Tima pewne pocieszenie – zupełnie jakby ten fakt umniejszał jego winę.

– A jak ty spędziłeś dzień? Posunąłeś się do przodu, jeśli chodzi o twoją

historię? Poszliście z Vev popływać.

Przed nimi Vev zniknęła za wydumą, a chwilę potem rozległ się przerażający krzyk, jakby żywcem wyjęty z horroru, a po nim drugi, tym razem stłumiony, jakby omdlały.

Timo spojrział na Leonie.

– To była Vev, prawda?

– Tak mi się zdaje.

Timo, by skrócić sobie drogę, rzucił się biegiem w stronę wydmy. Była niezbyt wysoka i pokryta skąpą roślinnością, więc wspiął się na nią bez najmniejszego trudu. Dom Mgieł znajdował się mniej więcej sto metrów dalej.

Najpierw zobaczył plecy Vev, która stała jak wryta pod brzozą. Koszyk wyślizgnął się jej z rąk, a po chwili upuściła też trzymany pod pachą plażowy ręcznik. U jej stóp leżało coś czarnego.

Kiedy Timo nieco się zbliżył, rozpoznał sylwetkę kota.

– Morrison – powiedziała Vev. – Mój Boże, co się stało z Morrisonem?

Ciało kota było nienaturalnie wyciągnięte, oczy otwarte, a język zwisał z pyszczka.

Vev ani drgnęła. Timo ostrożnie zbliżył się do zwierzęcia, przyklęknął przy nim i dotknął jego futerka. Było ciepłe, mimo że słońce kryło się za chmurami. Głowę i szyję Morrisona oblepiała ciepła maź. Krew. Lewa strona głowy była rozbita.

– Czy on żyje? – spytała Vev drżącym głosem.

Morrison miał niewidzące, szkliste spojrzenie, zupełnie jak martwy człowiek.

Timo potrząsnął przecząco głową.

– Nie, ale jeszcze przed chwilą żył. Jest jeszcze ciepły. – Ostatnie słowa prawie stanęły mu w gardle.

Trzymając dłoń na nieszczęsnym stworzeniu i widząc Vev, której łzy spływały po policzkach i z brody kapały na ziemię, poczuł się, jakby właśnie stracił bliskiego przyjaciela.

– Co mu się mogło stać? – spytała Leonie. Timo i Vev prawie o niej zapomnieli. Stała z tyłu, teraz jednak podeszła. – Może spadł z drzewa? A może zaatakował go jakiś pies? Biedaczek. – Leonie stanęła obok Vev i nie patrząc na nią, dodała: – To musi być dla ciebie straszne.

– Widziałaś coś? – spytał Timo, bo przecież Leonie, jak by na to nie patrzeć,

musiała być w pobliżu, kiedy do tego doszło.

– No... słyszałam dziwne wrzaski, ale myślałam, że to mewa, tak to w każdym razie brzmiało. Ach, no i był tu dziwny mężczyzna, bardzo niski, trzymał ręce w kieszeniach żeglarskich spodni i bez słowa przeszedł koło mnie ze spuszczoną głową. Wyglądał na obcokrajowca.

– Nie sądzę, żeby Morrison spadł z drzewa albo został zagryziony przez psa – powiedział Timo. – Nie znam się na tym, ale nie widzę nigdzie śladów ugryzień, a kiedy kot spada z drzewa, to zwykle ląduje na czterech łapach. Poza tym spadłby na piasek, a wtedy nie rozbiłby sobie czaszki. Aż taka wysoka ta brzoza nie jest. Ja...

– Trzeba go natychmiast pochować – przerwała mu Vev. – Tu i teraz, zanim Clarissa zobaczy go w takim stanie.

Było już jednak za późno. Dokładnie w momencie, kiedy Timo, poinstruowany przez Vev, przyniósł łopatę z szopy, Clarissa wyszła z domu i na widok martwego kocura wybuchła przeraźliwym płaczem. Leonie długo trzymała małą w ramionach, jakby było to jej własne dziecko, i uspakajała ją, po stokroć całując jej główkę i wygłaszając litanię pocieszeń: Morrison jest już w niebie, ma piękne życie, chciałby, żeby... nie podobałoby mu się, że... nigdy o nim nie zapomnimy... namalujemy jego portret...

Timo wykopał grób, a tymczasem Vev zebrała kilka ulubionych zabawek Morrisona – piłeczkę tenisową, szmacianą myszkę na sznurku, kilka ziaren jego ulubionej karmy – i wszystko to włożyła razem z martwym kotem do grobu, jakby chowała faraona.

– Mamo, Morrison musi mieć krzyż – zażądała Clarissa. – I musimy przyczepić do krzyża jego zdjęcie.

Vev ze smutkiem kiwnęła głową. Timo objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Chciał obsypać ją pocałunkami, ująć połowę jej smutku i zrekompensować go swoją czułością.

13

Za moimi plecami znajdowała się mogiła, przede mną zaś stała leciwa kobieta. Mogła mieć z osiemdziesiąt lat. Siwe kosmyki włosów zwisały po obu stronach jej twarzy aż po wydatne kości policzkowe, a wokół jej ust wił się zapleciony przez upływające lata wianuszek zmarszczek, które sprawiały, że jej wargi wyglądały, jakby zostały zaszyte.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Staruszka miała na sobie staromodną sukienkę, na którą zarzuciła fartuch noszący świeże ślady ciasta ze śliwkami. Na jej widok przypomniałam sobie postać wdowy Bolte z książeczek o Maksie i Moritzu.

– Mieszkam w tym domu pomiędzy drzewami. Widziałam, jak kręci się pani przy Domu Mgieł. Pomyślałam, że sprawdzę, co pani robi. W tych czasach trzeba być ostrożnym.

– Słusznie – powiedziałam, podając jej dłoń, po czym się przedstawiałam.

Staruszka nie sprawiała wrażenia specjalnie podejrzliwej. Wyglądała mi raczej na samotną kobietę, która ma wielką ochotę z kimś porozmawiać. Wyobraziłam sobie, jak w piecu rośnie ciasto, a ona siedzi w kuchennym oknie, czatując niczym pajak na swoją ofiarę, i rzuca się na każdego, kto znajdzie się w jej polu widzenia.

– Tam jest pochowany kot – wyjaśniła niepytana. – Na zdjęciu już tego nie widać, to był czarny kocur. Został zamordowany.

– Zamordowany?

– Tak, miał rozbitą czaszkę. Pani Nachtmann opowiedziała mi o tym osobiście dzień po tym, jak do tego doszło. Chciałam się dowiedzieć, kim są ci dziwni ludzie w ich domu, a ona opowiedziała mi wtedy o zamordowaniu kota. I wie pani, co jeszcze powiedziała? Że uważa, że to była ta wariatka. Nie, nie całkiem tak się wyraziła. Uważała, że to jedna z tych kobiet, które u nich gościły.

– Dlaczego? – spytałam. – Dlaczego jakiś gość miałby coś takiego zrobić?

– Żeby się zemścić. Dwa dni później ta Leonie, czy jak jej tam, zaczęła na oślep strzelać. Słyszała pani o tym?

– Tak, słyszałam.

– Wstyd mi, ale muszę się przyznać, że z początku nie uwierzyłam pani Nachtmann. Trzeba być naprawdę okrutnym, żeby złapać kota za tylne łapy i cisnąć nim o drzewo, i to tylko po to, żeby dać komuś nauczkę. Trzeba by być naprawdę chorym na głowę, a przecież na świecie nie ma aż tylu popaprańców, proszę wybaczyć wyrażenie. Nie, ja na początku miałam inne podejrzenia.

– To znaczy?

– Słyszała pani o rodzinie Nanów?

– Tak, chwilowo u nich mieszkam, nazwijmy to: na kwaterze. Pobieźnie znam się z Yimem. Jego ojca poznałam dopiero dzisiaj.

– Proszę mu nie mówić, że to pani powiedziałam...

– Nie powiem.

– No więc... wtedy byłam zdania, że zrobiła to jego żona.

– Nian Nan? – krzyknęłam zaskoczona.

– Tak, tak się chyba nazywała. Nie potrafię spamiętać tych dziwnych imion. Ona była co najmniej tak samo walnięta jak ta Leonie, czy jak jej tam, tylko w inny sposób. Często zamykała się w swojej szopie. Nikomu nie pozwalała wchodzić do środka, ani staremu, ani nawet synowi. Kiedyś poszłam do nich, żeby się o coś spytać, a ona akurat była w szopie. Zapukałam, a kiedy weszłam, ta Nan naparła na mnie jak niespełna rozumu i wypchnęła mnie na zewnątrz. Klęła na mnie coś w tej chińszczyźnie. Klęła, tego jestem pewna, a przecież ona знаła niemiecki. Nie byłam w środku na tyle długo, żeby móc coś zobaczyć. W szopie wszędzie stały takie parawany z drewna, wie pani, jak w labiryncie, pewnie miały coś zasłaniać. Ale wyczułam jakieś chemikalia. Od tego zapachu jeszcze po dziesięciu minutach byłam oszołomiona, a pani Nan spędzała tam każdego dnia po kilka godzin, nawet w niedziele. A teraz przejdźmy do sedna. Wie pani, co ona tam robiła?

– Nie mam pojęcia.

– Ubijała zwierzęta.

– Słucham?

– Tak, z całą pewnością. Na wyspie co chwilę ginęły koty i małe psy. Ona je łapała, więziła, ubijała, a na koniec rozpuszczała resztki w tej chemicznej kąpieli.

To była najmniej prawdopodobna plotka, jaka kiedykolwiek dotarła do moich uszu. Mimo to nadal zachowywałam się przyjaźnie i słuchałam z uwagą, ponieważ mogłam jeszcze w przyszłości potrzebować tej skorej do rozmów sąsiedzkiej agencji wywiadowczej.

– Dlaczego pani Nan miałyby robić coś takiego?

– Ano wiadomo przecież, że Azjaci jadają psy i koty. A kości trzeba się jakoś pozbyć. Gdyby je zakopywała, ktoś mógłby zauważyć, więc postanowiła je usunąć chemicznie.

– A jaką rolę w tej historii odgrywał pan Nan?

– Żadną, jak sądzę. Czy widziała pani ich ogród? Ludzie, którzy są zdolni tworzyć takie ogrody, muszą mieć dobrą duszę. To dziwny typ, prawda. Ale z taką żoną... nic dziwnego, że zdziwaczał. Bezustannie snuła się po wyspie, o najdziwniejszych porach. Na jej widok przechodziły mnie ciarki. Mówię pani, ona miała zły charakter.

W duchu kręciłam głową, ale siłą woli zmusiłam się, by przez chwilę rozważyć słowa staruszki.

– Skoro pani Nan trzymała w szopie psy i koty, to dlaczego nie było słycać szczekania i miauczenia? Ani ujadania i wrzasków, kiedy je zabijała? – zapytałam.

Odniosłam wrażenie, że w oczach wdowy Bolte moje obiekcje nie zasługiwały na poważne traktowanie. W każdym razie byłam pewna, że w ciągu kilku dni staruszka znajdzie satysfakcjonujące wyjaśnienie, nawet gdyby sprowadzało się ono do tego, że przed zarżnięciem zwierzęta musiały wegetować w szopie odurzone chloroformem.

Tymczasem jednak kobieta zdecydowała się wrócić do sprawy zabitego kota.

– Pani Nan nie była winna śmierci tego biednego kocura, to była raczej ta Leonie. Jakżeż ona się nazywała... Wypadło mi z głowy jej nazwisko.

– Korn. Rozmawiała z nią pani?

– Nie, z nią, dzięki Bogu, nie. Jedynie z tą okropną młodą kobietą z kolorowymi włosami. Co za okropna i niegrzeczna osoba. Kompletny brak poszanowania – rzuciła z odrazą staruszka. – Młody Nan, choć bardzo go lubię, bo zawsze przyjaźnie się do mnie odnosi, ma okropny gust, jeśli chodzi o kobiety.

Kobieta nie mówiła o mnie, bo między Yimem i mną do niczego nie doszło, a jego próby zbliżenia się jak dotąd ograniczyły się do czekoladowych pralinek

i kambodżańskiej kuchni, lecz mimo wszystko poczułam się osobiście urażona uwagą wdowy Bolte.

– Czy to oznacza, że Yim i Yasmin Germinal byli... parą?

– Ach, co ja tam wiem – odparła starszuszka w niewczesnym przypiływie trzeźwego rozumowania, które z pewnością nie pojawiała się u niej zbyt często. – Ci młodzi ludzie dzisiaj, nie sposób się w tym połapać, a jeśli chodzi o takich z kolorowymi włosami, to już całkiem. Zwykła lafirynda, jeśli spytałaby mnie pani o zdanie. Robiła do Yima piękne oczy, spacerowali we dwójkę po nocy, widziałam dokładnie. Jasne, życzyłabym mu, żeby sobie znalazł jakąś nową dziewczynę, przecież jego poprzednia przyjaciółka zmarła w takich nieszczęśliwych okolicznościach. Utonęła, wypadła z łodzi. Była okropna pogoda, ale ona koniecznie chciała wyjechać z wyspy i strugała bohaterkę. Próbował ją zastąpić tą z kolorowymi włosami. Prawdę mówiąc, nie rozumiem go, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego aparycję. To znaczy, jeśli ktoś lubi obcokrajowców, oczywiście. Ale pani nic z nim nie łączy, prawda?

– Nie.

– O czym to ja mówiłam? Ach! O tym bezczelnym stworzeniu z kolorowymi włosami. Palila na mojej działce haszysz. Widziałam z kuchni. Narkotyzowała się prawie pod moim oknem. Stała tam pod tym drzewem i gapiła się na szopę. Nie przeszkadza mi, jak ktoś wchodzi na moją działkę, ale wtedy ją pogoniłam i postraszyłam policją.

– Kiedy to było?

– Tego samego dnia, rankiem. Ale teraz muszę zajrzeć do ciasta. Miło było panią poznać.

Korciło mnie, żeby spytać Yima o Yasmin. Wieczorem poszliśmy do smażalni ryb, oddalonej pięćset metrów od domu państwa Nanów. Rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o sprawie, a ja chciałam, żeby miła atmosfera utrzymała się przez cały wieczór. Powstrzymałam się zatem od zadania pytania. Yim sprawdził się w roli dowcipnego gawędziarza, rzucając anegdotami i parodiując aktorów. Naśladował Sky du Monta tak, że prawie wyłam ze śmiechu. A na koniec tonem gospodarza rewii zrelacjonował kilka najzabawniejszych wydarzeń ze swego życia.

Pozostali goście spoglądali w naszą stronę – niektórzy ze złością, ponieważ nasz śmiech im przeszkadzał, inni z zazdrością, bo nie mieli sobie absolutnie nic do

powiedzenia. Ale tego wieczora Yim ani myślał się pohamować. Przeciwnie, miałam wrażenie, że odpowiada mu rola żartownisia, a i ja złapałam się na tym, że odczuwam dumę, iż siedzę z nim przy jednym stoliku.

Kiedy wracaliśmy do domu, była już noc. W pobliżu nie było żadnej latarni, jednak gwiazdy na bałtyckim niebie świeciły mocniej niż te nad Berlinem. Yim był bardzo cichy.

„Oho”, pomyślałam. „Szykuje się próba zbliżenia albo...”.

Wyszło na to, że „albo” – wręczył mi klucz do Domu Mgieł i nie patrząc na mnie, powiedział:

– Tam musisz iść sama. Mimo najlepszych chęci nie mogę ci towarzyszyć.

Śniadanie zjadłam w samotności. Yim zostawił mi na kuchennym stole kartkę, że idzie pobiegać, a pan Nan szczęśliwym trafem pracował już w ogrodzie, gdzie pielił chwasty. Sunął na czworaka wzdłuż grządek z taką prędkością, jakby się ścigał o życie. Spodnie z płótna żaglowego jak zwykle mu się zsunęły, tym razem odsłaniając kawałek tyłka. Właściwie wyglądał komicznie, ale mnie nie śmieszyło nic, co wiązało się z ojcem Yima.

Kiedy wychodziłam z domu, pan Nan był pochłonięty pracą za olbrzymim bambusem, więc mogłam się dyskretnie wymknąć z ogródka. Zastanawiałam się, czy patrzy za mną. Oraz czy w tej chwili spogląda na mnie ze swego okna wdowa Bolte. Ponieważ wolałam tego nie wiedzieć, nie zerknęłam przez ramię, tylko skierowałam się prosto do celu.

Dom Mgieł w pełni zasługiwał na swoją nazwę. Tego wczesnego ranka całą wyspę okrywał delikatny welon powstały ze wznoszących się wilgotnych oparów, ale w miejscu, do którego zmierzałam, mgła wyraźnie gęstniała. Od strony rezerwatu nadciągały kłęby, które przy domu mieszały się, rozwarstwiały i w ciszy osłaniały fasadę budynku zimnoszarym płaszczem. Już w brzozowym lasku czułam się tak, jakbym wkraczała do opuszczonego królestwa wilgotnych oparów, jednak bezpośrednio przed szklanym pałacem, zaraz za kocią mogiłą, wrażenie to stało się tak przytłaczające, że dałabym wszystko, by ktoś przy mnie był. Mgła zdawała się zlewać z domem w jedno, tworzące go szklane powierzchnie odbijały opary tak, że granica pomiędzy materią w stanie lotnym i stałym zupełnie się zacierała. Kiedy znalazłam się kilka metrów od domu, w mojej głowie zaczęła kołatać się dziwna myśl, że budynek ten zostanie pewnego dnia pochłonięty przez mgłę i nigdy już nie

odzyska swojego kształtu. Że zniknie jak dom Usherów z noweli Edgara Allana Poe, a wraz z nim wszyscy jego mieszkańcy.

Odpędziłam od siebie tę ponurą wizję i w tym samym momencie zobaczyłam przed sobą pierwszą ofiarę.

Na ziemi był widoczny nieco zatarty, ale nadal dobrze widoczny obrys kredą, wskazujący ułożenie dolnych kończyn ludzkiego ciała. Z oficjalnego komunikatu prokuratury wiedziałam, że było to ciało pani Nan. Została zastrzelona tutaj, w wejściu. Jej nogi były mocno podkurczone, tak jakby w ostatniej chwili próbowała się zwinąć w kłębek albo instynktownie starała się u kresu życia przybrać pozycję, w której to życie rozpoczęła.

Czułam w gardle bicie serca, a przecież nawet nie uchyliłam jeszcze wrót do tego koszmaru. Kiedy ostrożnie otworzyłam drzwi, ujrzałam przed sobą obrys tułowia, rąk i głowy zamordowanej. Tu rysunek był bardzo wyraźny, jakby zrobiono go ledwie wczoraj. Przykrywając usta dłonią, stanęłam na progu, niezdolna zrobić ani kroku. Czas zatrzymał się przede mną w momencie śmierci ofiary.

Prawa ręka pani Nan była wyprostowana, a palce szeroko rozstawione, jakby resztkami sił próbowała się bronić, podczas gdy jej lewe ramię zakrywało oczy w geście, który zawierał w sobie zarówno strach, jak i poczucie godności. Przez wiele wieków zwykło się – a w niektórych kulturach czyni się to nadal – zasłaniać zmarłym twarze. W Pompejach odkryto liczne szczątki ludzi, którzy nawet na sekundę przed tym, nim zalała ich lawa, pamiętali o tym, by umrzeć godnie, jak na Rzymian przystało.

Widok był o wiele gorszy, niż to sobie wcześniej wyobrażałam. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że na miejscu zastanę jeszcze kredowe obrysy ciał. Do tego dochodziło przerażające ułożenie zwłok pani Nan. Próbowałam znaleźć drogę dookoła obrysu, nie chciałam po prostu przejść po nim, jakby były to jedynie nic nieznaczące bazgroły.

Zastanawiałam się, jak radzi sobie w tej sytuacji pan Nan. Jak może deptać po obrysie ciała swojej żony? A musiał to robić. Szybko zorientowałam się, że do domu nie można się dostać, nie depcząc po rysunku. Zrobiłam kilka nieprawdopodobnych wygibasów, lecz w końcu się opanowałam – bądź co bądź nie znałam pani Nan osobiście – i przewyciężyłam skrupuły. Nic dziwnego, że

Yim nie chciał tu przychodzić. Teraz rozumiałam to jeszcze lepiej niż wcześniej. Ciekawiło mnie, co czuje wdowiec, kiedy niezdarnie na krótkich nóżkach stąpa po kredowym śladzie.

Znalazłam się w korytarzu, lecz niepokój, który odczuwałam w progach, nie zelżał ani trochę. Na wieszaku wisiły wciąż lekkie kurtki, bluza z kapturem, różowy dziecięcy płaszcz... Pod nimi stały w szeregu buciki, obok para czerwonych kowbojek, sznurowane buty z cholewką, męskie półbuty, czółenka, znoszone trampki i czarne sandały. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy wyszli tylko na chwilę. Ponieważ buty były w różnych rozmiarach, zorientowałam się, że niektóre z nich musiały należeć do goszczących tu podczas feralnego weekendu osób, i uległam makabrycznej pokusie, by je przyporządkować. Liliowe czółenka należały zapewne do Leonie (pomyślałam tak, bo wyglądały jak buciki dla lalki), rustykalno-luzackie kowbojki być może do Yasmin, eleganckie sandały do Vev, trampki do Tima, a solidne męskie półbuty do Philippa.

W części mieszkalnej, składającej się z ułożonych amfiladowo pomieszczeń, doznałam kolejnego szoku, tym razem zupełnie innego rodzaju. Dom wyglądał jak po włamaniu. Po drewnianej podłodze walały się dziesiątki arkuszy papieru – część z nich pusta, część zapisana – a między nimi książki, kieliszki do wina, szklanki do whisky, poduszki, zgnieciony obrus i masa innych rupieci. Lampa podłogowa leżała przewrócona, drzwi jednej z komód były otwarte, obrazy na ścianach przekrzywione, a biały lambrekin zwisał częściowo wyrwany z karnisza tak, jakby ktoś złapał się go, upadając. Nie znalazłam tu żadnych obrysów ciał, ale wiedziałam, że gdzieś w domu muszą być jeszcze co najmniej dwa.

Za przeszklonymi ścianami widziałam gęstą mgłę, na której dom zdawał się unosić niczym siedziba bogów. Stałam w osiemdziesięciometrowym salonie i w którąkolwiek stronę bym spojrzała, widziałam za szybą mgłę, lekko mąconą podmuchami właśnie zrywającego się od morza wiatru.

Otworzyłam drzwi na taras i zrobiłam krok na zewnątrz, na okoloną krzewami dzikich róż werandę. Przez dwa lata nikt nie zadał sobie trudu, by uchronić meble ogrodowe przed działaniem wilgoci. Na jednym z krzeseł leżały okaleczone drewniane zwierzątka – wyblakła łaciata krowa i trójnogi konik – a kilka kroków dalej, w piasku, walał się bezgłowy bocian. Nade mną krzyczały mewy. Natychmiast poczułam chłód i wróciłam do domu.

Wciąż czułam niepokój. Za każdym rogiem spodziewałam się znaleźć kolejny kredowy obrys, za oknem gęstniała mgła, a w środku unosiła się atmosfera agonii. W kuchni uderzył mnie zapach stęchlizny. Piątego września dwa tysiące dziesiątego roku ktoś załadował zmywarę, lecz nie zdążył jej włączyć. Żeliwny rondel na kuchence pokrywała obrzydliwa skorupa.

W niewielkiej, przeznaczonej dla gości łazience na podłodze leżało stłuczone szkło. Szyba w oknie była wybita, a otwór prowizorycznie zaklejono folią.

Bałam się wejść na piętro. W chwili gdy miałam postawić stopę na pierwszym stopniu spiralnych schodów, zawahałam się. Choć wcześniej nie miałam takich problemów, poczułam coś na kształt klaustrofobii. Schody nie były ani strome, ani specjalnie wąskie – dwie osoby mogłyby spokojnie wejść po nich obok siebie – ale otaczała je ciągnąca się aż do niewielkich świetlików ściana, przez co klatka schodowa przypominała nieco rurę. Wykonałam dwa obroty wokół osi schodów, lecz mimo to nie doszłam jeszcze na górę. Znalazłam za to drugi obrys. Tym razem przestraszyłam się jeszcze bardziej niż za pierwszym razem.

Kontur rozciągał się na wielu stopniach. Ponieważ nie dało się zabezpieczyć śladów inaczej, jak tylko rysując zarówno na poziomych, jak i na pionowych powierzchniach schodów, można było odnieść wrażenie, że ciało było porozrywane, a jego proporcje zostały zniekształcone jak w parabolicznym lustrze. Kształt, któremu się przyglądałam, w niewielkim stopniu przypominał człowieka. Ręce, nogi, ramiona i głowa ledwie dawały się zidentyfikować i trwało chwilę, nim pojęłam, w jaki sposób ofiara upadła. Skupiona na rozszyfrowywaniu upiornej zagadki nie zauważyłam czegoś, co po chwili sprawiło, że zamarłam.

Na ścianie spiralnej klatki schodowej znajdowała się wielka plama krwi otoczona setkami mniejszych plamek. Nie wszystkie były czerwone. Część krwawej mazi spłynęła powoli po ścianie.

Nie wytrzymałam. Jednym susem pognałam na dół i wypadłam na zewnątrz, niemal przewracając się przy tym o próg, na którym kiedyś leżała pani Nan. Pod krzakiem wyrzuciłam z siebie żółć, jaka podeszła mi do gardła.

Nim udało mi się wyprostować, minęło kilka minut. Mgła nieco się podniosła i było widać pierwsze blade kontury otaczającego mnie świata: okazałe drzewo, dwa domy stojące w oddali, falującą linię wydm. Wokół panował zwodniczy spokój. Tworząc koncepcję swojego przyszłego domu, Philipp Lothringer chciał

uchwycić ten spokój i wypełnić nim projektowany budynek. Świat wewnętrzny miał mieć kontakt z zewnętrznym i odwrotnie. Miały się one wzajemnie przenikać. Dzięki temu Philipp, Vev i ich córka o każdej porze roku mogli się przyglądać temu, co świat zewnętrzny ma im do pokazania: morzu, trawom smaganym wiatrem, brzozowemu zagajnikowi, wrzosom i flegmatycznym mieszkańcom. W zamian domownicy byli widoczni dla świata. Kiedy zasłony nie były zaciągnięte, każdy mógł zajrzeć do domu jak do akwarium. Świadczyło to o wielkiej pewności siebie Philippa. Spójrzcie, oto ja, moja żona, moje dziecko, mój dom, oto jest moje życie. Nie muszę nic ukrywać.

Coś jednak poszło nie tak i chociaż dom był ze szkła, nikt, ani w środku, ani na zewnątrz, nie spostrzegł, że zbliża się katastrofa.

Byłam udręczona, lecz wróciłam do tej katowni. Nie widziałam jeszcze całego domu, a przecież musiałam zobaczyć wszystko, jeśli chciałam o tym napisać. Zrobiłam więc kilka zdjęć, po czym poszłam na górę. Kiedy dotarłam na szczyt schodów, zobaczyłam przed sobą długi korytarz. Po lewej było dwoje drzwi, po prawej troje, jedno drzwi znajdowały się na końcu korytarza. Dwoje drzwi było otwartych: jedno z boku i te na samym końcu.

Krocząc wolno przed siebie, mimochodem zajrzałam do jednego z pokoi gościnnych. Zobaczyłam w nim trzeci obrys, ten jednak był wykonany zieloną kredą. To było wstrząsające. Ciało Leonie, właściwie martwe, choć tliło się w nim jeszcze życie, osunęło się po ścianie. Ranną znaleziono w pozycji siedzącej, dlatego obrysowano ją tylko z grubsza i na zielono. Na sosnowych meblach i lawendowej tapecie znajdowały się krwawe rozpryski.

Obok dotychczasowej zgrozy pojawił się głęboki smutek, taki jak kiedyś odczuwałam, zwiedzając stare grobowce.

Czwarty obrys odkryłam w pokoju na końcu korytarza. Z tym też się liczyłam. Ciało leżało na podłodze u stóp łóżka. Ręce rozrzucone na boki, nogi razem – jak Jezus na krzyżu. Obok głowy okulary do czytania oznakowane chorągiewką z numerem czternaście. I ani śladu krwi.

Tamtej nocy padły cztery strzały. Trzy z nich zabiły na miejscu, jeden sprawił, że Leonie zapadła w śpiączkę.

Obrysy, układ ciał, krew, chaos panujący na dole, wybite okno w łazience dla gości, okulary, kolorowanka – wszystkie te obrazy tragedii dokładnie

sfotografowałam, by potem zrobić z nich kolaż.

Czułam się niemal podekscytowana myślą o pracy, jaka mnie czekała. Była to mroczna i przerażająca sprawa, lecz jej wir porwał mnie, nim zdążyłam się spostrzec.

Z tych rozważań, jak grom z jasnego nieba, wyrwała mnie ogłuszająca muzyka. Z dołu dobiegał huk *Symfonii Pastoralnej* Beethovena. Uderzenie podniosłych dźwięków sprawiło, że aż podskoczyłam. A potem w mojej głowie pojawiły się dwie myśli: kto zrobiłby coś takiego? I druga: nie jestem sama, ktoś wszedł do domu, jest na dole i czeka na mnie.

Nie mogę powiedzieć, że pośpiesznie ruszyłam sprawdzić, kto to taki. Pełna wątpliwości, niepewnym krokiem, niczym ślepiec ruszyłam schodami na dół, stopień po stopniu. Przemykając ponad obrysem, przez przypadek dotknęłam plamy na ścianie i natychmiast cofnęłam dłoń. Chciałam przełknąć ślinę, bo czułam drapanie w gardle, ale w ustach zupełnie mi wyschło. Moje zmysły, wyostrzone już przez panującą w domu atmosferę grozy, teraz wyczuliły się do granic możliwości. Miałam wrażenie, że czuję zapach zaschniętej krwi.

Na dole, jak na zwolnionym filmie, weszłam do części mieszkalnej.

Pan Nan stał trzy kroki ode mnie z rękami w kieszeniach utyłanych spodni. Lekko przekrzywił głowę i uśmiechnął się do mnie szeroko.

Wrzesień 2010 r.

Nieopodal Domu Mgieł rósł stary, skarłowaciały cis. Miał jedynie metr wysokości, a wiejące tu wiatry sprawiły, że zaczął rozwijać się ku dołowi. Wskutek tego pośród gałęzi rozłożystego iglaka powstał rodzaj jamy, w której można było schować jakiś przedmiot bądź samemu się ukryć. Clarissa widziała kiedyś, jak dwóch chłopaków paliło w niej papierosy, lecz ci natychmiast ją stamtąd przepędzili. Nieco później widziała tam również dwie rozbawione dziewczyny, które się całowały i na zmianę piły z jednej butelki. Fantazja podpowiadała Clarissie, że jama w cisie to miejsce, w którym dzieją się fascynujące rzeczy – miejsce, gdzie piraci mogliby ukryć skarb, a Ali Baba znalazłby schronienie dla swoich rozbójników.

Dziewczynka wczołgała się do środka. Rodzice zabronili jej wchodzić do jamy, a w dodatku nie pachniało tu szczególnie przyjemnie, co zauważyła już podczas wcześniejszych wizyt, ale przecież nie zamierzała tu długo zabawić. Podekscytowana zanurzyła ręce w suchym, częściowo piaszczystym, częściowo ziemistym podłożu.

Zrobiła źle i teraz chciała to naprawić. Nie powinna była wyciągać tej rzeczy z torby cioci Leonie. Nie powinna była kraść skarbu i ukrywać go tutaj. To dlatego, jak sądziła, Pan Bóg był na nią zły i zabił Morrisona. Chciał ją ukarać. Biedny Morrison. Kochała go najbardziej ze wszystkich kotów.

Dotarła już dość głęboko, a skarbu nadal nie było. Przecież zakopała go dużo płycej. A może szukała w niewłaściwym miejscu?

Zasypała z powrotem dziurę i zaczęła grzebać tam, gdzie przed chwilą siedziała, jednak i tym razem na marne.

Co się stało? Przecież skarb nie mógł po prostu zniknąć. I przecież opowiedziała o nim tylko jednej osobie.

– Clarisso?

Wołała ją mama. Jej głos był coraz bliżej.

– Clarisso, wyjdź, proszę.

Mała, naturalnie, spełniła polecenie matki. Była bardzo posłusznym dzieckiem. Nawet przy sklepowym regale ze słodyczami Vev nie musiała obawiać się irytujących kłótni z córką. Clarissa lubiła jednak odtwarzać wszystko, o czym przeczytała w książkach, a to czasami powodowało, że łamała zakazy.

– Mówiłam ci przecież, że nie wolno ci samej wychodzić z naszej działki. A już na pewno nie wolno ci wchodzić pod cis. Psy robią tam kupy, a niektórzy ludzie siusiu.

– Wiem. Ale piłka tenisowa taty tam wpadła.

– Co za bezczelna piłka, żeby tak po prostu sama wpadła. Nie szkodzi, skarbie. Tata ma tak dużo piłek, że sam nie wie, ile ich jest.

– Ale to była ta piłka, na której ciocia Leonie namalowała Lizuska.

– Masz na myśli Śmieszka? – parsknęła Vev.

Niechcący Clarissie udało się powiedzieć coś komicznego i jednocześnie trafnego. Leonie na wszelkie sposoby próbowała uzyskać przebaczenie Vev, lecz ona odbierała to jako lizusostwo w najczystszej postaci. Leonie pocieszała ją po śmierci Morrisona, poparła, mimo zastrzeżeń Philippa, pomysł Vev i Yasmin, żeby wieczorem zorganizować ognisko na plaży, krótko mówiąc: nagle chciała się z Vev zaprzyjaźnić, lecz na Vev to nie działało. Leonie miała u niej przerąbane, i nie chodziło jedynie o pistolet.

Mimo wszystko troska, z jaką Clarissa szukała piłeczki, wydała się Vev cokolwiek podejrzana, dlatego wczłgała się pod cis, żeby sprawdzić, czy jej córka czegoś tam nie ukryła.

Ale pod krzewem niczego nie było – ani piłeczki tenisowej, ani broni.

Vev wzięła córkę za rączkę.

– Za godzinę rozpalamy ognisko na plaży. Jeszcze nigdy tego nie robiliśmy. Super, prawda?

Clarissa przytaknęła, lecz jej radosny nastrój mąciła świadomość, że będzie musiała wrócić pod cis i rozpocząć poszukiwania od nowa. Tym razem będzie kopać nieco głębiej.

– A piłka? – spytała.

Vev spojrzała raz jeszcze na cis.

– Zapomnijmy o Lizusku. Ktoś inny na pewno się z niego ucieszy.

Philipp i Vev czynili ostatnie przygotowania do pikniku. Do jedzenia miały być pieczone w folii ziemniaki, kiełbaski, sałatka i trzy różne dipy, a do tego szampan, piwo, wino i sok. Na deser zaś – jak mniemał Philipp – grzywna i bura od straży. Yasmin podsumowała to wszystko określeniem „menu prawdziwego aktywisty”, ale Philipp jedynie odwrócił się od niej i przewrócił oczami.

– Ten weekend przebiega zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem – wyznał swojej żonie w kuchni, kiedy byli już sami.

– Aha – odpowiedziała Vev. – Czy tzatziki jest już gotowe?

– Czy ty traktujesz mnie poważnie?

– Pytasz, w tej chwili czy generalnie? Kiepsko wybrałeś moment, żeby zabiegać o moje współczucie. Kończy mi się folia, a mam do zawinięcia jeszcze cztery ziemniaki. Poza tym majonez mi nie wyszedł. Więc co z tym tzatziki?

– Zaraz będzie gotowe – odpowiedział Philipp, trąc ogórki ponad miską z jogurtem. – Po prostu chciałem ci to powiedzieć.

– Dobrze, więc powiedziałaś.

– Nie chcesz wiedzieć dlaczego?

– A mogę tej wiedzy użyć zamiast majonezu?

– Ty naprawdę mnie nie traktujesz poważnie. A powinnaś, bo dwa powody mojego niezadowolenia dotyczą ciebie.

Vev przerwała, oparła się biodrem o kuchenny blat i skrzyżowała ramiona.

– No to dawaj.

Philipp żwawo obrócił się w kierunku żony, rad, że wreszcie dane mu będzie ponarzekać.

– Po pierwsze: Leonie i jej pistolet.

– Zgadza się. Z tym, że to ja najdobitniej pokazałam Leonie, co o niej myślę, a ty zabawiałaś ją sielskimi rozrywkami i przejażdżkami rowerowymi pośród zielonych łąk. Ale wszystko jedno, mów dalej.

– Po drugie: Yasmin zupełnie mi nie pasuje. Ten jej ochrypły głos, głupkowate włosy, okropne ciuchy i te wszystkie buddystyczno-anarchistyczno-ezoteryczne bzdury, które opowiada. Timo nie powinien był jej przywozić. Po trzecie: Yasmin pali dzointy.

– A jeśli nawet, to co z tego? O ile nie robi tego u nas w domu i nie częstuje nimi

Clarissy, to nie powinno cię w ogóle obchodzić.

– Po czwarte: Timo się izoluje. Nie pojechał na wycieczkę. Pisać może równie dobrze w domu. Ja odłożyłem szkicownik, żeby zajmować się gośćmi. Ale nie, pan Stadtmüller udaje artystę, który potrzebuje prywatności.

– Ale poza tym bierze udział w ognisku, był na śniadaniu, pomagał w poszukiwaniu pistoletu, a potem był ze mną na pikniku.

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Po piąte...

– Masz zamiar skończyć to wyliczanie, zanim wszyscy wyjadą?

– Po piąte – kontynuował niewzruszony Philipp – zaciągnęłaś pana Stadtmüllera do rezerwatu. Doniosła mi o tym z lubością nasza wścibska sąsiadka, kiedy przyniosła nam ciasto.

– Zaciągnęłam? To zabrzmiało, jakbym go złapała na łące.

– Wiesz doskonale, co mam na myśli.

– Byliśmy na pikniku.

– Nie możecie we dwojkę chodzić na pikniki. Co pomyślą sobie ludzie?

– Że sami chętnie poszliby ze mną albo z Timem na piknik?

– Vev! Za nic mam te sąsiedzkie plotki, ale musimy się nieco dostosować do obyczajów panujących na małych wyspach. Do rezerwatu nie wolno wchodzić, a samotne spacerowanie kobiety i mężczyzny, którzy nie są małżeństwem... to nie jest w moim odczuciu najlepszy sposób spędzania czasu.

– Ale przecież nie jesteś chyba zazdrosny, prawda?

– O tego małego zasańca? Bynajmniej. Ale tłumaczę ci, że tutejsi...

– Czy jest jeszcze jakieś „po szóste”?

– Owszem. Morrison. Po prostu wzięłaś go i pochowałaś. Dlaczego nie zaczekałaś na mnie? Zawiózłbym go do utylizacji.

– Super, a w międzyczasie powiedziałabym Clarissie, że kości Morrisona zostaną przerobione na mydło.

– Straż...

– Jeśli jeszcze raz wypowiesz słowo „straż”, to oszaleję. Straż na Hiddensee składa się z trzech łysych grubasów, którzy mają zboczenie na punkcie przepisów. Clarissa chciała, żeby Morrison miał pogrzeb, rozumiesz? I ja też tego chciałam.

– No dobrze – ustąpił nieco Philipp. – Ale powinienem był przynajmniej wziąć w nim udział. To był też mój kot.

Vev na nowo zajęła się zawijaniem kartofli w folię.

– Nigdy się nim nie interesowałeś. Wszystkiego mu zabraniałeś i nigdy nie dałeś mu przy stole nawet...

– Koty od tego tyją.

– Chciałam, żeby pochowali go ci, którzy go kochali.

– Czyli Timo?

Skończyła się folia, lecz Vev mimo wszystko nie dała za wygraną i ze złością próbowała coś wykombinować.

– Daruj sobie. Timo był bardzo dotknięty śmiercią Morrisona. Wydaje mi się, że nawet płakał nad jego ciałkiem.

– Co robił?

– Płakał. Tak nazywa się proces, w trakcie którego przezroczysta, słona ciecz zbiera się w kąciakach oczu i spływa po policzkach. Ciecz ta podrażnia przy tym skórę, od czego dodatkowo puchnie twarz. Uczucia uwalniane podczas tego procesu to ból, żal, smutek.

– Zachowujesz się, jakbym był ufoludkiem, któremu trzeba wyjaśniać, czym jest płacz.

– A ty się zachowujesz, jakby istniał jakikolwiek powód, by czuć się zazdrosnym o pogrzeb. Jeżeli masz ochotę opłakać Morrisona, proszę bardzo: grób jest przy lasku brzozowym. Na pewno nie przegapisz kopczyka z ziemi. Idź i popłacz trochę, jeśli masz na to chęć. Wątpię jednak, czy ci się to uda. Widziałam cię płaczącego tylko raz, kiedy rąbnałeś się młotkiem w palec.

– Daj spokój – poprosił Philipp. Jego uwaga nie dotyczyła jednak ich kłótni, tylko whisky, którą Vev właśnie naląła do szklaneczki. – Kiedy pijesz, robisz się znużona i smutna.

– Przeciwnie – odpowiedziała Vev spokojnym, wręcz flegmatycznym tonem. – Piję, *ponieważ jestem znużona i smutna*. I dla twojej wiadomości, dzisiaj wypiałam mniej niż zwykle. Czy jest jeszcze jakieś „po siódme”?

Philippowi odechciało się nagle kłótni. Nie zależało mu już, żeby wyszło na jego. Podszedł do Vev i wziął ją w ramiona.

– Przepraszam, ja... Nie wiem, nie podobają mi się ci ludzie, których ściągnąłem do naszego domu, i teraz jestem na siebie zły, a kiedy jestem na siebie zły, robię się nieznośny. Wybacz mi, proszę.

Obrócił ku sobie twarz żony i zauważył, że jej oczy błyszczą.

– Och, mój Boże, cóż ja znowu najlepszego narobiłem.

– Co znowu?

– Przezroczysta, słona ciecz zbiera ci się w kącikach oczu i za chwilę spłynie po twoich policzkach. Podrażni ci skórę i spuchnie ci twarz. Uczucie uwalnianie w trakcie tego procesu to zapewne... Co ci jest, Vev? To moja wina? Jestem aż taki okropny?

– Tak – odpowiedziała Vev po chwili namysłu. – Ale ja też byłam okropna, więc nie w tym rzecz. Ja po prostu... Ja...

Nie mogła znaleźć słów. Philipp stał obok, serce mu ciążyło, ale jednocześnie zżerała go ciekawość. Najchętniej cofnąłby czas, najlepiej do momentu, kiedy Timo zaczepił go na Facebooku. Wówczas to wszystko, co się przytrafiło, nigdy by się nie wydarzyło. Był pewien, że wtedy Vev nie stałaby przed nim, płacząc, że nie byłoby żadnej kłótni, no i że Morrison nadal by żył. To ostatnie było jedynie mglistym przeczuciem, na którego poparcie nie miał żadnych dowodów.

– Wiesz – powiedziała Vev – to nie jest tylko kłótnia o kocie pogrzeby, rezerwy ptactwa, sąsiadów czy przedszkolankę z coltem.

– Nie zapominajmy o panu Stadtmüllerze.

– W ten sposób my... ja...

W tym samym momencie w drzwiach pojawiła się Yasmin.

– Powiedźcie, macie też kotlety z tofu albo warzyw, albo coś w tym stylu? Umrę, jeśli zjem kiełbasę.

– Umrzesz, jeśli stąd zaraz nie wyjdiesz – powiedział Philipp z kamienną twarzą.

Na kilka sekund cała trójka zastygła niczym posągi. Wreszcie odezwała się Yasmin.

– Sorry, przeszkodziłam?

– Źle wybrałaś czas – odpowiedział Philipp. – Zamiast przeszłego spróbuj użyć teraźniejszego. O ile w ogóle wiesz, co to takiego.

– Wiem, i to nawet bardzo dobrze – odpowiedziała Yasmin, odzyskując rezon, lecz w tym momencie Vev wzięła ją pod rękę, zaprowadziła do lodówki i powiedziała:

– Mam hallouimi. Co ty na to?

Pani Nan wyszła z szopy i natychmiast poczuła zapach spalenizny. Pośpiesznie, co nie leżało w jej naturze, skierowała się do domu, z impetem otworzyła drzwi i popędziła przez zadymione pokoje w poszukiwaniu ognia. Dom był stary – dlatego kupili go tak tanio – i pani Nan bała się, że w telewizorze albo jakimś urządzeniu kuchennym mogło dojść do zwarcia, ale ostatecznie natknęła się na zupełnie inną przyczynę.

W kuchennym zlewie ktoś ułożył stos ze starych zdjęć i je podpalił. Dzieło zniszczenia już się dokonało. Resztki dopalały się właśnie, uwalniając smużkę dymu, czarną jak żałoba i gryzącą jak gniew.

Pani Nan otworzyła okno i odczekała kilka minut na zewnątrz, pomiędzy gladiolami. Przyglądała się temu, jak jej przeszłość wydobywa się przez wszystkie otwory domu i rozprasza się na tle ciemniejącego nieba. Jej męża nigdzie nie było widać, ale wiedziała, że jest gdzieś w pobliżu i ją obserwuje.

Wróciwszy do środka, drżącymi dłońmi dotknęła wystudzonej kupki popiołu i wyciągnęła z niej mały, nieuszkodzony kawałek papieru. Był to prawy górny róg zdjęcia, na którym znajdował się dom jej rodziców. Można było jeszcze rozpoznać kalenicę z palmowych liści. Niewielki budynek i pozująca przed nim rodzina wylądowali na całopalnym stosie. Wszystko, co pozostało pani Nan z lat jej młodości, zamieniło się teraz w zwęgloną, śmierdzącą masę.

Przetrwała tylko jedna fotografia. Leżała prawie nieuszkodzona na samym dole. Jedynie w kilku miejscach pojawiły się czarne przebarwienia. Pani Nan wyjęła ją ze zlewu.

Było to jej zdjęcie ślubne, około czterdziestoletnia czarno-biała odbitka: siedzieli z mężem obok siebie na wysokich, szykownych krzesłach, wyprostowani niczym królewska para, lecz uśmiechnięci. Tonęli w kwiatkach: tych we włosach, na ich szyjach i na ubraniach – ich oraz gości, którzy stali dookoła i machali do obiektywu. Pan Nan trzymał w rękach horoskop, który postawiono im z okazji ślubu. Wróżba przepowiadała im szczęśliwe małżeństwo.

Westchnęła. Pan Nan uwierzył w ten horoskop tak, jak zawsze wierzył we wszystkie kłamstwa, szczególnie w swoje własne. Nikt, kto oglądał to zdjęcie, nie mógłby przewidzieć, że ludzie, którzy radośnie machają na nim do aparatu, wkrótce zmienią życie pani Nan i jej męża w piekło.

Zabrała fotografię, po czym odkręciła kran, by splukać czarną maź do ścieków.

A potem udała się nad morze. Jego brzeg był oddalony o zaledwie kilka kroków. Zapadający zmrok sprawił, że chociaż gdzieś w bambusowych zaroślach czatował jej mąż, miała poczucie, że jest sama. Kiedy dotarła na brzeg, opadła na piasek. Fale co chwilę sięgały jej niewielkiej postaci, a ona z trudem starała się oddać iluzji, że są to wody Mekongu.

Na Hiddensee niewiele rzeczy przypominało jej ojczyznę i rodzinną wioskę. Nie było tu nocnego krzyku małp niepokojonych przez zbliżającego się pytona, cynamonowców, wielkich kwiatów, oszałamiającego zapachu lasu o świcie, dziewczynek i chłopców łapiących szamoczące się na płycznach ryby, z których potem matki przygotowywały pastę. Przypominała sobie piękne nazwy wiosek i miast – Kampong Cham, Krouch Chmar, Ratanakkiri, Angkor Chey – i samo ich brzmienie sprawiało, że przed jej oczami pojawiał się kraj jej matki. A teraz została odcięta od tego wszystkiego – nie tylko w wymiarze przestrzeni, ale również czasu.

Często myślała o powrocie, ale jednocześnie wiedziała, że nie jest to możliwe. Dla niej nie było już powrotu. Hańba, jaką okryli się ona i jej mąż, którego niegdyś tak kochała i którego potem przestała kochać, była wieczna.

Yasmin i Yim odeszli od ogniska, żeby pospacerować, a kiedy w oddali dostrzegli niewielką, skąpaną w blasku księżyca postać pani Nan, Yasmin przerwała milczenie.

– Masz szczęście. Chciałabym mieć taką matkę jak ty – powiedziała.

Zmierzch, trzaskający ogień i obecność starych znajomych sprawiły, że ogarnął ją sentymentalny nastrój, a Yim wydawał się dobrym słuchaczem. Z miejsca poczuła do niego zaufanie.

– Miałam osiem lat, kiedy moja matka wysłała mnie do surowego katolickiego internatu. Tamtejsze zakonnice próbowały mi wbić do głowy, że świat jest zły i że bez Jezusa tak czy siak nie dam rady. Pewnego razu wykrzyczałam im prosto w oczy, że sama sobie stworzę swój własny świat i że nie będzie w nim miejsca dla tego żalostnego człowieczka na krzyżu. Zaniemówiły. Od tej pory dostawałam jedną karę po drugiej. W wieku piętnastu lat wyleciałam z internatu za to, że rozdawałam na dziedzińcu prezerwatywy. Matka nie rozmawiała ze mną przez rok, ale miałam to gdzieś, bo nigdy nie powiedziała niczego ciekawego. Wygłaszała jedynie frazesy i była śliska jak węgorz. Hipokrytka z twarzą wykutą z marmuru. Mój ojciec natomiast od świtu do zmierzchu bronił rozmaitych bonzów, których

złapano na oszustwach. Rzadko rozmawiał z dziećmi, a jeśli już, to mówił głównie o tym, jak mogłyby mu one pomóc w budowaniu fasady pozorów. Moje rodzeństwo stało się takie jak rodzice. A popatrz tylko na swoją matkę. Emanuje z niej coś szczególnego, ma charakter. Domyślam się, że jest dobrą matką.

– Tak, jestem do niej bardzo przywiązany. Właściwie przyjeżdżam na Hiddensee tylko ze względu na nią.

– Twoja matka z jednej strony wydaje się zrównoważona, cierpliwa i wyrozumiała, a z drugiej zaradna i mądra niczym specjalistka od radzenia sobie z przeciwnościami życia. Co ona tam robi? Modli się?

– Któż to może wiedzieć? Czasami po prostu ogarnia ją smutek. Siada wtedy nad morzem albo idzie do szopy.

– Dobrze ją rozumiem. W pewnym sensie czuję, że jest moją bratnią duszą. Czy ona praktykuje buddyzm?

– Tak.

– Super, ja też. Pomyśl, Yim, gdyby każdy człowiek uszczęśliwił chociaż jedną inną osobę, to cały świat byłby szczęśliwy i wszędzie zapanowałby pokój. Powiedz, o co chodzi z tą szopą? Czy to jest ten budynek zarośnięty pnączami? Wygląda bardzo zagadkowo. Powiedz, ale szczerze: co w niej jest?

– Nie wiem.

– Spytaj matkę.

– Lepiej nie.

– To ja spytam.

– Nie powie ci.

– No, nie podejrzewam, żeby miała tam palarnię opium. A co, gdybyśmy tam po prostu zajrzeli?

– To byłoby, nawet wedle europejskich standardów, nadużycie zaufania, a wedle standardów wyznawanych w Kambodży, prawdziwe świętokradztwo.

– Tylko gdyby to wyszło na jaw. A nie wyjdzie.

– Podejrzewam, że ta szopa to miejsce, gdzie moja mama się modli. Takie miejsce to świętość. Gdybym tam zajrzał, nie mógłbym spojrzeć matce w oczy, straciłbym twarz. A w kraju moich rodziców to jedna z najgorszych rzeczy. Utrata twarzy nieraz doprowadziła już do upadku całych rodzin. Hańba dzieci przenosi się bowiem na ich rodziców i odwrotnie.

– I to wszystko dlatego, że ktoś wściubił nos do szopy?

Yim skinął głową i ruszyli dalej.

Światło zanikało na horyzoncie, we wrzosach grały cykady, a ogień wprowadzał intymny nastrój.

Przy ognisku siedzieli jedynie Timo i Vev.

Vev rozmasowywała sobie kark.

– Mogę? – spytał Timo.

Vev uśmiechnęła się i odwróciła do niego plecami.

– Klasyka plażowego podrywu: w dzień mleczko do opalania, w nocy masaż.

Masz silne dłonie?

– Zobaczymy.

– No to zaczynaj.

Timo nie miał pojęcia o masowaniu, ale robił co mógł. Skóra na karku Vev była miękka, brązowa i pokryta niewielką ilością piegów.

– Widzę, że myślisz o kolejnych dzieciach – powiedział Timo, widząc na szyi Vev podarowany jej przez Yasmin wisiołek z celtyckim symbolem płodności.

– Uważasz, że to działa?

– Nie mam pojęcia.

– W takim razie lepiej mi to ściągnij – powiedziała Vev. – Nie ma co kusić losu.

Roześmiali się i Timo schował łańcuszek do kieszeni spodni, a potem kontynuował masowanie.

– Jesteś zazdrosna, że Clarissa wołała, żeby to Leonie i Philipp zaprowadzili ją do łóżka, a nie ty? – spytał Timo.

– Żeby być zazdrosnym o Leonie, trzeba być żalonym – odpowiedziała Vev cicho i z zadumą, po czym przymknęła oczy i oddała się dłoniom Tima. – Clarissa lubi, kiedy w jej życiu pojawiają się nowi ludzie, a dodatkowo zauważyła, że jestem dzisiaj trochę nieobecna. To zupełnie naturalne, że woli, aby bajkę na dobranoc przeczytał jej ktoś, kto nosi torebkę wielką jak worek marynarski i ma wprawę w budowaniu wieży z klocków Lego. A Philipp nie lubi czytać. Z twoich książek przeczytał jedynie po kilka pierwszych stron. Chcesz może wiedzieć, co na ich temat powiedział?

– Dawaj.

– „Tak jak inni pieprzą się ze swoimi sekretarkami, tak Timo pieprzy się

z literaturą”. Nie pytaj mnie, proszę, co miał na myśli. Prawdopodobnie nie podobają mu się twoi bohaterowie. Wszyscy ci pomyłeńcy, pijacy, zabijaki i inne męty. Philipp stawia na klasycznych bohaterów, którzy wstępują na tron cnoty i moralności i zostają za to nagrodzeni przez niebiosy. Jego zdaniem pisarze powinni mieszkać w wieżach z kości słoniowej.

– Powiedz mu, że wieże z kości słoniowej już nie istnieją. Zostały zburzone przez Google’a, Facebooka i światłowody. A ty? Co sądzisz o moich bohaterach?

– Myślę, że kiedyś, w czasach hipokryzji, poeci musieli pisać o herosach i bogach, żeby zdobyć uznanie. Ale dzisiaj wolno, a może wręcz trzeba, pisać także o pomyłeńcach i zabijakach. Miejsce bogów zajęli wariaci. Podobają mi się twoi bohaterowie, są nieprzewidywalni. A przewidywalność jest nudna. Chętnie zostałabym jedną z bohaterek twojej powieści.

Timo ucałował jej kark.

– Ale my nie żyjemy w powieści.

– Co do tego nigdy nie można mieć pewności.

– Zawsze mówisz cudowne, porąbane rzeczy.

– Skądże, po prostu jestem pijana.

Timo nachylił się nad nią i obsypał jej twarz tysiącem małych pocałunków, jakby próbował pokryć ją jakimś wzorem. Vev patrzyła na gwiazdy.

– Chcesz zostać moją żoną? – spytał.

– A czy żony są objęte ubezpieczeniem zdrowotnym?

Zaśmiał się.

– Spytam u mojego ubezpieczyciela.

Timo położył swą ukochaną na piasku i, jak to czynią bohaterowie klasycznych romansów, odsunął jej włosy z czoła i zaczął kontemplować urodę kochanki.

– Kocham cię – powiedział dokładnie wtedy, kiedy należało to zrobić.

– Miłość to wielkie słowo – odpowiedziała Vev. – Jeżeli miałabym kochać, to tylko miłością totalną. Półmiłość, miłość z opcją wycofania się dla mnie nie istnieje. Miłość uświęca, miłość zabija, miłość zmiata z powierzchni ziemi. Jeżeli otwierasz drzwi dla miłości, to nigdy nie wiesz, czy wpuszczasz anioła czy mordercę.

– Nie jestem mordercą.

– W swoich książkach jesteś. Raz jesteś ujmujący, a za chwilę przerażasz.

– Czar za dnia, groza w nocy. Kiedy piszę, jestem jak doktor Jekyll i mister Hyde. W życiu jestem zupełnie inny.

– Oby nie – odpowiedziała.

Pocałowali się i zaczęli nawzajem pieścić. Vev rozpięła koszulę Tima, a on jej zsunął ramiączka. Kiedy otworzyli oczy, otaczała ich mgła, która nadciągnęła z nad morza, z oddali zaś dobiegały głosy. Im bardziej się zbliżały, tym bardziej oni odsuwali się od siebie. Po chwili Vev siedziała nad wodą w pozie kopenhaskiej syrenki, a Timo układał na ruszcie kiełbaski. Spojrzeli na siebie po raz ostatni – i wtedy spostrzegli, że nie są sami.

15

Następnego ranka obudziłam się w dobrym humorze. Niewielki pokoik Yima przypominał mi pokój Jonasa sprzed lat. Podobne były i meble z płyty, i wystrój: proporczyki i odznaki sportowe, plakaty i koncertowe afisze. Chyba każda matka, której syn wyfrunął z gniazda, marzy o tym, by od czasu do czasu przespać się w jego pokoju. Czasami tak robiłam i przypuszczam, że zapewne matka Yima robiła to samo. Yim wyprowadził się przed dwudziestoma laty, ale pokój nadal wyglądał tak, jakby mieszkał w nim osiemnastoletni chłopak. Byłam jednak niemal pewna, że zdjęć nad łóżkiem nie powiesił Yim. Powiesiła je pani Nan, po jego wyprowadzce. Który nastolatek przyczepiałby do ściany zdjęcia z wczesnego dzieciństwa?

Jedna z fotografii przedstawiała Yima kilka tygodni po urodzeniu, druga w wieku około roku. Na trzecim zdjęciu siedział w pieluchach nad brzegiem jakiejś tropikalnej rzeki z uroczym uśmiechem dziecka, które właśnie załatwiło swoją potrzebę, a na kolejnym miał już z siedem czy osiem lat i pozował obok bałwana – tak pokracznego, że był w stanie wzbudzić dumę jedynie w dziecku.

Byłam święcie przekonana, że ten pokój przez długi czas stanowił dla pani Nan coś na kształt muzeum, od czasu do czasu uświęcanego obecnością osoby, którą upamiętniało. W wyniku tego, co zdarzyło się owej tragicznej nocy, pomieszczenie to zmieniło swój charakter. Dla Yima stało się czymś na kształt muzeum ku czci pani Nan. Zapewne kiedy patrzył na te zdjęcia, widział na nich nie siebie, ale osobę, która je zrobiła, a potem umieściła na tej ścianie.

Ta mieszanina normalności i wspomnień sprawiała, że czułam się w tym pokoju bezpiecznie. Za to paraliżowała mnie sama myśl o tym, że miałabym pójść do toalety. Spałam i budziłam się w królestwie Yima, do którego jak sądziłam, pan Nan nie zachodził. Każdy krok poza pokojem był jednak równoznaczny z opuszczeniem tego azylu i udaniem się na budzące niepokój tereny podlegające ojcu Yima.

Czułam się dotknięta sceną, która rozegrała się w Domu Mgieł. Obiektywnie rzecz biorąc, nie wydarzyło się nic takiego. Pan Nan puścił dramatyczny fragment VI symfonii Beethovena. Ale sam pomysł, żeby w tym miejscu włączyć taką muzykę, i to wiedząc, że jestem w domu, mógł się zrodzić jedynie w chorym umyśle. I jeszcze do tego ten uśmiech. Zostawiłam klucz i wyszłam stamtąd.

Tymczasem Viseth Nan zaczął we mnie wzbudzać coś więcej niż dyskomfort. Sprawiał, że zaczynałam się bać. Czy robił to celowo? A może był po prostu rąbnętym starcem? Jedno nie wykluczało drugiego.

Od tamtego momentu zarówno w domu, jak i wokół niego starałam się zachowywać jak trusia. Nastawiałam uszu, bez przerwy rozglądałam się na wszystkie strony i zanim weszłam do jakiegokolwiek pomieszczenia, badałam teren, daleko wysuwając szyję. Rozluźniałam się nieco jedynie wtedy, gdy był ze mną Yim. Pokusa, by stąd wyjechać, dopadała mnie raz, czasami dwa razy na godzinę.

Tego ranka również chyłkiem przemknęłam przez korytarz do ubikacji i z powrotem, po czym ukradkiem wślizgnęłam się do kuchni. Tu pędem odgryzłam kawałek bułki, nastawiałam uszu, pociągnęłam łyżeczek herbaty, znów zastrzygłam uszami i na koniec zakradłam się do drzwi wyjściowych...

W porę udało mi się opuścić dom i całe przedpołudnie mogłam poświęcić na to, żeby się nieco rozejrzeć po Neuendorfie i stolicy wyspy, czyli Vitte. Nieocenionym – a zarazem jedynym – źródłem informacji okazali się sprzedawczyni w piekarni i mężczyzna pijący piwo w niewielkiej kafejce, nieco już wyczerpany mimo południowej godziny. Zaczęłam od kilku standardowych pytań na temat nocnej rzezi: Czy znał pan/znała pani którąś z ofiar? Co pan/pani może o niej powiedzieć? Co pamięta pan/pani z dni po rzezi? Jakie nastroje panowały na wyspie? Czy zorganizowano oficjalną ceremonię pogrzebową? Jaki był jej przebieg? Czy ta przerażająca zbrodnia wywarła długotrwały wpływ na życie wyspy?

Kiedy rozmowa zeszła na panią Nan, próbowałam się dowiedzieć czegoś o jej mężu. Wdowa Bolte co nieco już mi opowiedziała, ale w jej relacji pan Nan wypadł zbyt dobrze. Niestety, niewiele się dowiedziałam. Nian Nan i jej mąż uchodzili za skrytych – we wsi nie darzono ich ani specjalną sympatią, ani niechęcią. Ich małomówność tłumaczono tym, że w niewystarczającym stopniu władali językiem, co jednak, jak zapewnił mnie Yim, nie było prawdą. Pan Nan

pracował przez kilka lat jako miejski ogrodnik i pomocnik w domu Gerharta Hauptmanna. Po zjednoczeniu Niemiec kontynuował pracę, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych przeszedł na wcześniejszą emeryturę i dorabiał sobie do nędznego świadczenia, strzygąc żywopłoty oraz mając się innych prac ogrodniczych. Mimo tylu lat spędzonych na Hiddensee nie zawarł żadnych przyjaźni, ale też ze wszystkimi się dogadywał. To samo dotyczyło pani Nan. Choć na wyspie wszyscy się znali, aż do tamtej feralnej nocy nikt nie wiedział, że pani Nan gotuje i sprząta w Domu Mgieł. W jakiś sposób małżeństwu Nan, mimo egzotycznego pochodzenia, udawało się w ogóle nie rzucać w oczy.

Sprawy miały się zupełnie inaczej w przypadku Yima, który nie dość, że należał do trzech klubów sportowych, to jeszcze, o czym poinformował mnie piwosz, był najlepszym w szkolnej drużynie specem od gry główką i jedynym „obcokrajowcem” w ochotniczej straży pożarnej. Kiedy w osiemdziesiątym czwartym roku zdecydował się wyjechać z wyspy, wielu ludzi z tego powodu ubolewało, a szczególnie niepokieszona zdawała się okrągłutka sprzedawczyni w piekarni. Mówiąc o nim, czerwieniła się i chichotała jak nastolatka.

Wszystko, co wiązało się z Yimem, budziło we mnie w tych dniach pozytywne emocje. Uśmiechałam się, ponieważ kojarzył mi się z Jonaszem i Bennym, którzy byli najjaśniejszymi punktami w moim życiu. Chętnie podążałam śladami Yima i chciałam dowiadywać się coraz więcej, a to, czego się o nim dowiadywałam i co odkrywałam, ani razu mnie nie rozczarowało. Wydawało się, że Yim wszystko robił tak, jak należy: angażował się i integrował. Fakt, że otworzył restaurację, świadczył o tym, iż był gotów podejmować odpowiednio skalkulowane ryzyko. Potrafił być zabawny, a przedwczesna śmierć ukochanych ludzi i nieszczęścia, które go spotkały, sprawiły, że miał w sobie głębię, która mnie dodatkowo pociągała.

Bez oporów oddałam się również fascynacji jego matką. Jej śladami podążałam równie chętnie, co śladami Yima, choć z innych powodów. Była dla mnie jak azjatycki sfinks, a ja, choć właściwie nie byłam w stanie powiedzieć dlaczego, przypisałam jej centralną rolę w historii związanej z nocną rzezią na Hiddensee. Tym bardziej ubolewałam nad tym, że jej mąż nie pozwolił mi przyjrzeć się szopie.

Gdy tego przedpołudnia przypadkowo ją mijalam, zobaczyłam, że na zasuwie założono nowiuteńką kłódkę.

Po południu poszliśmy z Yimem popływać żaglówką. Yim pożyczył łódź od szkolnego kolegi i zaprosił mnie na krótki rejs.

W miarę jak żaglówka mknęła lekko po falach, wzmagaly się we mnie zrodzone w ostatnich dniach uczucia. Było to o tyle dziwne, że poniekąd stały one ze sobą w sprzeczności. Miałam wrażenie, że właśnie przeżywam coś niezwykłego. Nigdy jeszcze nie miałam w ręku steru, nigdy jeszcze nie badałam tak wnikliwie sprawy, którą miałam opisać w artykule, nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie zabiegał o mnie tak jak Yim. Miałam ochotę otworzyć się na coś nowego. Po kilku minutach za sterem poczułam zmęczenie. Zawrotna prędkość, z jaką płynęliśmy, pełne wiatru żagle i kruchość tej niewielkiej łodzi w obliczu bezkresnego morza spowodowały, że przez chwilę przestałam się czuć bezpiecznie. Potęga otaczających mnie żywiołów jakby złączyła się z siłami natury drzemiącymi we mnie i ogarnął mnie strach. Pomyślałam o tym, że muszę przecież zarabiać pieniądze. Że nie mogę pozwolić sobie na luksus badania sprawy w nieskończoność – a tym bardziej na słodkie nieróbstwo. Na szczęście po kilku sekundach napad lęku ustąpił.

– Trzymaj kurs – powiedział Yim, który tańczył wokół masztu, wykonując co najmniej trzydzieści czynności na minutę, a mimo to cały czas miał oko na wszystko, co działo się dookoła łódki.

– Ale z przodu ktoś na nas płynie – zaproponowałam.

– On zmieni kurs, my mamy pierwszeństwo.

– A co, jeśli on o tym nie wie?

– To będę żałował, że cię nie posłuchałem.

– Marne pocieszenie.

– Żeglowanie nie sprawia ci przyjemności, prawda?

– Sprawia, sprawia. Naprawdę, jest super tylko... Czy mógłbyś przejąć ster? Nie czuję się komfortowo.

Yim przeskoczył na miejsce obok mnie, chwycił ster, pomachał przepływającemu obok nas mężczyźnie w marynarskiej czapce, rzucił okiem na przymocowany do masztu proporczyk, by sprawdzić kierunek wiatru, i skorygował kurs.

– Dobrze żeglujesz – pochwaliłam go.

– Żegluję dokładnie tak, jak ty prowadzisz samochód. Bezpiecznie, ale nieco

nieporadnie. Na morzu to się po prostu nie rzuca w oczy.

Parsknęłam śmiechem. Zawsze darzyłam wielką sympatią mężczyzn, którzy byli na tyle pewni siebie, że nie musieli się obnosić ze swoimi umiejętnościami jak ksiądz z monstrancją. W przypadku Yima tej pewności towarzyszyła wielka wrażliwość, choć czasami zdarzało mu się powiedzieć coś niezbyt miłego. Myślę, że to wtedy, w momencie, w którym staliśmy obok siebie przy sterze, zaczął mnie naprawdę pociągać. Wcześniej flirtowałam jedynie z myślą, że mogłoby do czegoś dojść, a teraz ta myśl przybrała konkretny kształt. Z jego wzroku dało się wyczytać, że ma podobne odczucia. Kiedy położyłam swoje dłonie obok jego dłoni na kole sterowym, a on w odpowiedzi uśmiechnął się do mnie, wszystko było jasne: zmierzamy do tego samego celu. I nieważne jak, ale tam dotrzemy, już wkrótce.

Na kilka minut zapadła między nami cisza, zakłócana jedynie furkotem bryzgającej nam wokół uszu morskiej piany.

W końcu, być może po to, żeby przerwać milczenie, a może powodowany pragnieniem poznania najdrobniejszych szczegółów dotyczących mojego życia, Yim zapytał:

– Powiedz mi, Doro pochodzi od Dorothea, prawda?

– Tak się nazywam wyłącznie w wydziale spraw obywatelskich – powiedziałam z uśmiechem.

– Jasne. Ja zawsze unikałem form skróconych i zdrobnień. Zapewne dlatego, że w pierwszych latach po moim przyjeździe na Hiddensee kilku chłopców nazywało mnie Mini-Yimi. Byłem wtedy stosunkowo niski, dopiero później wystrzeliłem w górę.

– Z dziewczynami nie miałeś tylu problemów, co? A przy okazji, nim zapomnę: miałam cię pozdrowić od Bente Wohlfahrt. Byliście współprzewodniczącymi klasy, teraz Bente sprzedaje pieczywo i wciąż jest do wzięcia. O przekazanie tego ostatniego co prawda nie prosiła, ale miałam wrażenie, że poczuła ulgę, kiedy wspomniałam, że nie jestem twoją przyjaciółką, a jedynie znajomą. Niech zgadnę: ona nie nazywała cię Mini-Yimi.

Yim się uśmiechnął.

– Nie. Bente jest bardzo miła. Kiedy podczas joggingu wpadam do piekarni, zawsze przemyca mi do torebki z zakupami drożdżówkę w kształcie ślimaka. Zawsze, nawet jeśli kupuję tam tylko jedną bułkę. Ponieważ pewnego dnia tak czy

siak przejmie sklep po rodzicach, nie mam nic przeciwko tym drobnym kradzieżom.

– Ten ślimak to pewnie znak, że cierpliwie na ciebie czeka.

Yim przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziałam.

– Może.

Nie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, że Hiddensee pod wieloma względami jest strasznie staromodna. Opowieść o kobiecie w poważnym wieku, która podsuwa darzonemu potajemnym uczuciem mężczyźnie drożdżówki, a potem od września do lipca czeka na sierpień i te kilka tygodni, gdy ukochany będzie w pobliżu, brzmiała jak żywcem wyjęta z dziewiętnastowiecznej powieści. A przecież mieliśmy rok dwa tysiące dwunasty! Tym większy musiał być szok, jaki zapanował na wyspie po rzezi.

Oczywiście w każdym innym zakątku Niemiec te wydarzenia byłyby równie szokujące i wszędzie żałoba byłaby tak samo wielka. Jednak na Hiddensee ta tragedia oznaczała kres pewnej ery. Na wyspie nie było ani wypadków samochodowych, ani gwałtów, ani prawie żadnych włamań. Niektórzy z mieszkańców nie zamykali nawet drzwi na noc. Zachowywali się tak, jakby żyli w tak zwanych starych dobrych czasach. Rankiem szóstego września dwa tysiące dziesiątego roku zostali w bardzo brutalny sposób wyrwani z tego snu. Zbrodnia w amoku, cztery strzały, trzy trupy – w ciągu nocy przeskoczyli całe stulecie.

– Powiedz mi, masz jakiś kontakt z innymi osobami, które przeżyły, albo z bliskimi ofiar? Wspieracie się wzajemnie?

Zauważyłam, że moje pytanie sprawiło mu zawód. Najchętniej w ogóle nie mówiłby już o tym, co się stało – tak samo zresztą jak inni mieszkańcy Hiddensee, którzy stwierdzili, że nie rozumieją już świata i nie chcą z nim mieć nic wspólnego.

Rozumiałam rozczarowanie Yima, ale musiałam wykonywać swoją pracę.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Ponieważ mam adresy i telefony wszystkich osób związanych ze sprawą oprócz Yasmin Germinal i pomyślałam, że mógłbyś...

– Nie o to pytałem. Dlaczego pytasz o to *mnie*?

– Ponieważ słyszałam, że byliście razem na spacerze. Dlatego pomyślałam, że masz jej adres i numer telefonu.

– Przejmij na chwilę ster, po prostu mocno trzymaj. Muszę zrobić zwrot.

Yim wskoczył na przedni pokład i w skupieniu zaczął manipulować przy linach i drzewcach. Przez dwie minuty znajdował się w całkiem innym świecie – świecie bez strzałów i traum.

Kiedy wrócił i z powrotem przejął ster, nie próbował mnie zbyć. Bardzo mnie to ucieszyło, bo trudno byłoby mi zacząć tę rozmowę po raz drugi.

– Zapominasz o tym, że zaraz po spacerze całe nasze życie wywróciło się do góry nogami. Nie sądzisz, że mieliśmy inne zajęcia niż pielęgnowanie naszej dwudniowej znajomości?

– Powiedz mi po prostu, jeśli nie masz na nią zamiarów.

– Nie mam na nią zamiarów.

Przyjęłam jego odpowiedź. Uważałam Yima za człowieka szczerego, a przynajmniej za takiego, który stara się być szczerzy.

– Szkoda – westchnęłam. – Byłeś moją ostatnią nadzieją. Yasmin Germinál po prostu zapadła się pod ziemię. Można by pomyśleć... – Przerwałam wystraszona własnymi myślami.

– Co można by pomyśleć? – dopytał Yim.

– Że ona już nie żyje.

Miałam wrażenie, że podobnie jak mnie trudno było mu znieść tę myśl, ale starał się tego po sobie nie pokazać.

– O ile wiem, Yasmin miała specyficzne podejście do prywatności. Nie miała konta na Facebooku, nie miała adresu e-mail... Nie zależało jej na tego typu kontaktach z ludźmi. Rozumiesz: *Big brother is watching you* i tak dalej. W ciągu ostatnich dwóch lat zapewne niewiele się w tej kwestii zmieniło – powiedział Yim, a po chwili dodał: – Pogódź się z tym, jak jest. Przypuszczalnie i tak nie chciałaby z tobą rozmawiać. Ona po prostu chce spokoju. Wszyscy chcemy spokoju. Nie mamy ochoty rozmawiać z całą okolicą o tym, co się zdarzyło. W najlepszym wypadku rozmawiamy z terapeutami, a to, co im mówimy, to nie jest twoja sprawa. Czy ty potrafisz rozmawiać jedynie o tym?

– Nie, ale z tego powodu przyjechałam na wyspę i nigdy nie robiłam z tego tajemnicy.

– Zgoda. Ale czy to jest jedyny powód, dla którego jeszcze jesteś na wyspie?

Spojrzeliliśmy na siebie. Odpowiedź prawie ugrzęzła mi w gardle.

– Nie – powiedziałam i poczułam, jak wali mi serce.

Yim uśmiechnął się, jakby właśnie dostał ode mnie najwyższą notę. Widać było, że w ciągu sekundy w jego duszy rozstały się wszystkie czarne chmury i zaświeciło słońce.

Nie mogłam się złościć na Yima za to, że zrobił się opryskliwy i że unikał *tego* tematu. Doskonale go rozumiałam. A właściwie: bardzo chciałam go zrozumieć.

Wiadomość o śmierci Benny'ego dotarła do mnie w moim dziecięcym pokoju, w miejscu, które znałam. Przekazali mi ją kochający mnie, pogrążeni w żałobie rodzice. Moje przyjaciółki i koleżanki ze szkoły troszczyły się o mnie w sposób naprawdę poruszający. Przez rok byłam zapraszana na każde urodziny organizowane w promieniu czterech kilometrów. Nie widziałam swojego brata martwego, dlatego dla mnie przemienił się on w ducha, nigdy nie przybierając postaci zwłok. W przypadku Yima potoczyło się to inaczej. Kto był przy nim w tych strasznych chwilach? Jego partnerka nie żyła, a ojciec nie był w stanie wykrzesać z siebie odrobiny pocieszenia. A najgorsze, że to właśnie Yim znalazł śmiertelnie raną matkę i tulił jej martwe ciało w ramionach. Ten obraz wypalił mu się w pamięci i nic nigdy nie będzie w stanie go usunąć. Tak jak przerażenia, które musiał odczuwać w tamtej chwili. Nie mógł przecież wiedzieć, gdzie znajduje się morderca.

– Jesteśmy na miejscu. Zrzucę żagiel.

– Na miejscu? Jesteśmy na środku morza.

– Widzisz ten kawałek brzegu przed nami? To jest rezerwat ptactwa, najbardziej na południe wysunięty skrawek Hiddensee. Przy odrobinie szczęścia pokażę ci pierwsze w tym sezonie czaple siwe, ptaki wędrowne, które wkrótce powinny się tutaj zjawić. Mam ze sobą lornetkę... i zupełnym przypadkiem coś do jedzenia i coś do wznoszenia toastów. Masz ochotę?

– Jeszcze jak.

Zrzucił żagiel i zniknął pod pokładem.

Łódź kołysała się na niewielkich falach, bulgocząc i oślepiając bielą, jakby biła od niej jakaś energia. Zamknęłam oczy i odchyliwszy się do tyłu, przez kilka sekund beztrąsko pozwalałam morzu kołysać mnie do snu. W duchu przyznałam, że Yim ma talent to odciągania mnie od pracy, a na dodatek wkłada w to wiele wysiłku. Paradoksalnie jednak to właśnie za jego sprawą szybko wróciłam do rzeczywistości. Otworzyłam oczy i zauważyłam leżący przy sterze pęk kilkunastu

kluczy, z których dwa służyły do otwierania kłódek. Były identyczne i – sądząc po nazwie producenta – pasowały do kłódki na szopie.

Do tamtej chwili byłam przekonana, że kłódkę założył pan Nan, ale teraz nie byłam tego już taka pewna.

Zanim Yim pojawił się na pokładzie z torbą pełną smakołyków, udało mi się zabrać jeden z tych dwóch nowiusieńkich, lśniących w słońcu kluczy.

– Zrobiłem kanapki z ogórkami, poza tym dwie czy trzy *tapas*, małe ciasto cytrynowe i *mousse au chocolat*. Zgaga pojawia się już przy recytacji menu.

– Mnie się podoba.

– Do picia mamy wino musujące. Kieliszek dla ciebie i pół kieliszka dla mnie. Wolę uważać. Pijany kapitan łatwo może stać się tematem serwisów informacyjnych.

Na wypożyczonej żaglówce, z kanapką w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej, poczułam się jak członek socjety. A jednocześnie czułam się podle. Okradłam Yima i oszukałam go. Gdyby nadarzyła się okazja ponownie przymocować klucz do pozostałych, skorzystałabym z niej. Ale się nie nadarzyła. Pęk zniknął w kurtce, kurtka w plecaku, a plecak pod pokładem. Od czystego sumienia oddzielały mnie trzy linie obrony. W tej sytuacji jedyne, co mogłabym zrobić, to przyznać się do kradzieży. Tylko że nie zdobyłam się na odwagę.

Jedliśmy, a w międzyczasie Yim przez lornetkę pokazywał mi mieszkające w rezerwacie okazy pierzastej fauny. Początkowo nie byłam w stanie się na tym do końca skupić, ale Yim miał w sobie nonszalancję, która chyba obojgu nam pozwalała szybko zapominać o przykrych rzeczach. W każdym razie ja po upływie kwadransa nie byłam już złodziejką, tylko kobietą, którą się rozpieszcza i która chętnie na to pozwala.

Między jedną a drugą łyżką musu czekoladowego zauważyłam na wyspie jakiś ruch i ponownie sięgnęłam po lornetkę. I proszę – po rezerwacie spacerowała para, mężczyzna i kobieta. Nie wyglądali na ornitologów, chyba że ornitolodzy chodzą ze sobą za rękę. Usiedli na brzegu w miejscu widocznym jedynie od strony morza i rozpoczęli miłosne manewry, których dalszego przebiegu, z wrodzonej dyskrecji, nie obserwowałam.

Po jakimś czasie pomyślałam, że ta para była niczym nasze lustrzane odbicie. Ledwie odłożyłam lornetkę, Yim usiadł u mego boku i mnie pocałował. Był przy

tym zdecydowany i jednocześnie czuły. Miałam wrażenie, że to najpiękniejszy pocałunek w moim życiu. Zapewne miały na to wpływ otaczające nas morze, delikatne wznoszenie i opadanie fal, słońce, wiatr, morski prąd, dryf łodzi i późne lato, stanowiące idealne tło dla romantycznych uniesień.

Chociaż pocałunek trwał długo, chciałam więcej. Chciałam, żeby Yim kontynuował, ale znałam go już na tyle, by wiedzieć, że to nie byłoby w jego stylu. On musiał być pewny. A mnie to odpowiadało.

– To właśnie chciałem ci jeszcze powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam mu prosto w oczy, po czym odparłam:

– Świetnie dobrałeś słowa.

Wrzesień 2010 r.

Po obudzeniu Philipp zawsze najpierw kierował wzrok na prawo, w stronę stojącego na stoliku nocnym budzika. Rankiem piątego września obudził się o szóstej pięćdziesiąt cztery. Pobudka była ustawiona na siódmą. Zawsze i niezmiennie. Dla Philippa był to pierwszy pojedynek dnia. Pojedynek z budzikiem, a może też z czasem. Tego ranka, jak zwykle, wygrał.

Z uśmiechem zwycięzcy na ustach obrócił głowę w lewo. Vev jeszcze spała. Umówili się, że pięć dni w tygodniu to ona wstaje wcześniej i zajmuje się Clarissą, a pozostałe dwa dni należą do Philippa. Dziś kolej wypadała na niego. Pocałował Vev w policzek, na który opadały czarne włosy, i przyjrzał się jej przez chwilę z miłością, ale też z pewnym dystansem.

Potem wstał. Kiedy wyszedł ubrany z łazienki, zaczął nasłuchiwać odgłosów. W domu było kompletnie cicho. Uwielbiał ten spokój. Na tym właśnie polegał porządek, którego potrzebował, by móc pracować. Kiedy wchodził rano do swojego usytuowanego na szczycie domu atelier i jednym spojrzeniem ogarniał wydmy i morze za oknem, był pewien, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Również tego dnia zajrzał na chwilę do atelier. Przeszedł wzdłuż trójkątnego przeszklonego frontu, wziął kilka głębokich oddechów i w myślach policzył godziny, które dzieliły go od wyjazdu gości. Wyszło dwadzieścia osiem.

Chwilę później wsunął głowę do pokoju Clarissy. Właśnie zabierała się za malowanie osiemnastego z rzędu rysunku kota. Podłoga była zasłana podobiznami Morrisona.

Dziewczynka spojrzała na ojca.

– Tato, dlaczego Pan Bóg zabrał do siebie Morrisona?

Philipp wziął córkę w ramiona.

– To był wypadek, Dzióbku. Dlatego musimy być zawsze ostrożni. I dlatego nie chcę, żebyś robiła niebezpieczne rzeczy. Kotu nie można niczego zabronić.

Wspinanie się na drzewa leży w kociej naturze.

– I spadanie też?

– No tak, tak się czasem zdarza, kiedy żyje się w niebezpieczny sposób. Taka jest za to cena.

– Czyli Morrison sam był sobie winien?

– Cóż, w pewnym sensie tak. Był nieostrożny.

– Timo mówi, że może Morrison został pobity na śmierć.

– Tobie tak powiedział?

– Nie, mamie.

– Timo opowiada różne historie. Niektóre z nich są dobre, a inne złe. To, co opowiedział mamie, to była bardzo zła historia. Nie myśl już o tym. Byłaś już w łazience? Nie? No to raz-dwa! Umyj zęby, buzię i ręce. Jesteś dużą dziewczynką, więc wierzę, że poradzisz sobie sama. Włóżysz dzisiaj dla mnie tę żółtą koszulkę z trzema kotami? A jak już się umyjesz i przebierzesz, obudzisz mamę, dobrze? Tylko nie mów jej, że to ja cię przysłałem.

– A mogę się później pobawić z Leonie?

– Ale dopiero, kiedy się obudzi.

Philipp zszedł krętymi schodami na parter, gdzie unosił się zapach cytrynowego płynu do zmywania i było słyhać ciche dźwięki dochodzące z kuchni – pewny znak, że w domu jest pani Nan.

– Dzień dobry, pani Nan. Jest pani dziś bardzo wcześnie.

– Widziałam, jak wczoraj grillowali państwo na plaży, i pomyślałam, że będą państwo chcieli pomyć szybko naczynia.

Philipp wolałby, żeby nikt nie przypominał mu o ognisku, zwłaszcza że był na najlepszej drodze do tego, by zapomnieć, iż kiedykolwiek było tam rozpalane. Procedurę wypierania go z pamięci rozpoczął około jedenastej, zaraz po tym, jak zgasili ogień. Zaczął od tego, że przez pół godziny usuwał wszelkie ślady ich występku. Wszystko spakował do wielkiego pojemnika i wyrzucił do odpadów, tak że na plaży nie pozostała nawet odrobina popiołu. W tym czasie pozostali rozgościli się już w przytulnym domu. Philipp żałował, że pani Nan dowiedziała się o ognisku.

– Jest pani nieoceniona, pani Nan. Jest pani najlepszą pomocą domową, jaką kiedykolwiek spotkałem, naprawdę. Aha! Clarissa właśnie się myje. Wie pani, jak

potem wygląda łazienka.

– Już idę na górę. Tylko skończę tutaj.

– Dziękuję. Pieniądze położę na chlebaku, tak jak zawsze. Wystarczy, jeśli przyjdzie pani we wtorek. Poza tym...

Zadzwoił telefon. Philipp spojrział na zegarek i pokręcił głową.

– Kto dzwoni w weekend kwadrans przed ósmą? – powiedział do siebie, po czym sięgnął po stojącą w ładowarce słuchawkę.

– Lothringer.

– Halo? Czy dodzwoniłam się do pana Lothringera?

Philipp nie znał głosu kobiety po drugiej stronie.

– Tak, mówi Lothringer – odpowiedział.

– Philipp Lothringer?

W ciągu kilku sekund usłyszał swoje nazwisko tyle razy, że zaczęło go to w końcu trochę denerwować.

– Tak – westchnął. – Philipp Lothringer. Z kim mam przyjemność, jeśli wolno spytać?

– Jestem matką Leonie. Nazywam się Korn, Margarete Korn.

– A, pani Korn, bardzo mi miło – powiedział Philipp, teraz już znacznie miłszym tonem. Kojarzył tę kobietę ze zdjęcia, które wisiało przed laty w berlińskim mieszkaniu Leonie. Członkowie ich grupy spotykali się w każdy ostatni piątek miesiąca w mieszkaniu któregoś z nich, żeby zaplanować kolejne akcje. U Leonie nigdy nie czuł się dobrze. Ciężkie zasłony na oknach, tapicerowane meble w przygaszonych barwach i masywna dębowa szafa wielkości bramki do piłki nożnej przypominały mu ciasną klitkę, w której mieszkał jako dziecko, tylko że u Kornów było czystiej. Gdzieś na ścianie wisiało samotne, posępne zdjęcie matki Leonie, na którym kobieta usilnie starała się uśmiechnąć, lecz przez to wyglądała raczej, jakby doznała udaru. Była korpulentna, miała różową skórę i rzadkie białe włosy, niczym puch okalające jej głowę. Wydawało się, że postarzała się przedwcześnie. Stała sama na tle żywopłotu. Połowa zdjęcia była oderwana, i to właśnie ze względu na opłakany stan fotografii Philipp tak dobrze ją zapamiętał.

– Dostałam pana numer w informacji telefonicznej – powiedziała przepraszającym tonem pani Korn. – Pamiętałam, że pana nazwisko pochodzi od nazwy francuskiej prowincji. Na początku myślałam, że to Elsässer. Mam nadzieję,

że nie przeszkadza panu, że dzwonię.

Nagle jej głos zaczął brzmieć tak, jakby w każdej chwili miał się załamać.

– Nie, nie, w porządku – powiedział Philipp i raz jeszcze spojrział na zegarek. – Ale pani córka jeszcze śpi.

– Szkoda.

– Próbowала pani dzwonić na komórkę?

– Tak...

Philipp miał wrażenie, że zaraz padnie „ale”, jednak pani Korn nie dokończyła zdania.

– Naturalnie przekażę Leonie, że pani dzwoniła.

– Dziękuję...

Philippowi znowu wydawało się, że pani Korn chce coś dodać.

– Ale mam nadzieję, że nic się nie stało? – zapytał.

– Nie, a u państwa?

Pytanie wydało mu się dość dziwne, nawet zważywszy na fakt, że pani Korn mogła być po siedemdziesiątce i sprawiała wrażenie nieco roztrzepanej.

– U nas wszystko dobrze – odpowiedział grzecznie, choć nie do końca zgodnie z prawdą. Vev spoliczkowała Leonie, gdy ta zgubiła pistolet, a on sam nie mógł jej ścierpieć. – Zrobiliśmy sobie wczoraj wycieczkę na rowerach, a Leonie cudownie dogaduje się z moją córeczką.

– Ma pan córkę?

– Tak, Clarissa ma pięć i pół roku, prawie sześć. Zostały z Leonie najlepszymi przyjaciółkami.

– Ach...

– Tak... – Pojawiające się w rozmowie pauzy i niedopowiedzenia sprawiały, że Philippowi trudno było zebrać myśli i w końcu sam zaczął mówić jak pani Korn. – W każdym razie... najlepiej, jak Leonie opowie o tym pani sama.

– Może lepiej byłoby, gdyby... gdyby jej pan nie mówił, że zadzwoniłam. Ona jest trochę...

Cisza w słuchawce.

Philipp wziął głęboki oddech.

– Trochę jaka, pani Korn? – spytał niecierpliwie, jakby w pobliżu tykała bomba zegarowa.

– Trochę drażliwa, rozumie pan. Nie chcę, żeby pomyślała, że ją szpieguję. Będę po prostu próbowała dodzwonić się na komórkę. Poza tym teraz, kiedy wiem już, że z Leonie wszystko w porządku... Jeszcze raz pana przepraszam.

Rozmowa wyczerpała i zaniepokoiła Philippa. Cały czas majaczył mu w pamięci ten przeklęty pistolet, a teraz pani Korn sprawiła, że sobie o nim przypomniał. Philipp złapał się na tym, że wędruje przez pokoje z niezwykłym skupieniem, uważnie przyglądając się meblom, jakby spodziewał się znaleźć coś, czego wcześniej tam nie było. Całkiem, jakby do domu wślizgnął się wąż.

Choć wcześniej nie miał takiego zamiaru, po tym dziwnym telefonie nagle postanowił porozmawiać z panią Nan o pistolecie. Może go znalazła i... wyrzuciła? Teoria wydawała się bardzo mało prawdopodobna, ale inne były tak straszne, że nie chciał o nich nawet myśleć.

Pani Nan miała ten osobliwy zwyczaj, że w trakcie rozmowy w żaden sposób nie reagowała na słowa rozmówcy, póki ten nie skończył mówić. W przypadku innych ludzi Philipp mógł się przynajmniej czasami zorientować, co myślą – ale w przypadku pani Nan na jakąkolwiek reakcję trzeba było czekać do chwili, gdy w końcu otworzy usta. Philipp zastanawiał się czasem, czy jego gosposia nie stosuje tej metody, by w ten sposób zmusić rozmówcę do wyrażania się zwięźle.

Wyraził się przeto zwięźle – i otrzymał równie zwięzłą odpowiedź: pani Nan wykonała energiczny ruch głową, najpierw w prawo, potem w lewo, a kok w kolorze łupka, sterczący na jej głowie niczym kopuła kościoła, gwałtownie się zakołysał.

– Dziękuję – powiedział Philipp ni w pięć, ni w dziewięć.

Pani Nan wyszła z kuchni, a on, odprowadzając ją wzrokiem, uświadomił sobie, że nie wie prawie nic o tym, co dzieje się w jej życiu poza Domem Mgieł. Jej męża znał jedynie z widzenia, a Yim rzadko mówił cokolwiek o rodzicach, tak jakby się ich wstydził albo obawiał się, że coś wypapla.

– Mógłbyś do mnie oddzwonić. Rozumiem, że masz dużo spraw na głowie, ale chyba znajdziesz dla mnie dwie minuty, prawda?

Opierając się o wezglowie łóżka, Leonie rozmawiała z pocztą głosową Steffena.

– Próbuję się dodzwonić do ciebie czwarty czy piąty raz od mojego wyjazdu. Obraziłeś się czy co? Przecież wolno mi *raz jeden* wyjechać samej. Ty ciągle jeździsz gdzieś beze mnie, a przecież nic nie mówię. Poza tym ten weekend to

porażka, nie czuję się tu dobrze, wręcz przeciwnie. Vev to głupia krowa żłopiająca litrami whisky, Philipp to chwalipięta, a Yasmin nawet nie jestem w stanie opisać. I jeszcze ten głupi bachor uczeplił się mnie jak rzep psiego ogona. Fajnie byłoby usłyszeć coś miłego. A ty, kiedy cię potrzebuję, akurat musisz się dąsać. Stęskniłam się za tobą przez te parę dni. Ale to tak nie może wyglądać. Teraz twoja kolej.

Zakończyła połączenie i rzuciła telefon na kołdrę.

– Co za dupek – powiedziała sama do siebie.

Mniej więcej po minucie przewyciężyła falę złości i wzięła do ręki książkę Tima. Uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, był jednak związany bardziej z osobą autora niż z samą lekturą. Była na stronie sto osiemdziesiątej ósmej *Opoja*, czyli minęła połowę, i nadal właściwie nie rozumiała, o co chodzi. Zgodnie z tym, co sugerował tytuł powieści, głównym jej bohaterem był alkoholik. Odnoszący sukcesy przedsiębiorca przechodzi kryzys po tym, jak zostaje zamordowana jego dwudziestoletnia córka. Poprzysięga zemstę nieznanemu mordercy i rozpoczyna prywatne śledztwo. Do tego momentu wszystko jest jasne. Ale potem, to zataczając się po pijaku, to na trzeźwo walcząc z trzęsawką, bohater przez sto stron snuje się po najbogatszych dzielnicach Berlina, wszczynając awantury ze wszystkimi, których spotka na swojej drodze.

Dalej Leonie nie dobrnęła. Miała kłopot z poziomem agresji w książce. Chociaż akcja rozgrywała się w środowisku mieszczańskim, tekst był przesycony brutalnymi opisami, a ona tego nie lubiła. Jeśli chodzi o kryminały, wolała te z dobrotliwymi detektywami w typie inspektora Barnaby'ego, którzy prowadzili sprawy w uroczych małych wioskach lub na szacownych uniwersytetach, a świadków i podejrzanych przesłuchiwali przy herbatce. Najbardziej lubiła jednak książki o miłości.

Tego poranka Leonie nie miała ochoty na lekturę, ale zawzięła się, że przeczyta książkę jeszcze w czasie tego weekendu, z nadzieją, że wreszcie będzie w stanie stwierdzić, że to wspaniała literatura. Inna ocena nie wchodziła w grę. Potem zamierzała sięgnąć po *Pomyleńca*, dzieło jeszcze bardziej wybitne i dojrzale. Na obydwie książki nakleiła już żółte uśmieszki.

Godzinę później na skrawku papieru nabazgrała: „Timo jest moim jedynym przyjacielem na tej wyspie. Między nami coś się kroi”. Poskładała papier i włożyła

go do torby.

Następnie poszła się umyć. Pod prysznicem nuciła sobie piosenkę Céline Dion – cały czas wyłącznie refren, który powtarzała w nieskończoność, aż łazienka przemieniła się w łaźnię parową, a krople wody zaczęły spływać po lustrze. Po kwadransie poczuła, że jest czysta. Dając się ponieść spontanicznemu impulsowi, postanowiła się nie wycierać, tylko włożyła szlafrok, który znalazła na wieszaku – był czarny niczym jezuicki habit i chociaż Vev była szczuplejsza, leżał zaskakująco dobrze – a następnie boso, z mokrymi włosami przeszła przez korytarz i zatrzymała się przed pokojem, który zajmował Timo. Chciała zapukać do drzwi, kiedy usłyszała stłumione głosy. Timo rozmawiał cicho z kobietą. Leonie od razu się domyśliła z kim.

Wróciła do łazienki, wyciągnęła swoją kosmetyczkę, ściągnęła z siebie szlafrok i metodycznie zaczęła go ciąć nożyczkami.

– Co... Co ty tutaj właściwie robisz? – spytał Timo, otworzywszy oczy. Yasmin siedziała po turecku na łóżku, zaraz obok jego stóp, i paliła papierosa.

– Czekałam, aż się obudzisz.

– Dlaczego?

– Głupie pytanie. Żeby cię nie budzić.

– Miałem na myśli... Czy coś się stało?

– Tak, oczywiście, Timo, dom się pali. Inni już wyszli na zewnątrz.

– Ha, ha, ha – powiedział Timo. – Przy okazji: twój prawy półdupek miażdży moją lewą stopę.

– Przeciwnie, to twoja stopa wsunęła się pod mój tyłek.

Timo opadł z powrotem na poduszkę, nakrył głowę rękoma i jęknął:

– O mamó, za jakie grzechy?

Yasmin zignorowała to przedstawienie. Zdusiła papierosa na ramie łóżka, włożyła niedopałek do tylnej kieszeni spodni i poślinionym palcem potarła brud, który zostawiła na ramie. Na łóżku pozostał niewielki wypalony ślad, ale Yasmin nie zwracała sobie tym głowy.

Timo, który tymczasem pogodził się już nieco ze swoim losem, westchnął i zapytał ponownie:

– No więc? O co chodzi?

– Rano nie tryskasz humorem, co?

– Jeśli już ktoś pali w moim łóżku papierosa i dmucha mi dymem w twarz, to wolałbym, żeby to było zwieńczenie jakichś erotycznych uniesień. Proszę, przejdź do rzeczy. Chodzi o Yima? Zabujałaś się w nim podczas waszego wczorajszego spaceru?

– Yim? Nie, Yim nie ma z tym nic wspólnego. Okej, prawie nic. Nie całkiem jest w moim typie, a ja chyba nie jestem w jego. Poza tym zdrada źle robi karmie, a ja...

– Yasmin, nie zrozum mnie, proszę, źle. Miło tak z tobą siedzieć – Timo spojrzał zaspany na komórkę – o ósmej jedenaście na łóżku i dyskutować o karmie, ale jestem cholernie zmęczony. Po głowie kołacze mi się nowa historia, zeszłej nocy musiałem koniecznie napisać kilka stron streszczenia. Poza tym moje rzeczy leżą tam na fotelu, więc jestem zdany na twoją łaskę.

– Jesteś pod kołdrą na golasa?

– A ty sypiasz w kombinezonie narciarskim?

– Nie musisz się mnie krępować. Pamiętasz, jak wpadliśmy do tej brudnej mazi w pobliżu zakładów chemicznych i musieliśmy się rozebrać, żeby...

– Yas-min! – zawołał Timo. – Po co tu przyszłaś?

– No tak, prawie zapomniałam. Chcę się włamać do pewnej szopy i potrzebuję twojej pomocy. Zresztą, jakie tam włamać? Tam nie ma żadnego zamka, więc to nie jest żadne włamanie, tylko wejście bez upoważnienia. To nie obciąża karmy.

– To bardzo praktyczne, móc samemu napisać dla siebie dziesięć przykazań. Mimo wszystko nie możesz włączyć, gdzie chcesz, bo tak ci akurat pasuje.

– Człowieku, kiedyś bez przerwy ignorowaliśmy tabliczki z napisami „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, a na szopie nie ma nawet tabliczki.

– Na drzwiach do mojego mieszkania też nie ma tabliczki, a mimo to nie chcę, żeby ktoś po prostu sobie do niego wchodził. I skończ z tym „kiedyś”. Czasy się zmieniają, ludzie też. Dziś nie robię już takich rzeczy.

Yasmin zapaliła nowego papierosa. Z jej twarzy zniknęła beztroska, ustępując miejsca powadze, a źrenice oczu, do tej chwili dziwnie rozmyte, zwęziły się i skupiły na Timie. Yasmin była bardzo inteligentna, potrafiła starannie dobrać słowa i umiała postępować w sposób zdecydowany, ale z cech tych korzystała jedynie przy szczególnych okazjach, jakby chodziło o najlepszą babciną porcelanową zastawę.

– To nieprawda – odpowiedziała cicho, ale z przekonaniem. – Ludzie się nie zmieniają, przynajmniej nie w kwestiach fundamentalnych. Charakter się nie zmienia. Przypomnij sobie, jak przygotowywaliśmy nasze akcje. Taki Philipp, dla przykładu, zawsze w nieskończoność kombinował. Sprawdzał wszystko godzinami i dniami, wszystko rozpracowywał tak skrupulatnie, jakby chodziło o ucieczkę z więzienia. A co robi dzisiaj? Kombinuje, rysuje, ustala reguły. A ty? Jaką teraz znajdziesz wymówkę?

Timo był zaskoczony faktem, że nagle stał się tematem wywodów Yasmin. Przez kilka sekund nie wiedział, co odpowiedzieć, aż w końcu wydobył z siebie pytanie:

– O czym ty właściwie mówisz?

– Mam ci przypomnieć, co się stało na kurzej fermie? Włamaliśmy się nocą, żeby nakręcić film o panujących tam parszywych warunkach. Ty oczywiście szedłeś na czele. Tylko że nagle pojawił się stróż, a ty tak mocno go zdzieliłeś latarką, że się przewrócił i stracił świadomość. I co wtedy robi nasz Timo? Spokojnie kręci film. Miałeś tak pewną rękę, że mógłbyś przeprowadzić operację na otwartym sercu. Wysłaliśmy ten film anonimowo do telewizji, zakład został zamknięty i musieli go przebudować. Wszystko przebiegło idealnie. Pamiętam dokładnie, co potem powiedziałeś. Że czasami trzeba zrobić coś złego, żeby osiągnąć coś dobrego.

– Po co wywlekasz sprawy sprzed lat?

– Nie robię tego po to, żeby ci czynić wyrzuty. Chcę tylko przez to powiedzieć, że nadal jest w tobie ten stary Timo. Timo-włamywacz, Timo-bojownik, Timo-zbrojne ramię Zielonej Zory.

– Piętnaście lat się nie widzieliśmy i przez piętnaście lat nie rozmawialiśmy. Skąd niby to wiesz? Skąd możesz cokolwiek o mnie wiedzieć?

– To proste. Przeczytałam obydwie twoje książki.

Timo odrzucił kołdrę, wstał i nagi podszedł do krzesła. W ramach prowizorycznej porannej toalety opryskał pachy – i przy okazji cały tułów – chmurką dezodorantu, po czym wskoczył w ubranie, które miał na sobie poprzedniego dnia: niebieskie dżinsy i znoszoną koszulkę.

– Jesteś strasznie irytująca, wiesz o tym? – powiedział.

– Sie wie, że wiem. Yasmin Germinál zawsze wszystkich irytowała. Chcę wejść

do tej szopy, ale nie sama. Czułabym się nieswojo. Co będzie, jak mnie złapie ten gnom, jej mąż? Wczoraj widziałam go z daleka, to mi wystarczy. Ten facet ma nie po kolei, widzę to na pierwszy rzut oka. Musisz stanąć na czatach.

– Dalej nic nie rozumiem. Pani Nan nie hoduje w środku nerek ani nie trzyma w klatkach niosek. Po co chcesz się tam włamać?

– Yim zasugerował, że pani Nan ma tam miejsce do pudża, to znaczy prywatnych modlitw. Zawsze chciałam zobaczyć coś takiego, pomieszczenie pełne młynków modlitewnych, rytualnych dzwonek, mis grających i relikwiarzy z drewna sandałowego.

– Tak, i jeszcze może kosteczek kosmitów.

– Szydź sobie do woli, ale ja koniecznie to muszę zobaczyć. Nieprędko nadarzy się taka okazja.

– Nie chcesz niczego zwędzić?

– Czy ja wyglądam jak Winona Ryder?

– Okej, pójdę z tobą do tej głupiej szopy. Ale nikomu ani słowa.

– Będę milczeć jak grób. Naprawdę super z twojej strony. Wypalę jeszcze tylko dżoincika i możemy ruszać.

Timo pokręcił głową. Nie znał nikogo poza Yasmin, kto byłby w stanie połączyć w logiczną całość buddyzm, ezoterykę, dżointy, włamanie i dzieła Lenina i być stuprocentowo przekonany o słuszności tego, co robi. Do tego zdolna była tylko Yasmin. W jej świecie taki miszmasz miał sens.

Niewielki kluczyk nie przestawał mnie dręczyć. Drobiazg, który miał sprawić, że moje dziennikarskie śledztwo posunie się do przodu, kazał mi zadać sobie fundamentalne pytanie na temat mojego zawodu. Co wolno dziennikarzowi, a czego mu nie wolno? Jak dalece można naruszać prywatność? Czy z etycznego punktu widzenia mam prawo się dokądkolwiek włamywać – nawet jeśli jest to „tylko” szopa – po to, żeby znaleźć coś, czego znaczenie na razie pozostaje dla mnie tajemnicą?

Viseth Nan wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie mam czego szukać w szopie, a chwilę po tym na drzwiach pojawiła się nowusieńka kłódka. Otwarcie jej skradzionym kluczem nie różniłoby się niczym od wyważenia drzwi, wybicia okna czy użycia wytrycha. A przy okazji nadużyłabym zaufania, jakim darzył mnie Yim.

Ostatecznie zdecydowałam się skorzystać z klucza, ponieważ nie dawała mi spokoju myśl, że nie tylko stary Nan, ale również Yim robi tajemnicę z tego, co kryje się po drugiej stronie drzwi. Człowiek, którego chciałam zrozumieć, coś przede mną ukrywał. Kiedy rozmawialiśmy na łodzi o Yasmin Germal, powiedział: „To nie jest twoja sprawa”. Miał na myśli sposoby radzenia sobie z traumą, i doskonale go rozumiałam.

Ale tutaj chodziło o coś innego. Chodziło o Nian Nan, która nie była jedynie matką i żoną, ale również człowiekiem, osobą. Jej mąż i syn bezceremonialnie zamknęli to, co po niej zostało, na klucz. Czyżby się jej wstydzili? A może bali się jej, nawet teraz, gdy od jej śmierci minęły blisko dwa lata?

Pomyślałam sobie, że do szopy najlepiej będzie się włamać przed wieczorem. Yim wysadził mnie na brzeg w porcie i pożeglował dalej, by zwrócić łódź znajomemu. Wiedziałam, że będzie potrzebował dobrej chwili, żeby dotrzeć na rowerze z Vitte do Neuendorfu. On sam zapowiedział, że wróci o ósmej. Potem mieliśmy iść na kolację.

Z ogrodu widziałam, że Viseth Nan ogląda w salonie serial kryminalny. Nawet

to robił w taki sposób, że przeszły mnie ciarki. Siedział na krześle sztywno i nieruchomo z rękami na udach niczym figura faraona. Sceny, które rozgrywały się przed jego oczyma, nie robiły na nim żadnego wrażenia. Na ekranie padały strzały, ludzie krzyczeli, płakali, uciekali, ginęli, a Viseth Nan nawet nie drgnął. Przez chwilę obserwowałam go przez okno, aż wreszcie pomyślałam: „Teraz albo nigdy, Doro. Do szopy”.

W tej samej sekundzie odezwał się jednak mój telefon. Dzwoniła jedna z moich przyjaciółek. Natychmiast odrzuciłam połączenie, ale było już za późno. Viseth Nan obrócił w moją stronę głowę. Samą głowę, ciało nawet nie drgnęło. Cofnęłam się, ale wiedziałam, że nie odważę się za dnia włamać do szopy.

Zgodnie z planem poszliśmy z Yimem na kolację. Pocałunek na łodzi nie zmienił co prawda sposobu, w jaki ze sobą rozmawialiśmy, ale wpłynął na sposób, w jaki na siebie patrzyliśmy. Miałam wrażenie, że w uśmiechu Yima pojawiło się coś erotycznego, co bardzo, ale to bardzo mi się podobało. Na szczęście Yim odpuścił sobie wdrażanie nauk z podręcznika podrywu. Jego dłonie nie wędrowały po stole ku moim, nie śpiewał hymnów pochwalnych na cześć moich niebieskich oczu, nie zamówiliśmy jednego deseru z dwiema łyżeczkami. Musnął mnie zaledwie na pożegnanie i bardzo mi to odpowiadało. Co prawda wbrew pierwotnym zamiarom postanowiłam zbliżyć się do Yima, ale nie czułabym się komfortowo, gdyby miało to nastąpić tego wieczora. Zapłaciłam nawet rachunek za kolację, bo to pozwoliło mi wierzyć, że choć częściowo rekompensuję Yimowi moją zdradę.

Zgasiałam światło w swoim pokoju i poczekałam do pierwszej. Kiedy na palcach zesłam na dół, drzwi do pokoju starego Nana były zamknięte, a Yim spał na kanapie. Jego ciche posapywanie sprawiło, że pomimo napięcia zrobiło mi się ciepło na sercu. Kiedy ostatnio widziałam śpiącego mężczyznę? Wieki temu.

Zabrałam z kuchni latarkę, którą wypatrzyłam już podczas śniadania, i wymknęłam się z domu. W oddali słyszałam głosy kilku młodych ludzi siedzących na plaży wokół ogniska. Choć byli daleko, nie włączałam latarki, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Księżyc znajdował się w pełni i świecił wystarczająco jasno, by oświetlić mi drogę. Latarkę włączyłam dopiero po to, żeby otworzyć kłódkę.

Klucz pasował. Aż do tej chwili nie byłam tego pewna, ale teraz nie miałam już

wątpliwości: Viseth Nan faktycznie opowiedział synowi o mojej wizycie w szopie, w następstwie czego Yim założył kłódkę.

Drzwi skrzypiały, dlatego otwierałam je powolutku. Ponownie poczułam gryzący zapach, lecz mimo to weszłam do środka. W szopie wisały pajęczyny świadczące o tym, że miejsca tego dawno już nikt nie odwiedzał. Zastanowiłam się, czy nie zapalić światła. Jedyne okienko było niewidoczne z domu, więc mogłam zaryzykować. Po kilku sekundach wahania zdecydowałam jednak, że tego nie zrobię. Obawiałam się, że poświata będzie widoczna w szparze pod drzwiami. Używałam jedynie słabej punktowej latarki, więc trudno mi było się zorientować w rozkładzie pomieszczenia, a jego przeznaczenie nadal pozostawało dla mnie tajemnicą.

Zgodnie z tym, co powiedziała mi wdowa Bolte, wewnątrz szopy zasłaniały różnej wielkości parawany, tworzące istny labirynt. W słabym świetle latarki próbowałam odnaleźć drogę, lecz stąpając niepewnie, szturchnęłam stopą niewielką puszkę. Rozległ się blaszany pogłos. Zaklęłam i schyliłam się, żeby odsunąć puszkę – i w tym momencie musnęłam jeden z parawanów, który zaczął się chwiać. Na szczęście w porę udało mi się go chwycić. Kiedy parawan stał już pewnie, podniosłam się z trudem, przełączyłam latarkę tak, by rozproszyć jej światło, cofnęłam się o krok i zamarłam.

Wrzesień 2010 r.

Pani Nan spędziła godzinę w Domu Mgieł i skończywszy pracę, wróciła do siebie, gdzie usiadła bez ruchu przy kuchennym stole. Przed nią leżał stos kartek: dziewięćdziesiąt siedem stron, które zapisała poprzedniej nocy. By zapełnić pierwsze pięćdziesiąt, potrzebowała pięciu godzin, na resztę – zaledwie dwóch. Druga część zapisków nie była mniej potworna i wstrząsająca niż pierwsza, ale kiedy pani Nan udało się już znaleźć język, którym mogła wyrazić swój ból, wstyd i poczucie winy, strumień słów wytrysnął z niej niczym z artezyjskiej studni. Nad ranem była kompletnie wyczerpana, przede wszystkim psychicznie, więc poszła do Domu Mgieł, by w pracy znaleźć chwilę zapomnienia.

Dziewięćdziesiąt siedem stron ciężkich jak testament. Wspomnienia, które nosiła w głowie przez ostatnie czterdzieści lat. Dziewięćdziesiąt siedem upiorów. Dziewięćdziesiąt siedem obrazów.

Do kuchni wszedł Yim. Po joggingu łał się z niego pot.

– Wszystko w porządku? – spytał matkę, spoglądając jej w oczy.

– W porządku.

– Jadłaś śniadanie?

– Nie, jeszcze nie.

– Zaparzyć ci herbaty?

– Poproszę.

Kobieta z rozczeniem śledziła ruchy syna. Cieszyła się, widząc, że jest spocony i pełen energii. To oznaczało, że życie nie zdołało go złamać – w przeciwieństwie do jego rodziców. Oni całe życie przeżyli tak, jakby dźwigali dodatkowe brzemie, aż wreszcie dotarli do punktu, w którym znajdowali się teraz: całkowitego bezruchu.

– Jesteś nią zainteresowany? Mam na myśli tę kobietę z kolorowymi włosami. Wczoraj przez przypadek widziałam was razem. Odniosłam wrażenie, że ci się

podoba.

Yim otworzył szafkę i wyciągnął puszkę z zieloną herbatą.

– To był tylko spacer, nic więcej.

– Mimo wszystko. Cieszę się, że pięć lat po Martinie zacząłeś dopuszczać do siebie ludzi.

– Robię kilka kroków u boku kobiety, a ty już sobie wyobrazasz trójkę wnucząt.

– Nie powinieneś być sam. Jesteś nieszczęśliwy.

– Mamo, proszę, nie teraz.

Woda zaczęła bulgotać. Yim wsypał do dzbanka trzy łyżki zielonkawych liści.

– Pięć lat uciekania wystarczy – powiedziała pani Nan. – Uwierz mi, z każdym rokiem nogi będą ci coraz bardziej ciężać, aż w końcu całkowicie znieruchomiejesz.

Yim upuścił filiżankę, która roztrzaskała się na podłodze.

Na kilka sekund zapadła cisza. W końcu pierwsza odezwała się pani Nan.

– Martina cię rzuciła. To ona zakończyła wasz związek, a dwa tygodnie później zginęła na morzu. Mogę jedynie podejrzewać, jakie po tym miałeś myśli i co czułeś, ale na pewno nie było to nic przyjemnego. To był dla ciebie na pewno bardzo ciężki okres.

Yim stał tyłem do matki.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odpowiedział stanowczo.

Pani Nan podniosła się z pewnym trudem i zaczęła zamiatać potłuczoną porcelaną.

– To nasza wina, moja i twojego ojca. Wychowaliśmy cię tak, byś potrafił milczeć, nie nauczyliśmy cię rozmawiać. Gdybyśmy wtedy...

Yim bez słowa opuścił kuchnię, wbiegł schodami na piętro i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pani Nan położyła zmiotkę i szufelkę pełną potłuczonej porcelany na kredensie, naląła sobie przygotowanej przez syna zielonej herbaty i z powrotem usiadła przy stole. Siedziała tak przez chwilę i nie odrywając ust od filiżanki, sączyła herbatę.

Po jakimś czasie zauważyła, że zaczęło padać, i wstała, by otworzyć okno.

Łagodny wiatr muskał jej twarz, kilka kropli spadło jej na policzki i spłynęło po nich niczym łzy. Miała wrażenie, że słyszy muzykę monsunu i gdzieś w oddali śmiech dziecka. Nie była w stanie odgadnąć, czy śmiech ten ma już sześćdziesiąt

lat, czy też zrodził się ledwie przed chwilą.

Zacząła nucić piosenkę, pierwszą, która jej przysłała do głowy. Powtarzała ją kilka razy, aż do momentu kiedy się zorientowała, że coś w pomieszczeniu za nią się zmieniło. Przerwała, zamknęła okno i się odwróciła.

W drzwiach stał jej mąż.

Podeszła do stołu i schowała plik kartek za fartuch.

– A więc spisałaś sobie historyjkę – powiedział Viseth Nan i spojrzał na nią z wściekłością. – Nie wystarcza ci to, co wyrabiasz w szopie? Teraz jeszcze zabrałaś się za pisanie powieści?

– Chciałabym, żeby to była powieść. Zejdź mi z drogi.

– Daj mi te kartki.

– Żebyś je spalił? Tak jak te stare zdjęcia? Nie, Viseth, co to, to nie. Dalej nic nie rozumiesz, prawda? Łudzisz się, że jeszcze żyjemy, ale my jesteśmy już martwi. Umarliśmy! To kara za to, co zrobiliśmy, i za to, czego nie zrobiliśmy. Przez czterdzieści lat byliśmy jak suszone zioła, które wydzielają woń, mimo że już dawno zostały ścięte. Umarliśmy i nawet tego nie zauważyliśmy.

– Cicho bądź. – Mężczyzna zakrył dłońmi uszy i wykrzywił twarz.

Pani Nan odciągnęła jego dłonie, tak by słyszał, co miała mu do powiedzenia.

– To się musi skończyć, Viseth. Chcesz żyć w ten sposób przez następne dziesięć, piętnaście lat? Ja nie chcę. Nie mogę tak dłużej. Jestem zmęczona, mam już dosyć. Próbowałam wszystkiego, ale dalej tak się nie da. Próbując zatrzeć nasze winy, tylko je podwoiliśmy. Sprawiliśmy, że Yim ucieka od problemów, że milczy, że...

Viseth Nan odepchnął od siebie żonę tak mocno, że ta się potknęła. Kartki wypadły z rąk i rozsypały się po kuchni. Mężczyzna zrobił krok przed siebie, by je zebrać.

– Nie dotykaj ich! – krzyknęła pani Nan, stając nagle przed mężem z pistoletem w dłoni. Nosila go ze sobą od dwóch dni, od momentu kiedy go wykopała pod cistem. Myślała, czy nie nacisnąć spustu. Strzelić, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Ostatnią kulę przeznaczyłaby dla siebie. Być może tak byłoby najlepiej. Być może historię Nian i Visetha należało zakończyć krwawo.

Mimo wszystko gdzieś jednak pośród tego szaleństwa i poczucia winy tliła się w niej iskierka miłości do tego człowieka.

Timo i Yasmin chcieli wyjść z domu po cichu, lecz w garderobie zatrzymał ich Philipp.

– A wy dokąd się wybieracie?

– Och, chcemy się przejść – odpowiedziała Yasmin.

– Przejść? Wyrzycie przez okno. Pogoda się popsła. W radiu zapowiadali, że wieczorem będzie sztorm. Wbrew wcześniejszym prognozom niż i orkan nad Norwegii niespodziewanie przesunęły się na południowy wschód.

– A po ludzku? – zapytał Timo.

– A po ludzku, to jutro przez cały dzień będzie padać. Jeśli dopisze wam szczęście, w południe prom znów zacznie kursować i będziecie się mogli przeprawić. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że będziecie musieli poczekać do końca sztormu.

– Cholera – zakląła Yasmin.

– Nie mogłaś tego lepiej ująć – wyjątkowo zgodził się z nią Philipp. – Jutro koniecznie muszę się dostać na ląd, bo mam spotkanie z potencjalnym klientem. W grę wchodzi dziewięćdziesiąt tysięcy euro.

Philipp wydawał się mocno rozczarowany, że Timo i Yasmin nie wyrazili ubolewania na miarę dziewięćdziesięciu tysięcy euro, a jedynie skwitowali to zdawkowym mruknięciem.

– Dla was to oczywiście nie jest aż taka tragedia, po prostu wyjedziecie dzień później. I tak nie macie normalnej pracy. Kramik z cudownymi kamieniami nie ucieknie, a Timo tak czy siak pracuje tylko wtedy, gdy go najdzie ochota. Pozazdrościć.

Spotkanie z klientem było naprawdę ważne, a wizja spędzenia w domu dwóch deszczowych dni w towarzystwie gości, których nie znosił, sprawiła, że nastrój Philippa pikował w kierunku zera, w związku z czym miał ochotę się na kimś wyładować. Ale ponieważ ani Yasmin, ani Timo nie odpowiedzieli, stracił zapał i zmienił temat.

– Nadal chcecie wyjść? Zwariowaliście, ale róbcie, co chcecie. Tu są parasole, gdybyście ich potrzebowali. Dobrze, żebyście je przynieśli w całości. Śniadanie jest za godzinę, o wpół do dziesiątej. Rozumiecie, co mam na myśli? Punk-tu-alność.

Timo i Yasmin wyszli z domu. Deszcz nie był zbyt ulewny i niespecjalnie im

przeszkadzał. Timo naciągnął na głowę kaptur bluzy, Yasmin zaś stawiała czoło pogodzie bez żadnej dodatkowej osłony.

Kiedy odeszli jakieś dziesięć kroków od domu, Yasmin krzyknęła:

– Co za palant. Ten to się potrafi zachować... Całkiem mu już odbiło? Rozmawia z nami jak z upośledzonymi dziećmi. Jakbyśmy byli niespełna rozumu. Tacy ludzie sprawiają, że jest mi niedobrze. No jakże, nie macie pieniędzy? No to nie macie prawa się odzywać. Człowieku! Pieniądze, pieniądze, pieniądze. To jest jedyne kryterium. A z każdym kolejnym zerem zadzierają nosa coraz wyżej. Od dziesięciu tysięcy lat nic się w tej kwestii nie zmieniło. Czy ktoś wreszcie zlikwiduje te przekłete pieniądze? Pieniądz to narzędzie szatana służące do zniewalania ludzi, a zniewoleni są na tyle głupi, że nie chcą znieść niewolnictwa, tylko wolą sami zostać właścicielami kolejnych niewolników. Stosunek ludzi do pieniędzy to kwintesencja sadomasochizmu.

Timo wzruszył ramionami. Teorie filozoficzno-politologiczne Yasmin interesowały go tego dnia jeszcze mniej niż zwykle.

– Pamiętasz, jaki Philipp był wtedy zaangażowany? Protestował przeciwko polityce społecznej Kohla, chciał podniesienia podatku dla najbogatszych do siedemdziesięciu pięciu procent, opodatkowania kapitału, nacjonalizacji banków, redystrybucji dochodów od najbogatszych do najbiedniejszych... Był naszym małym Robespierre'em. I miał rację. Wystarczy pomyśleć o kryzysie finansowym, bezrobociu i tak dalej. A dzisiaj? Zachowuje się jak bonza. Spójrzcie tylko, czego dokonałem: zarabiam dziewięćdziesiąt tysięcy euro podczas jednej rozmowy, a wy, żeby zarobić takie pieniądze, musielibyście przez dziewięćdziesiąt lat siedzieć na kocu i sprzedawać cudowne kamienie. Albo napisać książki o łącznej objętości dziewięćdziesięciu tysięcy stron. Pamiętasz, jak kręcił nosem, kiedy pierwszego dnia powiedzieliśmy, że tym się zajmujemy? I ten jego zblazowany głos, kiedy opowiada o swojej pracy.

– Może trochę nadinterpretujesz – ostrożnie zaoponował Timo. – Aż tak strasznie się nie przechwalał.

– No jasne, skądże znowu – odpowiedziała Yasmin. – Robi to naprawdę subtelnie. Nie mówi nigdy: „Spójrzcie na mój wypasiony dom, na moje wypasione życie, potrafię to, mam tamto, a wy nie macie i dobrze wam tak”. O nie, on wprowadza nas po swojej chacie z rękoma w kieszeniach i znudzoną miną... Nie

trąbi o swojej wyższości, tylko przemyca ją pod płaszczykiem pokory. A raczej udręki: ileż to on ma pracy, ileż zleceń, musi zaprojektować willę na Majorce, galerię w Rzymie, wielki bank molestuje go, aby stworzył dla niego hotel nad Jeziorem Bodeńskim. Już nie wie, jak się nazywa, wszyscy czegoś od niego chcą i jeszcze musi polecieć do Nowego Jorku, do ONZ-etu, dobry Boże, lepiej nawet nie myśleć o jet lagu, i jeszcze ma udzielić wywiadu dla ARTE, będzie musiał gdzieś to wcisnąć, choć wcale mu to nie pasuje... Timo, jak ty jesteś w stanie zachować taki spokój? Nie pojmuję tego.

Powściągliwość Tima – bo rzeczywiście, w drodze do szopy był nieco wycofany – wynikała z trzech powodów. Po pierwsze: Yasmin, mówiąc za dwie osoby, prawie nie pozwalała dojść mu do głosu. Po drugie: nie chciał tego przyznać, lecz Yasmin była w błędzie, sądząc, że jej towarzysz znosi pozerstwo Philippa ze stoickim spokojem. Timo nie chciał o tym opowiadać, ale w kontaktach z gospodarzem strasznie się irytował, tyle że czym innym niż Yasmin. Mówiąc w uproszczeniu: zazdrościł Philippowi, przede wszystkim dobrobytu. Timo był bowiem splukany. Co prawda rozповідаł wszem wobec, że pisarstwo jest dla niego najważniejsze i że znalazł swoją wymarzoną pracę, co zresztą było prawdą, ale jednocześnie zadreślał się tym, że tak mało zarabia, szczególnie w tych miesiącach, w których nie stać go było na wyjście ze znajomymi na pizzę.

Yasmin sprawiała wrażenie, jakby było jej wszystko jedno, że ledwie wiąże koniec z końcem i że większość czasu przesiaduje na kocu, ale jemu nie wystarczały ochłapy, które los rzucał mu w zamian za jego wysiłki. Kiedy miał gorszy dzień, dochodził do wniosku, że jest nieudacznikiem i poniósł życiową klęskę. Jego młodszy brat, który handlował dywanami, zarabiał o wiele więcej od niego. W dodatku cały czas podróżował po świecie, bo związał się ze śliczną stewardesą i cała podróż kosztowała go tyle, co dojazd taksówką na lotnisko. Na tym tle dokonania Tima wypadały blado, bo wszystko, czym mógł się pochwalić, to dwie książki, z których żadna nie doczekała się dodruku, i krótki wypad na Gran Canarię.

Timo jednak zazdrościł Philippowi czegoś jeszcze – i to był trzeci powód, dla którego z taką powściągliwością słuchał wywodów Yasmin. Tym powodem była Vev. Timo nie mógł przestać o niej myśleć. Kiedy powiedział Yasmin, że przez pół nocy pisał, była to jedynie połowa prawdy. Pisał bowiem o sobie, o Vev i o ich

romansie, a kiedy w końcu zasnął, śnił również o niej. Obecność Vev go uskrzydlała, sprawiała, że w jego żyłach zaczynała buzować czysta energia. Kiedy się śmiała, śmiał się z nią. Kiedy płakała, on również płakał. A kiedy była wzburzona, jemu serce podchodziło do gardła. Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś takiego.

Kiedy wspominał tę godzinę spędzoną w Genoveva Bay, ich powolne, miarowe ruchy, chwilę, gdy wszedł w jej ciało, ich nieme krzyki – doznawał na nowo erekcji. Do tej pory masturbował się, jedynie fantazjując, teraz robił to, wspominając swoje doświadczenie, a nawet pisząc o nim. To wspomnienie zastępowało mu nieobecną kochankę. Marzył o tym, żeby oparzenie słoneczne na plecach, którego nabawił się podczas tamtych upojnych chwil, nie zagoiło się przez najbliższe dwa, trzy tygodnie. Drżał na myśl o tym, że będzie musiał wkrótce wyjechać. Nadciągający sztorm wydał mu się paradoksalnie darem niebios, który pozwoli mu spędzić jeszcze dwadzieścia cztery godziny w towarzystwie Vev.

Tego poranka wszystko zdawało się stać na głowie. Myśli Tima niemal bez reszty zaprzętała Vev – niemal, bo od czasu do czasu, nawet we śnie, w jego głowie to pojawiały się, to znikwały dwa obrazy. Były to osobliwe wizje: śpiące psy, które widział w Berlinie na kocu Yasmin, oraz spuchnięte nadgarstki pani Nan. Timo nie był w stanie znaleźć wyjaśnienia, w jaki sposób – i czy w ogóle – te obrazy ze sobą się łączą, ale bardzo nim one wstrząsnęły. Śniło mu się, że śpiące psy nagle się zbudziły i w mig przeobraziwszy się w groźnie warczące bestie, rzuciły się za nim w pogoń ulicami Berlina. Na szczęście pani Nan przywołała go do siebie i posiniaczonymi rękoma wskazała mu bezpieczną kryjówkę.

– Dobra, teraz musimy być ostrożni – szepnęła Yasmin i przykucnęła. – Ten gnom może pełzać gdzieś między kwiatami, a Yim może tu gdzieś uprawiać qigong albo coś w tym stylu. Widzisz kogoś?

– Nikogo nie widzę. Ale nawet jeśli uda nam się niepostrzeżenie dotrzeć do szopy, to pani Nan może być w środku.

Ostrożnie podkradli się do drzwi i Yasmin przyłożyła do nich ucho.

– Nic nie słyszę.

– Myślisz, że pani Nan podczas modlitwy gra na perkusji?

– Co z tobą dzisiaj? Na wszystko narzekasz. Może trochę pozytywnego myślenia, co?

– Skoro widzisz wszystko w różowym kolorze, to przecież nic złego nie może się zdarzyć, a ja jestem tu niepotrzebny. Cześć.

– Czekaj. Zaryzykuję. W najgorszym wypadku... co może mi zrobić? Jest buddystką, więc włos nie spadnie mi z głowy. No, chyba że należy do radykałów, którzy...

– Yasmin, wyświadcz mi przysługę i wejdź już do środka, żebyśmy mieli to wreszcie za sobą.

– Okej, okej.

Yasmin zniknęła w szopie, a Timo pozostał na czatach kilka kroków od drzwi. Żałował, że nie pali papierosów, bo nie wiedział, co począć z rękoma. Nie denerwował się tym, co właśnie robili – denerwował się, że bezsensownie sterczy przed szopą, podczas gdy Vev być może nakrywa już do śniadania. Wyobraził sobie, jak jej w tym pomaga: naciska dźwignię w tosterze, pochyla się w kierunku Vev, gdy ta otwiera miód. Chleb się przypieka, a oni przez ten czas się całują. Gotowy chleb wyskakuje z tosterza i przerywa chwilowo ich miłosne igraszki.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem. Fantazja była tak żywa, że miał wytrysk.

W tej samej chwili zza kaskady powojnika wyłoniła się Yasmin.

– Chodź, musisz to zobaczyć.

– Jestem całkowicie niereligijny. Nie interesują mnie dywaniki modlitewne. Możemy już iść?

– Musisz to zobaczyć – powtórzyła Yasmin i dopiero wtedy Timo zauważył, że strasznie zbladła.

– O co chodzi? No mówże.

– To jest... to jest okropne.

Z duszą na ramieniu Timo przekroczył próg szopy.

Na ziemi leży skręcone w konwulsjach ciało. Oczy i pozbawione zębów usta są szeroko otwarte, z nosa kapie krew, a spod strzepów ubrania wyzierają wrzody – niektóre są czarne i zaschnięte, inne zupełnie świeże. Stopy – podobnie jak nadgarstki – są tak spuchnięte, że prawdopodobnie nie były w stanie udźwignąć ciężaru ciała. Na czole widać wypalone piętno. Dziewczynka bez wątpienia nie żyje, choć zapewne zgon nastąpił niedawno. Tuż obok niej leży starsza kobieta, plecami zwrócona do martwego dziecka, które mogłoby być jej wnuczką. Ich stopy się stykają. Staruszka wygląda, jakby spała, ale na głowie ma zburzony kok, który

przechyliwszy się, odsłania ziejący w jej czaszce otwór. Kobieta leży z ręką wyciągniętą przed siebie, jakby chciała przez sen kogoś przytulić. Ręka spoczywa na szkielecie.

Scena była rozmyta tak, jakby odbijała się w wodzie. Niektóre miejsca na obrazie były zaskakująco ostre, niczym na fotografii, inne zaś – prawie nieczytelne. Dotyczyło to wszystkich znajdujących się w szopie obrazów, które rozstawiono na kształt labiryntu, tak że tworzyły przerażającą ekspozycję.

Młody chłopak klęczy w błocie. Z lękiem spogląda wprost w oczy widza. Dookoła niego stoją trzech mężczyzn, na obrazie widać jedynie ich nogi i dłonie. Każdy z nich przystawia do głowy chłopaka pistolet. Za moment padną strzały.

Na środku podwórza – być może szkolnego dziedzińca – wznosi się sterta książek. Żołnierz właśnie podkłada pod nie ogień. Ze środka stosu wyrastają dwa pale, do których przywiązano dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Scenie przygląda się kilkoro dzieci, wśród nich mały chłopiec. Malec płacze, a stojący obok mężczyzna w mundurze grozi mu maczetą.

Na polu znajduje się grupa postaci, nie można rozpoznać ani ich wieku, ani płci. Na głowy nałożono im plastikowe worki. Postacie stąpają po omacku ze skrepowanymi za plecami rękoma. Grupa rozbawionych żołnierzy dręczy ich na wszystkie możliwe sposoby. Aż się uduszą.

19

Znalazłam się w samym środku koszmaru. Sceny były tak straszne, że mimowolnie odwracałam oczy. Obrazów musiało być około pięćdziesięciu. Większość została namalowana na płótnie o wysokości stu osiemdziesięciu centymetrów, przez co wiele postaci – wyłącznie Azjatów – miało naturalne rozmiary. Zastosowanie specjalnej techniki, polegającej na łączeniu partii bardzo ostrych z rozmytymi, sprawiało, że obrazy wydawały się jednocześnie autentyczne i surrealistyczne. Wypełniały je wyłącznie strach i nienawiść. Nie było na nich nic, co mogłoby nieść jakąkolwiek otuchę: ani ptaków na gałęzi, ani słońca na niebie, ani nawet miski ryżu, którą można by się posilić. Nawet kolorystyka obrazów była przygnębiająca. Wszystkie barwy, także odcienie żółci, zieleni i błękitu, kryły w sobie ołowiany ciężar i smutek, tak jakby każdą z nich zaprawiono szarością. Z obrazów wylewały się cierpienie i okrucieństwo – tak autentyczne, że czułam je niemal na własnej skórze. Sprawcy byli odrażający. Chciałabym pomóc udręczonym ofiarom, podać im rękę i wciągnąć ich do mojego świata, do tej letniej nocy roku dwa tysiące dwunastego, na wyspę Hiddensee, wydostać ich z oddalonej o lata świetlne Kambodży lat tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć–siedemdziesiąt dziewięć.

Natłok ponurych myśli sprawił, że usiadłam na zakurzonym i pokrytym plamami farby barowym stołku, podobnym do tych w restauracji Yima. Możliwe zresztą, że pani Nan wzięła go właśnie stamtąd, nie mówiąc nikomu, do czego go potrzebuje.

Jedno było dla mnie pewne: osoba, która namalowała te obrazy, musiała brać udział w tych scenach – albo jako ofiara reżimu, albo jako jego funkcjonariusz. I nie miałam żadnych wątpliwości, że to pani Nan była ich autorką.

Potrzebowałam chwili, by się uspokoić i przygotować na to, co przedstawiały jej dzieła. Dopiero wtedy zaczęłam im się przyglądać z bliska. Pierwsze zetknięcie z nimi było doświadczeniem tak intensywnym, że przeoczyłam pewne szczegóły. Na większości malowideł, choć nie na wszystkich, w tle był widoczny mały, krępy,

ubrany na czarno mężczyzna, cywil. Nie sposób było rozpoznać jego twarzy, bo często znajdował się w nieostrej części kompozycji. Czasami sama postać była ostra, jednak jej głowę coś zasłaniało. Na jednym z obrazów mężczyzna zakrywał twarz dłońmi, jak ktoś, kto nie chce, by zrobiono mu zdjęcie.

Człowiek ten bez wątpienia był jednym ze sprawców, co więcej – zajmował w ich hierarchii wysoką pozycję. Świadczył o tym fakt, że bardzo często przedstawiony był w momencie, gdy wskazywał na coś ręką lub palcem. Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, że na prawie wszystkich obrazach w pobliżu tego mężczyzny znajdowała się kobieta, podobnie jak on ubrana skromnie i na czarno. Miała około trzydziestu lat, była bardzo niska i nawet jeśli otaczał ją gąszcz innych szczegółów, to jej twarz zawsze była przedstawiona bardzo wyraźnie. Dzięki temu natychmiast ją rozpoznałam. Pani Nan malowała na miejscu wydarzeń samą siebie – w gronie morderców.

Choćbym nie wiem jak się starała, nie jestem w stanie sobie przypomnieć wszystkich myśli i uczuć, które towarzyszyły mi w chwili, kiedy dokonałam tego odkrycia. Ale nawet teraz pamiętam, że było wśród nich zaskoczenie i rozczarowanie. Byłam rozczarowana kobietą, do której, choć nigdy nie poznałam jej osobiście, tak bardzo się w poprzednich dniach zbliżyłam. Kobiety, którą pomimo otaczającej ją aury nieprzystępności zaczęłam lubić – także dlatego, że nie mogłam znieść jej męża. Byłam również rozczarowana sobą, tym, że dałam się nabrać funkcjonariuszce zbrodniczego reżimu Czerwonych Khmerów. Główną rolę grał mężczyzna, którego twarz zawsze pozostawała w ukryciu, pani Nan zaś pojawiała się jedynie jako obserwator, niemniej jej twarz nie wyrażała nawet krzty przejęcia.

Czy szopa, w której właśnie siedziałam bezradna i przerażona, była dla pani Nan czymś w rodzaju konfesjonału? A może ten stółek barowy był jej psychoanalityczną kozetką? Czy malowała po to, aby pozbyć się z głowy dręczących ją obrazów? A może po prostu chciała lepiej zrozumieć, co się stało? Czy sama sformułowała akt oskarżenia wobec siebie i sama skazała się na codzienne spotkania twarzą w twarz z ofiarami? Czy w ten sposób chciała oddać głos zamordowanemu?

Może wszystko to było prawdą, a może nie. Skąd miałam to wiedzieć? Wiedziałam tylko jedno: pani Nan znalazła w sobie siłę, by stanąć oko w oko

z własnym sumieniem. Szukała języka, w którym mogłaby opowiedzieć o tym, co się stało, a kiedy już go znalazła, nauczyła się nim posługiwać. Czy znalazła w sobie również siłę, żeby opowiedzieć o wszystkim światu?

Gdy latarka odmówiła posłuszeństwa, zorientowałam się, że straciłam poczucie czasu. Było już po trzeciej. Aby wyjść, musiałam po omacku przemierzyć labirynt apokaliptycznych obrazów. Wydawało mi się, że przedzierałam się przez niego całą wieczność i choć normalnie nie mam problemów z klaustrofobią, na kilka sekund ogarnęła mnie taka panika, że najchętniej wyróciłabym tę całą galerię, byle tylko jak najszybciej się stamtąd wydostać. Udało mi się jakoś opanować, lecz kiedy wreszcie znalazłam się przed szopą i zamknęłam za sobą drzwi, wyczerpana opadłam powoli na ziemię. Odczekałam chwilę, głęboko oddychając, i w końcu podjęłam decyzję.

Kiedy wróciłam do domu, panowała w nim cisza. Yim spał głęboko. Zrzucił z siebie kołdrę i skulił się na kanapie niczym krewetka. We wpadającym przez okno skąpym świetle księżycy zauważyłam, że ma na sobie jedynie błękitne bokserki.

Było dla mnie jasne, jaki wpływ moje odkrycie będzie mieć na nasze relacje. Yim urodził się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, więc miał trzy lata w chwili, kiedy rozpoczął się terror Czerwonych Khmerów, a siedem, kiedy Wietnamczycy odebrali im władzę i wielu reżimowych siepaczy zeszło do podziemia. Yim nie miał nic wspólnego z wszystkimi tymi okropieństwami, a przed dzieckiem w tym wieku można ukryć najgorsze rzeczy, tak by nie miało pojęcia, co się wokół niego dzieje. Nie obarczałam Yima odpowiedzialnością za to, co się działo w tamtym okresie, ale miałam mu za złe to, że kłamał, opowiadając mi – i zapewne każdemu, z kim o tym rozmawiał – w jaki sposób znalazł się w Niemczech.

Nie przybył do NRD już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, ale dopiero cztery lata później – i nie mógł powiedzieć, że o tym nie wiedział. Pięcioletni sześcioletek jest w stanie się zorientować, czy wychowuje się w tropikach, pośród pól ryżowych i dżungli, czy też lepi bałwana w Europie. Żadne ze zdjęć wiszących na ścianie w jego pokoju nie przedstawiało Yima pomiędzy piątym a siódmym rokiem życia. Wydarzenia tego okresu miały nigdy nie wyjść na światło dzienne. Rodzice Yima nauczyli go milczeć. Nie wiem, czy w którymś momencie

postanowili go wtajemniczyć, czy też sam odkrył prawdę. Tak czy inaczej znał ich tajemnicę.

Nie miałam zamiaru stawiać go za to pod pręgierzem – bądź co bądź krył swoich rodziców, ale mimo wszystko nie mogłam przymknąć oczu na to, co robił. Oczekiwałam od niego czegoś lepszego. A właściwie oczekiwałam czegoś lepszego od mężczyzny, z którym chciałam nawiązać intymne relacje.

Dlatego postanowiłam natychmiast wyjechać. Nie, właściwie nie tylko dlatego. Po prostu nie byłam w stanie przeżyć kolejnego dnia, nie wspominając nawet o nocy, w domu zbrodniarza. Chciałam być jak najdalej stamtąd.

Na kartce napisałam wiadomość dla Yima i zostawiłam ją na łóżku. Wiedziałam, że znajdzie ją dopiero za kilka godzin, około dziesiątej, kiedy zaniepokoi się, że nie wyszłam jeszcze z pokoju. Biorąc pod uwagę to, że wiadomość składała się jedynie z dwóch słów – „Przykro mi” – napisanie jej zajęło mi mnóstwo czasu. Obok kartki położyłam kluczyk do kłódki. Wiedziałam, że zrozumie.

Kiedy po cichu wyszłam z domu, na dworze zaczynało już świtać. W spowitym mgłą porcie czekałam na pierwszy prom. W mojej głowie kotłowały się myśli, a ciało słańało na nogach, lecz mimo wyczerpania, nagle wstrząsnęła mną myśl. Czy to przypadek, że trójka ludzi straciła życie właśnie w Domu Mgieł, o kilka kroków od miejsca, w którym mieszkała osoba odpowiedzialna za masowe mordy? Czy to możliwe, że to pan Nan dokonał nocnej rzezi na Hiddensee?

Wrzesień 2010 r.

Timo wszedł za Yasmin do szopy, zamknął za sobą rozklekotane drzwi i włączył światło. Niskie pomieszczenie wypełniło się przytłumionym światłem. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić z całą pewnością, że nie jest to miejsce przeznaczone do modlitwy. Pośrodku znajdowało się składowisko obrazów – niektóre ustawiono na sztalugach, inne ułożono na wyświechtanych kocach rzuconych na brudną, nierówną podłogę. Przy ścianach stały pordzewiałe, pokryte kurzem regały, a na nich, w ogromnym nieporządku, setki śmierdzących pojemników z farbami, rozpuszczalnikami, sprejami, między którymi wały się sita, szpachle i gąbki. Nieumyte w większości pędzle – musiało ich być około stu – sterczały w kubkach do kawy jak kwiaty na łące. W rogu pomieszczenia wisiał krzywo zamocowany, czerwony od rdzawych zacieków ceramiczny zlew. Z dwóch odrażających kurków w różnych odstępach czasu kapłała woda.

Pomieszczenie zaprzeczało wszelkim obiegowym wyobrażeniom na temat malarskiego atelier. Nie było ani snopów wpadającego przez okno światła, ani kolorowych jak rajskie ptaki palet.

– Jak tutaj można malować? – zdziwiła się Yasmin.

Timo z własnego doświadczenia wiedział, że akt twórczy jest możliwy w rozmaitych miejscach – banalnych jak poczekalnia urzędu pracy, wymarłych jak przystanek autobusowy nocą, niebezpiecznych jak niektóre dzielnice miasta czy parki po zmierzchu. Dlaczego więc miałyby nie być możliwy w tym pogrążonym w rozkładzie pomieszczeniu?

– Być może to, co maluje pani Nan, może powstać jedynie w takim właśnie miejscu – odpowiedział. – Może to, mimo wszystko, jest miejsce do modlitwy, tylko że innej, niż się spodziewałaś.

– Pani Nan musi mieć udręczoną duszę – szepnęła Yasmin tonem, który pasował zarówno do treści jej wypowiedzi, jak i otoczenia. – Kto tworzy takie

okropieństwa? Nie sądzisz, że coś takiego może namalować jedynie ktoś chory? Kiedy pomyślę o przepięknych obrazach Jonny'ego...

– To, że ktoś tworzy piękne rzeczy, nie oznacza, że nie jest chory. To zależy od choroby, jak sądzę.

– Co masz na myśli? – obruszyła się Yasmin. – Sugerujesz, że Jonny ma nie po kolei w głowie? Albo ja mam nie po kolei w głowie?

– Ja nic nie sugeruję.

– Myślałby kto!

– Daj spokój, nie mam ochoty w tym miejscu dyskutować, kto ma co w głowie. Zresztą... może to, co tu widzimy, to wcale nie choroba, tylko lekarstwo?

– Bzdura! Takimi obrazami nie da się uleczyć duszy. Można ją co najwyżej pogrzyżyć. Pani Nan potrzebuje oczyszczenia. Potrzebuje harmonii.

– I może do tego jeszcze dżointa?

– Pocałuj mnie gdzieś, Timo. Nie będę rozmawiać na te tematy z ateistą i cynikiem.

– Gdzie się podziewa twoja harmonia, obrońco uciśnionych komarów, kiedy nachodzi cię ochota wszcząć rewolucję, a potem postawić Philippa pod ścianą?

– Niczego takiego nie powiedziałam!

Kłótnia wybuchła zupełnie niespodziewanie i równie szybko ucichła. To te obrazy wzbudzały taką agresję. Były przesycone najstarszą trucizną na świecie – toksyną zniszczonej przeszłości – a Yasmin i Timo byli bardzo podatni na jej działanie.

– Chcę stąd wyjść – powiedziała Yasmin.

Timo nie miał nic przeciwko temu, lecz kiedy odwrócili się do wyjścia, z nieoświetlonego rogu szopy wyłonił się kontur postaci.

– Cholera – zakląła Yasmin, a Timo zrobił krok do przodu, by móc ją w razie czego osłonić.

Kiedy Leonie weszła do kuchni, Vev właśnie podtykała Philippowi pod nos swój pocięty szlafrok. Ich rozmowa natychmiast się urwała. Leonie nie raczyła spojrzeć ani na szlafrok, ani na jego właścicielkę.

– Dzień dobry. Czy mogę dostać szklankę wody? – spytała, patrząc na Philippa.

– Dzień dobry. Weź sobie, co potrzebujesz. – Gospodarz wskazał na lodówkę i regał, w którym znajdowały się szklanki.

W czasie kiedy Leonie nalewała sobie wody, Vev i Philipp milczeli, ale Leonie zauważyła, że porozumiewają się za jej plecami na migi. I że najwyraźniej nie mogą dojść do porozumienia.

– Powiedz mi – odezwała się wreszcie Vev – czy wiesz może, co się stało z moim szlafrokiem, który wisiał w łazience?

– Dobry Boże, źle to wygląda – odpowiedziała Leonie. – Co się stało? Dawno go nie używałaś i kiedy go włożyłaś, puściły szwy?

– Bynajmniej. Wyraźnie widać ślady malutkich nożyczek.

– Faktycznie, teraz też to widzę. No tak, małe dzieci często robią takie rzeczy zupełnie bezmyślnie. Nie karz za to Clarissy zbyt surowo.

– Nie sądzę, żeby to była sprawka Clarissy. Ona nigdy niczego takiego nie zrobiła.

– Uwierz mi, dzieci są zdolne do większych niespodzianek. Ale wiesz, może masz rację. Może to Yasmin nie spodobało się, że ten szlafrok został wyprodukowany przez żyjące w nędzy, trute pestycydami bangladeskie dzieci, które przez dziewiętnaście godzin dziennie...

– Czyli ty nic o tym nie wiesz?

Leonie nieśpiesznie wyciągnęła z torby pierwszą tego dnia tabletkę lexotanilu.

– Nieee – odpowiedziała. – Nie kroję na kawałki rzeczy tylko dlatego, że są brzydkie.

Kobiety stały naprzeciw siebie. Vev ugniatała w dłoniach szlafrok na kształt czarnej kuli, Leonie zaś bawiła się przez kilka sekund tabletką i w końcu ją połknęła.

Philipp wykorzystał chwilę ciszy, by przerwać dialog, który wyraźnie zmierzał w stronę awantury.

Odchrząknął, po czym zwrócił się do Leonie:

– Przed chwilą... Przed chwilą dzwoniła twoja matka. Właściwie prosiła, żebym...

– No to już jest wprost niepojęte – krzyknęła Leonie i cisnęła torbę na kuchenny kredens. – Cóż tej kobiecie znowu przychodzi do głowy... Na każdym kroku mnie szpieguje.

– To nie tak – powiedział Philipp. – Twoja matka o nic nie wypytywała. Chciała się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku. Może słyszała

o nadciągającym sztormie. Ach... ty jeszcze o tym nic nie wiesz. W nocy ma być sztorm. Sieci komórkowe przez jakiś czas nie będą działać i zapewne dlatego...

– Ach, bzdury. Nie znasz mojej matki. Dręczenie ludzi to jej największa pasja. Niestety, nie da się zrezygnować z matki jak z abonamentu, w przeciwnym wypadku dawno już bym to zrobiła.

– Ale to była naprawdę miła rozmowa. Odniosłem wrażenie, że po prostu się martwi.

– No to możesz ją uspokoić, skoro *tak dobrze* się z nią rozumiesz. Od razu poproś, żeby cię adoptowała. Pewnie nawet by to zrobiła. Byłbyś synem, o jakim zawsze marzyła: odnoszącym sukcesy, z żoną i dzieckiem. Nawzajem byście się zapraszali na ciasto.

– Leonie, ja...

– Tak, tak. Czy możemy zmienić temat? Widzieliście Timo? Nie ma go w pokoju, a chcę z nim porozmawiać.

– Tylko że on pewnie nie będzie chciał rozmawiać z tobą, zwłaszcza kiedy jesteś w takim stanie – odpowiedziała Vev.

– Kochana, troskliwa Vev – odparła słodko Leonie. – Może jednak pozwólmy, żeby to on zdecydował.

– A ma jakiś wybór?

Leonie zamknęła oczy, a po chwili otworzyła je i wrzasnęła z całej siły:

– Gdzie jest Timo?! Chcę wiedzieć, gdzie jest Timo! Natychmiast!

Przez trzy sekundy Vev i Philipp stali jak wryci, podczas gdy Leonie patrzyła na nich wytrzeszczonymi oczami. Przez uchylone okno wdarł się powiew chłodnego powietrza, zwiastując nadciągający sztorm i niosąc ze sobą głosik Clarissy. Dziewczynka śpiewała jakąś dziecięcą piosenkę.

Vev wciąż nie była w stanie wykrztusić słowa, lecz Philipp wziął się w garść i najłagodniejszym tonem, na jaki był w stanie się zdobyć, powiedział:

– Timo poszedł z Yasmin na spacer. Nie wiem dokąd.

Leonie złapała torbę, wypadła z kuchni i nie zważając na coraz intensywniej padający deszcz, bez żadnego okrycia wybiegła pędem na dwór.

Vev i Philipp zaczekali do chwili, gdy drzwi się zatrzasnęły, i dopiero wtedy przerwali milczenie.

– Całkiem oszalała – powiedziała Vev.

– Furiatka.

– Oszalała furiatka. Mówię całkiem poważnie. Ona ma nie po kolei.

– No tak. Nie wiem, co się stało, ale jest ekstremalnie zdenerwowana.

– Mam wrażenie, że ona ciągle jest ekstremalnie zdenerwowana. Obejrzałam te tabletki, które wcina, jakby to były orzeszki. W Internecie piszą, że lexotanil to bardzo silny lek uspokajający. Bardziej skuteczne jest tylko uderzenie w tył głowy. Swoją drogą, czasem mam ochotę ją rąbnąć.

– Chyba nie grzebałaś w jej torbie?

– Chciałam sprawdzić, czy w jej arsenale coś jeszcze zostało. Spodziewałam się wszystkiego, łącznie z granatami. Zamiast tego znalazłam psychotropy, którymi można by położyć słonia.

– Jak zwykle przesadzasz. Jeżeli ktoś Leonie przepisał to lekarstwo, to zapewne był jakiś powód. Tak czy inaczej, powstrzymajmy się od uszczypliwości.

– My? My mamy się powstrzymać od uszczypliwości? – powtórzyła Vev. – O tak, powstrzymamy się, bo ona się wyprowadzi. Nie zniosę tej socjopatki ani godziny dłużej. Ona jest zagrożeniem dla otoczenia.

– Okej, jest nie do zniesienia. Ale niebezpieczna? Nie, nie posuwałbym się aż tak daleko.

– Proszę cię, ona nosi ze sobą naładowany pistolet. To jakaś druga Ma Baker. Powiedziała, że pistolet zniknął, ale czy to prawda?

– Dlaczego miałyby to zmyślić?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że najpierw zniknął pistolet, potem zabito naszego kota, a teraz ktoś pociął szlafrok.

– Nie sądzisz przecież... No teraz to naprawdę przesadzasz, Vev. Nie no, co racja to racja, ale naprawdę myślisz, że to Leonie zamordowała Morrisona? Niby jak?

– No z całą pewnością nie sterroryzowała go pistoletem i nie zmusiła, żeby się rzucił z drzewa. Widziałeś te małe zadrapania na jej rękach?

– To jeszcze nic nie znaczy. Przewróciła się na rowerze.

– No jasne, doskonała wymówka. Złapała Morrisona za tylne łapy i cisnęła nim o drzewo.

Philippa zatkało.

– Ja... Żeby wymyślić coś takiego... to znaczy... Naprawdę, Vev, teraz to cię

poniosło. Po pierwsze, nie jesteś w stanie nic udowodnić...

– Nie jesteśmy w sądzie, nie muszę niczego udowadniać. Wystarczy mi to, że Leonie ma skaleczenia na rękach, że kręciła się w pobliżu, kiedy Morrison zginął, i że była rano w łazience i miała okazję pociąć szlafrok.

– Po drugie, twoja teoria nie pasuje do reguły eskalacji. To nielogiczne najpierw zabijać kota, a następnego dnia ciąć szlafrok. To pierwsze jest dużo gorsze od drugiego, więc kolejność powinna być odwrotna.

Vev potarła skronie.

– Nie prosiłam cię o konsultację do rozprawy doktorskiej z psychologii. Proszę cię tylko, abys przyjął do wiadomości, że w tym domu od dwóch dni dzieją się dziwne rzeczy i że Leonie, która od dwóch dni w nim przebywa, jest w najwyższym stopniu dziwną osobą. Moim zdaniem może istnieć jakaś zależność pomiędzy tymi dwoma faktami.

Philipp zdawał się przez chwilę analizować słowa żony, po czym westchnął.

– Nie mogę po prostu wystawić jej za drzwi. Po pierwsze, poranny prom już odpłynął, po drugie, popołudniowy prom najprawdopodobniej zostanie odwołany z powodu sztormu, a po trzecie, wszystkie kwatery w Neuendorfie są o tej porze roku zajęte. Mam ją w taką pogodę wypędzić, żeby szukała schronienia w Vitte albo Kloster? Powiem ci, co zrobimy. Będziemy dla Leonie mili, wieczorem urządzimy pokaz slajdów z czasów, kiedy wspólnie działaliśmy, na strychu powinno stać całe ich pudło, a rano ta hołota wyjedzie i wszystko wróci do normy.

– A co, gdybyśmy umieścili Leonie na jedną noc u państwa Nan? Yim może spać u nas, a ona zajmie jego dawny pokój. Rodzice Yima z pewnością się zgodzą. Pani Nan dostanie małą premię i po sprawie.

– Nie zgadzam się. Po pierwsze, i tak byłaby ledwie kilka metrów stąd...

– Proszę cię, nie zniosę już ani jednego po pierwsze, po drugie i po trzecie. Doprowadzasz mnie do szału. Ktoś pociął mój szlafrok. Myślę, że to Leonie i że zrobiła to celowo, a ty w odpowiedzi proponujesz wieczorny pokaz slajdów.

– Chcę tylko... Po prostu nie chcę, żeby sąsiedzi gadali, a jeśli wystawimy gościa za drzwi, nie unikniemy plotek.

– Ależ my się kompletnie nie rozumiemy. My! Się! Kompletnie! Nie rozumiemy! To nie tak, że wyrzucasz dobrą przyjaciółkę. Ty w ogóle nie znasz tej kobiety. My ją miło i po przyjacielsku przyjęliśmy, a ona zachowuje się jak żona

dyktatora. Dlatego musi się wynieść. Jeżeli z nią nie porozmawiasz, ja to zrobię.

– Vev.

– I zrobię to przy śniadaniu.

– O Boże. Nie, ja z nią porozmawiam, ale po śniadaniu, dobrze? W cztery oczy. Wyrzucanie kogoś z domu przy świadkach byłoby pedagogiczną katastrofą i skończyłoby się olbrzymią awanturą.

Vev wywróciła oczami, ale ostatecznie dała za wygraną.

– Jak chcesz. Potem zadzwonię do państwa Nan. Przekonasz się, że postępujemy słusznie.

Cień pani Nan przesunął się naprzód i w mętym, bladożółtym świetle powędrował w ich stronę, mijając obrazy. Pani Nan była pochylona i wzrok miała skierowany ku ziemi, dlatego żadne z nich nie widziało jej twarzy. Jej ręce były skrzyżowane na piersi, a prawa dłoń kryła się pod rozpiętą kamizelką. Widać było, że coś w niej trzyma.

– Bardzo przepraszam – powiedział Timo zaniepokojonym tonem. – To, co zrobiliśmy, jest niewybaczalne. Na nasze usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że jesteśmy pod wrażeniem pani religii. Myśleliśmy...

W tym momencie pani Nan uniosła głowę, a Timo z wrażenia zamilkł. Oczy kobiety były obrzmiałe i zaczerwienione, z nosa jej ciekło, a kiedy otworzyła usta, jej wargi drżały.

– Proszę, żeby pani wyszła – powiedziała cicho, patrząc na Yasmin, po czym zwróciła się do Tima: – Chcę porozmawiać z panem na osobności.

Timo skinieniem głowy dał Yasmin znak, by opuściła szopę, i po paru sekundach zostali z panią Nan sami. Kobieta przez chwilę stała bez ruchu, jakby chciała się upewnić, że Yasmin nie wróci.

– Proszę usiąść na stołku – powiedziała. – Tak, na tym wysokim.

Timo czekał, aż pani Nan zacznie mówić. Sytuacja i miejsce, w których się znalazł, z każdą chwilą wydawały mu się coraz bardziej nierealne. To uczucie było jak stary znajomy, z którym dawno już się nie widział. Nagle wróciły mu wspomnienia sprzed piętnastu, szesnastu lat. Znów wtargnął na prywatny teren. Już wtedy takie miejsca wydawały mu się nieco nierealne. Fabryka obsługiwana przez garstkę ludzi, pełna wielkich jak trzypiętrowe domy, pracujących bez wytchnienia maszyn. Olbrzymia hala pełna zwierząt – współczesnych niewolników, którzy

nigdy nie ujrzą światła słonecznego. Terminal z trzydziestką ciężarówek, na które załadowano po dziewięćdziesiąt wołów – potężny chór stworzeń intonujących przy świetle księżyca pieśń żalobną dla siebie samych. Timo był przygotowany na okrucieństwo ukryte za piękną fasadą, ale nie mógł znieść niepokojącego piękna kryjącego się w okrucieństwie.

I oto po latach ponownie znalazł się w takim miejscu. W miejscu nierealnym, drażniącym, mrocznym i fascynującym zarazem. Znalazł się w otoczeniu obrazów przedstawiających piekło, a jednocześnie tak pięknych, że nie miałyby odwagi przyznać tego na głos. Takich jak ten, który stał na wprost niego. Na płótnie, jak okiem sięgnąć, aż po horyzont rozciągało się pole ryżowe, nad którym właśnie zachodziło czerwone słońce. Dopiero przyglądając mu się uważnie, można było zauważyć uzbrojonych w pistolety maszynowe strażników czuwających nad pracującymi chłopami. A pośród sterczących z wody roślin – ciała zabitych.

Pani Nan niespokojnie poruszała ukrytą pod bezrękawnikiem dłoń, jakby nie mogła się zdecydować, czy ją wyciągnąć czy nie. Po jakiejś minucie przemogła się, wyciągnęła spod kamizelki plik kartek i wcisnęła je Timowi do ręki.

– Proszę to przeczytać.

– Ja... nie rozumiem. Co to jest?

– Zrozumie pan. Proszę to przeczytać. Teraz.

– Jeżeli napisała pani książkę, to... nie pracuję w wydawnictwie. Nie jestem w stanie...

– Ma pan to przeczytać.

Mówiła w sposób niegrzeczny, roszczeniowy. Timo spojrzał jednak w jej zaczerwienione oczy i ustąpił.

Teksty dotyczyły Obozu nr 17, którego komendantem był „brat Viseth Nan”. Obóz założono w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, gdzieś na kambodżańskiej prowincji. Osadzono w nim nauczycieli, kupców, bankierów, artystów, drobnych przedsiębiorców, buddyjskich mnichów, chrześcijańskich kapłanów, naukowców, właścicieli ziemskich, mieszczan władających językami obcymi, monarchistów, demokratów, słowem – wszystkich, którzy obracali się w sferze pieniędzy, nauki lub duchowości. Wśród osadzonych byli również chłopci i rybacy, których reżim Pol Pota uznał za sabotażystów. Żeby zostać takim sabotażystą, wystarczyło się spóźnić do pracy albo posiadać książkę.

Więźniowie byli przykuwani do ścian lub łóżek w celach, których powierzchnia wahała się od jednego do dwóch metrów kwadratowych. Za toaletę służyło naczynie, z reguły opróżniane raz na kilka tygodni. Spali otoczeni tysiącami owadów. W sezonie zasiewu i zbiorów brat Nan wysyłał ich na pola i zmuszał do wielotygodniowej pracy po dwanaście godzin dziennie, bez żadnej przerwy. Nie wolno im było rozmawiać, jęczeć ani płakać – nawet gdy ich bito. Jeżeli mimo to płakali, bito ich ponownie. Jeżeli ktoś się załamał, strzelano do niego na miejscu, na środku pola ryżowego. W okresach, kiedy nie było pracy, wegetowali w celach. Czasami stosowano wobec nich tortury – raz po to, by zadenuncjowali innych „sabotażystów”, innym razem bez powodu. Elektrowstrząsy, miażdżenie palców, podtapianie, parzenie śluzówek kwasem, pozorowanie egzekucji na szubienicy. Aż do utraty świadomości.

Więźniowie niezdolni do pracy byli zabijani. W ten sam sposób pozbywano się nadmiaru osadzonych, gdy docierał nowy transport i wielkość ludzkiej masy przekraczała możliwości obozu. Aby oszczędzać amunicję, brat Nan wydał rozkaz, by więźniów zabijano poprzez uduszenie plastikowym workiem lub uderzeniem łopata w kark.

Tymczasem Viseth Nan gromadził wszystkie książki, które trafiały w jego ręce – do chwili gdy miał ich dość, by wznieść stos, na którym można było spalić ich właścicieli. Taki sam los spotykał ludzi, przy których znaleziono pieniądze, z tym że wtedy stos układano ze znalezionych banknotów. Viseth Nan pozostawił przy życiu dwóch rzeźbiarzy, którzy na jego rozkaz wykonywali, jeden za drugim, pomniki Brata Numer Jeden, czyli Pola Pota.

Wszystkie historie spisane przez panią Nan i wszystkie jej wspomnienia dotyczyły umierania w Obozie nr 17. Umierania, bo tam nie było życia. Umierały nie tylko ofiary, ale również ich oprawcy, każdego dnia, kawałek po kawałku. Mordując innych, zabijali samych siebie. Jedną z historii dotyczyła samego Visetha Nana i jego strachu, że nie będzie w stanie dostarczyć ilości ryżu wyznaczonej przez Brata Numer Jeden, w związku z czym zostanie uznany za sabotażystę. Co wieczór przed zaśnięciem wylewał łzy na pierś swojej żony, by następnego dnia wyjść z sąsiadującego z obozem domu i znowu skazywać na rozstrzelanie każdego, kto się odważył zapłakać. Inna historia opowiadała o pani Nan, która kochała swojego męża tak bardzo, że na początku nie wierzyła, iż ten dopuszcza się takiego

okrucieństwa. Kiedy już nie mogła się dłużej łudzić, zaczęła szukać usprawiedliwienia dla jego zachowania, a kiedy go nie znalazła, zaczęła przymykać oczy na to, co się wokół niej dzieje. I tak umierała – dzień po dniu, przez cztery lata, aż z tłących się w niej miłości i życia nie pozostało prawie nic. Gdyby nie miała syna, zastrzeliłaby najpierw swojego męża, a potem siebie.

Dziewięćdziesiąt siedem stron, dziewięćdziesiąt siedem losów, dwa miliony ludzi, dziewięćdziesiąt siedem demonów dręczących ją po dziś dzień. Ich liczba bez przerwy rosła. Co rusz pojawiał się nowy upiór, nowe wspomnienie niezdarnie wpełzało z nory, do której wpełzło kilkadziesiąt lat wcześniej. Ile takich historii miała jeszcze spisać? Tego nie wiedział nikt, nawet ona.

Timo opuścił plik kartek. Czytanie w mętym świetle zmęczyło jego oczy, zwłaszcza że od dawna nie miał w rękach niczego równie smutnego, odrażającego, wstrząsającego. Nieważne, czy można było to uznać za literaturę czy nie. To, co przeczytał, było dobrowolnym oddaniem się w ręce sprawiedliwości, opisem największych okrucieństw, do jakich zdolny jest człowiek, świadectwem klęski człowieczeństwa i głosem zadęczonych, bezimiennych ofiar. Było tym wszystkim naraz – i było nie do zniesienia.

Timo potarł oczy.

– Dlaczego dała to pani właśnie mnie? – spytał. – Dlaczego pani to w ogóle napisała? Ma pani przecież te obrazy, może pani namalować ich jeszcze tysiące. A teraz... Dlaczego?

Pani Nan przez niemal godzinę stała z twarzą zwróconą do ściany, niczym autystyczne dziecko przestępując z nogi na nogę, teraz jednak odwróciła się w stronę Tima. Wyglądała tak, jakby właśnie zrzuciła łańcuchy. Przez kilka sekund uśmiechała się z ulgą.

– To musiało zostać spisane i przeczytane – powiedziała. – Obrazy to tylko chwile, pozostawiają zbyt wiele niedopowiedzeń. A teraz wreszcie ktoś wie to, co wiem ja.

– Ale pani mąż...

– Rozmowa z moim mężem wygląda tak, jakby głuchy próbował mówić sam do siebie.

– A Yim?

– Czy potrafiłby pan powiedzieć swojemu dziecku, że jego rodzice zamordowali

tysiące ludzi?

– *Pani* ich nie zabijała.

– Niech pan da spokój, jestem tak samo winna. Na udręczone spojrzenia odpowiadałam lodowatym wzrokiem, odtrącałam dłonie, które wyciągały się ku mnie z prośbą o pomoc, bawiłam się z mordercami. To tak, jakbym sama znęcała się nad tymi ludźmi i sama ich zabijała. Po latach zaczęłam pisać wiersze, piękne, niewinne wersy o pełnej uroku Kambodży. Tamte wiersze odgrywały podobną rolę jak kwiaty, które uprawia mój mąż. Miały ukryć przed nami samymi odrażające rzeczy, jakich się dopuściliśmy. Przez dziesięć tysięcy dni nie dzieliłam się z nikim prawdą i to cud, że nie zgubiłam jej gdzieś po drodze, jak to często bywa z tym, co trudne. W tym czasie prawda ta zrobiła się tak stara i okropna, że mój syn nie chce o niej słyszeć. W sumie nie mogę mu tego mieć za złe.

Timo odczekał chwilę, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Nie powiedziała mi pani jeszcze, dlaczego postanowiła podzielić się tą tajemnicą właśnie ze mną.

– Pan pisze. I zjawił się pan tutaj, w tej szopie, dokładnie w dniu, w którym zdecydowałam się przerwać milczenie.

– Więc to był przypadek?

– To było przeznaczenie.

– Nie wierzę w przeznaczenie.

– Ale to prawda. Przez całe lata zaszywałam się tutaj, żeby nie wchodzić w drogę mężowi. Chciałam być sama. Popłakać. Aż nagle pojawiła się ta kobieta...

– Yasmin.

– Zachowywałam się cicho, bo nie chciałam, żeby mnie zobaczyła taką... zrozpaczoną. Potem wszedł pan i usłyszałam, jak mówi pan, że moja szopa zapewne jest miejscem modlitwy, konfesjonałem i że moje obrazy to lekarstwo. Wtedy coś poczułam. Nie jestem w stanie panu tego wyjaśnić. Nasze drogi skrzyżowały się nie bez powodu. Tak miało być.

Timo pokręcił głową.

– I co teraz? Co mam począć z tą pani spowiedzią?

– Tego nie wiem.

– Mam teraz zachować wszystko dla siebie? Wysłać pani tekst do gazety? Dać go Yimowi? A może oczekuje pani, że zrobię z tego książkę?

– Ja w ogóle niczego nie oczekuję. I nie mogę panu pomóc.

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, jak bardzo mnie obciąża?

Pani Nan miała przed sobą jeszcze tylko kilka godzin życia, więc uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, mógł być ostatni. Lecz uśmiech ten krył w sobie gorzką nutę.

– Któż mógłby to rozumieć lepiej niż ja?

Kiedy kilka minut później Timo pożegnał się przy drzwiach szopy z panią Nan i ruszył w stronę Domu Mgieł, ściskając w dłoniach plik kartek, nie miał pojęcia, że ktoś mu się bacznie przygląda.

Za drzewem, którego koroną targały pierwsze porywy nadciągającego sztormu, stał Viseth Nan.

Rzut kamieniem dalej, z okna swego pokoju, Yim obserwował tę samą scenę co jego ojciec.

21

Odnalazłam ich na Wittenbergplatz, w pobliżu centrum handlowego KaDeWe. Siedzieli na ułożonych w kolaż zniszczonych kocach: czterech mężczyzn, trzy kobiety i trzy psy. Choć trudno mi było sobie wyobrazić, że mogłabym usiąść wśród nich w miejscu publicznym, przez chwilę przyglądałam się, jak spędzają to gorące południe, rozmawiając ze sobą, żartując czy po prostu milcząc i drzemiąc. Z jakiegoś powodu wydało mi się to sympatyczne. Może sprawiło to zacienione miejsce, a może otaczająca tę grupkę aura totalnej wolności. Ci ludzie nie wiedzieli, co to obowiązki i co to zaniedbywanie obowiązków, nie goniły ich terminy, nie martwili się ani tym, co było wczoraj, ani tym, co będzie jutro. Kiedy zasypiali, w ich głowach nie kłębiły się myśli, wstawali bez obciążeń, a dni spędzali bez gonitwy i stresu. W każdym razie tak sobie wyobrażałam ich życie.

Nigdy nie należałam do osób, które niezależnie od tego, gdzie się znajdują, wierzą, że lepiej jest tam, gdzie ich nie ma. Miałam pracę, która stanowiła dla mnie wyzwanie, a moje artykuły podobały się czytelnikom, którzy chwalili mnie za zdolność wnikliwego analizowania faktów i empatię. Nie narzekałam na brak zleceń. Od ludzi na kocach dzieliła mnie przepaść. Naiwnością byłoby wierzyć, że ci ludzie nie mają żadnych trosk, choćby finansowych – a mimo to zdałam sobie sprawę, że marzę o tym, by przez rok nawet nie tyle prowadzić życie jak oni, ile mieć jak oni wolną głowę i lekkie serce.

Byłam w stanie zrozumieć – bez oceniania, czy było to właściwe – co przed laty zagnało Yasmin na koc rozłożony na Wittenbergplatz. Teraz jednak, ku mojemu rozczarowaniu, Yasmin tam nie było. Aby ją odnaleźć, z wielkim trudem nawiązałam kontakt z pewnym człowiekiem w policji i teraz byłam mu winna przysługę. Facet nie chciał mi co prawda dać adresu, ale jego sprytny komputer wypuł z siebie informację, że Yasmin przed laty – jeszcze przed wydarzeniami na Hiddensee – była wielokrotnie notowana przez straż miejską i policję. Raporty w większości dotyczyły odmowy przeniesienia koca i szczególnie często pojawiały

się w nich dwa nazwiska: Yasmin Germal i Jonny Hartmann. Raz wszczęto przeciwko tej dwójce dochodzenie w związku z czynnym oporem wobec funkcjonariuszy, jednak ostatecznie przeciążony innymi sprawami sąd oddalił skargę przeciwko nim, powołując się na znikomą szkodliwość społeczną czynu. Wszystkie incydenty wydarzyły się w okolicach Wittenbergplatz.

I tak oto znalazłam ludzi na kocach – tyle że nie było wśród nich Yasmin. Zastanawiałam się, czy ci ludzie w ogóle byli jej przyjaciółmi. A jeśli tak, to czy będą skłonni mi pomóc. Wykorzystałam już wszelkie dostępne mi sposoby, by wytropić Yasmin, i tutaj, na Wittenbergplatz moje poszukiwania mogły się przedwcześnie i bezowocnie zakończyć. Zastanawiałam się, co zrobić, żeby nie zmarnować tej ostatniej szansy.

Moje rozterki skończyły się w momencie, kiedy w polu widzenia pojawił się Jonny Hartmann, którego zdjęcie dostałam od wspomnianego znajomego z policji.

Jonny miał około trzydziestu pięciu lat, nosił brudne dżinsy i znoszone sportowe buty i miał fantazyjną fryzurę. Ludzie na kocu co prawda kiwnęli mu na powitanie głowami, ale odniosłam wrażenie, że nie do końca go akceptują. Usiadł dwa metry od nich, wypakował butelkę wina i osiem puszek piwa, po czym ustawił je obok siebie niczym szachowego króla w otoczeniu pionków i tak uzbrojony zabrał się do pracy. Miał dokończyć na wpół już gotowy rysunek.

– Cześć. Mam na imię Doro. – Wyciągnęłam do niego dłoń. – Dzień dobry.

– Jonny. Siemanko.

Choć ledwie minęło południe, od Jonny'ego zalaływało piwem, a jego oczy się szkliły, lecz nie wpłynęło to negatywnie na zręczność jego dłoni, bo rysował jak natchniony. Jak to często bywa w przypadku współczesnej sztuki, nie byłam w stanie zrozumieć, co przedstawia jego dzieło. Dla mnie jego praca wyglądała jak toczony stanem zapalnym, nieforemnie rozdęty organ. Była niepokojąca. W pewnym momencie pomyślałam z sarkazmem, że to może być jego własna otłuszczona wątroba.

Inne dzieła Jonny'ego, rozsiane po całym placu, były utrzymane w tym samym stylu.

– To aury – wyjaśnił Jonny, widząc moje zdezorientowanie, po czym dodał: – Aury to liczba mnoga. Liczba pojedyncza to aura.

– Jasne. Czyje to są aury?

– Ludzi, którzy dają mi pieniądze za to, że je narysuję. Za pięć euro pokażę ci twoją.

Nie byłam pewna, czy chcę, by Jonny pokazał mi moją aurę, a tym bardziej – czy chcę, by rozpościerała się ona u stóp przechodniów. Ale musiałam z nim nawiązać rozmowę i jeśli ceną za to miała być moja aura i pięć euro, to byłam w stanie się z tym pogodzić.

Włożyłam banknot pięcioletni do plastikowego kubeczka, a Jonny poprosił mnie, bym zamknęła oczy i wybrała z torebki kredę. Wyciągnęłam czarną, co uznał za zły omen. Kolejne dwa kolory, czerwony i ochrowy, wybrane już z otwartymi oczami, nieco bardziej przypadły mu do gustu.

Usiadłam na zacienionej ławce kilka kroków od Jonny’ego, on zaś od razu zabrał się ostro do pracy. Sprawiał wrażenie, jakby czytał we mnie niczym w otwartej księdze.

Dałam mu jakąś minutę, a potem powiedziałam:

– Szukam Yasmin.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, odłożył kredę, pociągnął z gwinta łyk wina, sięgnął po kredę i kontynuował pracę.

– Jesteś jej znajomą? – spytał.

– Nie.

– Gliną?

– Jestem dziennikarką.

– Gliny robią to, co robią, bo jarają się swoją władzą. Dziennikarze wykonują swoją robotę dla zwiększenia nakładu i dla pieniędzy, i to jest znacznie podłejsze.

Zostawiłam tę uwagę bez komentarza.

– To znaczy, że to pięć euro, które właśnie ci dałam, też jest podłe?

– W niesprawiedliwym świecie nie da się żyć sprawiedliwie, nawet jeśli bardzo się starasz. Człowiek automatycznie staje się częścią systemu. Tak powiedział Sartre, i miał rację.

– Studiowałeś?

– Filozofię i historię. Wiesz, kim się zostaje po studiach?

– Niech zgadnę: magistrem.

– Nieprawda. Nikim. Oszukano nas. Głupki po ekonomii dostają z miejsca pracę, a dla filozofów i historyków w świecie nakręcanym przez pieniądz nie ma miejsca.

Chyba że zdecydujesz się lizać tyłki, a i wtedy nie jest łatwo.

– Mogłabym popytać, czy ktoś nie szuka chętnych do pracy.

– Nie chcę twojej litości, jeśli to w ogóle jest litość. Prawdopodobnie po prostu próbujesz mi się podlizać, żeby mnie wypytać o Yasmin. Zapomnij o tym. To tak nie działa. Zostaw mnie w spokoju – zawołał tak głośno, że przechodnie zaczęli się za nami oglądać. – Spierdalaj. Zabieraj swoje gówniane pieniądze i zjeżdżaj, głupia krowo.

Wobec takiej agresji nawet siedzący opodal znajomi Jonny'ego pokręcili z dezaprobatą głowami. Z ich spojrzeń wywnioskowałam, że nawet oni, mimo że nie przywiązywali wielkiej wagi do subtelności, są zażenowani jego zachowaniem.

– Ty i Yasmin jesteście jeszcze parą? Czy mógłbyś jej przekazać, że chciałabym z nią porozmawiać? I kiedy mówię porozmawiać, nie mam na myśli wywiadu. Ja...

– Nie rozmawiam już z tobą. Zabieraj to i spieprzaj – powiedział i wysypał zawartość kubeczka na moją niedokończoną aureę.

Banknot i kilka srebrzystych monet wylądowało na trójkolorowej ósemce, której znaczenia nie byłam w stanie odgadnąć. Zostawiłam pieniądze i wstałam. Jonny przyssał się do butelki z winem i ciągnął z niej tak długo, że w końcu nie mogłam znieść tego widoku. Chciałam zrobić coś dla tego człowieka, pomimo tego, że mnie zaatakował, nie wiedziałam jednak, co by to mogło być.

Zrobiłam kilka kroków w kierunku ludzi siedzących na kocu, żeby również ich zapytać o Yasmin, i w tym momencie dostrzegłam kobietę w moim wieku, która przez cały czas stała w drzwiach pobliskiego sklepu ezoterycznego. Delikatnym ruchem głowy przywołała mnie do siebie.

Ulegając stereotypowemu myśleniu, wyobrażałam sobie, że osobie zajmującej się ezoteryką będzie towarzyszyć magiczna otoczka, jak w przypadku wróżki: ekstrawagancki strój, niezliczone symbole i tak dalej. Tymczasem Karin, bo tak się przedstawiła właścicielka sklepu, wyglądała zupełnie jak ja albo ktokolwiek inny. Prostota jej stroju sprawiła, że czułam się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie. Za to zupełnie inne wrażenie wywarł na mnie jej sklep. Już samo nagromadzenie dewocjonaliów jednej tylko religii byłoby dla mnie niepokojące, teraz jednak znalazłam się w miejscu, gdzie na dwudziestu metrach kwadratowych piętrzyły się przedmioty związane z pięcioma wielkimi religiami, co najmniej trzema wymarłymi kulturami, technikami leczniczymi i relaksacyjnymi, mistycyzmem

i symboliką ludów pierwotnych. I wiele innych osobliwych artefaktów. Od Montezumy do Hildegardy z Bingen.

– Nie zawsze taki był – powiedziała Karin, spoglądając na Jonny’ego, który teraz siedział na mojej aurze, bezmyślnie gapiąc się przed siebie. – Jeszcze dwa lata temu prawie nie pił alkoholu. I nie rysował aur, tylko jednorożce w lesie, w świetle księżyca. Ale wtedy rysował jeszcze razem z Yasmin.

– Oni nie są już parą?

– Właściwie nie. No, w sumie tak też nie można powiedzieć. Spotykają się jeszcze, ale nie są już tymi ludźmi co kiedyś. Zmienili się, każde na swój sposób. Yasmin się wycofała, rzadko ją teraz widuję. Czasami wpada, zamieni ze mną kilka słów, przez parę minut pogada z tymi ludźmi na zewnątrz i sobie idzie. Boli mnie, kiedy widzę ją w takim stanie. Jest taka... zubożniała, zaniedbana. Nic do niej nie dociera. Mnie jest z tym wyjątkowo źle, bo znam ją bardzo dobrze od ponad dziesięciu lat. Nigdy nie należałam do tej koczującej przed sklepem paczki, ale była jedną z moich najlepszych przyjaciółek. To dzięki niej mam ten sklep.

– Tak? W jakim sensie?

– Kiedy poprzednia właścicielka postanowiła zrezygnować z lokalu, chciałam go przejąć, ale nie miałam dwudziestu pięciu tysięcy euro odstępnego. Yasmin dała mi te pieniądze. Po prostu podarowała. To było zaledwie dwa, może trzy miesiące po... no wie pani... po tych okropnych wydarzeniach na Hiddensee.

– Yasmin podarowała pani dwa lata temu dwadzieścia pięć tysięcy euro?

Kobieta przytaknęła.

– Do dziś nie chce słyszeć o zwrocie pieniędzy.

– Skąd je miała?

– Nie wiem. Nigdy jej się nie przelewało. Jej credo to: „wyzbyć się potrzeb, zadowalać się małym”. Pracowała tylko na pół etatu, tak żeby starczyło na najpilniejsze potrzeby. Przez resztę czasu gdzieś przesiadywała, a to malowała, a to kręciła się ze swoją paczką, a to muzykowała, zajmowała się leczniczymi kamieniami, pogłębiała wiedzę ezoteryczną. Na tym polegało jej życie. I nagle... Powiedziałam jej, że powinna za te pieniądze wybrać się w jakąś długą podróż, która pozwoli jej zająć czymś myśli, może do Indii czy do Tybetu, albo na wyżyny Boliwii. Wcześniej takie miejsca ją kręciły. Mogła też odbyć jakąś terapię, iść do kliniki albo spędzić trzy miesiące w klasztorze, żeby się uporać z tym, czego

doświadczyła na Hiddensee. Ale ona tylko dała mi czek i powiedziała, że jeśli go nie chcę, to mogę go wyrzucić. No to go zrealizowałam.

– Czy ma pani adres Yasmin?

Kobieta na chwilę się zawahała.

– W pani przypadku mam dobre przeczucia, a zwykle mogę się zdać na swoją intuicję. Jest pani jednak, bądź co bądź, dziennikarką. Pani chodzi przede wszystkim o temat, nie o Yasmin.

– Myli się pani. I w gruncie rzeczy sama to pani wie, w przeciwnym razie nie opowiedziałyby mi pani aż tyle. Przyznaję, na początku to był temat, ale potem... Kiedy od zbrodni upłynie trochę czasu, zwykle zapomina się o ofiarach i mówi się już tylko o sprawcy. Tym, którzy przeżyli traumę, nie daje się prawa głosu albo się ich nie słucha. Ja mam zamiar pokazać, że ofiary po dwóch latach nadal cierpią, chcę dać im szansę się wypowiedzieć. Pewien młody człowiek, który stracił na Hiddensee matkę, powiedział mi niedawno, że nie jest w stanie mówić na ten temat, i zapewne nie jest w tym osamotniony. Ale ja chcę przemówić za niego. Może to arogancja z mojej strony, ale na własnej skórze doświadczyłam tego, jak milczenie osób dotkniętych takim czy innym nieszczęściem prowadzi do coraz większej izolacji i psychicznie wykańcza. Nawet jeśli Yasmin nic mi nie powie, to przynajmniej dam jej szansę. Kto wie, może nawet uda mi się ją wyciągnąć z tego letargu.

Karin przez dobrą minutę milczała. Można by wręcz pomyśleć, że naradzała się ze stojącym w sklepie posążkiem Buddy. W końcu wzięła do ręki długopis i zapisała adres. Miała przepiękny charakter pisma.

– Mam nadzieję, że postępuję właściwie – powiedziała. – Yasmin nie chodzi do terapeuty, nie rozmawia z przyjaciółmi... może porozmawia z panią. Kto wie, jeśli dobrze pani zacznie... Gorzej nie będzie. Zresztą robię to dla Yasmin, nie dla pani.

Żeby odwdzińczyć się Karin za jej życzliwość, kupiłam roczny zapas ręcznie zwijanych nepalskich kadzidełek oraz herbatkę ziołową o wdzięcznej nazwie Anioł Stróż, a potem wyszłam ze sklepu i pojechałam na Kreuzberg, do mieszkania Yasmin przy stacji Kottbusser Tor.

Znalezienie nazwiska Yasmin na domofonie zajęło mi dobrych kilka minut. Tabliczek było około czterdziestu, a na dodatek na wielu z nich nowi lokatorzy poprzekreślali nazwiska poprzedników i obok wpisali swoje. Kilka guzików było

wyłamanych, a przez dziury, jakie po nich pozostały, było widać wnętrzości urządzenia. Przyjaźnie nastawiona lokatorka domu pokazała mi na migi, że większość klawiszy i tak nie działa i że mam po prostu wejść.

– Germinal? – spytałam. – Gdzie znajdę Yasmin Germinal?

Moja rozmówczyni wzruszyła ramionami.

– Nie znać.

– Dziękuję.

Ostatecznie udało mi się odszukać nazwisko Yasmin – było wciśnięte pomiędzy przekreślonymi nazwiskami Bukaqi i Yildimiz. Mieszkanie znajdowało się w suterenie oficyny, jakby podwójnie zakonspirowane. W korytarzu śmierdziało stęchlizną, a kiedy zapukałam, drzwi mieszkania niemal wypadły z futryny.

Yasmin wyglądała tak, jakbym wyrwała ją ze snu, po chwili jednak zrozumiałam, że jest na haju.

– Tak?

– Cześć, nazywam się Doro. Mam twój adres od Karin. – Od razu przeszłam na ty, ponieważ z biografii Yasmin, a także obecnego jej wyglądu wywnioskowałam, że należy do osób, które potraktowałyby formę „pani” za wyraz pogardy.

– Jesteś tą uzdrowicielką dusz, która mnie bez przerwy zamęcza?

– Nie.

– Na sto procent?

– Na sto procent. Jestem dziennikarką. Ale zanim mnie wyrzucisz...

Yasmin bez słowa obróciła się i wróciła do mieszkania, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Broniłam się przed myślą, że jej stan mógłby działać na moją korzyść, ale zachowanie Yasmin zdawało się to potwierdzać. W innych okolicznościach prawdopodobnie w ogóle by mnie nie wpuściła. Kiedy przekroczyłam próg pomieszczenia stanowiącego jednocześnie salon, sypialnię i jadalnię, Yasmin leżała już na sofie. Na stoliku przed nią zauważyłam słomkę i małe lustro, a obok – w połowie opróżnioną butelkę whisky.

– Czy mogę wejść? – spytałam.

Yasmin nie odpowiedziała, więc zrobiłam krok naprzód, tylko jeden, bo potem ogarnęły mnie skrupuły. Rozejrzałam się po pokoju. Zakurzone butelki po winie służyły za świeczniki, łóżko, które właściwie składało się z samego piankowego

materaca, było niezaścielone, w wykładzinie dywanowej ziały wypalone dziury, sufit był pokryty czarnymi wykwitami, wszędzie wały się ubrania, a na adapterze niemo obracała się płyta...

Yasmin spojrzała na mnie. „Biedaczka”, pomyślałam. Żadnemu człowiekowi nie życzyłabym takiego losu i czułam się podle, że tak do niej wtargnęłam. Ale to nie ja byłam przyczyną jej cierpienia i nawet gdybym natychmiast sobie poszła, absolutnie niczego by to nie zmieniło. Karin powiedziała, że nic więcej nie mogę już popsuć. A pomóc? Miałam nadzieję, że tak. Mogłam przynajmniej opowiedzieć historię Yasmin Germinal.

Yasmin przez całe życie uciekała – trudno powiedzieć, przed czym dokładnie. Najwcześniej zaczęła uciekać przed światem, w którym się wychowała, a którego symbolem byli jej rodzice, ich pieniądze, wpływy, poważanie i pozory. Yasmin używała innej nomenklatury do opisu życia, jakie wiodła jej rodzina: chciwość, egoizm, obłuda i wewnętrzna pustka. W osiemnaste urodziny wybrała wolność, a zaraz potem zaangażowała się w walkę z wyzyskiwaczami. Jej rodziną zostali ludzie o podobnych co ona zapatrywaniach. Bez wątpienia były to najszcześliwsze chwile jej życia. Nie sądzę, żeby działała pod wpływem żądzy niszczenia czy zemsty, a jeśli nawet, to w niewielkim stopniu. Ta działalność pozwalała jej odgrodzić się od swojego pochodzenia i dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Była niezbędna do życia, jak powietrze.

Wędrówkę, którą rozpoczęła jako wojownicza Amazonka, zakończyła jednak jako wycieńczony Syzyf. Pojedyncze sukcesy na dłuższą metę nie były w stanie przysłonić tego, że mimo jej wysiłków świat nie stał się ani o krztynę sprawiedliwszy. Trudno powiedzieć, co ostatecznie doprowadziło do tego, że Yasmin porzuciła tę drogę: jakiś transport do ubojni czy pełna uchodźców łódź zatopiona w wodach Morza Śródziemnego.

Yasmin uciekła w ezoterykę i w religię. Działając w sferze duchowej, była mniej narażona na rozczarowania związane z konkretnymi problemami. Uciekała w księżycowe krajobrazy, które uwieczniała z Jonnym na bruku. Nadal żywiła niechęć wobec establishmentu, teraz jednak uzupełniła swój światopogląd na poziomie duchowym i metafizycznym. Nie chciała już tak zawzięcie zmieniać świata, tylko w pewnym sensie unosić się nad nim.

A potem było Hiddensee, i to ją pogrążyło.

Po nocnej rzezi rozpoczęła się autodestrukcja Yasmin, która sięgnęła po narkotyki – ostatnie i najstarsze na świecie schronienie udręczonych.

– Powiedziałaś, że kto cię tu przysłał?

– Karin.

– Karin jest w porządku. Ale jak zaczęła mi tu wszystko szorować, to ją wyrzuciłam. Przyszłaś sprzątać?

– Jestem dziennikarką – wyjaśniłam ponownie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Uśmiechnęłam się.

– Faktycznie. Nie przyszłam tu sprzątać. A powinnam?

– Nie pozwalaj sobie, eee... zapomniałam, jak masz na imię.

– Doro.

– Doro... Aha, to ty. Ktoś mi przepowiedział, że przyjdiesz. Yim zadzwonił do mnie dziś rano, prawie już o tym zapomniałam.

– Yim jest z tobą w kontakcie?

A mnie powiedział, że nie zna jej adresu.

– No, teraz już niezbyt często. Kilka razy tu wpadł, ale to już jakiś czas temu, w zeszłym roku albo dwa lata temu, sama już nie wiem. Wyrzuciłam go, tak jak Karin. Whisky?

– Dziękuję, nie trzeba.

– Jeżeli nie chcesz napić się ze mną whisky, to możesz od razu wyjść. Do czego to doszło!

– No dobrze.

Yasmin przyniosła dwie filiżanki i wlała do nich alkohol.

– Kiedyś nie przepadałam za tymi sikami, ale potem... To jedna z wielu pamiątek z Hiddensee. Vev bez ustanku piła whisky. No, dzwoni ci coś? Vev, Hiddensee, Dom Mgieł, nocna rzeź. No oczywiście, słyszę to dzyń, dzyń. Bo wyobraź sobie, że umiem czytać w myślach. I co wyczytałam przez kilka ostatnich minut w twoich? Och, wpuściła mnie, och, zaraz wyjawi mi coś, czego jeszcze nie wyjawiała nikomu innemu, och, tu ją mam, biedną, pijaną, zaćpaną Yasmin G., otworzyć nawias, el kropka czterdzieści, zamknąć nawias. Dzyń, dzyń, dzyń. Tak naprawdę kręcą was zabici, ci, którzy przeżyli, są zabawkami, które w końcu rzucicie w kąt. – Sięgnęła po filiżankę i chlusnęła mi whisky w twarz. – Wnocha –

wrzasnęła. – Nie, poczekaj, nie chcę być niegrzeczna. – Wylała na mnie zawartość drugiej filiżanki. – Teraz wynocha.

To, co paliło moje oczy, pozostawiało gorzki smak na ustach, kapało z włosów i brody, zmoczyło bluzkę i teraz lało się po piersiach aż na brzuch, to w rzeczywistości nie była whisky, tylko rozpacz Yasmin. Nie byłam zła, nawet przez chwilę. Nie byłam też zła na Yima, kiedy fuknął na mnie podczas naszego pierwszego spotkania. Nie byłam nawet zła na kobietę, która przed paroma laty w sądzie splunęła mi w twarz, bo nie spodobał jej się mój artykuł o uniewinnieniu mężczyzny oskarżonego o zamordowanie jej córki. Nie byłam zła na mojego ojca, który sześć lat po śmierci Benny’ego zabił się, rozpędzając samochód do stu kilometrów na godzinę i uderzając w ścianę hali fabrycznej. W liście pożegnalnym napisał, że nie ma już po co żyć. O mnie nie wspomniał w nim ani słowem.

Nigdy nie zdążyłam się na nich zezłościć, bo za każdym razem w ostatniej chwili ogarniała mnie złość na samą siebie i wyrzucałam sobie, że coś zrobiłam lub coś zaniedbałam. W takich sytuacjach zawsze sobie powtarzałam – i tylko dzięki temu byłam w stanie wykonywać ten zawód – że w rzeczywistości ci ludzie oskarżają swój los. A ponieważ nie są w stanie ogarnąć tego, co się stało, wylewają swoje zgorzknienie na dziennikarzy, władze, polityków, wszystkich tych, którzy w ich mniemaniu są narzędziami owego losu. Dlatego pozwalałam ludziom takim jak Yasmin Germain traktować mnie tak, jakbym była ucieleśnieniem złego losu i dziennikarskich podłości.

Chusteczką starłam alkohol z oczu. Kiedy już do pewnego stopnia odzyskałam wzrok, zobaczyłam, że Yasmin nadal siedzi naprzeciwko mnie. Dolała sobie whisky i złowieszczo się do niej uśmiechała.

– Byłam tam, w Domu Mgieł – powiedziałam.

Uśmiech zniknął z twarzy Yasmin. Spojrzała na mnie i od tamtej chwili nie odrywała ode mnie z oczu. Albo nagle wydałam się jej bardzo interesująca, albo wzbudziłam jej szacunek. A może wręcz wydałam się groźna.

– Widziałam obrysy kredą w miejscach, gdzie leżeli zabici. W wejściu do domu, na schodach i na górze, w pokojach. Wiedziałam z raportu, gdzie kto został zastrzelony, ale wszędzie widziałam ciało mojego brata, który zginął trzydzieści lat temu w lesie. Wtedy też poszłam na miejsce zbrodni, nie od razu, po kilku tygodniach. Wiedziałam, gdzie to było, bo często się tam razem bawiliśmy. Na

miejscu znalazłam jeszcze ślady, tabliczki, numerki, taśmę odgradzającą. I wtedy go usłyszałam. Chichotał i wołał moje imię. Lecz nagle jego głos się załamał, jakby ktoś go chwycił za gardło.

Przez chwilę milczałam, podczas gdy Yasmin przyglądała mi się bez słowa.

– Od tamtego dnia Benny jest ze mną na każdym miejscu zbrodni. Nigdy nie jestem sama. Naturalnie nie ma go tam w rzeczywistości, jest tylko w mojej głowie. Zawsze, kiedy jestem w takim miejscu czy nawet przenoszę się tam myślami, słyszę jego śmiech, potem krzyk, a potem wszystko milknie... Oprócz dźwięków towarzyszą mi korespondujące z nimi obrazy, tak jakby ktoś wyświetlał dla mnie film. Jak wszystkie filmy i ten jest fikcją, a jednak jest prawdziwy. Widzę go. W wyobraźni widzę zastrzelonych i uduszonych, widzę sekundę, w której umierają. Jest mi ciężko, bardzo ciężko, ale inaczej nie potrafię, muszę przez to przejść. Od tej historii z Bennym. Mój brat zawsze jest przy mnie. – Znowu na chwilę zamilkłam. – Byłam na Hiddensee. Widziałam obrysy zrobione kredą, widziałam Benny'ego, widziałam ciała, ten film, burzę, niepokój...

– Clarissa – szepnęła Yasmin matowym głosem i opadła na kanapę. Miała tępy wzrok, jakby w rzeczywistości patrzyła w głąb siebie. – Clarissa zniknęła.

– Clarissa zniknęła?

– Szukaliśmy jej, ja też. Tylko Leonie nie pomagała, została w domu. Wyszliśmy razem z Timem, ale na zewnątrz człowiek ledwie widział własną rękę, i go zgubiłam. A potem...

Yasmin pociągnęła łyk prosto z butelki. Zrobiła mały przeskok i zaczęła w innym miejscu.

– Kiedy wróciłam do domu, poszłam prosto do łazienki na piętrze. Zrzuciłam mokre rzeczy i wzięłam gorący prysznic. Nie wiem, ile czasu to trwało. Właśnie miałam się wycierać, kiedy usłyszałam głośny huk. Z początku myślałam, że to drzwi...

Ponownie przerwała w połowie zdania. Siedziałam cicho i z obawy, że mogę ją zdekoncentrować, nie ważyłam się nawet drgnąć. Po chwili Yasmin faktycznie wznowiła swą opowieść:

– Ale ogarnęło mnie dziwne przecucie. Nie wiem, skąd się wzięło. Ten huk był bardzo nieprzyjemny. Spojrzałam na drzwi, były zamknięte. Wyciągnęłam rękę w kierunku zasuw i w momencie gdy jej dotknęłam, rozległ się drugi huk.

Usłyszałam, że ktoś chodzi po korytarzu, i przycisnęłam ucho do drzwi. Miałam wrażenie, że ktoś stoi po drugiej stronie i robi dokładnie to samo. Potem znowu usłyszałam kroki, tym razem się oddalały. Właściwie nie wiem dlaczego, ale podeszłam do prysznica, odkręciłam go i stanęłam obok. Rozległ się trzeci huk, a zaraz potem czwarty. Nagle uświadomiłam sobie z całkowitą pewnością, że to muszą być strzały. Otworzyłam okno, deszcz uderzył mnie prosto w twarz. Na dworze było ciemno, ale sam dom był oświetlony. W dole, nieco z boku, widziałam wejście. Zewnętrzne lampy rzucały blade światło na leżące na progu ciało. Widziałam tylko nogi. I czarną spódnicę, taką, jaką nosiła pani Nan. W głowie poczułam ukłucie. Natychmiast zamknęłam okno i zsunęłam się z powrotem z parapetu na podłogę. Zaczęłam się wpatrywać w klamkę. Wyprostowałam rękę, sięgnęłam po przenośny odtwarzacz CD i włączyłam go na cały regulator. Znowu nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Myślę, że powinnam go była raczej wyłączyć, ale nie zrobiłam tego, nawet się nie poruszyłam. Klamka, a w ślad za nią całe pomieszczenie, zniknęły powoli w gorących oparach, które dobywały się spod prysznica. Głośna samba zagłuszała wszelkie inne dźwięki. Wydawało mi się, że ktoś wali w drzwi, ale nie byłam pewna. Nic nie zrobiłam. Ciekło mi z nosa. Ręcznik zsunął się ze mnie i byłam naga. Stoję i nic nie robię. Nic nie robię. Nic nie robię. Tylko samba, opary, szum wody. Nagle drzwi otwierają się z trzaskiem, a ja zaczynam krzyczeć. Muzyka, szum, dudnienie deszczu, wszystko cichnie, słyhać tylko mój krzyk. Krzyk bez końca. Yim stoi nade mną, pochyła się ku mnie i...

Yasmin ponownie zamilkła. Siedziała na kanapie w pozycji, w której być może siedziała wtedy w łazience. Lekko zgięła nogi i patrzyła w nicość. Przez moment myślałam, że zacznie krzyczeć, ale ona jedynie otworzyła usta.

W końcu wróciła do teraźniejszości i spojrzała na mnie.

– To jest *mój* film – powiedziała.

Po chwili sięgnęła między oparcie a siedzisko kanapy i wyciągnęła stamtąd woreczek z białym proszkiem. Spokojnie wysypała zawartość na lustro, uformowała zgrabną kreskę i po kilku sekundach wciągnęła ją aż do zatok.

Byłam bezradna. Siedziałam obok i nie wiedziałam, co powiedzieć czy zrobić. Nic więc nie powiedziałam i nic nie zrobiłam. Yasmin oglądała swój film każdego dnia i każdej nocy. Jej krzyk nigdy nie ucichł i nie była go w stanie zdławić ani

wlewana w siebie whisky, ani tym śnieżnobiałym, czystym i ślicznym proszkiem.

– To szaleństwo, ale przez kilka sekund to Yim był dla mnie mordercą. Mój krzyk i strach, jego twarz... w mojej głowie wszystko to zlało się w jedną całość. I nic tego nie zmieni, nawet świadomość, że to Leonie strzelała. Po wszystkim Yim z początku wpadł do mnie kilka razy. Chciał dobrze. Ale nie mogłam na niego patrzeć, nie mogłam go znieść. I go wyrzuciłam.

Z wielu powodów potrzebowałam przerwy, Yasmin zapewne też. Dlatego spytałam, gdzie mogę się umyć.

– Umyć? – Miałam wrażenie, jakby całkiem zapomniała, że wylała na mnie dwie filiżanki whisky.

Pomimo braku pomocy ze strony Yasmin, udało mi się znaleźć łazienkę. Przez kilka minut obmywałam twarz zimną wodą, a potem, ponieważ nie udało mi się znaleźć czystego ręcznika, pozwoliłam, by sama obeschła. Usiadłam w jedynym miejscu, na którym nie było brudu i kurzu – na klapie od sedesu. Chciałam uporządkować myśli, a było sporo do uporządkowania: film Yasmin i rola, którą w nim odgrywał Yim, półprawdy serwowane przez Yima, to, że Yasmin na moich oczach zażywała narkotyki, to, czego jeszcze chciałam się dowiedzieć od Yasmin, i w końcu to, że powiedziałam jej o sobie coś, czego nie mówiłam jeszcze nikomu. Musiałam tak siedzieć z piętnaście minut.

Kiedy wyszłam z łazienki, po whisky została jedynie złota smuga na dnie, choć kiedy się pojawiłam u Yasmin, butelka była jeszcze w połowie pełna. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli zrezygnuję z zadawania dalszych pytań i dam Yasmin spokój. Sumienie nie pozwalało mi jej jednak tak po prostu zostawić. Otworzyła się przede mną i wiedziałam, że jest bardzo wzburzona, nawet jeśli działanie narkotyków to kamuflowało. Jeszcze co najmniej godzinę chciałam mieć ją na oku.

– Pić mi się chce – powiedziałam.

– Chcesz whisky?

Po minie zorientowałam się, że Yasmin powiedziała to żartem.

– Dziękuję, już mi starczy. Masz tu kawę?

– Faj. Takich twardych dragów nawet nie tykam. Ale być może coś jeszcze się znajdzie. Musisz sama spojrzeć. Tylko nie narób bałaganu, dobrze?

Znowu żart. Kuchnia wyglądała jeszcze gorzej niż reszta mieszkania. W zasadzie stanowiła jedynie aneks salonu, tak wąski, że z trudem pomieściłyby się tam dwie

osoby. Pobytu w części kuchennej nie uprzyjemniały leżące tam napoczęte filety śledziowe, zaschnięty ryż na mleku i ze sto otwartych puszek. Jakimś cudem udało mi się w tym rozgardiaszu zalać sobie kawę rozpuszczalną. Nie chcąc podzielić losu Karin, oparłam się pokusie sprzątnięcia.

Yasmin nuciła piosenkę Niny Hagen. Środki odurzające wprawiły ją w chwilową euforię.

– Przecież ty po prostu chcesz mnie wypytać – krzyknęła pomiędzy dwoma zwrotkami.

– Chcę opowiedzieć całą historię – odkrzyknęłam. – Ta noc to jedynie jej środkowa część. Wciąż za mało wiem o tym, co się działo w poprzedzających ją dniach. Za mało wiem też o sprawach, które ciągną się aż do dziś. Dlatego tu jestem.

Wróciłam do pokoju, niosąc dwie kawy. Podsunęłam jedną filiżankę Yasmin, ale ona całkowicie mnie zignorowała.

– Wszyscy okropnie działaliśmy sobie na nerwy. Nie dogadywałam się z Philippem, Philipp nie dogadywał się z Timem, a z Leonie nikt się nie dogadywał. Vev i Philipp też się sprzeczali, coś tam mi się obilo o uszy. Philipp zachowywał się jak ostatni kołtun i sztywniak. Chciał nawet wyrzucić Leonie z domu. No tak, kiedy dziś o tym myślę, muszę przyznać, że wcale nie było to z jego strony takie głupie. Ale możliwe, że w ten sposób nadał bieg wypadkom, które doprowadziły do tragedii...

Yasmin wypila resztki z dna butelki, po czym sięgnęła po nową, stojącą obok kanapy. Przez chwilę bezskutecznie próbowała ją otworzyć, po czym zwróciła się do mnie:

– Spróbuj ty.

Nie czułam się komfortowo w roli kompana pijaczki i narkomanki, ale ponownie uspokoiłam nieco swoje sumienie, tłumacząc sobie, że moja obecność nie robi Yasmin żadnej różnicy. Gdybym nawet wyszła z mieszkania, piłaby dalej, a gdybym odmówiła otwarcia butelki, i tak zdołałaby jakoś się do niej dostać albo sięgnęłaby po następną. Więc otworzyłam jej whisky. Wydawało mi się, że to jedna z droższych marek, zapamiętałam nazwę i rocznik.

– Lubiłam Vev, potrafiła się Philippowi ostro odgryźć, a on wysiadał przy jej błyskotliwości. Robiła, co chciała. Typowy wolny duch. I oczywiście lubiłam

Tima. Mogłam się z nim drażnić, a on nie wpadał od razu w furję. Wspaniały kumpel. Z Timem przyjemnie było się nawet pokłócić. A Clarissa, ślicznotka, była po prostu słodka.

Mówiąc to, Yasmin pociągnęła z butelki i od tego momentu zaczęła pić w taki sposób, jakby kolejne hausty miały zastąpić znaki interpunkcyjne w jej wypowiedzi. Kilka słów, łyk z butelki, pół zdania, znowu łyk...

– Cały ten długi weekend to była od samego początku katastrofa. Ten cholerny pistolet... Kiedy tylko go zobaczyłam, od razu miałam złe przeczucia. Wysunął się Leonie z torby i do dziś pamiętam, że poczułam wtedy tę złą energię, która z niego emanowała. Wtedy... zdenerwowałam się, że nie mam ze sobą odpowiedniego kamienia, dzięki któremu mogłabym tę energię zneutralizować. – Yasmin zaczęła chichotać. – Tak jakby kamień mógł cokolwiek zmienić. Uzdrowiające moce, energie, aury, Anioły Stróże, wszystkie te głupoty. Jaki człowiek potrafi być głupi! Również religie są zwykłym mirażem, pustą obietnicą. Boga nie ma, a jeśli istnieje, to jest zboczeńcem, który onanizuje się, patrząc na ludzkie męki. – Zaśmiała się głośno na tę myśl, po czym kontynuowała swój wywód: – Przed dwoma laty miałam takiego fioła na punkcie religii, że włamałam się nawet do szopy pani Nan, w nadziei że odkryję tam prawdziwe sanktuarium.

– Byłaś w szopie? Ja też.

– No to wiesz już, że to, co znajduje się w środku, może naprawdę dobić. Jeszcze jeden zły omen. Najpierw pistolet, potem martwy kot, a na koniec te obrazy. Dookoła nas czaiła się śmierć, a my nawet się nie zorientowaliśmy. – Nagle Yasmin zamilkła.

– O co właściwie chodziło z tym zaginięciem Clarissy? – spytałam.

Yasmin powoli położyła się na kanapie, plecami do mnie. Czyżbym zadała niewłaściwe pytanie? Pytanie, które miało coś wspólnego z filmem tkwiącym w jej głowie? Przeprosiłam ją, ale nie zareagowała. Po prostu leżała skulona, z otwartymi oczami.

Przez chwilę zostałam jeszcze w jej mieszkaniu, lecz w pewnym momencie powiedziałam:

– Będę się już zbierać. Chyba że jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić.

Yasmin nie odpowiedziała, więc wstałam. Byłam już przy drzwiach, kiedy się odezwała:

– Te malowidła, obrazy pani Nan.

– Co z nimi?

– One były jak przecucie. Tak jakby biedna stara pani Nan czuła, co ją... co nas wszystkich czeka.

– Myśle – powiedziałam – że te obrazy to był jej krzyk.

Yasmin, wciąż obrócona twarzą do oparcia, przytaknęła.

– Timo powiedział wtedy coś bardzo podobnego.

– Timo też był w szopie? – zdziwiłam się.

– Tak. Pani Nan przyłapała nas i chciała porozmawiać z nim na osobności.

Ciekawe, co też ona mogła mu opowiedzieć.

Yasmin wydawała się już bardzo zmęczona, więc zamyślona otworzyłam drzwi.

– Wpadniesz jeszcze kiedyś? – spytała cicho.

Byłam zdumiona.

– Chętnie. W przyszłym tygodniu?

– Tak, byłoby super. Prawie cały czas jestem w domu. Trzymaj się.

– Ty też.

Wtedy widziałam ją po raz ostatni.

22

Wrzesień 2010 r.

– Timo...

– Leonie! Co ty robisz w taką pogodę na zewnątrz?

Deszcz ustał, ale wiatr mocno przybrał na sile. Timo szedł z szopy do Domu Mgieł, przyciskając do piersi sporządzony przez panią Nan dziewięćdziesięciosiedmiostronicowy akt oskarżenia.

– Wszędzie cię szukałam. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać, w cztery oczy. Trudno cię złapać samego.

Timo nie miał ochoty na pogaduszki z Leonie.

– Czy to mogłoby poczekać? Chciałbym się jeszcze na godzinkę położyć.

– Ale to jest naprawdę bardzo, bardzo ważne. Muszę z tobą porozmawiać. Pójdziemy do twojego pokoju czy do mojego?

Timo uważał, że Leonie jest natrętna, ale nie odważył się odprawić jej z kwitkiem. Zdecydował, że korzystniej będzie odbyć tę rozmowę w pokoju Leonie – w razie czego łatwiej byłoby z niego wyjść, niż skłonić ją, żeby opuściła jego sypialnię.

Gdy już byli w pokoju, poprosiła, by usiadł na łóżku, a on spełnił jej prośbę. Nie udało mu się jeszcze odpowiednio nastroić do rozmowy z Leonie, gdyż jego myśli krążyły cały czas pomiędzy Vev a panią Nan.

Leonie go nie oszczędziła. Przeciwnie – zalała go rwącym potokiem słów. Mówiła chaotycznie, używając całego słownika pojęć związanych z miłością, takich jak: zakochanie, fascynacja, marzenia, tęsknota, cierpienie, nadzieja, czułość, objęcia, bliskość, łzy, śmiech, zapomnienie, wspomnienia... Nie zawsze za nią nadążał. Czasami nie rozumiał, czy Leonie mówi o przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości. A mówiła bardzo szybko. Dała się ponieść i przeżywała teraz coś na kształt słownego orgazmu.

Tak naprawdę Timowi udało się zrozumieć tylko jedno: Leonie kocha go

i pożąda, zawsze go kochała i pożądała, już wtedy, piętnaście lat temu.

Samo to wystarczyłoby, żeby oniemiał. Dwa wyznania w ciągu kilku godzin to było coś, co stanowczo go przerastało. Zwłaszcza że było jeszcze jedno wyznanie, które nosił w sobie i które jeszcze tego dnia miał zamiar poczynić.

Sytuacja jednak szybko eskalowała, bo oto nagle w tym żarliwym monologu pojawiły się słowa, które świadczyły o tym, że Leonie żyje w jakimś innym świecie. W tym momencie Timo zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Leonie wychodziła z założenia, że ona i on w gruncie rzeczy stanowią już jedność i że Timo kocha ją tak samo jak ona jego. Mało tego: w czasie gdy on zastanawiał się, jak możliwie dyplomatycznie zakomunikować jej, że mija się z prawdą, Leonie samozwańczo obwołała się jego mużką. W jednej chwili przyzwała wszystkim wielkich artystów, którzy swe osiągnięcia zdawali się zawdzięczać głównie pomnażającemu ich potencjał działaniu muz – od Salvadora Dalego, przez Pabla Picassa aż po Ernesta Hemingwaya. Timo przemilczał fakt, że zarówno Hemingway, jak i Picasso wielokrotnie w swoim życiu wymieniali jedne muzy na inne.

Tak czy inaczej, znalazł się w absurdalnej sytuacji. „Co ja takiego zrobiłem?”, zapytał sam siebie. Raz jeden przytulił Leonie, po koleżeńsku, uśmiechał się do niej, pocieszał ją, podarował jej książkę... W jej oczach były to jednak dowody jego miłości. Nie mógł się wyzbyć wrażenia, że ma do czynienia z wiktoriańską pensjonarką, która wierzy, że dzieci biorą się z przyjacielskich spojrzeń wymienianych przez kobiety i mężczyzn albo z używania tej samej filiżanki.

Nie udało mu się jeszcze znaleźć odpowiedniego punktu, w którym mógłby się przebić przez mur wzniesiony z jej słów, i nie wiedział, jakiego w tym celu użyć pocisku. W tym jednak momencie, zupełnie niespodziewanie, nadciągnęła odsiecz.

Do pokoju weszła Clarissa. Stąpała wolno i niepewnie, co zupełnie nie pasowało do uśmiechu i wyrazu zdecydowania malujących się na jej buzi.

– Ciociu Leonie, wybudowałam dom z klocków Lego. Chodź zobaczyć, jest piękny i bardzo kolorowy.

Leonie kiwnęła głową.

– Przyjdę za kilka minut.

– Ale zawali się, jeśli zaraz nie przyjdiesz.

– Jeśli się zawali, to znaczy, że źle to zrobiłaś. Zbuduj go na nowo.

– Potrzebujesz garażu?

– Tak, garażu też potrzebuję.

– Pomożesz mi?

– Clarisso, muszę porozmawiać o czymś z Timem. Pójdiesz już, proszę? A ja zaraz do ciebie przyjdę.

– Nie, teraz.

Leonie zerwała się, chwyciła Clarissę i za ramię wyciągnęła ją na korytarz.

– Aua – krzyknęła dziewczynka.

– Sama jesteś sobie winna. Chcesz, żebym się zezłościła? Powiedziałam przecież, że zaraz do ciebie przyjdę. Nie dociera to do tej małej główki? – Mówiąc to, Leonie klepnęła głośno Clarissę w czoło i zatrzasnęła drzwi.

W jednej chwili się uspokoiła i usiadła na łóżku obok Tima, tym razem bliżej niż poprzednio, lecz zanim zdołała na nowo rozpocząć swój wywód, jej wybranek dał do zrozumienia, że teraz on chciałby coś powiedzieć.

Z początku potwornie się zacinał, jak silnik oldtimera, który za nic nie chce odpalić. Dopiero za czwartym czy piątym razem udało mu się sklecić jako tako zrozumiałe zdanie. Potem przez kilka chwil szło mu całkiem dobrze, ale znowu się zaciął i kontynuował z największym trudem.

Z tego chaosu w którymś momencie zaczął się jednak wyłaniać w miarę zrozumiały komunikat. Timo widział, że sens jego słów dociera do Leonie małymi partiami, a w momencie, w którym się zorientował, że Leonie zrozumiała, zamilkł i spuścił wzrok na podłogę.

Darował sobie frazesy w stylu: „To nie będzie miało żadnego wpływu na naszą przyjaźń”. Było przecież oczywiste, że ta rozmowa zmienia pomiędzy nim a Leonie wszystko – do tego stopnia, że po zakończeniu tego weekendu nigdy się już nie zobaczą. Nie przyjaźnili się, przez piętnaście lat nie mieli ze sobą kontaktu, nie było zatem żadnego powodu, dla którego mieliby do siebie dzwonić w przyszłości. Istniał natomiast powód, żeby tego *nie* robić.

– Ciociu Leonie, zobacz... – Clarissa znowu weszła do pokoju. Tym razem miała ze sobą kolorowanekę. – Poprawiłam ten dom i teraz wygląda tak.

Leonie bez żadnych oznak wewnętrznego wzburzenia porwała rysunek na kilkucentymetrowe paski.

– Czy nie mówiłam, że masz czekać? Mówiłam czy nie mówiłam? Tyle z tego

będziesz miała – powiedziała Leonie i rzuciła dziewczynce w twarz skrawki papieru, a kolorowanke cisnęła w kąt. – Wynocha stąd, ale już. – Szturchnęła dziewczynkę tak, że mała aż upadła.

Clarissa zaczęła cichutko płakać.

– Odprowadzę ją do pokoju – powiedział Timo.

– Nie. Jeszcze nie skończyliśmy.

– Myślę, że powinnaś poświęcić teraz godzinke i zastanowić się nad tym, co ci powiedziałem. Jeśli potem będziesz chciała jeszcze o tym porozmawiać... – zaproponował Timo i wyszedł. Na korytarzu wziął Clarissę w ramiona. – Leonie źle się czuje – powiedział – Jest trochę... zdezorientowana i smutna. Nie miała na myśli nic złego. Zobaczysz, potem znowu się pogodzicie.

Łzy Clarissy wciąż jednak płynęły. Timo szturchnął ją nosem.

– Słyszałem, jak tata mówi do ciebie „Dzióbku”. Czy ja też mogę cię tak nazywać?

Clarissa kiwnęła głową. Na jej twarzy nieśmiało pojawił się uśmiech, który podniósł Tima na duchu. Przez moment poczuł się jak zbawca. A przecież właśnie odegrał rolę posłańca przynoszącego hiobową wieść, a przedtem spowiednika.

Pani Nan wyszła z szopy, opuszczając miejsce, gdzie zmagala się ze swoim sumieniem. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się wolna – nie od winy, ale od jej ciężaru. Teraz, kiedy przelała swoje wspomnienia na papier, przestały być tak upiorne. Zdała się na wolę niebios i mogła wreszcie odetchnąć. Jej los – dosłownie – spoczywał w rękach kogoś innego.

Przeszła przez ogród, w którym jej mąż wiązał gladiole, żeby nadciągający sztorm ich nie połamał. Viseth Nan powiódł za nią surowym wzrokiem do chwili, kiedy schroniła się przed wiatrem w zaciszu domu. W kuchni zauważyła, że Yim pozmywał brudne garnki i patelnie. Z uznaniem pokiwała głową. „Dobry chłopak”, pomyślała i przysiadła na chwilę w pachnącej czystością kuchni.

W chwili gdy podjęła ostateczną decyzję, rozległ się dzwonek telefonu. Pani Nan spokojnie, niemal ospale podniosła słuchawkę.

Dzwoniła Vev Nachtmann. Pytała, czy jeden z ich gości mógłby spędzić ostatnią noc w pokoju Yima, który z kolei mógłby przenocować w Domu Mgieł. Pani Nan nie spytała, o którego z gości chodzi.

– Nie, przykro mi, pani Nachtmann, to niemożliwe. Nie, naprawdę nie.

Z powodów rodzinnych. To nie jest najlepszy moment. Och, Yim na pewno by się zgodził, ale jak powiedziałam, mam swoje powody. Tak, bardzo mi przykro. Miłego dnia.

Pani Nan poszła na górę i zapukała do drzwi syna.

Yim leżał z książką na łóżku. Był uosobieniem spokoju. Spojrzała na niego z miłością i dumą, ale się nie uśmiechnęła.

– Ojciec potrzebuje pomocy? – spytał Yim.

– Potrzebuje, ale nie takiej, jaką ty możesz mu zaoferować.

Słowa te wyraźnie wprawiły Yima w nerwowość. Niepotrzebnie, bo pani Nan nie chciała rozmawiać z nim o ojcu. Już wcześniej zarzuciła ten plan i postanowiła wykorzystać nagły przypływ odwagi do innych celów.

– Pójdę na chwilę do Philippa i Vev i spytam, czy nie potrzebują pomocy – powiedział Yim. – W porcie mają małą łódź, którą na pewno trzeba solidnie przycumować, a poza tym drzwi w ich ogrodzie zimowym ledwie się trzymają. Już słychać, jak wiatr nimi kłapie.

– No tak. Zaczyna się sztorm.

– To ja w takim razie idę. – Ucałował ją w policzek. – Chyba że potrzebujesz mnie tutaj.

Przez chwilę się zawahała.

– Nie, tu wszystko już jest porobione.

Kiedy Yim wkładał buty, pani Nan powiedziała:

– Zrobiłbyś coś dla mnie? Wziąłbyś to ze sobą? – Wręczyła mu torebkę, w której znajdowały się dwa pudełeczka, w jakich zwykle przynosi się w prezencie słodczy czy inne drobiazgi. – Pudełko na górze jest dla Clarissy, to są ciasteczka ryżowe, żeby łatwiej było jej przetrwać sztorm.

– To bardzo miło z twojej strony. Ucieszy się. A to drugie pudełko?

– To dla tej przedszkolanki, która jest gościem w Domu Mgieł.

– Masz na myśli Leonie. Nazywa się chyba Leonie Korn.

– Tak, chodzi mi właśnie o nią.

– To też ciasteczka ryżowe?

– Nie – powiedziała pani Nan. – To pistolet.

Wyszłam z mieszkania Yasmin i wzięłam głęboki oddech. Na ulicy panował gęsty popołudniowy ruch, ale mnie powietrze wydawało się naprawdę świeże. Ciotka Agathe stała za rogiem. W drodze do samochodu sprawdziłam na smartfonie, że whisky, którą tak chętnie piła Yasmin, bynajmniej nie jest marketowym produktem za sześć euro dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Cena alkoholu tej marki nie schodziła poniżej pięćdziesięciu euro.

Obok hojnej darowizny poczynionej dwa lata wcześniej na rzecz Karin była to już druga rzecz świadcząca o tym, że Yasmin albo dysponuje sporymi funduszami, albo ma dobrze sytuowanego mecenasa. Jak to możliwe? Czyżby pieniądze pochodziły od jej bogatej rodziny? A może istniało inne wyjaśnienie? Mogłam była zagadnąć Yasmin o tamte dwadzieścia pięć tysięcy, ale mój stosunek do rozmów na temat pieniędzy był taki jak u większości ludzi. Byłam gotowa opowiedzieć każdemu, nawet osobom, które niespecjalnie znałam, o operacji usunięcia kamieni żółciowych, o wrastających paznokciach u stóp, problemach z tarczycą i innych w najwyższym stopniu prywatnych sprawach, ale kiedy rozmowa schodziła na kwestie finansowe, wlepiałam wzrok w ziemię i zaczynałam się wyrażać wyjątkowo mgliście. Pytanie o pieniądze miałam na końcu języka, ale uznałam je za zbyt osobiste, chociaż, obiektywnie rzecz ujmując, rozmawiałam z Yasmin o sprawach zdecydowanie bardziej intymnych. Teraz byłam na siebie zła, że się powstrzymałam.

Zanim wsiadłam do samochodu, po raz pierwszy od wyjazdu z Hiddensee odsłuchałam swoją pocztę głosową. Spodziewałam się, że Yim zostawił wiadomość – może nawet kilka – jednak czekały na mnie dwie niespodzianki. Pierwsza to ta, że Yim nie dzwonił, co nieco wytrąciło mnie z równowagi, choć nie byłam w stanie pojąć dlaczego. Drugą niespodziankę stanowił fakt, że wreszcie zgłosił się Steffen Herold, były przyjaciel Leonie. Przez wiele dni uparcie nękałam go, zasypując go esemesami i nagrywając mu się na pocztę głosowej, toteż nic

dziwnego, że ton pozostawionej przez niego wiadomości był lodowaty, a nawet wrogi: „Łaskawa pani, denerwuje mnie pani. Proszę dać sobie spokój”.

Niedoczekanie! Zadzwoiłam i tym razem Steffen Herold odebrał.

– Proszę posłuchać, posuwa się pani za daleko. Nie mam nic wspólnego z tą głównianą historią. Kiedy pani wreszcie to pojmie?

Mój instynkt podpowiadał mi, że słodkim dziudzieniem nic u niego nie wskóram.

– Panie Herold, sprawa wygląda tak: jeżeli pan ze mną nie porozmawia, nie będę miała innego wyjścia, jak oprzeć mój artykuł na relacji matki Leonie.

Doświadczenie podpowiadało mi, że na tym świecie nie ma zbyt wielu ludzi, którzy chcieliby zostawić bez komentarza słowa teściowej, a już na pewno nie w odniesieniu do tak delikatnej sprawy. Zwłaszcza że Margarete Korn wypowiedziała się o swoim niedoszłym zięciu bardzo cierpko.

Najwyraźniej znalazłam jego słaby punkt.

– Muszę to przemyśleć. Skontaktuję się z panią... albo i nie – powiedział mój rozmówca i odłożył słuchawkę.

Byłam naprawdę zadowolona, że do niego zadzwoniłam. Steffen Herold stanowił brakujący element układanki. W mojej głowie właśnie powstawały pierwsze zarysy bardzo śmiałej hipotezy, która znacząco odbiegała od wersji przedstawionej przez policję. Wiele rzeczy było jeszcze niejasnych, ale po raz pierwszy w życiu miałam poczucie, że mogę wyjaśnić sprawę tajemniczej zbrodni.

Kiedy otwierałam samochód, ktoś podszedł do mnie z boku.

Yim.

– Szukałem cię – powiedział. – Pomyślałem, że będziesz u Yasmin, i widzę, że miałem nosa. Kilka razy obszedłem okolicę, a potem zobaczyłem twój samochód. Trudno go przeoczyć.

– Ach, to ty – westchnęłam ciężko. Wolałabym, żeby Yim został jeszcze jakiś czas na Hiddensee i żebyśmy spotkali się dopiero za parę tygodni, na poważną rozmowę. Ale jednocześnie cieszyłam się, że go widzę. Cholernie cieszyłam się, że go widzę i że słyszę jego głos. Kiedy zrobił krok w moją stronę, odruchowo zrobiłam to samo.

– Dlaczego za mną przyjechałeś? – spytałam.

– Początkowo nie miałem takiego zamiaru. Wiesz, urażona duma, porzucenie,

lizanie ran, przekora. Potem jednak doszedłem do wniosku, że za bardzo mnie wkurzyłaś, żebym siedział cicho. A teraz... sam nie wiem... czuję wszystko po trochu.

– Ja *ciebie* wkurzyłam? Tym, co przede mną zataiłeś, można by zapełnić całą gazetę.

– Najwyżej dodatek weekendowy.

Usta odmówiły mi posłuszeństwa i przez moment ułożyły się w szeroki uśmiech, lecz zaraz zmarszczyłam czoło.

– Daj spokój – odparłam. – Nie ma w tym nic śmiesznego. To bardzo poważna sprawa. Skłamałeś, mówiąc mi, kiedy twoi rodzice przyjechali do Niemiec. I nie próbuj mi teraz wmawiać, że to było małe kłamstewko. Dokładnie zdawałeś sobie sprawę z jego znaczenia.

– A ty? Nigdy nie kłamiesz? Nawet gdy cię pytają o rodzinne tajemnice?

– Mój ojciec zabił się, ponieważ jego syn został zamordowany, a jego żona i córka nic już dla niego nie znaczyły. Moja matka w głębi duszy obarcza mnie winą za obydwie te nieszczęścia. Jasne, nie opowiadam o tym każdemu, kogo spotkam. Ale gdyby mój ojciec był odpowiedzialny za masowe mordy, nie chowałabym głowy w piasek.

– Tego nie możesz być pewna, bo tak się składa, że nie jesteś dzieckiem człowieka odpowiedzialnego za masowe mordy. Gdyby i jeśli... Łatwo powiedzieć. Przez trzydzieści lat ojciec kojarzył mi się z ogrodnictwem, nie terrorem. Z kwiatami, rozumiesz? Prawdę poznałem dopiero dwa lata temu. Dobrze, okej, wcześniej coś podejrzewałam, nie przeczę. Ale obawiać się czegoś, a coś wiedzieć to dwie różne sprawy. Czy to jest aż takie dziwne, że człowiek nie goni za prawdą, jeśli się jej obawia?

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co powiedział.

– W jaki sposób w końcu ją poznałeś?

Do tej pory prowadzona przez nas na chodniku wymiana zdań była bardzo ożywiona. Teraz ściszyliśmy głos.

– W dzień po śmierci mojej matki wszedłem do szopy. Wystarczyła minuta i zrozumiałem wszystko.

Pokiwałam głową.

– W moim przypadku było podobnie. Myślę, że to dlatego twój ojciec

wyhodował na szopie pancierz z kwiatów. Czuł, co się dzieje w środku. Niczego nie bał się bardziej niż swojej przeszłości. I kobiety, która tę przeszłość znała.

Viseth Nan pod płaszczkiem miłośnika kwiatów skrywał swoją straszną naturę, a samymi kwiatami zasłonił rany swej żony. Trudno o bardziej wymowną symbolikę.

– Mój ojciec nie był w stanie wejść do szopy. Bał się zmierzyć z tymi obrazami. A ja... najchętniej bym je wyrzucił. Ale nie mogę wyrzucić spuścizny swej matki.

– Dobrze, że ich nie wyrzuciłeś. Chwycenie za pędzel na pewno wiele twoją matkę kosztowało. Wyobrażam sobie, że bez przerwy musiały nią targać wątpliwości, miotała się pomiędzy wyrzutami, które sobie czyniła, skrucą, lojalnością wobec swojego męża i strachem przed konsekwencjami, które mogły ją spotkać, gdyby się odważyła mówić o sprawie głośno. Potrzebowała wentyla. Najpierw były to wiersze, potem malowanie. Wszystko w ukryciu. Ale gdyby nie umarła, kto wie, co nastąpiłoby dalej.

Yim milczał, choć moim zdaniem w tej chwili milczenie nie było złotem.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie wiedziałeś, że twoja matka maluje. Musiała przecież mieć poplamione farbą ręce, buty...

– Jasne. Wiedziałem też, że zamawiała farby akrylowe. Na to potrzebne były pieniądze, a ona ich nie miała, więc dorabiała u Philippa i Vev. Ale nigdy nie mówiła mi, co maluje, a ja nigdy nie pytałem, z powodów, które właśnie ci wyjaśniłem.

– Ale też sam powiedziałeś, że znasz prawdę od dwóch lat. I co z tym zrobiłeś? Nic. I to właśnie mam ci za złe. Powinieneś był to ujawnić, jesteś to winny swojej matce.

Mówiąc to, trafiłam go w czuły punkt. Dokładniej i bardziej dotkliwie, niżbym sobie tego życzyła.

Odpowiedział drżącym głosem:

– Nie masz pojęcia, jak to jest być synem rzeźnika należącego do Czerwonych Khmerów. Jeśli to kiedykolwiek wyjdzie na jaw, stracę twarz, będę na zawsze okryty hańbą.

– Nie przesadzasz? Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem. Nikt nic ci nie może zarzucić...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – podniósł głos, wściekle przy tym

gestykulując. Nie widziałam go jeszcze w takim stanie. – W mojej kulturze to, że ktoś jest przestępcą, rzutuje na całą rodzinę. A mój ojciec był kimś o wiele gorszym niż zwykły przestępca. Nie był po prostu nic nieznaczącym pionkiem, tylko należał do pierwszej setki braci, sam mi to powiedział, kiedy dwa lata temu zmusiłem go do wyznania, co się stało. Gdyby został deportowany do Kambodży i tam stanął przed sądem, mógłbym od razu zamknąć restaurację. Połowa moich gości pochodzi z Kambodży lub Wietnamu, bez nich bym nie przetrwał. Straciłbym wszystko, co udało mi się zbudować. Wszystko, Doro! Zbankrutowałbym. A do tego mężczyzna, którego teraz najpewniej wtrąciliby do najciemniejszego lochu, był moim ojcem, wychował mnie. Siedziałem na jego kolanach, bawiłem się w jego ogródku, od niego dostałem pierwszy garnitur. To on stał obok boiska, kiedy grałem w piłkę, bez niego nie mógłbym sfinansować restauracji. Odkąd wiem, jakich okrucieństw się dopuszczał, karzę go swoją pogardą i zapewniam cię, że to go bardzo boli. Ale w żadnym wypadku nie wydam go żadnemu trybunałowi, który mógłby go skazać na śmierć. Tego nie możesz przecież ode mnie oczekiwać. – Yim stłumił swoje wzburzenie i cicho dodał: – I ciebie proszę o to samo. Nie ujawniaj tego, co odkryłaś. To tylko produkt uboczny twoich dociekań, nie ma nic wspólnego z tym, czym się zajmujesz.

Nie myślałam dotąd o tym, co może spotkać starego Nana, gdyby sprawa wyszła na jaw. Myślałam jedynie o jego niezliczonych ofiarach: zakatowanych na śmierć, rozstrzelanych, zamęczonych i powieszonych. I o tym, że Viseth Nan nie okazywał teraz z ich powodu nawet cienia skruchy. Mógł sam oddać się w ręce sprawiedliwości i prosić o wybaczenie, ale zamiast tego pozwolił sprawie pójść w zapomnienie. Czyżby i tym razem, jak zwykle, wszystko miało się kręcić wokół mordercy?

Musiałam się zmierzyć z dylematem moralnym: czy wolno odsyłać mordercę do kraju, gdzie nie obowiązują nasze standardy więzienne i gdzie najprawdopodobniej wykonuje się jeszcze karę śmierci? Czy wielokrotny morderca w ogóle może być traktowany jak osoba poczytalna, czy jest siłą rzeczy psychicznie zaburzony? A jednocześnie: czy po czterdziestu latach sprawa nie powinna zostać definitywnie zakończona? To, że tego typu refleksje się pojawiały, było uzasadnione, ale niestety zawsze sprowadzały się do morderców, nigdy do ofiar. Ofiary odgrywały rolę drugoplanową. Któż jeszcze rozmawiał o tysiącach ludzi, których zamordował

Viseth Nan? Nawet my, ja i Yim, podczas naszej kłótni nie poświęciliśmy im ani słowa.

Mimo wszystko nie zdecydowałam jeszcze, co zrobić ze swoim odkryciem. Po pierwsze, nie miałam żadnych dowodów. Obrazy pani Nan były poruszające, ale w sądzie nie miałyby żadnej wartości dowodowej. Na dodatek Viseth Nan jakiś czas temu uzyskał niemieckie obywatelstwo i niełatwo byłoby doprowadzić do jego deportacji. Po drugie, która kobieta posłałaby na szafot ojca mężczyzny, którego widziała w roli swojego kochanka, jeśli nie kogoś więcej? Nie wiedziałam jeszcze, czy nasza wspólna historia z Yimem właśnie się kończy, czy będzie mieć jakiś ciąg dalszy, ale to akurat miało dla mojej decyzji drugorzędne znaczenie. Tak czy inaczej, abstrahując od wszystkich zarzutów, jakie czyniłam Yimowi, darzyłam go silnym uczuciem i życzyłam mu jak najlepiej. Co, jeśli zapoczątkuję lawinę, która ostatecznie zaszkodzi Yimowi, a nie jego ojcu? Kiedy wyobraziłam sobie taki scenariusz, serce zaciążyło mi niczym kamień.

Postanowiłam, że jeszcze nie czas na takie decyzje.

– Być może masz rację i ta historia z twoim ojcem jest jedynie produktem ubocznym mojego śledztwa. Ale może jednak nie. Może właśnie w tym tkwi sedno.

– Nie rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że twój ojciec byłby zdolny do zastrzelenia tych kilku osób?

Yim na jakieś pół minuty dosłownie zaniemówił. Zrobił po chodniku kilka kroków tam i z powrotem, złapał się za głowę, zacisnął pięści i uderzył nimi, w ostatniej chwili hamując nieco impet, w dach mojego samochodu. Potem potrząsnął głową.

– Mówisz to, żeby mnie sprowokować? Żeby się na mnie zemścić?

– W żadnym wypadku. Ja...

– Zżera cię ambicja, o to chodzi? Chcesz zyskać rozgłos, mieć bombę na pierwszej stronie. Doro Kagel, dziennikarka śledcza, która nadaje nowy bieg sprawom spisany na straty.

– I cóż byłoby w tym złego, o ile nie ucierpiałyby na tym prawda?

– Twoje oskarżenia to kompletny absurd.

– Nikt nie widział, jak Leonie...

– Nie zaczynaj. Prokuratura powiedziała już wszystko na ten temat, a ja nie będę na ulicy rekonstruował postępowania sądowego, z tobą w roli obrońcy Leonie Korn.

– Jak chcesz. Ale niezależnie, czy to przyjmiesz do wiadomości czy nie, twój ojciec jest nie tylko królem róż z Hiddensee, ale również potworem znad Mekongu. Czy naprawdę wydaje ci się aż tak nedorzeczna myśl, że do tysięcy grobów w Kambodży mógł dołożyć jeszcze trzy w Niemczech?

– Jasne. Po prostu stwierdził, że ma ochotę zastrzelić kilka osób.

– On się bał.

– O, tak. Słynna teoria o mordercach i strachu. Prawie o niej zapomniałem.

– On odczuwał bardzo konkretny strach, że jego tajemnice mogą wyjść na światło dzienne. Dlatego zastrzelił... wróć: mógł zastrzelić twoją matkę w przyływie paniki.

– Aha, a dlaczego zastrzelił pozostałych? Skąd miał broń Leonie?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale powoli posuwam się naprzód. Broń się zgubiła, więc mógł ją gdzieś znaleźć. A może ktoś mu ją w dobrej wierze dał.

– Pistolet odnaleziono przy nieprzytomnej Leonie Korn. To ona go przywiozła i to ona oddała strzał. Myślę, że Leonie w ogóle nie zgubiła broni, wymyśliła to. Ona miała nie po kolei w głowie, wszyscy tak twierdzą.

– Leonie była krańcowo humorzasta i bardzo łatwo wpadała w gniew, a jako przedszkolanka była do niczego, to jasne. Ale to jeszcze nie czyni z niej ani wariatki, ani morderczyni. A wystarczy połączyć poszlaki...

Yim odwrócił się ode mnie i zrobił kilka kroków.

– Nie zamierzam cię dłużej słuchać.

– Akurat słuchanie od początku nie było twoją mocną stroną. Czy to możliwe, że spotykałeś się ze mną tylko po to, żeby móc wpływać na moje śledztwo? Bądź co bądź, założyłeś kłódkę na szopie, uchylałeś się od odpowiedzi na pytania dotyczące Yasmin, a przy naszym pierwszym spotkaniu wszcząłeś awanturę, żeby zakończyć wywiad. Powiedz, ale szczerze: nie sądzisz, że to trąci nieco manipulacją?

– Całkiem już fiksujesz.

– Ja tylko zadaję pytania.

– Twoje pytania są jak igły, które wbijas mi prosto w serce. Nie widzisz, że sprawiasz mi ból?

Teraz to ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Yimowi udało się uderzyć w odpowiednią strunę, użyć odpowiednich słów, by w jednej chwili pohamować moje zapędy. Bo chociaż zwykle jestem szalenie układowa, to mam brzydki zwyczaj zadawać ostre jak brzytwa pytania. Tak naprawdę wygłaszałam insynuacje, ale tak sprytnie kamuflowałam je pod postacią pytań, że zawsze mogłam stwierdzić, iż o nic nikogo nie oskarżam i tylko pytam, a to chyba nie jest zabronione.

Można toczyć boje na tezy i antytezy, opinie i kontropinie, ale insynuacja zakamuflowana w formie pytania daje przewagę podobną do czapki niewidki. Z tego względu jest chwytem bardzo wysoko cenionym przez dziennikarzy. Nie jest natomiast fair.

– Przykro mi – powiedziałam.

– To już napisałaś na kartce, którą mi zostawiłaś na Hiddensee, na wyspie, na którą ja cię zaprosiłem. Zgadza się, założyłem kłódkę, żebyś nie zobaczyła obrazów mojej matki. Wiesz, dlaczego to zrobiłem? I przemilczałem, gdzie mieszka Yasmin? Ponieważ nie chciałem, żebyś ją dręczyła. Dobrze, to możesz mi zarzucić. Ale jeśli chodzi o ciebie i o mnie... – Głos na chwilę odmówił Yimowi posłuszeństwa. – Już przy naszym pierwszym spotkaniu coś do ciebie poczułem, mimo że na początku się na ciebie wkurzyłem. Z jakiego innego powodu dzwoniłbym do ciebie w środku nocy, by cię przeprosić? A potem... Tak, chciałem spędzić z tobą kilka przyjemnych dni, żeby lepiej cię poznać... żeby się pokazać, zawalczyć o ciebie. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co czuję, kiedy mieszasz to wszystko z błotem i podejrzewasz mnie o to, że zrobiłem to wszystko po to, żeby tobą manipulować?

Yim obrócił się i odszedł tak szybko, że nie zdążyłam nawet zareagować. Kiedy zorientowałam się, co się dzieje, pobiegłam za nim, ale on był już po drugiej stronie ruchliwej ulicy i po chwili straciłam go z oczu.

– Świetnie to załatwiłaś, Doro – wyszeptałam i nagle poczułam się bardzo zmęczona. Nie było to zmęczenie fizyczne, ale psychiczne. Aż za dobrze znałam ten stan: za dużo pracy, naglące terminy, swoisty brak perspektyw i pustka, a do tego monotonna codzienność, jak w kieracie... Odkąd pracowałam nad zbrodnią z Hiddensee, było lepiej. Czułam powiew świeżości, wynikający z faktu, że po raz pierwszy zaangażowałam się we własne śledztwo, a nie tylko obserwowałam i relacjonowałam toczący się proces.

Musiałam jednak przyznać, że Yim też przyczynił się do mojego lepszego samopoczucia, i to znacząco. Choć długo starałam się tego nie dostrzegać, stał się częścią mojego życia – od tamtego wieczora, kiedy gotował dla mnie w restauracji. Nawet wtedy, gdy pośpiesznie opuszczałam Hiddensee, w głębi duszy wiedziałam, że jeszcze go zobaczę. Teraz jednak nie miałam już tej pewności. Czułam, że wrzucono mnie z powrotem do starego życia, z którym nieświadomie już się pożegnałam.

W drodze do samochodu zauważyłam, że przyszedł do mnie esemes. Nadawcą był Steffen Herold.

„Jutro przed południem, o jedenastej. Poczdam, wejście główne do Pałacu Sanssouci. Proszę być punktualnie”.

Wrzesień 2010 r.

Timo odnalazł Vev na werandzie. Ubrana w przewiewny lniany kostium siedziała przy nakrytym barowym stoliku. Zatopiona w myślach utkwiała wzrok w dali, w potężnym kłębowisku utworzonym przez chmury w kolorze oberżyny, które z wolna sunęły z północy. Lewą ręką bawiła się perłami naszyjnika, w prawej zaś trzymała szklanekę wypełnioną whisky. Timo nie mógł napatrzeć się na jej miękkie i zwiewne włosy, z którymi igrał wiatr. Kiedy wyobraził sobie, że jutro o tej porze będzie musiał opuścić i wyspę, i Vev, poczuł się, jakby ktoś nadepnął mu na klatkę piersiową.

– Hej, pani Bovary.

Vev nieznacznie się uśmiechnęła.

– Cześć, kochanku.

– Przeszkadzam?

Vev sięgnęła do schowanej pod stołem torby plażowej i wyciągnęła z niej drugą szklanekę.

– Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Ostatni piknik, te sprawy... sam wiesz. Philipp poszedł do portu, mamy tam małą łódź, nic wielkiego, ale trzeba ją solidniej przywiązać. A skoro już tam będzie, to pomoże naturalnie właścicielom innych łodzi. Philipp zawsze chętnie służy pomocą, jeśli chodzi o ochronę własności.

Timo się przysiadł. Powietrze się ochłodziło, ale nie było mu zimno, miał wręcz wrażenie, że w środku płonie.

– Widziałeś Yasmin? – spytała Vev.

– Nie, myślałem, że jest tutaj, w domu.

– Nie wróciła jeszcze ze spaceru, na który się razem wybraliście. Zamordowałaś ją?

– Jeśli tak, to już o tym zapomniałem. Yasmin interesuje mnie w tej chwili mniej

niż zeszłoroczny śnieg.

– Dobrze, zwłok poszukamy później. Kapeczkę whisky?

– Czy whisky pomaga na problemy sercowe, czy tylko pogarsza sytuację?

– Przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania bądź skonsultuj się z sercem lub wątrobą.

Nalała mu szczodrze do szklanki.

– Od kilku godzin nic nie jadłem – zwrócił uwagę Timo.

Vev ponownie sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej resztki z poprzedniego wieczora i sałatkę pomidorową.

Timo zabrał się do jedzenia, a Vev przyglądała mu się z zadowoleniem. Właściwie to jadł dlatego, że tak mu się przyglądała. Nie był głodny, ale zjadł, zapijając wszystko małymi łykami alkoholu. Zbliżający się sztorm szarpał włosy i ubrania. Timo wtrącił, że czuje się jak postać z satyrycznego rysunku Loriota, ale dowcip sprawił, że napięcie wiszące w powietrzu ustąpiło jedynie na moment.

– Czy to naprawdę nasz ostatni piknik? – spytał po drugiej szklance. – Nie chcę z ciebie rezygnować i wiem, że ty nie chcesz rezygnować ze mnie. Między nami z miejsca powstała szczególna więź – więź, jakiej nie ma pomiędzy tobą a Philippem. Rozumiemy się na płaszczyźnie, która twojemu mężowi jest zupełnie obca. Chodzi o sposób, w jaki ze sobą rozmawiamy, jak na siebie patrzymy i jak podobnie myślimy, o to, co się dzieje, kiedy się dotykamy... Znam cię zaledwie kilka dni, ale nie muszę wiedzieć o tobie nic ponad to, co już wiem. Pragnę cię, Vev, i oddaję ci się w całości. Pewnie zabrzmiało to teatralnie...

– To nie jest możliwe.

Zdanie to uderzyło go w twarz niczym silny powiew wiatru.

– Co masz na myśli? – spytał. – Co nie jest możliwe?

– To pomiędzy mną a tobą. Musimy z tym skończyć.

– Przecież nasza historia dopiero się zaczyna i...

– No właśnie. Teraz jest o wiele prościej niż w sytuacji, kiedy poznalibyśmy się lepiej.

– Ja już cię znam, dla mnie rozstanie w każdym momencie byłoby równie złe.

– Rozstanie. Dajesz się ponieść, Timo. Ja też coś do ciebie czuję, ale... Na razie mamy to jeszcze pod kontrolą. Czy ty mnie nie rozumiesz?

Timo wypił resztę whisky. Alkohol palił jego wnętrzości.

– Nie, ja... Ja *nie* rozumiem! Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego nie możemy się spotykać.

– Proszę cię, zastanów się nad tym jeszcze raz!

– Nie przychodzi mi do głowy żaden powód. Chyba że... chyba że nie byłeś ze mną szczerą tam na plaży, w Genoveva Bay.

– Byłam szczerą.

– W takim razie się zgubiłem. Wydaje ci się, że pewnego dnia przestanę cię kochać, bo będziesz zbliżać się do sześćdziesiątki, a ja będę miał czterdzieści pięć lat? Obydwoje nie jesteśmy głupi, to się może zdarzyć, podobnie jak to, że ty nie będziesz kochała już *mnie*, bo będziesz miała dość bycia z młodszym. Takich rzeczy nie da się przewidzieć i dotyczy to każdego człowieka i każdej miłości.

– To nie o to chodzi, Timo – powiedziała Vev, hojnie dolewając whisky do jego szklanki.

– Przestań już z tą whisky i powiedz mi: czy to przez Philippa? Czy ty go nadal kochasz?

Vev się zasmuciła.

– Nigdy go nie kochałam. Nigdy nie zaczęłam go kochać. Przez pewien czas myślałam, że powinnam przynajmniej spróbować, ale nawet nie pamiętam, czy się naprawdę starałam. Szczerze, sama nie wiem. Lubiłam go i wystarczało mi to, że widziałam w nim ojca mojej córki. Philipp jest dobrym ojcem. I jest człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa. Cała reszta, jego lodowate zamiłowanie do porządku, chętność, cała ta fałszywa idylla... To chore, ale nawet nie chcę go kochać.

– Tak, ale...

– Naprawdę nie rozumiesz, dlaczego z nim jestem? Mam córkę. Chciałam mieć dziecko, najbardziej na świecie. Dlatego przespałam się z Philippem, a potem za niego wyszłam. To z powodu Clarissy muszę z nim zostać. Ona kocha swojego ojca i jest do niego przywiązana. Nie ma żadnego innego powodu.

Timo czuł, że Vev jest z nim szczerą. Wiatr skłaniał do szczerości. Emily unosiła słowa i zabierała je do Polski, krajów bałtyckich, nad bezkres Rosji, po drodze rozpraszając je na najmniejsze cząsteczki, tak że nie dało się ich poskładać z powrotem. Wiedział, że Vev nie powtórzy tych słów i nikt inny już nigdy ich nie usłyszy.

Przez chwilę zastanawiał się, czy na pole bitwy nie wytoczyć opinii psychologów rodzinnych, prawników prowadzących sprawy rozwodowe, naukowców zajmujących się badaniem poczucia szczęścia. Wszystko po to, by przekonać Vev, że są tysiące lepszych rozwiązań niż wychowywanie dziecka w małżeństwie, w którym nie ma miłości. Zdał sobie jednak sprawę z tego, że poprzedniej nocy Vev rozważyła już tysiąc rozwiązań i stwierdziła, że żadne z nich nie jest dobre. Nie należała do osób, które można przekonać do czegoś za pomocą perswazji.

„Jakże cyniczni bywają bogowie”, pomyślał Timo. Godzinę wcześniej siedział jeszcze po drugiej stronie, to on odbierał innej osobie nadzieję na spełnienie pragnień. Wtedy cierpiała Leonie, teraz kolej przyszła na niego.

– Czyli jutro widzimy się ostatni raz? – zapytał.

Vev odpowiedziała dopiero po chwili.

– Tak.

– Więc byłem dla ciebie jedynie... towarzyszem zabaw?

– Wiesz, że to nie jest prawda – krzyknęła rozgniewana, szybko się jednak opanowała. – Ale to, co się zdarzyło na plaży, wydarzyło się jakby w innej rzeczywistości. Zdarzają się w życiu chwile, w których człowiek zapomina o wszystkim, nawet o tym, że ma córkę i żyje w małżeństwie... Między nami doszło do tego, do czego doszło, ale to nie zmienia faktów. Życie to nie szkolna tablica, którą można przetrzeć mokrą ścierką i zmazać z niej wszystko, co na niej do tej pory zapisano.

Potok jej słów przerwało nagle pojawienie się Yima, który wyłonił się zza rogu i wszedł na werandę.

– Cześć, Vev, cześć, Timo. Chciałem zadzwonić do drzwi, ale usłyszałem głosy. Bardzo jesteście dzielni, że tak tutaj siedzicie przy tej pogodzie. Żeby was tylko nie zwiało, tacy jesteście szczupli.

– Ten kostium jest tak obszerny, że faktycznie mógłby mnie porwać wiatr – zażartowała Vev. – Jeśli sytuacja się pogorszy, wejdziemy do domu, obiecuję. A jeśli szukasz Philippa, to jest już w porcie.

– No tak, właśnie się tam wybieram. Ale najpierw chciałbym dać coś Clarissie, ciasteczka ryżowe od mojej mamy.

Vev się uśmiechnęła.

– Podziękuj mamie ode mnie. Clarissa siedzi przed telewizorem. Uwielbia Teletubisie. Dla mnie to po prostu kolorowe ziemniaki z nozdrzami. Możesz wejść tędy, ale nie wygadaj Philippowi, że ci pozwoliłam. On ma szczególny stosunek do drzwi frontowych i wycieraczki.

Kiedy Yim znalazł się już w domu, Vev powiedziała do Tima:

– Matka Yima nie zgodziła się przyjąć Leonie. Chciałam się jej pozbyć, ale teraz to już naturalnie niemożliwe. Ciasteczka ryżowe mają stanowić zapewne rodzaj rekompensaty.

Tima nie obchodziły ani ryżowe ciasteczka, ani Teletubisie, ani nieudana próba wyrzucenia Leonie. Nawet wspomnienie spektakularnej spowiedzi pani Nan rozplątywało się w zapadających ciemnościach. Timo upijał się whisky i smutkiem.

– Jestem pomysłowy – powiedział. – Mógłbym podtrzymywać kontakt z Philippem.

Vev pokazała mu gestem, żeby mówił ciszej.

– Wtedy ty i ja... Możemy się czasem... widywać – wymamrotał. – Przynajmniej tyle. Tylko widywać, nic więcej.

– To nie byłoby mądre, Timo. Ludzie to nie planety, które krążą po stałej orbicie. Siła, która przyciąga nas ku sobie, jest zbyt duża i prędzej czy później jej ulegniemy.

– Nie, ja dam radę.

– Ale ja nie dam. A nawet gdyby się nam udało... Co nam po bliskości, której nie moglibyśmy wypełnić intymnością? Wzajemnie zadawalibyśmy sobie ból.

Timo uśmiechnął się gorzko.

– Jesteś bardzo inteligentna. Czasami aż za bardzo.

Vev dołała whisky do obu szklanek, po czym jedną z nich wcisnęła w dłoń Timowi.

– Uczynisz mnie kiedyś bohaterką jednej ze swoich powieści? – spytała.

– Możesz być tego pewna.

– Będę każdą twoją książkę przeglądać z największą uwagą.

Timo stuknął się z Vev szklaneczką. Głos coraz bardziej grzął mu w krtani, poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Postanowił rozprawić się ze łzami i ścisaniem w gardle porządnym haustem whisky. Kiedy już przełknął, poczuł ochotę jeszcze raz posmakować ust Vev. Podejrzywał, że są sami po raz ostatni i że musi to zrobić

natychmiast.

Pochylił się ku niej i dotknął wargami jej ust. Vev pozwoliła na to, a nawet odwzajemniła pocałunek. Był to jeden z tych pocałunków, które nigdy nie powinny się skończyć.

A jednak skończył się niespodziewanie szybko.

Timo poczuł na ramieniu rękę, która odciągnęła go od Vev. Upadł na deski werandy i zobaczył stojącego nad sobą Philippa.

– Jeżeli zrobisz to jeszcze raz – krzyknął Philipp – to poznasz mnie z zupełnie innej strony.

Timo wstał.

– Z jakiej – odpowiedział. – Od tyłu?

Wyprowadzony przez Philippa cios był tak potężny, że Timo przeleciał tyłem przez balustradę na łąkę. Na kilka sekund zrobiło mu się czarno przed oczyma.

Usłyszał tylko, jak Vev krzyczy:

– Zwariowałaś? To był tylko pocałunek.

– To co, mam mu być wdzięczny, że cię nie zgwałcił?

– On... on nie zmuszał mnie do tego pocałunku.

Przez trzy, cztery sekundy słychać było jedynie zawodzenie wiatru.

– Że co? – spytał Philipp.

– Dobrze zrozumiałaś.

– Masz na myśli, że... że to ty jego pocałowałaś?

– Boże! Chcesz, żebym narysowała ci schemat? Timo mnie pocałował, a ja mu na to pozwoliłam.

Philippowi opadła szczęka.

– Dałaś się pocałować temu cherlakowi? On niemal mógłby być twoim synem.

– Mimo to jest...

Vev przerwała, choć Timo, z trudem podnosząc się z ziemi, miał nadzieję, że powie „moim kochankiem”, „moją miłością” albo „moją przyszłością”. Za to przyjąłby z radością jeszcze tuzin ciosów w podbródek.

Podczas gdy Vev rozważała, kim dla niej jest Timo, usłyszeli zdenerwowane głosy, które z oddali nawoływały Philippa.

Nadeszło dwóch żywo gestykulujących mężczyzn.

– Gdzież ty się podziewasz? Potrzebujemy szybko lin. Masz jakieś? Gdzie one

są? Pospiesz się!

W obliczu trudnego wyboru pomiędzy koniecznością uwiązania łodzi a chęcią zrobienia tego z własną żoną Philipp zdecydował się na to pierwsze. Najpierw jednak postanowił zrobić porządek z Timem.

– Trzymaj się od niej z daleka – powiedział. – Jak zobaczę, że zbliżasz się do niej na długość ramienia, to tak cię rąbnę, że wylądujesz w morzu. Na co jeszcze czekasz? Spadaj stąd!

Timo wycofał się z poczuciem druzgocącej klęski. Ale co miał zrobić? Walczyć? O co i o kogo? O kobietę, która go nie chciała? Nie miał ani czego bronić, ani kogo zdobywać. A przekorę zawsze uważał za bardzo prymitywną reakcję. Przegrał, i tyle.

Obszedł dom, nie wiedząc, gdzie się udać, by lizać rany. Niewiele myśląc, poszedł na plażę i zbliżył się do wzburzonego morza. Wiatr wzmógł się tak bardzo, że ilekroć Timo wpuścił koszulkę w spodenki, kolejny podmuch ją natychmiast wyrywał. Powietrze było jeszcze suche, ale czarna ściana prawie dotarła już nad Hiddensee. Morska piana pryskała mu w twarz, ale on jej nie ścierał, bo zastępowała mu łzy, na które nie chciał sobie pozwolić.

Poszedł do rezerwatu. Płot w jednym miejscu był przewrócony. Timo czuł, że koło jego uszu przelatują drobinki piasku z wydm, lecz mimo to szedł dalej. Dotarł do zatoczki, tej samej co poprzedniego dnia, do Genoveva Bay. Zatoczka właściwie już nie istniała, zalana wodą, przykryta przez fale, zatopiona. Miał wrażenie, że Emily właśnie wymazała najpiękniejszą godzinę z jego życia.

Nigdy jeszcze nie stracił tyle, co w ciągu kilku ostatnich minut. Nigdy też stawka nie była aż tak wysoka: kobieta, nowe życie, miłość, szczęście, satysfakcja, że udało mu się coś osiągnąć, że czegoś dokonał... Vev go chwaliła. Inni wprawdzie wcześniej też to robili, przykładowo czytelnicy czy przyjaciele, ale tamte słowa nie miały nawet ułamka wartości pochwały Vev. Tamtych ludzi nie kochał. Komplement osoby, którą kochamy, jest jak szczerozłoty puchar. A Timo otrzymał od Vev dwa takie puchary: jeden jako pisarz, a drugi jako kochanek. Po tym, co mówiła, jak na niego patrzyła, jak go dotykała, potrzebował jej jak narkoman następnej działki.

Z trudem udał się w drogę powrotną. Nieśmiało spadały już pierwsze krople, ale było oczywiste, że zwiastują one oberwanie chmury. Timo wszedł przez werandę

do salonu, w którym Clarissa siedziała przed telewizorem. Postać z kreskówki najwyraźniej bardziej ją interesowała niż Timo, ponieważ nie spojrzała na niego ani razu, kiedy przechodził przez pokój.

W kuchni zaparzył sobie gorącą, mocną kawę i wypił ją, podobnie jak wcześniej whisky, małymi łyżkami. Nie czuł się pijany, choć miał za sobą trzy pełne szklanki wysokoprocentowego alkoholu.

W drodze na górę nie natknął się na nikogo. W pokoju przez chwilę nerwowo spacerował tam i z powrotem, po czym usiadł przy niewielkim biurku i zaczął się drapać zaostrozonym ołówkiem po dłoni. W miarę jak robił to coraz szybciej, ogarniała go coraz większa rozpacz. Spojrzał na dziewczęco białą kartkę i poczuł ochotę, żeby ją zbrukać, odcisnąć na niej piętno swojego cierpienia, przelać na nią historię wczorajszego dnia, aby go ocalić od zapomnienia. Oparł się jednak pokusie. Nagle fakt, że wszystkie swoje porażki i swój brak kompetencji zawsze kompensuje sobie za pomocą pisania, napełnił go odrazą.

– Żałosny mięczak – wyszeptał sam do siebie, a przed oczyma ponownie stanął mu obraz, jak pozwala pogonić się Philippowi.

Podszedł do okna i zobaczył, że Yasmin wraca do Domu Mgieł. Było już po południu, robiło się ciemno.

Leonie zawsze odczuwała pustkę jako ciężar. Większość ludzi uznałaby to za czysty nonsens. Jak coś, co nie istnieje – i nigdy nie istniało – może być dla kogoś ciężarem? Leonie zmagiała się z pustką każdego dnia – i każdego dnia fizycznie ją odczuwała. Nie w klatce piersiowej, brzuchu czy w innym konkretnym miejscu, ale na całym ciele.

Odczuwała potęgę pustki w palcach, które czasami nie miały ochoty się poruszać, czuła ją w nogach, które nie chciały chodzić, czuła ją w biciu serca, które bezsensownie odmierzało upływające sekundy. Czuła pustkę w zaciśniętym gardle, w powiekach, które przymykały się z rezygnacją i z tą samą rezygnacją się otwierały, w uszach, których czasami po prostu nienawidziła. Nienawidziła ich, kiedy słyszała dzwonek do drzwi, kiedy śmigłowiec przelatował nad jej miasteczkiem, kiedy ktoś nacisnął klakson albo dzieci, którymi miała się opiekować, robiły za dużo hałasu. Kiedyś przeczytała o ciężarze pustki w książce do fizyki. Chodziło o ciśnienie atmosferyczne. Podobno na Wenus jest tak wysokie, że w jednej chwili rozgniotłoby człowieka na papkę. Cóż za straszna ironia, że

właśnie na planecie, która nosiła imię bogini miłości, wszelkie życie zostałyby rozgniecione. Od lat odczuwała podobne ciśnienie, z tą jedną różnicą, że nie było to ciśnienie fizyczne, tylko psychiczne.

Leonie leżała bez ruchu na łóżku i przypominała sobie wszystkie lata swej męki: ciemną szopę, w której od czasu do czasu zamykał ją ojciec. Kotkę, która była jedyną jej towarzyszką w tym więzieniu i która wymykała się przez zakratowane okno, kiedy miała już dość Leonie. Nieprzyjemny uśmiech Steffena, kiedy Leonie malowała się przed wyjściem. Tima idącego wzdłuż plaży z Vev, Tima wyznającego miłość Vev na werandzie. Przez okno słyszała ich głosy, a wiatr przyniósł do niej dość strzępków rozmowy, żeby mogła poskładać ją w całość.

Timo przez cały czas ją oszukiwał, cały czas ją mamił. Nie zależało mu na niej. Czy przyglądanie się temu, jak ona go ubóstwia, sprawiało mu przyjemność? Czy śmiał się za jej plecami? Jest zakłamanym zerem i ktoś powinien mu zatkać tę jego chełpliwą gębę. A Vev? Złośliwa, podstępna i arogancka jędza. Uwiodła Tima. Leonie żałowała teraz, że rozbiła o drzewo tylko tego jednego kota.

Ostatecznie jednak sama sobie była winna. Jakże była głupia, goniąc za miłością: najpierw za miłością rodziców, potem miłością cudzych dzieci, miłością mężczyzn. Nie była w stanie zrozumieć, że ludzie mają jej do zaoferowania jedynie pogardę. Była idiotką, ale odtąd już od nikogo nie będzie oczekiwać miłości ani sama nikogo nie będzie kochać.

Bardzo powoli wyprostowała się na łóżku. Jak staruszka najpierw spuściła na podłogę jedną, a potem drugą nogę, po czym zmusiła je, by dźwignęły jej drżące ciało. Podeszła do toaletki i wyjęła z torby zapalki, tabletki przeciwbólowe i kilka papierosów.

Pani Nan znalazła się na styku żywiołów. Stała w ogrodzie boso na ziemi, a wokół niej szalał wiatr. Woda była po prostu wszędzie. Na skórze czuła krople deszczu, w jej uszach rozbrzmiewał szum morza, na przesiąkniętej do granic możliwości ziemi tworzyły się kałuże. Wszystko szumiało i pluskało, tworząc znaną jej muzykę monsunu. Kończył się dzień i z wolna zapadała noc. Nie bała się sztormu. Wręcz przeciwnie – nagle przypomniała sobie tajfuny i w cudowny sposób poczuła, jakby wróciła w rodzinne strony, do dzieciństwa. Powietrze, które przyniosła Emily, było dokładnie takie jak wtedy, a huk ledwie można było odróżnić od głosu jej tropikalnych kuzynek. To była ta sama pieśń.

Pani Nan ciaśniej owinęła się długim rozpinanym swetrem, który dawno już przesiąknął deszczową wodą, i zamknęła oczy w nadziei, że uda się jej w ten sposób powrócić do lat dzieciństwa, do lat niewinności. Zobaczyła swą nieżyjącą już matkę, jak zbliża się do niej, mówiąc: „Wejź do domu, moja mała Nian, całkiem przemokniesz. Co ty tam robisz? Łapiesz rybki w błocie? Do środka, ugotowałam ryż z warzywami”. Pani Nan zobaczyła jeszcze, jak jej matka znika w domu. Po chwili przed oczyma ukazał jej się młody Viseth. Przyjechał do wioski jako geodeta. Nieustannie się do niej uśmiechał, zabiegał o jej względy, komplementował, trzymał za rękę. W końcu ją poślubił i spędził z nią pierwszą noc. Na dachu ich domu słychać było szum monsunu. Byli szczęśliwi.

Kiedy pani Nan otworzyła oczy, Viseth stał przed nią nadal. Tym razem był starcem. W jego oczach, dawniej pełnych namiętności i obietnic przyszłego szczęścia, błyskało szaleństwo. Nie powiedział ani słowa, ale ona aż za dobrze знаła ten sadystyczny wyraz twarzy. Żeby go rozpoznać, nie musiała nawet powracać do starych wspomnień z Kambodży, z Obozu nr 17.

– Zdradziłaś mnie – powiedział.

Kiwnęła głową.

– Nie wolno ci było tego robić. To jest *moje* życie. A ty powierzyłaś je zupełnie obcej osobie.

– Twoje życie, Viseth, to jednocześnie śmierć tysięcy ludzi. To przez wzgląd na pamięć o nich powiedziałam temu młodemu mężczyźnie prawdę.

Viseth Nan omal nie pękł ze złości.

– W takim razie ja tę prawdę odzyskam. A ty idziesz do domu.

– Nie. W tym miejscu nasze drogi się rozchodzą – krzyknęła pani Nan i rzuciła się do biegu.

Biegła pośród ciemności. W swym drobnym ciele szybko poczuła zmęczenie. Czyżby słyszała kroki? Nie oglądała się za siebie. W myślach wróciła do chwili, kiedy po raz pierwszy trzymała na rękach malutkie czerwone ciało. Pogłaskała je i poczuła bicie jego serca. Yim.

To było najlepsze, co ją w życiu spotkało.

Ale to była już przeszłość. Zamierzchła przeszłość.

Steffen Herold był muskularnym mężczyzną w średnim wieku. Widać było, że zadaje sobie wiele trudu, by wyglądać młodziej. Perfekcyjna opalenizna, ufarbowane na blond, wymodelowane włosy, szerokie ramiona, obcisły T-shirt, szykowne szorty. Miał atrakcyjną twarz, którą szpecił jakiś rodzaj agresji i pozerstwa.

– Miejsmy to już za sobą – powiedział po zdawkowym przywitaniu. – Ma pani dokładnie kwadrans. Załatwiłem tu wszystko, co miałem do załatwienia, i chcę jechać do domu.

– Rozumiem. Gdzie pan mieszka?

– We Frankfurcie nad Menem. Pracuję w firmie cateringowej, która obsługuje między innymi studia filmowe w Babelsbergu. Właśnie trwają zdjęcia w parku. Czy teraz moglibyśmy przejść do rzeczy?

Wskazałam na zacienioną ławkę z widokiem na Pałac Sanssouci.

– Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli usiądziemy?

– Chciałbym, żeby było jasne – powiedział, kiedy tylko zajęliśmy miejsca. – Robię to wyłącznie po to, żeby matka Leonie nie mogła bezkarnie opowiadać swoich bredni. Ta kobieta nie ma o niczym pojęcia. Proszę pytać, ma pani jeszcze dokładnie dwanaście minut.

Spojrzałam na zegarek.

– Dobrze, zatem pan ma dwanaście minut, żeby mi poopowiadać o Leonie. Może na początek powie mi pan, jak ją poznał, co się panu w niej podobało, a co mniej, czy podczas kilku lat bycia w związku zauważył pan w Leonie coś szczególnie niepokojącego? Proszę mi też powiedzieć, jak uporał się pan z tym, co się stało na Hiddensee. I co dziś myśli pan o Leonie. Wszystko, co przyjdzie panu do głowy.

Steffen Herold niespodziewanie zaniósł się gromkim śmiechem, tak że przechadzający się po parku spacerowicze zapewne pomyśleli, iż właśnie opowiedziałam mu dowcip stulecia.

– Litości, to jest prawie tak dobre jak seks – powiedział i otarł łzę z lewego oka.

Niestety, przy okazji zahaczył o soczewkę i musiał przeprowadzić skomplikowaną procedurę, żeby włożyć ją na właściwie miejsce. Wyglądał przy tym, łagodnie rzecz ujmując, idiotycznie. Mnie zaś kosztowało to kolejną minutę z przydzielonego mi kwadransa.

– Okej – powiedział w końcu Steffen Herold. – Widzę, że nie ma pani bladego pojęcia, jak sprawy naprawdę się mają. W takim razie będę miał dla pani prawdziwą petardę. Proszę o chwilę cierpliwości, nie zawiodę pani.

Nie wiedziałam, o czym mówi, ale muszę przyznać, że mnie zaintrygował.

– Poznałem Leonie na kościelnym festynie, w namiocie piwnym. Przez przypadek siedzieliśmy obok siebie na jednej z tych długich ław. Leonie była tam z kuzynką, ja z dwoma kumplami. To było cztery lata temu, w lecie. Od razu zauważyłem, że bardzo jej się podobam, po prostu pożerała mnie wzrokiem. Przyznaję, że mi to trochę schlebiało. Potem tańczyliśmy razem i żartowaliśmy, a na koniec umówiliśmy się na następny wieczór, i tak to się zaczęło. Widywaliśmy się codziennie przez kolejne cztery czy pięć wieczorów. Leonie była super, totalnie zwariowała na moim punkcie, pisała do mnie pełne uwielbienia e-maile, nieomal hymny. Zanim się obejrzałem, zostaliśmy parą. Na początku było wspaniale, ale szybko zaczęły się pojawiać trudności. Leonie miała skomplikowany charakter... Albo nie, w ten sposób nie można tego nazwać. I na tym właśnie polega problem. Otóż nie istniało coś takiego jak charakter Leonie. Ona potrafiła być wszystkim naraz. Potrafiła być pomocna, otwarta, skryta, romantyczna, czuła, podstępna, porywcza, wściekła, współczująca... i wszystko to w ciągu jednego dnia.

– Czy mógłby mi pan podać jakiś przykład?

– Leonie bardzo lubiła dzieci. Na pewno wie pani, że była przedszkolanką. Poza tym wirtualnie adoptowała dziewczynkę w Peru i co miesiąc wysyłała jej prezenty. Ale jednocześnie, kiedy tylko jakieś dziecko weszło jej w paradę, potrafiła zachować się wobec niego bardzo agresywnie. Kiedyś dziewczynce, która wpadła na nią na ulicy, wytrąciła loda z rączki. Zachowywała się tak, jakby miała w sobie jakiś przełącznik. Kiedyś w trakcie miłej rozmowy nagle stwierdziła, że uważam, że jest brzydka czy gruba, czy odrażająca, czy co tam jeszcze. Czysty nonsens. Ważyła parę kilo za dużo, ale co z tego? Nigdy nie uważałem, że jest brzydka. Ale w takich chwilach nie było szans jej przekonać. Zauważała moje rzekomo

pogardliwe spojrzenie, a potem następowały już tylko krzyki, lament i dyskusja była skończona. To samo mogło dotyczyć dowolnego gestu czy miny, które Leonie na wyrost zinterpretowała. Na początku myślałem, że to po prostu kobieca drażliwość... wie pani zapewne, co mam na myśli.

– Wyobrażam sobie. Nawiasem mówiąc, znam aż nadto przykładów męskiej drażliwości. Kiedy zauważył pan, że w przypadku Leonie chodzi o coś więcej?

– Nie piję ani kawy, ani herbaty, w ogóle niczego, co zawiera kofeinę, to świństwo to trucizna dla organizmu. Ze względu na Leonie kupiłem jednak ekspres i mieloną kawę, chciałem, żeby czuła się u mnie dobrze. Któregoś dnia zapomniałem, że skończyła się kawa, a Leonie zarzuciła mi, że zrobiłem to specjalnie, żeby ją do siebie zrazić. Że chciałem ją w ten sposób spławić. Znowu zrobiła mi straszną scenę. Od tego momentu jedno jej szaleństwo goniło następne. Łykała ogromne ilości tabletek przeciwbólowych. Jadąc samochodem, potrafiła na mokrej od deszczu wiejskiej drodze rozpędzić się do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, i to w nocy. Ja też lubię szybko jeździć, ale to... Raz mówiła o swojej matce dobrze, innym razem źle, nawet bardzo. Bez wyraźnego powodu zaczynała płakać. Próbowала wśród moich znajomych knuć intrygi przeciwko kobiecie, którą podejrzewała o to, że jest na mnie napalona, co było skądinąd absurdalnym przypuszczeniem. Ale najgorsze było to, że się okaleczała. Kiedy o tym pomyślę, jeszcze dziś cierpnie mi skóra.

– Co dokładnie robiła? – dopytałam z zainteresowaniem.

– Czasami kłuła się albo drapała skórę. Przyłapałem ją na tym dwa razy. Raz, kiedy mocno przeciągała kluczem po skórze brzucha, drugi raz z agrafką. Kiedy spytałem ją, dlaczego sobie to robi, nic nie odpowiedziała. Oczywiście okaleczała się znacznie częściej. Widziałem przecież jej zasklepione rany, kiedy ze sobą spaliśmy. Powiem wprost: to było obrzydliwe. Poradziłem jej, aby udała się do psychiatry. Ale jeśli mam być szczerzy, już wtedy postanowiłem z nią zerwać. Czekałem tylko na właściwy moment.

– Czy rozmawiał pan o tym z matką Leonie?

– Skądże. Ta kobieta była kompletnie bezradna i zagubiona. Dwukrotnie zaprosiła mnie i Leonie na obiad, to mi wystarczyło. Z uśmiechem pozwalała Leonie na wszystko, na każdą podłość.

W duchu niechętnie przyznałam się sama przed sobą, że niewłaściwie oceniłam

sytuację i że Leonie była bardziej psychicznie rozstrojona, niż zakładałam. Tego, o czym opowiadał jej były przyjaciel, nie dało się już wyjaśnić zwykłym wahaniem nastroju. Oczywiście przez chwilę rozważałam, czy istnieje możliwość, że Steffen Herold w niektórych kwestiach kłamie, na przykład mówiąc o ranach Leonie. Czy to możliwe, że to on bił swoją przyjaciółkę i w ten sposób przyczynił się do pogorszenia jej stanu psychicznego? Lekarz prowadzący Leonie w klinice w Bad Homburg wspominał jednak o małych, świeżych przypaleniach na piersiach kobiety, za które nie mógłby odpowiadać Steffen Herold. To by świadczyło, że mówił prawdę.

Wysłałam z założenia, że petardą, którą mi obiecał, było samookaleczenie. Ale się myliłam.

– Czyli kiedy Leonie wyjechała na Hiddensee, wciąż szukał pan odpowiedniego momentu, żeby z nią zerwać? Czy na krótko przed wyjazdem pokłócił się pan z nią? Czy wiedział pan o pistolecie?

Steffen uśmiechnął się sarkastycznie.

– Źle mnie pani rozumiała. Powiedziałem, że szukałem odpowiedniego momentu, żeby zerwać.

– Właśnie tak to rozumiałam.

– Ale ja ten moment znalazłem.

Potrzebowałam chwili, żeby przyswoić te słowa.

– To oznacza, że nie był już pan jej partnerem, kiedy pojechała na Hiddensee?

– Proszę pani, byłem związany z Leonie całe cztery miesiące. Cztery miesiące – powtórzył. – Zerwałem z nią tuż przed Bożym Narodzeniem dwa tysiące ósmego roku. Prawie dwa lata przed tym, jak wpadła w amok na Hiddensee.

Steffen Herold opowiedział mi, jak pewnego wieczora Leonie dostała ataku furii. Siedzieli z przyjaciółmi w knajpie i ktoś rzucił jakąś uwagę, która nie przypadła Leonie do gustu. Zrzuciła na podłogę wszystkie szklanki i wybiegła z lokalu. Steffen zerwał z nią jeszcze tego samego wieczora. Tak w każdym razie mu się wydawało.

Od tej chwili Leonie dzwoniła do niego po dziesięć razy dziennie. Albo i częściej. Robiła to dzień w dzień, przez całe tygodnie, a potem miesiące. Prosiła o drugą szansę. Steffen pozostał nieugięty, lecz ona nigdy się z tym nie pogodziła. W którymś momencie przestał odbierać od niej telefony. Ale wiadomości, które mu

nagrywała, nie wykasował, na wypadek gdyby kiedyś był zmuszony pozbyć się stalkerki z pomocą sądu.

Steffen Herold wyszukał na komórce jakiś numer i wybrał opcję odtwarzania wiadomości, a potem podał mi aparat, bym mogła posłuchać.

20 stycznia 2009, godzina 17.34: „Cześć, Steffen, skarbie, powinniśmy koniecznie porozmawiać. Wpadnij do mnie, zrobię dla nas poncz, zawsze go lubiłeś”.

20 stycznia 2009, godzina 18.21: „Steffen, muszę wiedzieć, czy przyjdiesz, muszę przygotować poncz”.

20 stycznia 2009, godzina 19.56: „Gdzie ty się podziewasz? Poncz jest już gotowy”.

20 stycznia 2009, godzina 20.27: „Ty podły skurwysynu, ty to naprawdę jesteś podły. Ty gnoju”.

Każdego dnia powtarzało się to samo. To gotowała dla niego jego ulubioną potrawę, to umawiała się z nim na spacer, to zapraszała go na urodziny. Nigdy jednak nie doszło między nimi do bezpośredniego kontaktu. Ich ostatnia prawdziwa rozmowa telefoniczna odbyła się pod koniec grudnia dwa tysiące ósmego roku. Potem Herold już nigdy nie odebrał i pozwalał tylko wiadomościom gromadzić się na poczcie głosowej. To jednak nie przeszkadzało Leonie regularnie go błagać, wyklinać, grozić mu, zapraszać go, cofać zaproszenia czy też go komplementować... Bywało, że nagrywała się przez dziesięć minut z rzędu. Z czasem telefony stały się coraz rzadsze, ale nie było dnia, żeby nie próbowała nawiązać kontaktu. Zmienił numer telefonu, ale podstępem udało jej się ustalić nowy.

W marcu dwa tysiące dziewiątego roku Leonie obiecała Heroldowi, że zrobi dla niego szal w jego ulubionym, niebieskim kolorze, a we wrześniu tego samego roku szal był gotowy. Nagle pojawiła się przed jego mieszkaniem, pierwszy raz od zerwania, czyli od dziewięciu miesięcy. Herold zrobił dokładnie to, co ktoś doradzał na forum internetowym o stalkingu. Przeszedł obok niej bez słowa, nie patrząc na nią i nie zwracając uwagi na to, co mówiła. Przez godzinę stała pod drzwiami i dzwoniła dzwonkiem, jakby się paliło. W końcu sąsiedzi przepędzili ją z budynku. Następnego ranka torebka z szalem leżała przed jego drzwiami.

Potem zrobiła mu na drutach ciepłe skarpety, powłoczki na poduszkę,

rękawiczki, ocieplacz na dzbanek. Wciskała je do skrzynki na listy lub wieszała na klamce. Raz udało jej się dopaść Steffena w pracy. Nadal dzwoniła, teraz jednak zmienił się charakter jej telefonów. Zaczęła opowiadać mu o wszystkim, co jej się przytrafiło w ciągu dnia: dzisiaj robiłam to czy kupiłam tamto, spotkałam tę czy tamtego, zupełnie jakby nadal byli parą i po prostu nie udało jej się do niego dodzwonić.

24 listopada 2009 roku: „Cześć, szkoda, że nie zdołałam się do ciebie dodzwonić. Byłam dzisiaj w biurze podróży i wzięłam stos katalogów o Karaibach. Musimy je przejrzeć. Szczególnie podoba mi się jeden hotel na Grenadzie, ale nie chcę ci psuć niespodzianki”.

8 grudnia 2009 roku: „Dzisiaj wieczorem robimy w przedszkolu wigilię. Zadzwoń do ciebie jutro rano i wszystko ci opowiem”.

Steffen Herold nigdy nie złożył doniesienia, ale z jego słów wynikało, że wielokrotnie był tego bliski. Wiadomości na skrzynce zachował jedynie na wypadek, gdyby sytuacja nadal eskalowała. Odniosłam wrażenie, że jego męskie ego nie zniosłoby świadomości, iż pokonała go zbzikowana kobieta i – być może – jakaś policjantka (znowu kobieta!) musiałaby wyciągać go z tarapatów. Prawdopodobnie z tego samego powodu nie zaangażował w sprawę Margarete Korn, o której, tak czy inaczej, miał nie najlepsze zdanie. Nie wiedział – choć zapewne to podejrzewał – że Leonie nie powiedziała ani matce, ani koleżankom, ani w ogóle nikomu o tym, że z nią zerwał. Szale, rękawiczki i ocieplacze na dzbanek robiła na drutach nie Leonie, ale jej matka, wierząc, że sprawi przyjemność przyszłemu zięciowi.

Wszystko, co powiedział mi Steffen Herold, było bardzo przygnębiające. Najbardziej jednak wstrząsnęły mną ostatnie wiadomości, nagrywane przez Leonie od poranka w dniu jej wyjazdu na Hiddensee aż do piątego września. Ostatnią zostawiła o dwudziestej trzeciej jedenastej, czyli równą godzinę przed strzelaniną.

„Steffen, proszę, przyjedź i zabierz mnie stąd. Musisz mi pomóc. Proszę, proszę, potrzebuję cię. Wszystko się tu posypało. Mój Boże, to tak boli. Wszystko tak bardzo boli. Proszę, proszę, proszę, Steffen...”

„Steffen, Steffen. Proszę cię, tylko ten jeden raz, pomóż mi. Ten sztorm... Tam była jakaś twarz, w ciemności. Podnieś słuchawkę. Wiem, że tam jesteś. Podejdź do telefonu. Tu... coś się dzieje. Clarissa zniknęła. Wszyscy są na zewnątrz,

daleko. Słyszę kroki. Steffen, ja umrę. Słyszysz mnie? Umrę...”

Wrzesień 2010 r.

Leonie zapaliła papierosa i usiadła przy toalecie. Powoli rozpięła i zdjęła bluzkę, potem to samo zrobiła z biustonoszem. Miała obfity biust, lecz mimo to jej piersi były jędrne. Biust to była jedyna część jej ciała, która zawsze jej się podobała.

Spoglądając w lustro, jednostajnym, spokojnym ruchem przybliżyła papieros do piersi. Naturalnie mogła po prostu spojrzeć w dół i skupić wzrok bezpośrednio na skórze i papierosie, wybrała jednak drogę pośrednią.

Skwierczenie.

Ból przeszył jej ciało, a po chwili dołączyły do niego inne katusze: wspomnienie ciemnej szopy na narzędzia, w której była zamykana jako dziecko, milczenie jej matki, strach, kiedy była sama, i strach, kiedy ktoś był obok. W ciągu tej sekundy, gdy papieros skwierczał na jej piersi, cierpienie z przeszłości mieszało się z bólem, który odczuwała teraz.

A potem poczuła szczęście. Trwało krótko i można było je porównać do szczęścia, jakie odczuwa się po udanej ucieczce. Albo do szczęścia, które czuje człowiek jadący autostradą z prędkością dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Punkt obok lewej brodawki zaczął się czerwienić. Leonie wiedziała, że za chwilę skóra zrobi się nabrzmiąta i w miejscu oparzenia powstanie wypełniony płynem limfatycznym pęcherz.

Połknęła tabletkę przeciwbólową, a potem sięgnęła po telefon i wybrała jedynekę. Ponownie zapaliła papierosa i powtórzyła procedurę, tym razem przypalając prawą pierś. Otworzyła usta, ale nie dobył się z nich krzyk. Kilka sekund później nagrała wiadomość.

„Steffen, proszę, przyjedź i zabierz mnie stąd. Musisz mi pomóc. Proszę, proszę, potrzebuję cię. Wszystko się tu posypało. Mój Boże, to tak boli. Wszystko tak bardzo boli. Proszę, proszę, proszę, Steffen...”

Zakończyła połączenie, połknęła drugą tabletkę, otarła łzy z brody, jeszcze raz zapaliła papierosa i przyłożyła go do mostka. Skwierczenie. Otworzyła usta.

Nagle drzwi pokoju otworzyły się i wpadła przez nie Yasmin. Zobaczyła wszystko: papierosa i rany. Yasmin również otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku.

Leonie pośpiesznie zaczęła zapinać guziki bluzki.

– Czego ty znowu chcesz?

Yasmin szukała właściwych słów.

– Ja... Szukam... Widziałaś Clarissę? Zniknęła.

Kiedy Timo wszedł do salonu, byli w nim już wszyscy oprócz Vev. Włosy Philippa i koszula, którą niedawno założył, były wilgotne, ponieważ w poszukiwaniu córki obszedł werandę i najbliższe otoczenie domu. Timo i Yasmin przeszukali wszystkie szafy i zajrzeli pod każde łóżko na piętrze. Leonie pozostawała bierna.

Sztorm z wściekłością uderzał w okna, wył i ciskał deszczem o szyby niczym tysiącem małych igieł. W tle był włączony telewizor, nie odbierał już jednak żadnego sygnału.

– Kto ostatnio widział Clarissę? – spytał Philipp. W jego głosie było słychać napięcie i zdenerwowanie, ale nie była to panika.

– Ja, dzisiaj po południu – odpowiedział Timo. – Pocieszałem ją.

– Pocieszałeś? Była smutna?

Timo starał się nie spoglądać na Leonie, ale czuł na karku jej wzrok.

– Yhm. Trochę.

– Dlaczego? Co się stało?

– To przecież nie jest teraz ważne, prawda?

– To ja jestem jej ojcem i ja decyduję, co jest ważne. Odpowiadaj. Co się stało?

– Clarissa była rozczarowana, bo Leonie nie chciała się z nią bawić i przy tym trochę... no dobrze, straciła cierpliwość. Potem Clarissa siedziała przed telewizorem, przynajmniej tak mi się wydawało. Nie widziałem jej, ale był puszczony kanał z bajkami. To było wtedy – Timo z powagą spojrzał na Philippa – kiedy siedziałem z Vev na werandzie.

Philipp wytrzymał spojrzenie Tima.

– A potem?

– Poszedłem na plażę, a potem prosto do mojego pokoju. Nie widziałem małej

ani jej nie słyszałem.

– Kiedy ja przyszłam do domu – wtrąciła Yasmin – pamiętam, że w telewizji wciąż leciały bajki. Było koło czwartej, może kwadrans po.

– Wtedy byłem jeszcze w porcie – powiedział Philipp. – Rozmawiałaś z nią?

– Nie, nie wchodziłam do salonu, tylko od razu poszłam do swojego pokoju. Długo spacerowałam i dość mocno mnie przewiało.

– Myślę, że raczej się upaliłaś i byłaś kompletnie naćpana. Aż tutaj czuję haszysz.

Yasmin chciała coś odpowiedzieć, ale w pokoju pojawiła się Vev.

– Clarissy nie ma ani w pralni, ani na strychu – powiedziała. Na jej twarzy malował się strach, którego, w przeciwieństwie do Philippa, nie próbowała ukryć.

– Clarissa nie mogła być w pralni – powiedział Philipp. – Drzwi były zamknięte od zewnątrz. To byłoby nielogiczne...

Vev przerwała mu w połowie zdania.

– Gównu mnie obchodzi twoja logika w tym momencie. Szukam mojej córki wszędzie, słyszysz? Wszędzie! Czy sprawdziliście już we wszystkich szafach?

Wszyscy oprócz Leonie przytaknęli.

– Pod łózkami też? W kabinach prysznicowych?

Ponownie wszyscy z wyjątkiem Leonie kiwnęli głowami.

– Dzwoniłeś do Yima?

– Dlaczego do Yima? – spytał Philipp.

– Wpadł na chwilę, żeby przynieść Clarissie ciasteczka. – Vev nagle zakryła twarz dłońmi i załkała. – Gdybym tylko nie poszła do oranżerii! Gdybym tylko miała na nią oko. Słyszałam telewizor i myślałam, że wszystko jest w porządku. Kto wie, może wtedy już jej nie było. O mój Boże.

Twarz Philippa zrobiła się czerwona. Zaciśnął usta, próbując się powstrzymać, ale w końcu nie udało mu się i wycedził:

– Myślami musiałaś być przy kimś zupełnie innym.

W tym momencie Timo najchętniej przywaliłby Philippowi. Nie mógł znieść rozpaczycy swej ukochanej. Pomyślał, że Vev po raz drugi w ciągu kilku dni jest na granicy załamania nerwowego. Za pierwszym razem zniknęła broń, teraz nie było Clarissy. Yasmin i Philipp mieli wymalowaną na twarzach tę samą myśl, ale żadne z nich nie chciało otwarcie wiązać tych dwóch spraw. Każde chowało swe myśli

dla siebie, jakby chodziło o jakiś wstydlivy rodzinny sekret.

Zgromadzeni w pokoju wzajemnie wodzili po sobie wzrokiem. Wszyscy nagle zrozumieli powagę sytuacji. Pięcioletnia dziewczynka była na zewnątrz.

– W porządku – powiedział Philipp tonem dowódcy oddziału zwiadowczego. – Ja sprawdzę zachodnią część plaży i wydm, Vev obleci domy sąsiadów, a potem będzie szukać na plaży na wschodzie. Timo i Yasmin, wy sprawdźcie drogę w stronę Vitte i przeszukajcie zarośla. Clarissa z pewnością zabłądziła i poszukała sobie gdzieś schronienia, trzeba ją tylko znaleźć.

Ostatnie zdanie było zaklęciem, którego nie wolno było podawać w wątpliwość. I którego nikt też w wątpliwość podawać nie chciał.

– Leonie, ty zostajesz tutaj. Jedno z nas musi być w domu, na wypadek gdyby Clarissa wróciła lub gdyby ktoś zadzwonił. I zadzwoń, proszę, do pani Nan, wystarczy nacisnąć dziewiątkę. Zrozumiałaś? Leonie, słuchałaś mnie?

Twarz Leonie się spięła.

– Tak.

Ubrali się tak, by możliwie najlepiej uchronić się przez wodą i wiatrem. Yasmin i Timo nie mieli ze sobą na Hiddensee kurtek i wysokich butów, w związku z czym skorzystali z zasobów Philippa i Vev. Kurtki były na nich zbyt duże, buty też nie leżały jak ulał, ale to musiało wystarczyć. Ubierając się, odzywali się do siebie jedynie, gdy było to naprawdę konieczne. Od czasu do czasu padało pojedyncze „tu”, „tam”, „tak” lub „nie”. Powstrzymywali się od bardziej wyszukanych zwrotów, także grzecznościowych.

Tworzyli przedziwną drużynę. Timo dał kosza Leonie, Vev odrzuciła starania Tima, Philipp przywalił w brodę Timowi, Vev i Philipp byli skłóceni, Philipp zrugął Yasmin, a Yasmin przyłapała Leonie na samookaleczaniu, czego obie wolałyby uniknąć... Wszyscy wszystkich nienawidzili i od dłuższego czasu było dla nich jasne, że kiedy ich wspólna przygoda na wyspie szczęśliwie dobiegnie końca, będą się unikać jak ognia.

Ale w tamtej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

– Gotowi?

Przytaknęli.

Gdy tylko Philipp nacisnął klamkę, sztorm z impetem wyrwał mu ją z ręki i drzwi uderzyły w ścianę tak mocno, że uszkodził się zamek, a na szybie

zajmującej górną część skrzydła pojawiło się pęknięcie. Deszcz i wiatr uderzyły im w twarz z taką siłą, że ledwie byli w stanie oddychać, lecz mimo to ruszyli przed siebie, pochylając się niczym skoczkowie narciarscy w locie. Timo i Yasmin prawie natychmiast stracili Philippa i Vev z oczu.

Yasmin trzymała się blisko Tima. Oboje raz za razem wołali Clarisę.

Zgodnie z instrukcjami Philippa trzymali się drogi w kierunku Vitte. Kiedy opuścili Neuendorf, Timo obrócił się do Yasmin. Pod kapturem majaczyła jej zalana wodą owalna twarz.

– Ja będę szukał trochę dalej od drogi – krzyknął.

– Nie znasz okolicy – odpowiedziała Yasmin.

– Wyspa ma kilometr szerokości, raczej się nie zgubię. Przeszukiwanie tego samego odcinka we dwójkę nie ma sensu.

Yasmin przytaknęła, raczej ze zmęczenia niż z przekonania.

Timo zaczął przedzierać się przez zarośla po lewej stronie drogi. Cienkie gałązki rzadkich krzaków ugiwały się, grunt był grząski. Piękno kwitnących wrzosowisk zniknęło w deszczu i ciemności. Przyroda wydawała z siebie jęki, sosny trzeszczały, a ich wierzchołki uderzały o siebie. Z nicości co jakiś czas dobiegały krzyki ptaków i odgłosy kipiącego w oddali morza. Wszystko to jednak tłumiał wszechobecny huk deszczu i wiatru. Aby nie umknął mu żaden dźwięk – w końcu mógł pochodzić od Clarissy – Timo zsunął kaptur.

Co chwilę wołał imię dziewczynki, którą jeszcze kilka godzin wcześniej zaczepiał, trącając nosem. Krzyk beznadziejnie nikł w sztormie, wiatr darł każde słowo na strzępy.

Timo raz po raz potykał się o korzenie, upadał. Podmuchy wiatru zwały go z nóg. Jego dzinsy już od dłuższego czasu były mokrą szmatą, a od chwili kiedy zsunął kaptur, zimne krople deszczu spadały mu na kark i spływały po plecach. Z mozołem stawiał krok za krokiem, zmagając się z wiatrem, a gdy upadał, dźwigał się z trudem i szedł dalej. Był u kresu sił. Co chwilę łapał się pni drzew. Gdyby nie to, że wiatr wiał cały czas w tym samym kierunku, straciłby orientację.

Nie miał pojęcia, jak daleko zaszedł. Miał wrażenie, że bierze udział w maratonie. Emily odarła go z wszystkich sił i stracił poczucie czasu. Był fizycznie i psychicznie wykończony, jakby sztorm wyssał z niego całą energię.

W pewnym momencie załamał się i runął na ziemię. Tu siła Emily była

mniejsza, wobec potęgi ziemi niewiele była w stanie wskórać.

Timo wsparł się o młodą brzozę i spojrzął w górę, na miliardy i miliardy miliardów kropel spadających z nieba. Pomiędzy kłębami chmur, niczym wielki reklamowy neon, przebierał od czasu do czasu księżyc.

Walcząc z wyczerpaniem, Timo kilka razy zawołał Clarisę, jednak myślami cały czas był przy Vev. Prawie zaczął się modlić. Żałował, że nie potrafi tego robić.

Chwytając się rękoma gałęzi, próbował wstać, gdy jego oczy napotkały podłużny kształt. Dostrzegł go wcześniej, ale deszcz, ciemności i zmęczenie sprawiły, że uznał go za fragment pnia.

Teraz jednak zorientował się, że tuż przed nim, twarzą ku dołowi, leży ludzkie ciało.

Leonie siedziała przy stole w jadalni, obejmując się ramionami. Sztorm wściekle uderzał w okna i z nie mniejszą siłą szalał wewnątrz niej. Gdzieś pomiędzy tymi dwoma światami panował spokój. Patrząc na ciało Leonie, nie dałoby się wywnioskować, że cokolwiek się dzieje. Stanowiło ono osobny, obcy twór. Leonie siedziała i patrzyła przed siebie. Na jej piersiach zdążyły się już wytworzyć bolesne pęcherze, które bolały tak bardzo, że jedyne, co była w stanie zrobić, to przyjmować jedna za drugą, w niewielkich odstępach, tabletki przeciwbólowe. Pomiędzy kolejnymi dawkami popadała w apatię. Była skoncentrowana całkowicie na sobie. Czuła, że zbliża się do niej ciemna, czarna, niebezpieczna, śmiertelna masa. Przypominała front atmosferyczny, który nadciągnął tego popołudnia, z tą różnicą, że tym razem front ten nadciągał w jej wnętrzu.

Dlaczego Philipp właśnie jej kazał zostać w domu? Przecież była młodsza od Yasmin i silniejsza od Tima. Nie gorzej od nich nadawała się do udziału w poszukiwaniach Clarissy. Mimo to Philipp jej nie ufał. A kto się zajmował tym dzieciakiem przez cały weekend?

Vev była o nią zazdrosna, to o to chodziło! Żona Philippa obawiała się, że to ona, Leonie, uratuje Clarisę. Żadne z nich nie chciało mieć wobec niej długu wdzięczności. Namawiali się przeciwko niej, za jej plecami planowali wyrzucić ją z domu. Uważali, że jest stuknięta, i wydawało im się, że nie zauważyła, co o niej myślą. Udawali przed nią, zrobili sobie teatrzyk.

Leonie połknęła jeszcze jedną tabletkę i nagle usłyszała podejrzany dźwięk, jakby głośny trzask.

– Clarissa? – zawołała, podnosząc wzrok.

Nikt nie odpowiedział.

W wiadomościach podano, że sztorm osiągnie maksymalną siłę około dziewiętnastej, a prędkość wiatru będzie wtedy dochodzić do dwustu kilometrów na godzinę.

Była osiemnasta trzydzieści.

Znowu usłyszała trzask.

– Philipp? Yasmin?

Nikt nie odpowiedział.

Niechętnie wstała.

– Timo? Vev?

Nagle usłyszała głośny brzęk, a potem przerażający szum.

Przez dwie, trzy sekundy stała przerażona, a potem poczuła zimno i podmuch wiatru i zrozumiała, co się stało. Natychmiast pobiegła do drzwi. Faktycznie, wiatr stłukł pękniętą szybę i bez przeszkód wpadł do domu, przewracając wieszak w przedsionku i zrywając ze ściany lustro, którego fragmenty, połyskując w świetle lampy, wały się teraz po całej podłodze.

Leonie zaczęła chaotycznie machać rękoma w powietrzu, raz bliska rozpacz, raz podjęcia zdecydowanych kroków. Chciała zamknąć drzwi do przedsionka, ale ten był otwarty na salon i żadnych drzwi nie było, potem znów chciała przejść bosą po potłuczonym szkłem do wieszaka, by go postawić, lecz zawróciła.

Koc. Potrzebowała koca. Szybko pobiegła do salonu. Tymczasem Emily przejęła kontrolę nad domem. Po całym parterze hulał wiatr, w dzikim tańcu przewracając ramki ze zdjęciami, porywając obrusy, wywracając wazony. Żeby go poskromić, Leonie pozamykała wszystkie drzwi. Potem wzięła z kanapy koc, rozłożyła go przy wejściu i na palcach dostała się do swoich butów. Były mokre, bo deszcz zacinał prawie poziomo przez otwór w drzwiach, niosąc ze sobą przy okazji liście, kwiaty, a nawet niewielkie gałązki.

Włożyła buty. Były tylko dwa sposoby na powstrzymanie zawieruchy. Musiała zakryć otwór – albo coś w nim upychając, albo zawieszając coś na drzwiach. Może koc? Był za mały, żeby go upchać w otworze, ale może dałoby się go zawiesić, od środka albo od zewnątrz... Żeby to zrobić, musiałyby jednak użyć gwoździ. A wbijanie gwoździ w drzwi frontowe – abstrahując od tego, że nie miała

pewności, czy w tej sytuacji byłaby w stanie trafić młotkiem w łeppek – wydawało się ryzykowną decyzją.

Otwór lepiej było zatkać. Gdyby tylko miała drugi koc... Wróciła do salonu, który wyglądał tak, jakby został splądrowany przez włamywaczy, i jej wzrok od razu padł na czerwono-białą kotarę.

Właśnie miała silnym szarpnięciem zerwać zasłonę z karnisza, kiedy jej uwagę odwrócił ruch, który zauważyła kątem oka. Spojrzała w bok. Po drugiej stronie okna *powinna* być ciemność.

Lecz pośród tej ciemności spostrzegła twarz.

Leonie krzyknęła cicho, zrobiła krok do tyłu, potknęła się o coś i upadła.

Kiedy spojrzała ponownie w okno, twarzy już tam nie było, ale była *pewna*, że ją widziała.

Nie byli to ani Philip, ani Yasmin, ani Vev, ani Timo, a już na pewno nie była to Clarissa. Twarz, którą widziała, była przerażająca, podobna do maski. Trudno powiedzieć, czy należała do kobiety czy do mężczyzny. Leonie widziała ją przez ułamek sekundy, ale *czuła*, że musi wynikać z tego coś złego.

Okna. Wszędzie były okna. Jeśli ktoś chciałby wtargnąć do domu, nie miałby z tym najmniejszego problemu.

Nie zdążyła do końca przetrawić tej myśli, kiedy w toalecie dla gości rozległo się głośne stukanie. Podeszła do zamkniętych drzwi i usłyszała coś, co przypominało dźwięk wydawany przez sopel lodu wrzucony do wody. Najpierw rozległo się skrzypienie, a potem coś się rozbiło na kawałeczki i w tym samym momencie jednocześnie otworzyły się z hukiem uszkodzone drzwi wejściowe i drzwi toalety.

Leonie stłumiła w sobie krzyk. W jej sercu eksplodował strach. Fala uderzeniowa ogarnęła jej płuca, ręce i nogi. Leonie pobiegła do kuchni i chwyciła wetknięty w stojak nóż. Ale w kuchni było jeszcze straszniej, bo roiło się tu od przerażających przedmiotów – tłuczków do mięsa, widelców do pieczeni, żeliwnych patelni, japońskich noży i ostrzałek. Nerwowo rozejrzała się dookoła. Myślała tylko o tym, by uciec, natychmiast uciec. Lecz paralizujący strach sprawił, że nie była w stanie się ruszyć z miejsca.

Miotając się pomiędzy drzwiami na werandę – jedyną w tej sytuacji drogą na zewnątrz – i drzwiami do oranżerii, ostatecznie zdecydowała się na te drugie.

Przeszklone pomieszczenie przypominało oko cyklonu. W środku panowała

całkowita cisza. Rajską atmosferę miały tu zapewnić wiklinowe meble, drzewka laurowe i orchidee, wiszący na ścianach krajobraz Moneta ze stawem porośniętym liliami wodnymi, martwa natura oraz pluskająca spokojnie fontanna. Za oknem jednak panował chaos: łamały się gałęzie, liście uderzały o szyby. Grzmoty towarzyszące panoszącej się nad wyspą Emily sprawiły, że Leonie zaczęła drżeć. Trzymając nóż w dłoniach, nad którymi zdawała się właśnie tracić kontrolę, wczłgała się pod stół.

Wyciągnęła telefon komórkowy i nacisnęła jedynekę.

„Steffen, Steffen. Proszę cię, tylko ten jeden raz, pomóż mi. Ten sztorm... Tam była jakaś twarz, w ciemności. Podnieś słuchawkę. Wiem, że tam jesteś. Podejdź do telefonu. Tu... coś się dzieje. Clarissa zniknęła. Wszyscy są na zewnątrz, daleko. Słyszę kroki. Steffen, ja umrę. Słyszysz mnie? Umrę...”

Połączenie zostało zerwane.

Po pożegnaniu ze Steffenem Heroldem jeszcze przez dwie godziny siedziałam na ławce w zalanym słońcem parku Sanssouci. Wciąż myślałam o Leonie. Nie mogłam się pozbyć jej z głowy – bałam się jej, czułam do niej odrazę i jednocześnie było mi jej żal. Byłam na siebie zła, że się co do niej myliłam. Zakochana w teorii, że to Viseth Nan może być mordercą z Hiddensee, starałam się ją wybielić, ale teraz musiałam przyznać, że Leonie faktycznie mogła w amoku dopuścić się zbrodni. Garść szczegółów pozwalała zasiać wątpliwości co do jej winy, ale nie wystarczała do postawienia poważnej kontrtezy.

Jeszcze z Sanssouci zadzwoniłam do Yima. Kiedy po trzech sygnałach odezwała się poczta głosowa, powiedziałam: „Miałeś rację odnośnie do Leonie Korn. Właśnie dowiedziałam się o niej czegoś tak przerażającego, że... No cóż, myliłam się... właściwie tylko to chciałam ci powiedzieć. Tajemnica twojej rodziny nie ma z tą zbrodnią nic wspólnego. Zagalopowałam się, a teraz mam nadzieję... Zadzwonisz do mnie?”.

Wróciłam do siebie i podjęłam próbę uporządkowania własnych myśli. Bez większych sukcesów. W mojej głowie kołatało się zbyt wiele głosów: Leonie, Yasmin, Margarete Korn, Steffena Herolda, Yima, jego ojca... W myślach pojawiało się zbyt wiele obrazów. Szopa, malowidła, szpitalny pokój pogrążonej w śpiączce Leonie, rejs żaglówką, koci grób, heroina, kredowe obrysy w Domu Mgieł. Myśl o dokonanej przez Leonie przerażającej zbrodni.

Nigdy nie miałam jeszcze do czynienia z takim bezmiarem spustoszenia ludzkiej duszy, z takim bezmiarem zła. To tylko dowodziło, że instynktowna myśl, by zrezygnować z pisania tego artykułu, była słuszna. Istniała przecież spora różnica pomiędzy relacjonowaniem procesu w sądzie, gdzie całą grozę dostaje się opakowaną w rzeczowy opis raportów, a osobistym zanurzeniem się w tym horrorze. W końcu cały materiał dotyczący sprawy wrzuciłam do kosza i o siedemnastej położyłam się spać.

Dwie i pół godziny później zadzwonił telefon.

– Ach, to ty, Jonas.

– Rozczarowana?

– Nie, no coś ty! Zawsze się cieszę, kiedy cię słyszę. Czekałam na telefon od kogoś innego.

– Od mężczyzny?

– Skąd wiesz?

– Było coś w twoim głosie... Poza tym synowie mają nosa, jeśli chodzi o romanse swych matek, mamy to w genach.

– No, no.

– To prawda, włoski w nosie zaczynają nam wibrować w szczególny sposób.

Roześmiałam się, ale sama usłyszałam, że mój śmiech brzmi, jakby był nieco wymuszony – a już na pewno nie brzmiał beztrosko.

Jonas też to zauważył.

– W takim razie nie będę blokował dłużej linii.

– Nie pleć bzdur.

– Okej, mam. Ale przygotuj się na wścibskie pytania. Jak ci się z *nim* układa?

– Nie za dobrze. Pokłóciliśmy się. Z mojej winy. Przynajmniej częściowo.

Przeprosiłam go i mam nadzieję, że mi wybaczy.

– Opowiedz mi coś o nim.

– Skoro chcesz... Jest Niemcem, ale pochodzi z Kambodży...

– Łał, Azjaci górą, tak?

– Bosko gotuje...

– To zmiękczyłoby serce każdej kobiety.

– ...wygląda jak aktor...

– Cóż, Karl Malden też był aktorem.

– ...i jest ode mnie kilka lat młodszy.

– O ile tylko ukończył szkołę, to w ogóle mi to nie przeszkadza. Ukończył, prawda?

– Głupek. Żegluj, słucha Stonesów...

– Stonesów! No to musiał ukończyć szkołę już jakiś czas temu.

– Skończ wreszcie szydzić z moich Stonesów.

– Wiem, że kochasz ich bardziej niż mnie!

- Tylko prawie tak mocno jak ciebie.
- Jak możesz kłócić się z kimś takim, mamó? Idź do niego i rzuć mu się do stóp.
- Miotam się pomiędzy tą opcją...
- ...a wiekuistym samopotępieniem?
- Mniej więcej.

Jonas westchnął.

- Nie wygląda na to, żebyś miała przed sobą przyjemny wieczór.
- Już mi lepiej. Rozweseliłeś mnie.
- Synom raczej rzadko się to udaje.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o studiach Jonasa, a potem się pożegnaliśmy. Po rozmowie wyjęłam z kosza na śmieci materiały dotyczące zbrodni na Hiddensee, wzięłam do ręki telefon i wybrałam numer.

Wrzesień 2010 r.

Pani Nan leżała pośród ociekających wodą wrzosów. Była blada, a szpakowate włosy oblepiły jej twarz i uszy... Włosy na karku miała czerwone od krwi. W zagłębieniu dłoni, którą Timo podłożył pod jej głowę, utworzyła się czerwona kałuża. Ilekroć wylewał krew z dłoni, ta napływała na nowo. Próbował ocucić nieprzytomną, ale bez powodzenia. Nie był też w stanie jej podnieść. Pani Nan nie ważyła dużo, ale on też nie był siłaczem. Sprawę dodatkowo utrudniały sztorm, ciemność, błotniste podłoże i plątanina roślin. Po dwóch próbach był kompletnie wyczerpany.

– Timo?

Słyszając głos Yasmin, poczuł się, jakby właśnie natrafił na boję ratunkową. Nie był już sam z ranną, być może umierającą kobietą.

– Jestem tutaj, po tej stronie. Chodź szybko.

– Znalazłeś Clarissę? – zawołała Yasmin, przedzierając się przez zarośla.

– Nie, to pani Nan. Musisz mi pomóc ją nieść.

– Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Znalazłem ją w takim stanie.

– Czy ona żyje?

– No... mam nadzieję. – O dziwo nie przyszło mu do głowy, że pani Nan może być martwa. Dotknął jej nadgarstka.

– Mam strasznie zmarznięte dłonie... Ale czekaj, czuję puls. Zanieśmy ją jak najszybciej do domu.

Yasmin złapała ranną za nogi, Timo chwycił za ramiona. Co chwilę musieli odkładać panią Nan na ziemię i co chwilę zdyszani upadali na kolana. Twarz starszej kobiety, którą Timo siłą rzeczy cały czas obserwował, pozostała nieruchoma.

„No już, obudź się, wytrwaj”, przemawiał do niej w myślach. „Twój czas jeszcze

nie dobiegł końca, masz przed sobą jeszcze kilka pięknych lat. Lat spędzonych w zatoczce otoczonej trzcina i skałami, w domku zbudowanym z drewna i palmowych liści, pośród lasów i pól ryżowych, krzyków małp i woni ciepłego monsunu. Słyszysz szum rzeki? Otwórz oczy! Widziałem w nich głęboko ukrytą tęsknotę, wiem, że chciałybyś jeszcze raz zobaczyć Mekong... Dość się już nacierpiałaś, pokutowałaś przez połowę swojego życia. Teraz masz mówić głośno o swoich winach, ale nie musisz przez nie zginąć”.

Tak rozmyślając, Timo raz po raz zerknął za siebie w obawie, że pojawi się Viseth Nan.

Najgorsze były te krótkie chwile pomiędzy nawoływaniem. Chwile, które wypełniały bezsilność i groza. Kiedy wołał imię Clarissy, miał poczucie, że coś robi – i że ten wysiłek musi w końcu przywrócić mu córkę. Gdy tylko jednak jego głos cichł, zduszony przez orkan, miejsce nadziei zajmowało poczucie porażki. Dlatego wołał tak często, jak tylko był w stanie.

W pobliżu wody sztorm uderzył w niego z całym, niczym niezłagodnym impetem. Od czasu do czasu dosięgała go jakaś fala i prawie ścinając go z nóg, dawała do zrozumienia, co by się stało, gdyby w jej zasięgu znalazła się jego córeczka. Czy ostrzegał Clarissę przed falami? Przypominał sobie, że przestrzegał ją przed innymi rzeczami: uważaj na obcych, uważaj na duże psy... Ale ona nigdy nie uważała. Ufała każdemu i była na wszystko otwarta. Nie lękała się nawet tego, co było od niej potężniejsze, tak jakby chciała powiedzieć życiu: „Ufam ci”.

Philipp potknął się i wylądował na ziemi. Zaciśnął dłoń tak wściekle, że mokry piasek precisnął mu się między palcami. Przeklinając, cisnął jego resztką w ciemną nicość. Orkan przybrał na sile do tego stopnia, że Philipp nie był w stanie kontynuować poszukiwań. Liczył, że może Vev, Yasmin albo Timo mieli więcej szczęścia. A może Clarissa schroniła się u któregoś z sąsiadów? Tak, na pewno tak. Na czworaka wczołgał się na wydnię, stoczył się z drugiej strony i z największym wysiłkiem wrócił do domu.

W środku zastał kompletny chaos. Przedmioty, które nie były wystarczająco ciężkie, walały się poprzesuwane, połamane, przekrecone, powywracane. Kartki, gazety, serwetki i gryzmoły Clarissy wirowały po podłodze, unosiły się przy ścianach lub kołysały w powietrzu.

Próbował znaleźć Leonie, jednak nie było jej ani na parterze, ani w żadnym

z pomieszczeń na piętrze. Na koniec zauważył otwarte drzwi do ogrodu zimowego.

– Leonie? Co ty tutaj robisz? – powiedział zdziwiony, spoglądając na przerażoną kobietę, która z nożem w ręku skuliła się pod wiklinowym stolikiem. – Cały dom wywrócony do góry nogami, a ty...

– Philipp, to ty! Myślałam... W oknie była straszna twarz... ni to kobieta, ni to mężczyzna... Strasznie dziwna. A potem ktoś włamał się do toalety dla gości.

– O czym ty mówisz?

– Sam zobacz. Ktoś się włamał.

– To sztorm.

– Nie, nie, tam ktoś był. Idź do łazienki, zobaczysz. Trzymaj, weź ze sobą nóż.

– Nie potrzebuję noża – powiedział Philipp i wyszedł z ogrodu zimowego. To było po prostu nie do pojęcia. Jego córeczka zaginęła, dom był zdemolowany, a Leonie totalnie spanikowała.

Sprawdził łazienkę. Faktycznie, górna część okna była stłuczona. Najwyraźniej było uchylone i przeciąg na zmianę otwierał je i domykał, aż wreszcie szyba nie wytrzymała. Okno nadal się chybotąło. Nikt nie dostał się przez nie do środka.

Philipp nie miał ochoty zajmować się dłużej rozhisteryzowaną Leonie. Poszukiwania Clarissy musiała przejąć policja, więc podszedł do telefonu. Potrzebna była ekipa ratunkowa. W zasadzie wiedział, jaką usłyszy odpowiedź: w czasie orkanu żadna łódź z lądu nie dopłynie na Hiddensee, nie wyślą też śmigłowca. Ale chciał to usłyszeć, chciał na kogoś nawrzeszczeć.

Nie było mu jednak dane zaznać nawet tego prymitywnego pocieszenia. Telefon nie działał. Głucha cisza w słuchawce kontrastowała z nawałnicą panującą na zewnątrz. Spojrzał na ekran komórki, ale ta zakomunikowała od razu, że żadne połączenie nie jest możliwe. Nawet alarmowe.

I wtedy, w momencie kiedy zgasł ekran, wszystko ucichło. Miał wrażenie, jakby ziemia przestała się kręcić, a czas się zatrzymał. Myśli Philippa zastygły. Nie był w stanie myśleć o niczym ani o nikim. Widział tylko wygaszony wyświetlacz, urządzenie w swej dłoni, klawiaturę. Wszystko bezużyteczne.

Nagle, jakby zbudzony ze snu, zrozumiał, że może już nigdy nie ujrzeć Clarissy, a nawet jeśli ją zobaczy, to być może jego córeczka nie będzie już żyła. Będąc na dworze, nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nawet wybierając numer alarmowy, wciąż nie dopuszczał do siebie tej myśli. Ale teraz, patrząc na niemy,

wygaszony telefon, zrozumiał, że istnieje taka możliwość.

Tkwiąc w tym otępieniu, poczuł, że traci grunt pod nogami. Waliło się wszystko, co przez ostatnie lata zbudował. Dom był zdemolowany, żona go zdradzała, a córka mogła już nie żyć. Nie potrafił oprzeć się myśli, że winę za to ponoszą Leonie, Timo i Yasmin.

Wróciwszy do domu z bezwładnym ciałem pani Nan, Timo i Yasmin ledwie zauważyli panujący w nim chaos. Perspektywa uwolnienia się od niesionego ciężaru całkowicie zawładnęła ich myślami.

– Co się stało? – zapytał Philipp.

Timo i Yasmin położyli panią Nan na kanapie i runęli obok niej. Wokół nich natychmiast utworzyły się kałuże wody.

Philipp nachylił się nad nieruchomą postacią i jak robot zgodnie z wyuczoną procedurą kolejno położył ręce na wszystkich tych punktach ciała, w których mógł znaleźć dowód na to, że pani Nan żyje: na nadgarstkach, tętnicy szyjnej, skroniach, sercu. Uchylił jej lewe oko.

– Żyje, ale jest nieprzytomna. Jej puls jej prawie normalny – powiedział.

Z rzeczowego tonu, jakim przemawiał, Timo wywnioskował, że Clarissa jeszcze się nie odnalazła i w związku z tym Philipp nie jest w stanie wyrazić żadnej emocji. Cała jego uwaga i troska skupiła się na zaginionej córeczce.

– Znalazłem panią Nan kilka metrów od drogi – powiedział Timo, gdy udało mu się uspokoić oddech. – Ma ranę z tyłu głowy. Masz coś, czym można by ją opatrzyć?

– Możliwe. W łazience na piętrze wisi apteczka.

Yasmin natychmiast pobiegła, żeby ją przynieść, Timo zaś postanowił zadzwonić pod numer alarmowy.

– Telefon nie działa – powiedział Philipp.

Timo podniósł słuchawkę, lecz usłyszał jedynie głuchą ciszę.

– Faktycznie, jesteśmy odcięci od świata zewnętrznego. Gdyby to był tani kryminał Edgara Wallace’a, musiałyby jeszcze wsiąść światło, żebyśmy wszyscy krążyli po domu z kapiącymi świecami.

– Nigdy nie podobało mi się twoje poczucie humoru – powiedział Philipp. – To po prostu nieprzyzwoite żartować w takiej sytuacji.

– W taki sposób radzę sobie w trudnych chwilach.

– Ach tak, w takim razie rozumiem, dlaczego nieustannie sobie żartujesz. Ktoś taki jak ty musi być mocno przybity. Ktoś, kto przez ostatnie piętnaście lat, od momentu kiedy po raz ostatni wspinał się na komin, z niczym sobie nie radzi, kto może się poszczycić jedynie dwiema fatalnymi książkami, kto musi przywłaszczać sobie jedenaście lat starszą kobietę. Chuchrowaty żigolak. Jesteś mocny jedynie w gębie. Czarujący półinteligent Timo, zawsze uśmiechnięty, zawsze tryskający humorem, sypiący na prawo i lewo bon motami, jakby to były cukierki. A tak naprawdę dmuchany klaun, któremu otworzył się wentyl.

– A ty? – odpowiedział Timo. – Jesteś wzorcem współczesnego kołtuna. Purytanin w szklanym domu. Zażerający się müsli pan akuratywny, wierzący w homeopatię ojciec rodziny, który co drugi dzień uprawia seks, co trzeci dzwoni do rodziców, nigdy nie pije więcej niż dwa kieliszki wina, nawet pastę do zębów kupuje w sklepie z towarami eko i nie zapomina przelać jednego euro na ochronę zagrożonego wyginięciem jakiegoś słowika zielonouchego z północno-wschodniej Wenezueli, a w międzyczasie wchodzi w dupę superbogaczom i buduje dla nich nowe wersale ze szkła i egzotycznych gatunków drewna.

– Z ust mi to wyjąłeś – powiedziała Yasmin, która właśnie zeszła po schodach z bandażami i zaczęła niewprawnie opatrywać głowę pani Nan. – Kiedy pomyślę sobie, że kiedyś marzył o tym, żeby budować jasne i przyjazne mieszkańcom lokale socjalne...

– Chyba zaraz zwariuję. Moja córka zaginęła, a ja muszę wysłuchiwać takich bzdur.

– Sam zacząłeś – bronił się Timo.

Kłótnię przerwało pojawienie się Leonie. Była blada jak trup, bledsza nawet od pani Nan. Oprócz bladości uwagę wszystkich przykuł nóż, który Leonie trzymała na wysokości uda w bezwładnie zwisającej dłoni.

– Została zamordowana – powiedziała Leonie. – Zabiła ją ta postać, którą widziałam w oknie. Jej mąż.

Philipp rzucił Leonie pełne złości spojrzenie.

– Co ty opowiadasz za bzdury? – krzyknął, ostatnie słowo artykułując tak, że aż parsknął śliną.

– To nie są bzdury.

– Wcześniej powiedziałaś, że to, co widziałas, nie było ani mężczyzną, ani

kobietą.

– Teraz jestem pewna, że to był mężczyzna. Taki jak ona. Dlatego w ciemności nie od razu go rozpoznałam.

– Nie wierzę ci – odpowiedział Philipp. – Nikt rozsądny nie uwierzy w wytwory twojego pokręconego, zbzikowanego mózgu. Na przemian widzisz duchy, włamywaczy i morderców. Vev miała rację, że cię spoliczkowała. Nawet teraz nie ma z ciebie żadnego pożytku. Nie potrafisz nawet przypilnować domu, tylko zamiast tego wczołgujesz się pod stolik. Albo wymyślasz niestworzone rzeczy... Przerazające jest to, że kiedykolwiek dostałaś pozwolenie na broń. Oddaj to. – Stanowczo wyjął jej nóż z dłoni. – Ja mam już dość, nie będę się tobą dłużej zajmować. Zejdź mi z oczu. Wypieprzaj stąd, powiedziałem.

Do tej chwili Leonie stała i przyjmowała wyzwiska Philippa z coraz większym osłupieniem, teraz jednak pobiegła na górę i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Pozostali nie odezwali się ani słowem. Powodów do milczenia było aż nadto. Niepewny los Clarissy, kłótnia, wybuch złości Philippa, ucieczka Leonie, wciąż nieobecna Vev, nieprzytomna pani Nan leżąca pomiędzy nimi.

Po chwili faktycznie wysiadł prąd.

Timo i Yasmin zapalili kilka świec i przez kilka minut wszyscy siedzieli skupieni w ich migoczącym świetle. Od czasu do czasu ktoś spoglądał na panią Nan.

Jej twarz przybrała obojętny, pozbawiony bólu wyraz. Timo rozmyślał o słowach Leonie. Czy paskudna rana na głowie pani Nan to wynik uderzenia przez odłamana gałąź? A może to Viseth Nan zadał cios? Timo wiedział, że mąż pani Nan miał motyw. Leonie nie była co prawda wiarygodnym świadkiem, ale może faktycznie widziała w oknie twarz Visetha Nana? Albo... twarz Yima?

– Gdzie właściwie jest Yim?

– Ostatnio widziałem go w porcie, jakiś czas temu. Późnym popołudniem – odpowiedział zmęczonym głosem Philipp. Znowu rozmawiali ze sobą normalnym tonem. – Nie udało mi się dodzwonić do niego na komórkę, bo sieć już nie działała. A potem... – westchnął. – Teraz możemy już tylko czekać i mieć nadzieję.

Tak też uczynili.

Vev z impetem wpadła do domu.

– To ja. Mam Clarissę – krzyknęła.

Timo, Philipp i Yasmin rzucili się w jej kierunku. Mokre pasma włosów kleiły się do jej policzków, krople wody spadały na podłogę, była brudna i wyczerpana, ale się śmiała.

– Ukryła się pod cisem. Niedawno przyłapałam ją na tym, że tam wchodzi. Nie do wiary, że wybrała na ulubioną kryjówkę miejsce, gdzie inni załatwiają swoje potrzeby. Wymarzony zawód: babcia klozetowa.

„Kocham ją”, pomyślał Timo. „Mój Boże, jak ja ją kocham”.

Philipp wziął w ramiona swoją roztrzęsioną córeczkę, a Timo objął Vev i mimo że była zimna i przemoczona, nigdy jeszcze nie czuł się w jej obecności tak dobrze.

Nikt nie czynił Clarissie wyrzutów i nikt jej o nic nie pytał. Wszyscy przyglądali się jej czerwonym policzkom i łzom, które po nich spływały.

– Przygotujemy od razu ciepłą kąpiel, a potem do łóżka – powiedział Philipp i ponownie przytulił córeczkę. – Ja to zrobię, Vev. Ty odpocznij.

Philipp zabrał Clarissę na górę, a Vev, wysłuchawszy relacji Tima, który w kilku słowach wyjaśnił, dlaczego pani Nan leży na kanapie, poszła do kuchni. Zaparzyła herbatę ziołową, nalała sobie whisky i trzymając oba napoje, usiadła obok nieprzytomnej gospośki.

– Jestem pewna, że wkrótce się obudzi – powiedziała do Tima i Yasmin. – Idźcie teraz do swoich pokojów. Czy za godzinę ktoś z was może mnie zmienić?

Yasmin bez zwłoki skorzystała z oferty Vev, Timo zaś prowizorycznie zamknął jeszcze drzwi, aby powstrzymać wiatr, który nadal hulał po domu. Kiedy mu się to wreszcie udało, z ciężkim sercem zostawił Vev samą. Wiedział, że biedaczka potrzebuje nieco czasu dla siebie.

Przez następne pół godziny można było odnieść wrażenie, że w domu znów zapanował spokój.

Jeszcze tego samego wieczora, podniesiona na duchu rozmową z Jonasem, spotkałam się z przyjaciółką. Właściwie była to raczej dobra znajoma, z którą trzy, cztery razy do roku wychodziłam na drinka. Dobiegała już sześćdziesiątki i tak naprawdę miałyśmy ze sobą niewiele wspólnego. Hannę poznałam niejako w pracy. Była psychologiem sądowym i zajmowała się wydawaniem ekspertyz. Podczas naszych niezbyt częstych spotkań rozmawiałyśmy głównie o sprawach zawodowych – morderstwach, ofiarach, procesach. Prywatnie wiedziałam o niej jedynie, że przez ostatnie cztery lata co roku przybierała na wadze cztery kilogramy. Jej powierzchowność robiła wrażenie: była wysoka, miała siwe włosy i nieco męskie rysy.

Odniosłam wrażenie, że nie miała wielkiej ochoty na spontaniczne spotkanie ze mną, ale nie widziałyśmy się przez dłuższą chwilę (*mea culpa*), a dodatkowo powiedziałam, że sprawa jest pilna.

Po krótkim wahaniu Hanna się przemogła i pozwoliła zaprosić do baru na Lützowplatz.

Zasiadłyśmy w wielkich, czarnych skórzanych fotelach. Początkowo rozmawiałyśmy o ludzkiej naturze – o tym, że może być radosna i barwna jak zamówiony przez Hannę mai tai, ale bywa też mroczna jak moje negroni.

– Kiedy zadzwoniłaś, odniosłam wrażenie, że zaprzęta cię coś, o czym koniecznie chcesz porozmawiać – powiedziała Hanna i pochłonęła garść orzeszków.

– Możesz wybierać – zażartowałam. – Muszę koniecznie porozmawiać o mnóstwie rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład o tym, że codziennie się morduję, a ledwie wystarcza mi do pierwszego. Albo o tym, że na moim biurku roi się od przestępców. Albo że mężczyzna, w którym się zakochałam, okazał się strażnikiem rodzinnej tajemnicy.

– Zabrzmiało jak powieść grozy.

– Niestety, to moje życie.

– Jedno z drugim się nie wyklucza. Zatem który z tych problemów sprawił, że oto siedzę przed ogromną miską orzeszków, a jutro rano będę ważyć dwieście gramów więcej?

– Żaden z nich.

– Szkoda. Liczyłam na tę rodzinną tajemnicę.

– Cóż, w tej kwestii zmuszona jestem cię rozczarować. Ale służę morderczynią.

– Ach, czyli to co zwykle. Znam tę sprawę?

– Nie sądzę. Chodzi o morderstwa na Hiddensee. Do tej pory nie doszło do procesu, ponieważ Leonie Korn, którą się o nie oskarża, leży w śpiączce. Chcę o tym napisać. Duży artykuł na podstawie mojego własnego śledztwa.

– Jezu.

– No właśnie. W każdym razie nie wiem, co myśleć o dziwnym zachowaniu Leonie, a w aktach nie ma żadnej opinii biegłego.

– I pomyślałaś sobie, że ja mogłabym wystawić ekspertyzę prywatnie? Najlepiej tu i teraz?

– Jeżeli nie miałabyś nic przeciwko...

– A zatroszczysz się o to, żeby mi nie zabrakło orzeszków i mai tai? Jak pokazuje doświadczenie, tego typu mroczne tematy łatwiej się omawia przy tłustych przekąskach i alkoholu.

– Obiecuję.

– No to dawaj.

Pociągnęłam przez słomkę łyczek negroni. Było naprawdę gorzkie, pasowało w sam raz do tematu naszej rozmowy.

– Leonie dobiegała czterdziestki, była przedszkolanką, którą tuż przed wydarzeniami na Hiddensee zwolniono z pracy. Zgromadziłam relacje jej szefowej, matki oraz byłego przyjaciela, ale mam problem z ich uporządkowaniem. Jeśli chodzi o charakter Leonie, to wszyscy, z którymi rozmawiałam, podkreślali jej zmienność nastrojów. Czy to w kontaktach z matką, czy z przyjacielem, czy z dziećmi, wahania były ekstremalne. Ojciec był bardzo surowy, zamykał małą Leonie w piwnicy, a matka przez długi okres miała depresję. O ile wiem, Leonie nigdy nie była poddana terapii psychiatrycznej. Narzekała na swój wygląd.

– Przepraszam, że ci przerwę, ale wszystko, co do tej pory powiedziałaś, mogłoby się odnosić do jednej czwartej mieszkańców naszego kraju. Zmienne nastroje, ambiwalentny stosunek do matki, być może depresja... Na podstawie takiego opisu raczej nie sporządzą psychogramu, który sprawi, że spadniesz z krzesła.

– Dobrze, a co powiesz na to: często się okaleczała. Lekarze stwierdzili małe, częściowo zabliznione, częściowo jeszcze niezaleczone rany kłute, stare zadrapania i kilka świeżych pęcherzy będących wynikiem oparzeń. Poza tym nadużywała tabletek przeciwbólowych i lubiła niebezpieczną jazdę samochodem. Najwyraźniej nie radziła sobie z krytyką, łagodnie rzecz ujmując. Miewała wybuchy gniewu. Zdarzało się też, że ktoś ją zaprosił na obiad, a ona doszukiwała się w tym ukrytych intencji. Tak samo było, kiedy jej przyjaciel zapomniał kupić kawy. Analizowała najmniejsze gesty, wyraz twarzy, sposób wysławiania się.

– I dochodziła do dziwnych wniosków?

– Wszystko na to wskazuje.

– Czy zanim wpadła w amok, miewała ataki paniki?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Czy podejmowała próby samobójcze?

– Nie wiem. Ale miała pistolet.

Hanna przez chwilę przeżuwała w zadumie orzeszki. Domówiłam kolejną porcję.

Jej dotąd gawędziarski ton zmienił się na rzeczowy i analityczny – prawdziwy ton biegłego.

– Bez rozmowy z daną osobą opinia na jej temat zawsze będzie jedynie przybliżona. Pozwól jednak, że podsumuję: skrajne odchylenia w ocenianiu innych osób, nieproporcjonalne reakcje na zniewagi i krytykę, nadużywanie środków przeciwbólowych, zaburzony obraz własnej osoby, analizowanie gestów, mimiki i tak dalej, do tego samookaleczanie. Jak wspomniałam, nie chciałabym wypowiadać się w sposób wiążący, bo żeby to zrobić, musiałabym sama porozmawiać z bliskimi i przyjaciółmi tej osoby.

– Wystarczy mi przybliżona ocena.

– Borderline.

– Tak właśnie myślałam. Coś już wiem na ten temat, ale, proszę, opowiedz mi

więcej.

– Borderline to zaburzenie osobowości, którego nie można porównać z ciężkimi chorobami, jak przykładowo schizofrenia. Samo pojęcie oznacza, o czym z pewnością wiesz, linię graniczną i jest mylące, bo nie odnosi się do istoty samego zaburzenia, tylko wskazuje, że należy je umiejscowić w strefie pomiędzy zaburzeniami neurotycznymi a psychotycznymi. Zachowania, które opisałaś, są typowe dla osób cierpiących na borderline. Jednocześnie u ludzi tych występują symptomy niewidoczne na zewnątrz, jak poczucie wewnętrznej pustki i silna tendencja do myślenia w kategoriach czarno–biały. Przyczyną zaburzeń mogą być zaniedbania i krzywdy, których dana osoba doświadczyła w dzieciństwie, czy to brak miłości, czy przemoc w domu, czy depresja jednego lub obojga rodziców. Pacjenci cierpiący na borderline mają skłonność na przemian odczuwać strach przed bliskością i strach przed byciem samemu. Ich stosunki z innymi ludźmi mają charakter dynamiczny: raz ich idealizują, a za chwilę nisko oceniają ich wartość czy nawet ich demonizują. W przypadku osób z borderline nawet błahe wydarzenia mogą powodować poważne reperkusje. Brak kawy wystarczy, żeby zakwestionować sens udanego do tej chwili związku. Tacy ludzie wręcz domagają się stałego uznania. Jeżeli go nie dostają, czasami szukają winy w sobie i karzą siebie. Ale za chwilę mogą dojść do wniosku, że krytyka oznacza coś zupełnie innego, i obarczyć winą tych, którzy ich skrytykowali.

– Powiedziałybyś, że osoby z borderline wykazują się dużą agresją w stosunku do ludzi, którzy je skrytykują?

– Nie można tego tak uogólniać. Osoby z borderline często postrzegają swoje życie jako emocjonalny rollercoaster. Wszyscy miewamy zwwyżki i spadki nastrojów, ale w przypadku cierpiących na borderline taki rollercoaster jest o wiele wyższy, bardziej pokrecony, ma więcej pętli i nigdy się nie kończy. Skłonność do agresji, również silnej agresji, jest typowa dla zaburzeń borderline. Jak duża to będzie agresja, zależy jednak od bieżącego samopoczucia konkretnej osoby.

– Jakie okoliczności mogły doprowadzić Leonie do zastrzelenia trójki ludzi. Strach? Krytyka? Rozczarowanie? Wszystko razem?

– Taka sytuacja dla każdego stanowiłaby źródło stresu. Jednak w przypadku osób z borderline można ze sporym prawdopodobieństwem powiedzieć, że zareagują nieporównywalnie mocniej niż większość innych ludzi. Jeżeli Leonie

cierpiała na takie właśnie zaburzenie osobowości, to połączenie jej impulsywności z ekstremalną sytuacją mogło stanowić mieszankę wybuchową. Przy tym nie jestem wcale przekonana, że ta mieszanka wybuchowa musiała nieuchronnie, czy nawet z dużym prawdopodobieństwem, doprowadzić do napadu amoku.

– Tylko?

– Do histerii, halucynacji w postaci głosów czy nieistniejących osób, do samobójstwa... Doro, musisz zrozumieć, że życie, praca czy przyjaźń z osobą z borderline nie jest bardziej niebezpieczna niż z człowiekiem cierpiącym na jakiegokolwiek inne zaburzenie. Cierpiący na borderline tak samo odczuwają miłość, przyjaźń, nadzieję, przyjemność czy smutek... Oczywiście relacje z nimi stanowią szczególne wyzwanie: trzeba być cierpliwym i gotowym co nieco znieść. I nie należy traktować dosłownie wszystkiego, co mówią czy robią. Pacjenci z borderline, którzy uczęszczają na terapię, bardzo rzadko zachowują się w sposób bardzo agresywny, wliczając w to agresję fizyczną.

– Leonie nie korzystała z terapii.

– To zwiększa prawdopodobieństwo wystąpienia zachowań histerycznych i agresywnych. Nawet wtedy musiałoby jednak dojść do sytuacji, w której Leonie poczułaby, że musi się bronić. I nie należy tego rozumieć w sensie konwencjonalnej obrony koniecznej. W skrajnych okolicznościach Leonie mogłaby wystąpić przeciwko osobie, która w jej odczuciu głęboko ją uraziła czy upokorzyła, albo przeciwko osobie, którą obarczałaby odpowiedzialnością za swoje trudne położenie. Ale chciałabym jeszcze raz podkreślić, że okoliczności musiałyby być naprawdę wyjątkowe. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że próbowałaby ukarać samą siebie, a zatem popełniłaby samobójstwo.

– Nie wspomniałam o jeszcze jednym szczególe. Leonie uporczywie nękała swojego byłego przyjaciela. Robiła to przez dwa lata, aż do dnia, gdy doszło do zbrodni.

Hanna westchnęła.

– Tak, to się czasem zdarza. Borderline rzadko występuje samo, często jednocześnie towarzyszą mu również inne zaburzenia. Chociaż jakoś...

Hanna urwała i zamyślona pociągnęła ostatni łyk mai tai ze swojej szklanki, a ja gestem zamówiłam dla niej kolejnego drinka. Obietnica to obietnica.

– To, co moim zdaniem nie gra – podjęła po chwili Hanna – to fakt, że stalkerzy

rzadko posiadają broń palną. Na tysiąc przypadków stalkingu dochodzi do jednego wykorzystania broni w celu zastraszenia. A przypadki rzeczywistego jej użycia są jeszcze radsze, o ile się orientuję, raz na trzy tysiące przypadków. I jeszcze jedna rzecz: stalkerzy zwykle są zafiksowani na punkcie jednej osoby. Chcą wziąć ją w posiadanie czy raczej ukarać. Leonie strzelała, przypomnij, do ilu osób?

– Do trzech, i do siebie samej. Wśród tych osób nie było jej byłego przyjaciela. Był daleko od miejsca zbrodni i w ogóle nie znał ofiar.

– Bardzo dziwne. Stalkerzy, jeśli w ogóle strzelają, to do osoby nękaney. A w przypadku osób z borderline jest o wiele bardziej prawdopodobne, że zastrzelą siebie niż kogokolwiek innego.

Do domu wracałam lekko oszołomiona, zarówno negroni, jak i tysiącem kłębiących się w mojej głowie myśli. Im dłużej zajmowałam się sprawą zbrodni na Hiddensee, tym bardziej sprawa robiła się zagmatwana. Początkowo, co zrozumiałe, uważałam, że sprawczynią jest Leonie, potem jednak ogarnęły mnie wątpliwości, które z kolei rozwiązał Steffen Herold. Teraz na nowo zwątpiłam w winę Leonie. W ciągu jednego dnia już drugi raz zmieniłam zdanie.

Dla laików sprawa wydawała się jasna: Leonie była stukniętą, pokręconą stalkerką, która Bóg wie co sobie uroiła, więc to oczywiste, że to ona strzelała, zwłaszcza że wszystkie poszlaki potwierdzały tę teorię. Jednak Hanna była biegłą z zakresu psychologii. Kiedy powiedziała, że zaburzenia osobowości, na jakie cierpiała Leonie, raczej nie pasują do potencjalnego sprawcy zbrodni w amoku, uważnie nadstawiłam uszu. Ale Hanna mogła się mylić – nie byłby to pierwszy raz, gdy biegły błędnie ocenił stwarzane przez przestępcę zagrożenie. Poza tym wcale nie wykluczyła możliwości, że Leonie jednak wpadła w amok.

Mimo wszystko byłam skonsternowana. Ze słów Hanny – o ile właściwie je zrozumiałam – wynikało, że możliwość, iż Leonie zastrzeliła w amoku trójkę ludzi, była mniej więcej równie prawdopodobna jak ustawienie się kilku ciał niebieskich w jednej linii. Jedynie zbieg wielu wydarzeń mógłby doprowadzić do tego, że Leonie zabiłaby nie Steffena Herolda, a potem siebie, ale trójkę na dobrą sprawę obcych jej ludzi. Czy do wewnętrznego rozpadu Leonie przyczynił się niepokój związany ze sztormem, obraza lub odrzucenie? Czy te trzy elementy wystarczyły, by Leonie została morderczynią?

Byłam przygotowana na to, że być może nigdy nie uzyskam odpowiedzi na te

pytania. Ale wiedziałam też, że nadszedł czas, by skontaktować się z osobami, które przeżyły, i pozostałymi świadkami i spojrzeć na tę sprawę z szerszej perspektywy, a także zrekonstruować dni i godziny poprzedzające zbrodnię. Yasmin wspomniała o różnicach zdań pomiędzy Philippem, Vev, Leonie, Timo i nią samą. Ta sprawa oczywiście bardzo mnie interesowała i postanowiłam następnego ranka wykonać w związku z tym kilka telefonów.

Kiedy o północy dotarłam do domu, Yim kukał przed moimi drzwiami i jadł sushi.

– Co ty tutaj robisz? – spytałam, parszkając śmiechem.

– Od trzech godzin siedzę i czekam, a że zgłodniałem, postanowiłem coś sobie zamówić. Dostawca był nieźle zdziwiony, kiedy się zorientował, że odbieram kolację pod drzwiami. Pewnie sobie pomyślał, że dziewczyna wyrzuciła mnie z domu. Chcesz kawałek? Mam jeszcze łososiowe nigiri, maki z ogórkiem i dwa odaiko.

– Nie, dziękuję. Byłam na mieście z przyjaciółką, zjadłyśmy roczny przydział orzeszków ziemnych i teraz czuję pilną potrzebę umycia zębów.

– Czy mogę ci przy tym towarzyszyć, czy uznasz to za nieprzyzwoite?

– Ty zboczeńcu.

Podczas gdy ja szorowałam skąpane w obfitej pianie zęby, pozbywając się resztek orzeszków, Yim zwiedzał moje mieszkanie. Jego uwagę najbardziej przyciągnęło biurko i nie omieszkał sięgnąć po jedną czy dwie kartki i je przeczytać.

– Zaczęłaś już pisać artykuł?

– Nie, jeszcze nie wiem, jak chcę go skonstruować i czy powinnam wymieniać wasze prawdziwe imiona. Jak chciałbyś się nazywać?

– Cornelius. Kiedyś chciałem mieć na imię Cornelius.

– Tak miał na imię kogut mojej babci. Był żądną władzy bestią. Ilekroć jechałam do babci na wieś, bez przerwy za mną chodził i mnie straszył. – Uśmiechnęłam się złowieszczo. – Zgadnij, czego zażyczyłam sobie na obiad w trzynaste urodziny.

Yim wziął mnie w ramiona i przyciągnął do siebie. Pocałunki na chwilę załagodziły spór między nami, ale nie oznaczały bynajmniej jego końca. Od chwili gdy nagrałam na pocztce Yima propozycję pojednania, moje zdanie na temat ewentualnej winy Leonie ponownie uległo zmianie. Nadal też nie wiedziałam, co

począć z jego ojcem, w każdym razie nie miałam co do tego pewności. Właściwie należało go postawić przed sądem, ale oczy Yima były zbyt piękne, a jego klatka piersiowa zbyt miękka i pociągająca, bym mogła pozostać nieugięta. Byłam gotowa na wszystko.

On również. Nasze pocałunki wydłużały się i dotykaliśmy się coraz intensywniej, rozpinając przy tym ubrania. W głębi duszy nie posiadałam się ze szczęścia, że sprawy wreszcie zaszły tak daleko. Moje serce się radowało, a głowa nie oponowała. Uprawialiśmy seks i była to najpiękniejsza godzina, jaką przeżyłam od kilku dobrych lat.

Również o drugiej w nocy odzyskałam poczucie czasu. Przypadkowo spojrzałam na budzik i od razu pożałowałam powrotu do normalnego świata. Yim przyciągnął mnie jeszcze raz do siebie. Może zabrzmiało to jak kiczowaty frazes, ale kiedy spojrzałam w jego oczy, poczułam się tak, jakby rozdzwoniło się tysiąc dzwonów. Kiedy ostatnio czułam coś podobnego? Odpowiedź była prosta: jeszcze nigdy. „Ten albo żaden”, pomyślałam.

Z każdą minutą coraz wyraźniej zdawałam sobie jednak sprawę, że to, do czego właśnie przyznałam się w duchu, będzie miało poważne konsekwencje. Od tej chwili byłam bardziej czuła na wszelkie ciosy. Oddałam się Yimowi w sensie emocjonalnym i wiedziałam, że od teraz będę z nim dzielić zarówno radości, jak i troski. W tej chwili byliśmy szczęśliwi, ale...

Już kilka minut później, można by powiedzieć: po papierosie, którego w naszym przypadku zastąpił kieliszek szampana, ujrzałam drugą stronę medalu.

Yim bowiem zapytał:

– Zrobiłabyś coś dla mnie?

– Oczywiście.

– Mój ojciec chce z tobą porozmawiać. Prosił, żeby ci przekazać, że... jedyne, co będziesz musiała zrobić, to go wysłuchać. O nic więcej nie prosi. Specjalnie z tego powodu przyjechał z Hiddensee do Berlina.

Ciężar tematu sprawił, że westchnęłam.

– Czego on oczekuje po tej rozmowie?

– Cóż, czegoś na pewno. Będzie próbował cię przekonać, żebyś nie powiadamiała władz.

– Co z tobą, Yim? Jesteś po jego stronie?

– Nigdy nie byłem po jego stronie. Ja tylko naświetliłem ci wszystkie konsekwencje, jakie twoja decyzja będzie miała również dla mnie.

W mojej głowie zaczęło kiełkować potworne podejrzenie. Czyżby Yim omotał mnie tylko po to, żebym, że tak powiem, ułaskawiła jego ojca? Z miejsca wyparłam tę myśl.

– No dobrze. Kiedy?

– Czeka na nas w mojej restauracji.

– Teraz? – krzyknęłam. Świadomość, że przez cały czas, kiedy uprawialiśmy z Yimem seks, Viseth Nan rozmyślał o mnie, nieco mnie przytłoczyła. – Jest prawie wpół do trzeciej.

Yim umilkł i nie naciskał, jednak to, co zobaczyłam w jego oczach, sprawiło, że zmięklam.

Nie byłam w stanie mu odmówić. W każdym razie nie po tym, co się wydarzyło.

– W żadnym wypadku nie chcę z nim zostać sama. Będziesz w czasie tej rozmowy przy mnie, tak?

– Oczywiście.

– No to miejmy to już za sobą.

Podsufitowy wentylator w Sok sebai te pracował bez przerwy, lecz parne powietrze zdawało się stać w miejscu. Viseth Nan siedział w najbardziej odległym kącie, niemalże schowany za parawanami, stołami, krzesłami i lampami. Przypominał mi przyczajoną murenę albo inne podłe stworzenie. Na myśl o tym, że spałam w pokoju sąsiadującym z jego sypialnią, zakłuło mnie serce. Cieszyłam się, że jest przy mnie Yim. Viseth Nan wlepił we mnie wzrok, zmusił się do uśmiechu, który zrobił na mnie odpychające wrażenie, i wyciągnął do mnie dłoń. Zignorowałam ją.

Yim przyniósł karafkę z wodą niegazowaną i trzy szklanki. Musiał w tym celu oddalić się o kilka kroków od naszego stolika, a to sprawiło, że poczułam niepokój. Nie usiadł obok swojego ojca, tylko przy mnie, za co rzuciłam mu pełne wdzięczności spojrzenie. Położyłam dłoń na jego udzie.

– No to jestem – powiedziałam. – Chciałabym wierzyć w to, że nie będzie pan próbował umniejszyć grozy popełnionych przez siebie zbrodni. W przeciwnym wypadku natychmiast wstanę i wyjdę.

Viseth Nan mocno splótł dłonie. W Sok sebai te zyskał na autentyczności. Widząc go na Hiddensee, w niewielkiej kuchni czy w ogrodzie, trudno było

dostrzec w nim sprawcę masowych mordów, którym przecież faktycznie był. Ten fenomen nie był mi obcy, znałam go z kontaktów z innymi przestępcami. Na ławie oskarżonych, w granatowym garniturze każdy morderca był tak odseparowany od swego czynu, że trudno było uwierzyć w to, iż miał z nim cokolwiek wspólnego. Wrażenie odrealnienia potęgowały zarówno urzędowa surowość niemieckich sądów, jak i przepych panujący w sądach francuskich czy angielskich. Do tego dochodził cały zamęt związany z obecnością publiczności i przedstawiciele mediów. W takich warunkach trzeba mieć bujną fantazję, by wyobrazić sobie mordercę popełniającego zbrodnię.

W kambodżańskim wnętrzu, z Mekongiem w tle, Viseth Nan z powrotem znajdował się w miejscu, w którym przed czterdziestu laty dał się ponieść swojemu szaleństwu. Resztę zrobiły obrazy pani Nan, które wciąż miałam przed oczami. Siedzący naprzeciw mnie spocony, niewysoki mężczyzna w białej koszuli nie był w stanie zamydlić mi oczu. W nozdrzach czułam jego strach. Z jego oczu wzywały najniższe pobudki.

– Pani nie wierzy w to, jak bardzo żałuję tego, co zrobiłem dawno temu – zaczął.
– Miewam straszne koszmary. Słyszę krzyki w miejscach, gdzie nikogo nie ma. Czasami całymi dniami nie jestem w stanie niczego zjeść. Co chwilę ogarnia mnie poczucie winy. Proszę wziąć pod uwagę, że byłem wtedy młody i głupi. Czerwoni Khmerzy mnie omamili, podobnie jak wielu innych. Jako Niemka powinna pani wiedzieć, o czym mówię. Powinna pani wiedzieć, jak dochodzi do czegoś takiego.

– Powinna się była domyślić, że będzie pan próbował zagrać tą kartą. I przyznaję panu rację: faktycznie wiem, że czasami cały naród daje się porwać złu. Że jednostki lepiej czują się pośród innych, myślących podobnie jak one, i że w ten sposób może szerzyć się każde urojenie. Ale wiem również, że każdy ponosi odpowiedzialność za swoje czyny. Błądzenie jest rzeczą ludzką, ale to nie oznacza, że błądzenie nie podlega karze. Poza tym istnieje wielka różnica pomiędzy młokosem, który wiwatuje na cześć mordercy, przyjmuje jego ideologię czy nawet świadczy na jego rzecz pewne usługi, a mężczyzną ponadtrzydziestoletnim, który kieruje obozem śmierci. Torturował pan tysiące ludzi, mordował ich w okrutny sposób i nie chcę nawet wiedzieć, w jakie sadystyczne gierki grał pan z nimi, zanim umarli.

Poczułam, że tracę nad sobą panowanie. Wypiłam łyk wody i do pewnego

stopnia udało mi się odzyskać kontrolę.

– Jestem starym człowiekiem – powiedział Viseth Nan. – Ledwie pamiętam tego chłopczyka, którym wtedy byłem. Ja się zmieniłem, pani Kagel.

Oczy starego mężczyzny raz po raz szukały kontaktu z Yimem, ten jednak uporczywie wpatrywał się w blat stołu.

– Czyli zmienił się pan i stał się nowym człowiekiem, tak? To proszę mi powiedzieć, dlaczego pańska żona, nie zważając na sztorm, pobiegła w nocy do Domu Mgieł?

– A co to ma teraz do rzeczy? – zapytał Viseth, a Yim spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Panie Nan, jeśli chce pan, żebyśmy kontynuowali tę rozmowę, to proszę odpowiedzieć.

– Moja żona, podobnie jak ja, pomagała szukać tej małej dziewczynki, która zaginęła. Moja żona bardzo ją lubiła.

– Jak państwo się o tym dowiedzieli?

– To było tak dawno... Zapewne przez telefon. Tak, teraz już mi się przypominało. Ktoś do nas zadzwonił.

– Od Yasmin Germinal wiem, że co prawda próbowali z Domu Mgieł dodzwonić się do pana i pańskiej żony, ale nie było to możliwe. Kiedy zauważono, że Clarissy nie ma, telefony od dawna już nie działały.

– Ktoś musiał zadzwonić na komórkę.

– Tylko że pan nie ma komórki. Wiem to od Yima. Pan nie lubi komórek.

– W takim razie Yim zapomniał swojej i zostawił ją w domu. Tak właśnie było.

– A mnie się wydaje, że było zupełnie inaczej. Myślę, że pańska żona chciała się od pana uwolnić, być może chciała nawet złożyć doniesienie, na siebie i na pana. Te obrazy... Yasmin Germinal opowiedziała mi, że pańska żona odbyła w szopie długą rozmowę z Timem Stadtmüllerem, tym pisarzem. Wystraszył się pan, że osoba z zewnątrz dowiedziała się o zbrodni, którą pan popełnił. No a jeszcze bardziej niż odpowiedzialności karnej obawiał się pan prawdy, którą świadomie pan od siebie odsuwał. Szopę ukrył pan pod sarkofagiem z kwiatów. Tak samo jak zapewne przez ostatnie trzydzieści lat ukrywał pan albo usuwał wszystko, co przypominało panu o zbrodni. Ostatnim zagrożeniem, którego pan jeszcze nie usunął, była pańska żona.

– Nie... Nie...

– Nie mógł pan znieść myśli o hańbie, jaką zostanie pan naznaczony jako masowy morderca. Nie wiem, co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy w pana domu, ale myślę, że doszło do eskalacji konfliktu i pańska żona mimo szalejącego sztormu wybiegła na dwór, a pan udał się w ślad za nią. Ogłuszył ją pan, a potem poszedł do Domu Mgieł.

– Nie... Nie, nie, nie...

Spojrzałam na Yima.

– Czy tamtego wieczora zostawiłeś komórkę w domu rodziców?

Yim spojrzał najpierw na mnie, a potem na swojego ojca, po czym zamknął oczy i znów je otworzył. Ponownie położyłam dłoń na jego udzie. Mogłam się jedynie domyślać, co przeżywa. Musiał zmierzyć się z ewentualnością, że jego ojciec zamordował jego matkę. Mimo że wykonywałam ten zawód od wielu lat i pomimo niezliczonych godzin, które spędziłam w salach sądowych z ofiarami, mordercami, świadkami i policjantami, nie byłam sobie w stanie wyobrazić, co Yim czuł w tamtej chwili. Od dziecka uczono go ukrywać prawdę i nagle ta prawda uderzyła go prosto w twarz. Czy był wystarczająco silny, by to przetrwać?

– Yim? – spytałam. – Co się działo z twoją komórką?

Yim wstał. Wydawał się niezdecydowany, nie wiedział, co zrobić. Podeszedł do baru, napełnił kieliszek wódką, mocno ją przy tym rozlewając, i wychylił go jednym haustem.

– Wracaj, Yim – powiedziałam, lecz on znikł mi z oczu.

Po chwili usłyszałam dźwięk otwieranych i zamykanych kuchennych drzwi.

Sama nie wiem, co zaniepokoiło mnie bardziej: to, że Yim zniknął, czy to, że siedziałam sam na sam z jego ojcem przy stole. Kilkukrotnie zawołałam Yima, ale nie usłyszałam żadnej odpowiedzi.

Nostalgiczna atmosfera, jaka jeszcze kilka dni temu wypełniała restaurację, zniknęła. Teraz była to jedynie pusta, kiepsko oświetlona sala.

Chciałam wstać i iść za Yimem do kuchni, lecz Viseth Nan rzucił się do przodu jak wąż i przytrzymał mnie za rękę.

– Niech pani zostanie.

– Proszę mnie puścić.

Usłyszałam dźwięk otwieranych kuchennych drzwi. Viseth Nan uwolnił moje

ramię, a ja usiadłam z powrotem na swoim miejscu.
Wrócił Yim. W ręku trzymał długi japoński nóż.

Wrzesień 2010 r.

W pokoju panowała ciemność. Leonie siedziała na krawędzi łóżka, zapalając jedną zapalkę za drugą i bezmyślnie rzucając je na podłogę. Kiedy skończyły jej się zapalki, zaczęła po kolei wyrywać strony powieści Tima, a na koniec zdarła z niej żółtą naklejkę z uśmiechniętą buźką.

Podobnie jak kilka godzin wcześniej, kiedy siedziała sama w domu, w jej wnętrzu zdawała się nadciągać czarna ściana – sztorm myśli i zmieniających się bezustannie uczuć. Drżała. Ledwie była w stanie utrzymać prosto głowę i plecy. Sztorm panujący za oknem, sztorm w jej wnętrzu i ciało, które nie słuchało jej i zdawało się już do niej nie należeć, w jakiś paradoksalny sposób tworzyły spójną całość. Ciałem Leonie owładnęły strach i gniew. Było jej niedobrze od tego niekończącego się rollercoastera. Przytłaczał ją nadmiar uczuć, a jednocześnie czuła pustkę, potworną pustkę. Miała wrażenie, że zaraz się rozpadnie na kawałeczki. Że się rozpuści w tej ciemności i że się cała w tę ciemność zamieni.

Słyszała głosy, ciche mamrotanie, a potem wszystko ucichło. Wiatr, drzewa, morze – wszystko. Okna nadal waliły w futryny, czubki drzew się ugiwały, poddmuchy wprawiały w chaotyczny ruch gałęzie, liście uderzały w szyby, fale kipiały na plaży. Wszystko to jednak odbywało się zupełnie bezgłośnie.

Leonie sięgnęła po komórkę i wybrała jedynekę.

– Steffen, chciałam ci jedynie powiedzieć, że niedobrze mi się robi na myśl o tobie, na myśl o wszystkich. Ty i ludzie tobie podobni raniacie moje uczucia. O wszystko zawsze mnie obwiniacie, a sami często jesteście nieudacznikami i oszustami. Już dłużej nie będę was, świnie, znosić. Koniec z tym. Ja wam jeszcze wszystkim pokażę.

Ta ostatnia wiadomość nigdy nie dotarła do Steffena, ponieważ sieć nie działała. Leonie nie miała jednak o tym pojęcia.

Otworzyła ozdobne pudełko, które tego popołudnia Yim przekazał jej wraz

z przeprosinami od pani Nan. W pistolecie nadal były załadowane cztery kule.

Leonie wypila łyk soku pomarańczowego, który stał na jej szafce nocnej, a resztę wylała na podłogę. Potem otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

31

Yim podszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy z jego ojcem. Nóż trzymał ostrzem od siebie.

– Ty... – powiedział, przełykając ślinę. – Zamordowałeś moją matkę.

– Nie wierz w kłamstwa tej kobiety – jęknął błagalnym tonem Viseth Nan.

– To w twoje kłamstwa wierzyłem zbyt długo. Nie zostawiłem tamtego wieczora swojej komórki w domu. Byłem w porcie i pomagałem uwiązywać łódki. Potem kolega ze szkoły poprosił mnie jeszcze, żebym pomógł mu z czymś w jego domu, i pamiętam dokładnie, jak próbowałem się dodzwonić do matki. Sieć komórkowa jeszcze działała, ale stacjonarna już nie. Martwiłem się. Wbrew radom kolegi, mimo sztormu poszedłem z powrotem do domu. Nie było was. Szukałem wszędzie, nawet w szopie... Przez chwilę czekałem, a potem zdecydowałem, że spróbuję się przedostać do Domu Mgieł. Mama... znalazłem mamę martwą. I to ty ją zabiłeś.

– Oszalałeś? Synu! – krzyknął Viseth Nan. – To, że ja i twoja matka nie szukaliśmy dziewczynki, nie oznacza jeszcze, że ją zabiłem.

– Dlaczego w takim razie przed chwilą nas okłamałeś?

– Też chciałam o to zapytać – powiedziałam. – Gdyby nie miał pan nic do ukrycia, to przecież nie opowiadałby nam pan bajeczek o zapomnianym telefonie.

– Ja... ja... Dobrze, przyznaję, że groziłem żonie, poniosło mnie i poszedłem za nią... Chciałem ją zatrzymać, ale przecież nie... zabić. Nie słuchała mnie. I wtedy spadła na nią gałąź.

– Dość już usłyszałem – powiedział Yim.

– Gałąź odłamała się z drzewa – krzyknął Viseth Nan. – Nie zabiłem twojej matki. Nie mógłbym. Przecież ja ją... kochałem.

Yim rzucił się nagle w przód i przystawił ojcu nóż do gardła.

– Nigdy więcej tak nie mów. Powiedz wreszcie prawdę.

Chciałam uspokoić Yima. Bałam się, że w gniewie naprawdę ugodzi ojca nożem. Na szczęście po krótkiej chwili Viseth Nan zdecydował się opowiedzieć, co się

stało.

– Proszę, nie rób mi krzywdy. Uderzyłem ją. Tak, uderzyłem ją gałęzią. Ale to była całkiem cienka gałązka. Całkiem cienka. Nie rozumiem, jak...

Yim cisnął nóż na ziemię, całym tułowiem pochylił się nad stołem, ukrył głowę w ramionach i zaczął szlochać. Poglądziłam go. Jego rozpacz bolała mnie tak samo, jakbym to ja rozpaczała.

Viseth Nan, choć nadal siedział wyprostowany, również płakał.

– Mimo wszystko nie zginęła z moich rąk – upierał się. – Została zastrzelona. To nie ja. Przysięgam, że to nie ja strzelałem.

– To już stwierdzą odpowiednie władze – odpowiedziałam. – Przekażę nowe informacje prokuraturze. To dotyczy oczywiście również pańskiej przeszłości, panie Nan. Twierdził pan, że stał się pan innym człowiekiem. Być może nawet pan w to wierzy. Niestety, muszę panu powiedzieć, że jest pan w błędzie. Niezależnie od tego, czy to pan strzelał czy nie, jest pan nadal tym samym człowiekiem, którym był pan przed laty. Chodź, Yim, idziemy.

Yim wstał. Pogardliwe spojrzenie, jakim obdarzył swojego ojca, pozwalało mi ufać, że zaakceptuje moją decyzję, nawet jeśli zagrażała ona jego restauracji. Choć nigdy nie udało mu się naprawdę zbliżyć do matki, bardzo ją kochał. Nie był w stanie wybaczyć ojcu tego, że na nią napadł i że ją uderzył.

– Niech pani poczeka – powiedział Viseth Nan zrezygnowanym głosem. – Skoro pani decyzja jest ostateczna i Yim odwrócił się ode mnie, jest mi już wszystko jedno. Opowiem pani, co stało się dwa lata temu.

Wrzesień 2010 r.

Leonie bez pukania weszła do pokoju Tima i zamknęła za sobą drzwi. Dopiero w tym momencie Timo zauważył, że Leonie ma broń.

– Cóż, Timo – powiedziała.

Jeszcze kilka dni temu jej widok nie wzbudziłby w nim niepokoju. Jeszcze kilka dni temu powiedziała by, że to po prostu Leonie z bronią, nic ponad to. Dopiero teraz skojarzenie i połączenie dwóch szczegółów tego obrazu sprawiło, że wyczuł niebezpieczeństwo. Spojrzenie Leonie w połączeniu z pistoletem w jej dłoni uświadomiło mu nagle, że znalazł się w sytuacji, w której wahadło równie dobrze może się wychylić w jedną lub drugą stronę. Doskonała ilustracja teorii chaosu, czysta loteria.

– Cześć, Leonie – powiedział, spoglądając w wylot lufy.

Zdał sobie sprawę, że to strasznie głupie mówić „cześć” śmierci, ale znalazł się w wyjątkowym położeniu. Czuł się jak aktor, który nagle, bez przygotowania, musi wcielić się w jakąś postać. Milion myśli przemknęło mu przez głowę. Myśli banalnych i ważkich, tchórzliwych i bohaterskich. Pierwszy raz w życiu poczuł, że za chwilę, za sekundę może umrzeć. Stał twarzą w twarz z samym sobą, ze swoim strachem, swoją ambicją, poczuciem niespełnienia, świadomością, że tak niewiele jeszcze w życiu osiągnął. A tego przecież oczekuje się od każdego człowieka: osiągnąć coś, ożenić się, mieć dzieci, dobrą pracę, piąć się po ścieżkach kariery, gromadzić dobra i jak największą liczbę znajomych na Facebooku... Kciuki w górę, „lubię to” – o to właśnie chodzi w życiu. Ale w jego przypadku kciuki były skierowane w dół, a gdy o tym myślał, zalewała go fala palącej żółci.

Timo spodziewał się, że w takiej chwili Leonie będzie zdenerwowana, lecz ona była spokojna. Milczała i tylko jej twarz zdawała się mówić: „Sam tego chciałeś”.

Stała mniej więcej trzy metry od niego. Czuł zapach jej potu. Czy powinien spróbować przemówić jej do rozsądku? Czy powinien krzyczeć? A gdyby miał

krzyczeć, to co? „Pomocy, morderczyni”? Samo „Pomocy”?

Na dwadzieścia sekund zamarli, stojąc naprzeciw siebie w bezruchu – Leonie plecami do drzwi, Timo do łóżka. Potem Leonie opuściła rękę, w której trzymała pistolet.

Dlaczego? Tego pytania Timo nie zadał. W jednej chwili pojął, że oto nadarza się sposobność, by ująć z życiem. Myślał tylko o tym, że jeśli wyrwie Leonie pistolet, może się uratować.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Rzucił się w jej stronę. Dzielące ich trzy metry nie stanowiły dużego dystansu, lecz ich pokonanie zajęło mu ponad sekundę. Już w biegu zorientował się, że Leonie przyłożyła sobie lufę do skroni. Gdyby zrobiła to chwilę wcześniej, nawet by nie drgnął. Stałby w miejscu i patrzył. Poczuliby zapewne... Na myśl o tym znowu zalała go żółć... Poczuliby wręcz ulgę, że oto Leonie chce zabić siebie, a nie jego. Biorąc pod uwagę to, że jeszcze sekundę wcześniej śmierć zajrzała mu w oczy, rozbryzgany na swojej koszulce mózg Leonie potraktowałby jak prezent od losu.

Ale było za późno. Kiedy się zorientował, że celem jest ona sama, a on ma jedynie być świadkiem, był już prawie przy Leonie. Nie zdołał wyhamować i wpadł na jej ramię.

Leonie była silniejsza, niż się spodziewał. Ich toczona w milczeniu walka zakrawała na absurd: zmagał się z nią o życie, przy czym to ona chciała umrzeć, a jemu właściwie było wszystko jedno, czy tak się stanie. Teraz jednak, gdy podjął kroki mające ją powstrzymać, bał się, że Leonie najpierw zabije na wszelki wypadek jego, a dopiero potem siebie. Dlatego się z nią siłował.

Pistolet z impetem uderzył w prawy kącik ust Leonie, lecz ona walczyła dalej. Kilka sekund później padł pierwszy strzał. Kula przebiła się od dołu przez gardło i jamę ustną Leonie, ale nie przeszła przez czaszkę. Ranna po ścianie osunęła się na podłogę. Timo spojrzął na swoją lewą dłoń i spostrzegł, że trzyma w niej pistolet.

Miał wrażenie, że czas nagle przyspieszył.

Pistolet. Krew. Euforia, że żyje. Żyje! Adrenalina. Władza, pożądanie, moc. Miłość, miłość do Vev. Żółć, którą czuł kilka minut wcześniej, odpływała powoli. Zbyt wolno... Musiał wykorzystać ten impet. Musiał zrobić coś z tą siłą, którą nagle poczuł. Przypomniawszy sobie swój lęk, że zawsze będzie przegrany. Pistolet wysysał z niego ten strach, neutralizował go. Pistolet mógł sprawić, że jego los się

odwróci.

Otworzył drzwi i wymknął się na korytarz. Od strzału minęła zaledwie chwila. Czy ktoś w ogóle coś usłyszał? Na zewnątrz nadal wiał wiatr. Timo błyskawicznie przebył kilka metrów dzielących go od sypialni Philippa i Vev i otworzył drzwi.

Philipp, w piżamie i okularach do czytania, właśnie zamierzał wyjść na korytarz.

– Timo? Słyszałem jakiś głośny hałas. Coś się stało?

Timo uniósł pistolet w taki sam sposób, w jaki podniosła go wcześniej Leonie, i nacisnął spust.

Kula trafiła Philippa w czoło, dokładnie między oczy. Martwe ciało upadło na plecy.

Uczucie, które owładnęło Timem, było jak natchnienie – i podobnie jak natchnienie miało swoje źródło tam, gdzie rodzą się pomysły artystów, gdzie zderzają się ludzkie pragnienia i boskie zrzádenia losu. Przed Timem otworzył się raj. Najpierw wyobraził sobie, że jest z Vev, że uprawia z nią seks, wchodzi w nią raz za razem – w swoim berlińskim mieszkaniu, pod słońcem Kreta, na plażach Bałtyku... Vev będzie należała do niego. Pierwszy raz w życiu udało mu się zdobyć coś trwałego. Miłość. A razem z miłością dziecko. Po jakimś czasie Clarissa stanie się jego dziewczynką, jego Dzióbkiem. Raz do roku, w rocznicę śmierci Philippa, będą jeździć na cmentarz. Timo taktownie będzie czekał przy bramie.

To będzie jedyny, mały triumf Philippa. Będzie miał dla siebie Vev i Clarissę przez pięć minut, raz w roku. Pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt pięć minut będą należały do Tima. Czy też, kalkulując inaczej, pięćset dwadzieścia pięć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt pięć minut. A w latach przestępnych jeszcze więcej. Timo był od tej chwili minutowym milionerem. Philipp przeciwnie – bankrutem. Dead Man.

Tak, a do tego jeszcze pieniądze Philippa, okazały mająteczek wziętego architekta. Timo miał wrażenie, że w jego życiu właśnie nastąpił przełom.

Kątem oka spostrzegł, że coś w pokoju się poruszyło. Dopiero teraz zobaczył, że pośrodku łóżka leży Clarissa. Był przekonany, że mała jest w swoim pokoju.

Dziewczynka wpatrywała się w niego, wpatrywała, wpatrywała...

Timo wziął głęboki oddech i wypowiedział jej imię:

– Clarisso.

Więcej nie był w stanie z siebie wydusić. Mała zeskokczyła z łóżka i przebiegła koło niego, nim zdążył pomyśleć, że należy ją zatrzymać. Pobiegł za nią i stłumionym głosem zawołał:

– Clarisso, stój. Proszę, stój. Chodź do mnie, nic ci nie zrobię.

Lecz Clarissa go nie słuchała. Przebiegła korytarz i dotarła do schodów.

Jeśli zaczniesz mówić, wszystko będzie stracone.

Nie chciał jej nic zrobić.

Strzelił.

Kula rozerwała głowę Clarissy, tkanka mózgowa rozbryzgała się na kolumnie schodów, a bezwładne ciało runęło kilka stopni w dół i w nienaturalnej pozycji zatrzymało się na środku schodów.

Timo chwycił się dłonią za głowę, a potem zakrył sobie usta. Trząsł się jak osoba cierpiąca na chorobę Parkinsona. Pot skapywał mu po nosie na usta. Zlizzał go, poczuł smak własnego zdenerwowania. Oddychał ciężko.

Wziął się w garść dopiero, gdy usłyszał kroki. Nabrał powietrza i zacisnął powieki. Dobry Boże, spraw proszę, żeby to nie była Vev. Otworzył oczy.

Kilka stopni niżej stała pani Nan. Pomiędzy nią a Timem leżało ciało Clarissy. Gospośia spojrzała z przerażeniem najpierw na zwłoki dziewczynki, potem na pistolet i w końcu jej wzrok spoczął na Timie. Zasłoniła dłońmi usta, jednocześnie wydając z siebie dziwny, wysoki, żałosny jęk, a potem obróciła się i zaczęła zbiegać po schodach. Timo przeskoczył nad ciałem dziecka i dogonił kobietę w chwili, gdy ta szarpnięciem otworzyła frontowe drzwi. Kiedy nacisnął spust, jedną stopą była już na dworze, pośród szalejącego sztormu. Pani Nan obróciła się do niego, a gdy kula trafiła w podbrzusze, osunęła się na kolana. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, nim runęła martwa, były oczy mordercy.

W ciągu trzech minut i trzydziestu sekund Timo strzelił do czterech osób: do jednej niechcący, do jednej z pełną premedytacją i do dwóch kolejnych, bo nie miał wyboru.

Magazynek był pusty. Kto wie, co zrobiłby z piątą kulą. Może kolejną ofiarą po pani Nan, Clarissie, Philippie i Leonie byłby on sam? A może zastrzeliłby nieoczekiwanego świadka – mężczyznę, który przemoknięty do suchej nitki stał w deszczu nieopodal domu i przyglądał się śmierci swej żony.

Mordercy wymienili spojrzenia, a potem każdy z nich pograżył się w swym

własnym mroku – jeden zniknął w ciemnościach nocy, a drugi wrócił do Domu Mgieł.

Timo wspiął się chyłkiem po schodach do swego pokoju, gdzie szybko wytarł z broni odciski palców, a potem odpowiednio pokrył ją odciskami Leonie.

Potrzebował jeszcze tylko kogoś, komu mógłby z przerażeniem opowiedzieć o tym, jak Leonie wtargnęła do jego pokoju i na jego oczach się zastrzeliła.

Z łazienki słychać było głośną muzykę i dźwięki prysznic. Domyślił się, że to Yasmin.

– Chryste, Yasmin! Wpuść mnie! Stało się coś strasznego!

Drzwi były zamknięte. Szarpał je i krzyczał, lecz nikt nie otwierał, więc pobiegł na dół poszukać Vev. Po drodze natknął się na Yima, który stał w przedsionku oszołomiony i biały jak kreda. Obok leżało martwe ciało jego matki.

Timo sprawiał wrażenie przerażonego.

– O Boże, czy ona... czy ona nie żyje? – zapytał.

Yim był tak wstrząśnięty, że zdołał jedynie kiwnąć głową.

Timo zaczął się jąkać.

– Są też inni... Na schodach... Clarissa... i u góry Philipp. Leonie. Ona... ona...

– Timo miał wrażenie, że dobrze odgrywa swoją rolę. – Yim, czy mógłbyś zadzwonić pod sto dwanaście? Albo może znasz kogoś w Neuendorfie, kto ma nadajnik radiowy? Ja... ja muszę znaleźć Vev i jej... i jej... Dasz radę? Poza tym Yasmin zamknęła się w łazience. Bierze prysznic albo... sam nie wiem, może coś słyszała. Po prostu nie odpowiada. Czy możesz się... oczywiście, jeżeli dasz radę... czy mógłbyś się nią zająć?

Yim wyglądał tak, jakby lada chwila miał się załamać, lecz skinął głową i skierował się w stronę schodów. Po chwili z jego ust dobył się przeraźliwy krzyk.

Nie zważając na dobiegający z góry lament, Timo ciężkim krokiem ruszył na poszukiwanie Vev. Znalazł ją w kuchni, gdzie na niewielkim palniku przygotowywała herbatę. Pomieszczenie oświetlały trzy świece.

– Och, to ty. Wystraszyłeś mnie trochę. Przez chwilę myślałam, że to jakiś zły duch. A to tylko Timo krąży jak zwykle w poszukiwaniu natchnienia. W całym domu trzaskają drzwi, można się przestraszyć. Szkoda, że nie ma prądu. Widziałeś, że pani Nan się obudziła? I oczywiście poprosiła o zieloną herbatę. Założę się, że kiedy pewnego dnia zapuka do bram nieba, pierwszą rzeczą, jakiej zażąda, będzie

zielona herbata. W każdym razie wyzdrowieje, jestem tego pewna. Na Hiddensee się nie umiera, nie ma takiej opcji. A już na pewno nie przez spadającą gałąź. Na wyspie są trzy drzewa na krzyż. To tak, jakby utonąć na pustyni. O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

O dziesiątej trzydzieści rano, po rozmowie z ojcem Yima, weszłam do kawiarni w dzielnicy Prenzlauer Berg. Kafejka była trochę multikulti, trochę elegancka, a trochę alternatywna i nosiła chlubne miano „modnego lokalu”. Większość gości siedziała na zewnątrz, po dwie lub trzy osoby przed olbrzymimi talerzami pełnymi śniadaniowych smakowitości. W środku unosił się zapach kawy.

Timo Stadtmüller siedział sam przy najmniejszym ze stolików. Zajęty przeglądaniem kilkusetstronicowego manuskryptu od czasu do czasu poprawiał jakieś słowo. Przez kilka minut obserwowałam go uważnie, lecz nie byłam w stanie znaleźć w nim niczego odstręczającego. Ale to się zdarza. Wiele razy odniosłam podobne wrażenie w kontaktach z mordercami. Wbrew szeroko rozpowszechnionej opinii mordercy nie są potworami. Zbrodniarze to często osoby odznaczające się dobrymi manierami, koleżeńskie, zabawne, serdeczne. Timo Stadtmüller był takim właśnie człowiekiem. Kelnerka z przyjemnością podchodziła do jego stolika, on zamieniał z nią kilka słów, a ona oddalała się z uśmiechem na ustach.

Myślę, że Timo chciał, żeby ludzie go lubili, i napawał się świadomością, że inni uważają go za fajnego faceta. Był miły dla ludzi nie ze względu na nich, ale ze względu na siebie. Ale czy to go odróżniało od nas, „normalnych” ludzi? Zło samo w sobie nie jest ani dowcipne, ani grzeczne, ani zawsze gotowe do pomocy, ale może przecież występować razem z dobrymi cechami. Zło nie izoluje się od dobrych cech, przeciwnie – lubi ich towarzystwo. Czasami stapia się z tym, co uważamy za sympatyczne. To bardzo skuteczna strategia.

Zaczekałam, aż kelnerka przyniesie mi zamówioną herbatę, i gdy się oddaliła, przeniosłam się do stolika Tima Stadtmüllera. Usiadłam bez pytania o zgodę.

– Doro Kagel, jestem dziennikarką. Jestem też przyjaciółką Yima. Zadzwoił do pana do domu i powiedziano mu, że znajdę pana w tym lokalu. Często pan tu przychodzi, by pisać, prawda?

– Tak... – Timo wydawał się nieco zbity z tropu moim nagłym najściem.

– Yim bardzo się zdziwił, kiedy telefon odebrała Vev Nachtmann. Ja też się zdziwiłam. Ale dzięki temu udało mi się do układanki dołożyć jeszcze jeden element: motyw. Pół nocy głowiłam się nad tym, dlaczego pan to zrobił.

– Nie wiem, o czym...

– No tak, zapomniałam wspomnieć, że razem z Yimem odbyliśmy zeszłej nocy bardzo ciekawą rozmowę z jego ojcem.

W tym momencie zrozumiał. Muszę jednak przyznać, że inaczej sobie wyobrażałam jego reakcję. Timo nadal był całkowicie rozluźniony, na jego twarzy nie pojawił się nawet cień niepokoju. Zachowywał się tak, jakby właśnie się dowiedział, że dwa lata wcześniej przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Kiedy skonfrontowałam go ze szczegółami relacji Visetha Nana i moimi wnioskami, o dziwo, nadal stwarzał wrażenie wyluzowanego. Sączył kawę, bawił się długopisem, odchylił się na oparcie... Miałam wręcz wrażenie, że widzę na jego ustach cień uśmiechu.

– Jeżeli ma pan zamiar zaprzeczać...

– To było milczące porozumienie – przerwał mi. – Nigdy z nim nie rozmawiałem. Ostatni raz widzieliśmy się na pogrzebie Philippa i Clarissy i wystarczyło, że wymieniliśmy spojrzenia. Wiedział, co zrobiłem, a ja wiedziałem o jego zbrodniach. I było jasne, że jeśli któryś z nas złamie porozumienie, jednocześnie wyda wyrok na samego siebie.

– Tylko że ja już odkryłam jego tajemnicę.

– Szopa, co? Nie chciał jej rozebrać ani spalić tego, co skrywała, tych obrazów... Kilka tygodni po wydarzeniach wrześnieowej nocy dwa tysiące dziesiątego roku pojechałem na Hiddensee, żeby puścić to wszystko z dymem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli tajemnica Nana wyjdzie na jaw, odbije się to też na mnie. Przez cztery dni bez przerwy padał deszcz, więc musiałem czekać. W końcu wyszło słońce. Ale kiedy wreszcie mogłem przystąpić do dzieła, zdarzyło się coś dziwnego. Nagle *nie chciałem* już tego robić. Po prostu stamtąd wyjechałem. Jest pani ciekawa, dlaczego nie chciałem się już chronić?

– Nawet bardzo.

Timo zamówił drugą kawę. Rozmowa o morderstwach toczona w formie kawiarnianej pogawędki wydawała mi się czymś absurdalnym, zwłaszcza że sprawca nie wykazywał cienia agresji czy niepokoju.

– W takim razie będę musiał nieco cofnąć się w czasie, ale to chyba pani nie przeszkadza, prawda?

– Ani trochę. – Spojrzałam na zegarek. – Ale mam jeszcze tylko pięć minut, podobnie zresztą jak pan.

– Chyba wiem, co stanie się za te pięć minut. – Podziękował kelnerce za przyniesioną kawę i upiwszy łyżeczek, zaczął swoją opowieść: – Strzał, który ranił Leonie, padł przypadkowo, ale wyzwolił we mnie najrozmaitsze emocje: agresję, wściekłość związaną z moimi porażkami i dziwną, trudną do zdefiniowania żądzą. Dla uproszczenia będę nazywał tę mieszankę żółcią. To coś wzbierało we mnie, aż w końcu zaczęło się przelewać. Tylko w ten sposób jestem w stanie wytłumaczyć to, że po zastrzeleniu Philippa byłem w stanie strzelić jeszcze do Clarissy i pani Nan. Człowiekowi wydaje się, że wie, kim jest, do czego jest zdolny, a do czego nie, ale muszę pani powiedzieć, że to tylko złudzenie. Dla mnie odkrycie tej prawdy było prawdziwym szokiem. A potem pojawił się podwójny strach: przed zdemaskowaniem i przed samym sobą, przed koszmarami. Kiedy się okazało, że Leonie żyje, poczułem dosłownie fizyczny ból. Jakby ktoś, może sam Bóg, uderzył mnie z całej siły w brzuch. Tylko jedna wiadomość mogłaby zrobić na mnie większe wrażenie. Wiadomość, że przeżył też Philipp. Ale Philipp był martwy. Dzięki temu Vev była wolna. To ja ją uwolniłem. Sama nie miałaby dość sił, by opuścić Philippa i pozbawić swoją córkę rodziny. Ona, Philipp, ja... każde z nas byłoby nieszczęśliwe. Oni, tkwiąc w związku pozbawionym miłości, ja z powodu zżerającej mnie od środka tęsknoty. Pomogłem więc nieco szczęściu. Muszę przyznać, że przede wszystkim miałem na względzie siebie, nie Vev. Swoją miłość do niej nakarmiłem zbrodnią, popełnioną co prawda w afekcie, ale z pełnym przekonaniem. Nie mówię o Clarissie ani o pani Nan. Mówię o Philippie. Kiedy zginął, mogłem się związać z Vev. Naturalnie Vev przeżywała niewysłowione męki z powodu śmierci Clarissy, ale pocieszałem ją, jak tylko potrafiłem. A jednocześnie paraliżował mnie lęk, bo Leonie nie umarła. Ta wariatka kurczowo trzymała się życia. Zapadła w śpiączkę. Nie była w stanie znaleźć punktu zaczepienia, ani po stronie życia, ani śmierci. Możliwe, że chciała się zabić tylko po to, żebyśmy ja to zobaczyli. Po to, żeby mnie ukarać. Najpierw napędziła mi stracha, mierząc do mnie, a kolejnym szokiem miało być dla mnie jej samobójstwo. Nie przewidziała jednak, że najbardziej nastraszy mnie, nie umierając, ale wręcz

przeciwnie, żyjąc dalej, wytrwale opierając się śmierci. Co, gdyby jakimś cudem się wybudziła? Co, gdyby zaczęła mówić? Budowałem swoją przyszłość na słabych tchnieniach pogrążonej w śpiączce kobiety. Leonie stanowiła podwójny powód mojej męki: jedno jej zdanie mogło obrócić wniwecz wszystko, o czym marzyłem, a jednocześnie, co było jeszcze gorsze, sprawiała, że wciąż utrzymywał się we mnie wysoki poziom żółci. Ogarniały mnie złe myśli, choć przecież powinienem był się skupiać na rzeczach pięknych i dobrych, na mojej miłości, mojej zdobyczy. Zamiast tego cały czas życzyłem Leonie śmierci. W jakiś pokręcony sposób pocieszałem się, że jej jama ustna została przestrzelona, a język jest w strzępach i przez to nie mogłaby mówić. Nawet gdyby się obudziła. Musiałaby napisać, co wydarzyło się naprawdę, a to już trudno było mi sobie wyobrazić. Poza tym również jej mózg jest uszkodzony. Jej zeznanie nie miałoby żadnej mocy. Moje myśli były niczym muchy latające wokół krowiej kupy. Spędziłem w tym bagnie całe tygodnie. Brodziłem w błocie, pożerałem je. Niczego nie mogłem wypluć, bo ktoś mógłby coś zauważyć. Kiedy stało się jasne, że Leonie najprawdopodobniej nigdy się nie wybudzi, zacząłem się coraz bardziej niepokoić starym Nanem. On był ostatnim słabym punktem tej zbrodni. Rozważałem możliwość zabicia go i upozorowania samobójstwa, ale bałem się, że w ten sposób wystawię swoje szczęście na zbyt wielką próbę. Raz mi się udało, ale drugi raz... To wtedy pojechałem na Hiddensee, żeby puścić z dymem tę szopę. Ale jak wspominałem, wszystko potoczyło się inaczej. Stałem przy niej z kanistrem pełnym benzyny i nagle mnie olśniło, poczułem natchnienie.

Ponieważ po kilkuminutowym słowotoku Timo niespodziewanie zamilkł, zadałam pytanie:

– Jakiego rodzaju?

Timo się uśmiechnął.

– Przez chwilę potrzymam panią jeszcze w niepewności i najpierw opowiem, jaki był rezultat owej iluminacji: otóż zgromadzona we mnie żółć z wolna zaczęła opadać. Byłem szczęśliwy z Vev. Ona mnie potrzebowała, a ja stanowiłem dla niej oparcie. Dzięki temu nie odczuwałem żadnej skruchy w związku z popełnioną przeze mnie zbrodnią. Sądzę bowiem, że skrucha pojawia się jedynie wtedy, gdy występki nie prowadzi do osiągnięcia zamierzonego celu. Gdybym wpadł od razu albo gdyby życie z Vev okazało się piekłem, zapewne żałowałbym tego, czego się

dopuściłem. Ale w mojej sytuacji skrucha pozostała jedynie terminem, który znałem ze Starego Testamentu. To, co zrobiłem, stało się nierealne. Gdy ciecz wylewa się jednak z naczynia, zawsze pozostają w nim jakieś jej resztki, przyklepione do ścianek i dna. Tak samo we mnie pozostało kilka kropel żółci, która od czasu do czasu dawała o sobie znać. Ponoć teraz częściej atakuję innych werbalnie, częściej zadaję ciosy poniżej pasa, częściej tracę cierpliwość i nie umiem już czerpać przyjemności z różnych rzeczy. Nikt nie podejrzewa, że w mojej krwi znajduje się trucizna, której nie usunęłoby nawet sto transfuzji. A przecież w sumie mam szczęście. Nie widzę duchów, nie śnią mi się koszmary, w przeciwieństwie do lady Makbet nie czuję obsesyjnej potrzeby mycia rąk. Czasami tylko, kiedy przyglądam się swoim dłoniom, mam wrażenie, że nie należą do mnie. Mimo wszystko przez prawie dwa lata byłem bardzo szczęśliwy. Nie przesadam. Byłem tak szczęśliwy, że czasami miewam wrażenie, że wymyśliłem sobie Vev. Ona zaś trzyma się mnie mocno, jakbym był dla niej czymś w rodzaju boi. Zawsze chciałem być dla kogoś całym światem. Zniszczyłem Vev, a potem ją poskładałem na nowo. Mieszkamy niedaleko stąd, w pięknym, pięciopokojowym, dwupoziomowym mieszkaniu. Sypiam z nią prawie każdej nocy. Naprawdę, nie wyobrażam sobie, żeby mogło być lepiej. Brakuje mi tylko sukcesu na niwie zawodowej. Czy ja panią irytuję?

– Zawsze miałam nadzieję, że mordercy są nieszczęśliwi.

– Winę za to mylne, lecz jakże powszechne przekonanie ponoszą autorzy amerykańskich filmów i książek. No i oczywiście ludzie tacy jak pani. Ci, którzy chcą, żeby mordercy byli nieszczęśliwi i żeby ponieśli karę.

– Akurat to, czego ja chcę, za chwilę się spełni. Panie Stadtmüller, dobre czasy właśnie się dla pana skończyły – powiedziałam w momencie, kiedy na stoliku i podłodze zobaczyłam rytmiczne, niebieskie rozbłyski.

Kiedy ja zmierzałam na miejsce, gdzie miałam nadzieję spotkać Tima, Yim i jego ojciec rozmawiali z policją i teraz do lokalu weszło dwóch funkcjonariuszy w cywilu i dwóch mundurowych. Za nimi szedł Yim.

– Timo Stadtmüller? Nadkomisarz Sperling. Mam nakaz aresztowania pana. Istnieje podejrzenie, że zamordował pan Clarissę Nachtmann, Philippa Lothringera i Nian Nan oraz że usiłował pan zabić Leonie Korn.

– Teraz stanę się sławny – odrzekł Timo, wciąż obrócony w moją stronę.

Policjanci zakuli Tima w kajdanki i wyprowadzili go z lokalu. Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Zostaliśmy z Yimem przy stoliku, przy którym chwilę wcześniej rozmawiałam z mordercą. Z jednej strony czułam satysfakcję i ulgę. Wyjaśniłam tajemnicę paskudnej zbrodni, a dokładniej rzecz biorąc: dwie tajemnice, jeśli doliczyć ludobójstwo, którego przed laty dopuścił się Viseth Nan. Choć może zabrzmie to głupio, miałam poczucie, że pomściłam w ten sposób mojego zamordowanego brata.

Z drugiej strony czułam się zdezorientowana. Dlaczego Timo Stadtmüller nie okazał cienia zdenerwowania, nawet wtedy, gdy już się domyślił, że policja jest w drodze? Dlaczego uśmiechał się nawet w chwili, gdy go wyprowadzano? Tylko dlatego, że miał stać się sławny? I co miał na myśli, mówiąc o natchnieniu? Nie wrócił do tego wątku, nie powiedział mi, o co chodziło. Nie mogłam przestać o tym myśleć.

– Kto teraz zapłaci rachunek? – spytała smutno kelnerka.

– Proszę nam przynieść dwa podwójne espresso. Ja zapłacę za wszystko – uspokoił ją Yim, po czym pogładził moje włosy, położył dłoń na moim karku i spytał: – Jak się czujesz?

– Ujdzie. Jestem tylko... trochę skołowana. Espresso to dokładnie to, czego teraz potrzebuję. Oprócz twojego towarzystwa.

– Mam nadzieję, że chodzi o coś więcej niż tylko o towarzystwo.

– Chodzi o znacznie więcej. Cieszę się, że cię mam.

W milczeniu czekaliśmy na kawę. Lekko drżałam, więc Yim chwycił mnie za dłoń.

– Jest coś, o czym nie wiesz – powiedział, a mnie ogarnął nagle przeraźliwy strach, że może powiedzieć coś, co zniszczy to, co jest między nami.

– To ja przyniosłem wtedy Leonie pistolet. Clarissa go ukradła i zagrzebała w ziemi, a moja matka go odkopała i poprosiła mnie, żebym go oddał Leonie. Przez cały ten czas żyłem w przekonaniu, że to ja włożyłem go w dłoń morderczyni mojej matki. Oczywiście zrobiłem to na prośbę matki, ale mimo wszystko ta świadomość mnie wykańczała. Po prostu nie byłem w stanie o tym rozmawiać.

Bardzo dobrze go rozumiałam.

– Jak tylko trochę się uspokoję, opowiem ci o wyrzutach, jakie ja sobie robiłam

po śmierci mojego brata. Nauczyłam się wtedy, że wszystko, co się dzieje, zarówno rzeczy najlepsze, jak i najgorsze, jest wynikiem sumy działań różnych ludzi. Często nie jesteśmy w stanie oszacować konsekwencji tego, co zrobiliśmy, ani tego, czego zaniechaliśmy. A próba analizowania z wyprzedzeniem każdego kolejnego kroku może jedynie doprowadzić nas do szaleństwa. Twoja matka nie umarła dlatego, że zrobiłaś to, o co cię poprosiła. Ona umarła przez nieszczęśliwie zakochanego, sfiksowanego trzydziestotrzylatka z kompleksem niższości.

Yim uśmiechnął się do mnie.

– Powiem ci teraz coś, co może wydać się szokujące. Mam nadzieję, że nie zrozumiesz tego na opak. Cieszę się, że w wyniku przestępstwa straciłaś członka rodziny.

Tym razem to ja się uśmiechnęłam.

– Nie jestem w szoku. Rozumiem, o co ci chodzi. Naprawdę.

Wypiliśmy espresso i po raz pierwszy poczułam, że jesteśmy parą. Możliwe, że Yim dostrzegł to w moich oczach, bo uśmiechnął się ponownie, pochylił w moją stronę i ucałował mnie. Pomyślałam, że to, co przeżyliśmy, zostanie z nami na zawsze i nigdy nie pozbędziemy się tego piętna, ale z roku na rok będzie nam łatwiej z tym żyć.

W ciągu następnych dni mieliśmy się przekonać, że czasem najpierw musi być gorzej, żeby potem było lepiej. Ojciec Yima uniknął deportacji do ojczyzny, ponieważ powiesił się w szopie swojej żony. Wybór miejsca zapewne nie był przypadkowy. Yim pozwolił, by kwiaty w ogrodzie uschły, obrazy natomiast wysłał do Kambodży, gdzie doczekały się specjalnej wystawy.

Yasmin umarła w tym samym dniu, w którym aresztowano Tima. Zafundowała sobie złoty strzał. Tym razem, mimo że zwykle tego nie robiła, wzięła coś dożylnie. Nie wiadomo, czy dowiedziała się jakoś, że sprawa się wyjaśniła, ani czy przedawkowała świadomie, czy też zabiła się przez przypadek. Po pogrzebie jej starszy brat opowiedział mi, że od czasu tragedii na Hiddensee rodzina co miesiąc przesyłała jej czek na pokaźną sumę. To za te pieniądze Yasmin sprezentowała przyjaciółce sklep, a sobie kupowała alkohol i narkotyki. W pewnym sensie Yasmin była przedostatnią z ofiar nocnej rzezi na Hiddensee. Ostatnią będzie Leonie – w dniu, w którym lekarze odłączą ją od urządzeń podtrzymujących funkcje życiowe.

Yim sprzedał Sok sebei te i jakiś czas potem kupił restaurację rybną na statku zakotwiczonym na Sprewie.

Z Vev ani się nie spotkałam, ani nie rozmawiałam. Nie pojawiła się też na procesie Tima. Nie była na niego nawet wzywana, a obrońca dostarczył jedynie protokół jej zeznań. Nie muszę chyba wspominać, jak bardzo jej współczułam: najpierw straciła córkę i męża, a na koniec dowiedziała się, że obydwójce zginęli z ręki człowieka, z którym od tamtej pory zdążyła się tysiąc razy przespać... Vev pozostała dla mnie pewną niewiadomą i bardzo mi to odpowiadało. Yim mówił, że właściwie jesteśmy do siebie trochę podobne. Moje poczucie humoru i błyskotliwość przypominały mu Vev. Nie chciałam wiedzieć nic więcej, bo to tylko przeszkadzałoby mi w pracy nad artykułem.

Przez chwilę myślałam o tym, żeby oprócz tekstu dla gazety napisać sfabularyzowaną wersję wydarzeń, na przykład w formie powieści opartej na faktach, ale doszłam do wniosku, że z prawdą w literaturze sprawa ma się tak jak z trucizną w organizmie: w niewielkich ilościach może mieć moc leczniczą, ale w zbyt dużych szkodzi. Fakty tylko przeszkadzają w pisaniu. Zresztą nawet gdybym miała napisać coś na podstawie faktów, zrobiłabym to tak, żeby ludzie myśleli, że to fikcja. Bo pisanie powieści oznacza kłamanie, jak stwierdziła kiedyś Simone de Beauvoir, a ja się z nią całkowicie zgadzam.

Kilka tygodni po aresztowaniu Tima Stadtmüllera zdarzyło się coś dziwnego. Kiedy Yim pomagał mi rozpakowywać moje rzeczy w naszym nowym, wspólnym mieszkaniu, wpadł mu w ręce manuskrypt, nad którym tamtego dnia Timo pracował w kawiarni. Po aresztowaniu, niewiele myśląc, zabrałam go ze sobą i położyłam gdzieś w domu.

– On pisał o Hiddensee – zawołał Yim. – Nie do wiary. Zmienił kilka imion, ale... to jest opowieść o tamtej nocy.

Kartkując tekst, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Timo Stadtmüller opisał w nim samego siebie jako mordercę. Przyznał się do winy i dodatkowo zdradził, że Viseth Nan jest odpowiedzialny za ludobójstwo. Krótko mówiąc: sam podkładał głowę pod topór. Do tekstu był dołączony katalog wydawniczy, w którym zamieszczono zapowiedź książki. Miała się ukazać wiosną dwa tysiące trzynastego roku.

Jej tytuł brzmiał: *Dom Mgieł*.

Podziękowania

Dziękuję Eléonore Delair, bez której nie powstałaby ta książka, Wiebke Rossie i Angeli Troni, z którymi wspólnie szlifowałem tekst, oraz Petrze Hermanns, mojej zaangażowanej całym sercem agentce. Rzecz jasna dziękuję również szóstce ludzi, którym zadedykowana jest niniejsza powieść i którzy pomogli mi, czytając jej wstępną wersję.